

Kryształy Czasu

Sprawy Rodzinne



Żyjąca Orchidia





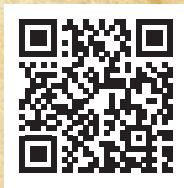
Kryształy Czasu – Żyjąca Orchia

Sprawy Rodzinne

Opowiadania na podstawie sesji pbf o tym samym tytule.



Autorzy:	Keth, namakemono, Radziu, Trihikilius, Stan, kamien88
Opracowanie i korekta:	czegoj, natka, Treant, Keth, namakemono
Grafika, okładka, skład:	namakemono (z wykorzystaniem grafik Jarosława Musiała)



www.krysztalyczasu.pl
2016







Spis treści

Mapa Ostrogaru.....	4
Wstęp.....	5
Rozdział I.....	7
Rozdział II.....	13
Rozdział III.....	17
Rozdział IV.....	21
Rozdział V.....	27
Rozdział VI.....	41
Rozdział VII.....	49
Rozdział VIII.....	59
Rozdział IX.....	63
Rozdział X.....	69
Rozdział XI.....	79
Rozdział XII.....	91
Rozdział XIII.....	95
Rozdział XIV.....	101
Rozdział XV.....	105
Rozdział XVI.....	113
Rozdział XVII.....	117
Rozdział XVIII.....	121
Rozdział XIX.....	127
Rozdział XX.....	139
Rozdział XXI.....	147
Rozdział XXII.....	151
Rozdział XXIII.....	157
Rozdział XXIV.....	163
Rozdział XXV.....	169
Rozdział XXVI.....	175
Rozdział XXVII.....	189
Rozdział XXVIII.....	195
Rozdział XXIX.....	199
Rozdział XXX.....	205
Rozdział XXXI.....	209
Rozdział XXXII.....	213
Rozdział XXXIII.....	217
Epilog.....	223





Ostrogar





Wstęp

Drodzy Czytelnicy,

Mamy ogromną przyjemność zaprezentować Wam opowiadanie osadzone w świecie Kryształów Czasu, powstałe na podstawie sesji PBF (Play by forum). Choć trudno nam przywołać z pamięci wszystkie okoliczności tej sesji, to właśnie ona zapoczątkowała naszą wielką przygodę z PBF, trwającą od dobrych kilku lat. Sama sesja trwała około 10 miesięcy rzeczywistego czasu. Pierwszy post został popołniony w marcu 2009 roku, a ostatni w grudniu 2009. Z kolei prace redakcyjne nad samym tekstem opowiadania trwały (z przerwami) od czerwca 2015 roku. Niniejszym sami możecie ocenić, czy finalny efekt wart był poświęconego na jego uzyskanie czasu. Gorąco prosimy o komentarze, bo nic tak nie motywuje do pracy jak świadomość, że jej rezultat służy czemuś więcej niż tylko osiągnięciu satysfakcji z zakończenia projektu przez zaangażowane weń osoby.

Żywimy nadzieję, że perypetie gromadki zahukanych wieśniaków spod Ostrogaru przypadną Wam do gustu i pozwolą przenieść się myślami na Orchię i powędrować po niej przez przynajmniej kilka godzin lub dni, podobnie jak prawdziwym graczom pozwoliło wędrować przez blisko 10 miesięcy i nie był to problem z czytaniem ;-D







Rozdział I

Wioska w okolicach Ostrogaru.

Blask płomieni, bijących od paleniska, otulał swym ciepłem kucających na glinianym klepisku młodzieńców, wpatrzonych urzeczonym wzrokiem w brodatego starca siedzącego przed nimi ze skrzyżowanymi nogami. Wielki żelazny sagan ustawiony nad paleniskiem bulgotał cicho, rozsiewając wokół upojny zapach ziołowego wywaru, z którego wyrobu sędziwy Męczywór sływał w całej okolicy.

– Minęły cztery dni, a tamci ciągle jeszcze nie wrócili – powiedział ze smutkiem starzec, kiwając swą siwą głową. – Wiecie dobrze, że zabrali prawie wszystkie nasze pieniądze. Bez tego ziarna wioska pomrze śmiercią głodową, a jeśli rozgniewamy wcześniej namiestnika Katana, orkowie wbiją nas za niezapłaconą daninę na pal. Hyrtan Druhgar nie słynie z wyrozumiałości.

Słyszając miano miejscowego namiestnika czterej młodzieńcy skłonili głowy śpiesznie ku klepisku – czyniono tak zawsze na dźwięk imienia hyrtana, jeśli bowiem ktoś się przed tym wzbraniał, orkowe bizuny krwawym śladem na grzbiecie szybko uczyły pokory.

– Popłyniecie dzisiejszej nocy, pogoda jest piękna, bezwietrzna. Znacie drogę do Ostrogaru, wystarczy wam zapuścić się na najdalsze łowiska, byście spostrzegli na horyzoncie światła na wachłach miasta. Jeśli się przyłożycie do wiosła, dotrzecie do portu tuż przed świtem. Weźcie dwie łodzie, te od starego Jemioly. Dopiero co je wysmołował, nadadzą się w sam raz na tę podróż..

Starzec sięgnął za siebie, na małą drewnianą półeczkę obwieszoną pękami ziół, zdjął z niej niewielki bawelniany woreczek, rozsznurował go niewprawnie powykręcanymi artretyzmem palcami. Blask paleniska padł na garść drobnych srebrników, połyskujących metalicznie w pomarszczonej dłoni Męczywora.

– Weźcie te monety, będą wam potrzebne do opłacenia miejsca w przystani. W Ostrogarze trzeba płacić za wszystko, nawet za kawałek deski przy pomoście dla łodzi. Znajdźcie Krzesimira i Sękacza. Jeśli wpadli w opałę, poratujcie jak na druhów przystało. Jeśli zaś co złego czynili i przetracili nasze pieniądze, niech nie wracają do wioski. Przekleństwo wówczas na nich i niech idą na przetracenie, a wy przywieźcie ich prawe dłonie, by starszyzna wiedziała, żeście im wymierzili karę.

Starzec odwrócił się ponownie w stronę półki, tym razem ściągnął z niej cztery malutkie metalowe flakony dokładnie zakorkowane i wsadzone w wiklinowe koszyczki.

– To Czerwona Furia – powiedział wążąc flakony w dłoniach. – Jeśli sami wpadniecie w opałę, z których tylko żelazo będzie was mogło wyciągnąć, nie wahajcie się jej zażyć. Jak działa, już wiecie, nie muszę wam nic wyjaśniać. Baczcie tylko, byście prawa nie złamali w sposób taki, który ściągnąłby na nas gniew orków, bo wtedy przekleństwo na głowy wasze i waszych rodzin.





Ostrogar to ich ostoja, matecznik, leże. Niechby hyrtan się zwiedził, że jego poddani hańbę mu przynieśli w stolicy, to nam jeszcze kur czerwony w oczy może zaświecić.

Młodzieńcy ponownie skłonili się, milczeniem okazując szacunek głowie starszyny i chłonąc z ekscytacją słowa starca.

– W łodziach już jest jedzenie: świeży chleb, wędzone sery, marchew i cebula oraz suszone ryby. Wystarczy wam na dwa dni, byście nie musieli nic w Ostrogarze kupować, bo nie macie na to pieniędzy. Krzesimir i Sękacz musieli zostawić łódź w małym porcie, tam zaczniście poszukiwania. Zawsze kupowali ziarno u tego samego kupca, Michelona z Placu Karczemnego. Nie traćcie czasu na nic innego, nie dajcie się wodzić na pokuszenie. W Ostrogarze wiele jest zgubnych pokus: trunki, sprzedajne kobiety, złodzieje czyhający na mienie nieostrożnych głupców. Znajdźcie Krzesimira i Sękacza, dowiedzcie się, gdzie jest ziarno albo pieniądze na nie przeznaczone, a potem szybko wracajcie. Rada starszych chce was widzieć o poranku trzeciego dnia od teraz.

Rozżarzone do czerwoności polana trzaskały donośnie pod bulgoczącym saganem, sypały co chwila iskrami wypalającymi niewielkie plamki na brudnym klepsku.

– Starszyna wybrała was przez wzgląd na młody wiek i krzepkość ramion, ale też wierność tradycjom osady – Męczywór przeciągnął spojrzeniem po obliczach młodzieńców, zatrzymał swe kaprawe oczy chwilę dłużej na twarzy Zagera, który nad wyraz rzadko zdejmował z głowy swój, noszony nawet w słoneczne dni, kaptur. Płomienie paleniska wydobyły z mroku drewnianej chaty zielarza dumne ostre rysy i zacięte usta młodzieńca oraz smoliście czarne chłodne oczy, które nie okazywały zbyt wielu emocji nawet w tak ekscytującej dla całej czwórki chwili.

– Nie zawieziemy waszego zaufania – odparł zdecydowanym tonem Pchełek, szczupły chłopak o kędzierzawych włosach koloru pszenicy i roześmianej na co dzień twarzy, teraz śmiertelnie poważnej. – Za trzy dni przywieziemy nasze srebro lub zboże, naszych poratowanych z opresji druhów lub ich głowy. Stanie się zadość woli starszyny.

– Słuszne słowa i przynoszą wam chlubę – klasnął w pomarszczone dłonie Męczywór. – Nie traćcie zatem czasu, bo nie macie go wiele. Niech łaska bogów podąży waszymi krokami.

Skłoniwszy głowy w geście pożegnania, młodzieńcy zabrali pośpiesznie flakoniki z narkotycznym wywarem oraz skąpy mieszek srebrników, przestępując próg chaty i zanurzając się w mrok ciepłej gwiazdzistej nocy. Chociaż zmierzali szybkim krokiem ku wyciągniętym na piasku plaży łodziom, nie rozglądając się przy tym na boki, wszyscy czuli na swych plecach palące spojrzenia ukrytych w ciemnościach ziomków, wyzierających niemo zza okien i progów swych nędżnych domostw.

Krzesimir i Sękacz wypłynęli do Ostrogaru cztery dni wcześniej, zabierając ze sobą sporo sztuk srebra przeznaczonych na zakup ziarna pod zasiew. Mieli wrócić po dwóch dniach, ale ślad po nich zaginął.

Postawili na szali los wszystkich ziomków, ściągając na osadę widmo głodu i niewolniczych kajdan, w które orkowie zwykli zakuwać poddanych spóźniających się z daniną.





* * *

Przygotowane przez Jemiołę łodzie tkwiły na piasku, kilka metrów za najwyższą linią przypływu, z dziobami wsuniętymi w kępy wysokiej trawy. Pchełek, który z lubością wciągnął w nozdrza ostry zapach smoły, kichnął niespodziewanie omal nie potykając się przy tym o jedno z wiosel. Prawa ręka chłopaka wystrzeliła ku noszonej za pasem obosiecznej dadze, kiedy w mroku za łodzią poruszył się nagle jakiś rosnący w oczach kształt.

– Na Oriaka, co to? – syknął młodzieniec, alarmując swym tonem kompanów. – Coś ty za jeden, poćpiego?! Wyłaż stamtąd, a żwawo, bo ci inaczej kosę sprzedam!

– Nie drzyj paszczy, bo ogłuchnę! – warknął cień, przekładając nogi ponad łódką i podpieając się przy tym wbitym w piasek oszczepem. – Mężywór głuchy jest jak pień, a pewnikiem i on zaraz tu przyleci sprawdzić, kto robi tyle rejwachu!

– Trzęsikęsek! – parsknął szyderczo Zager. – W puszczy już wszystko przed tobą uciekło, że się do łodzi pchasz? Ryby chcesz łowić? A co z wnykami na zające i wiewiórki?

Wioskowy myśliwy, krzepki młodzian we własnoręcznie uszytym skórzanym kubraku, spojrział na Hogura z udawaną wyższością, przez wzgląd na męską dumę nie dając po sobie poznać obawy żywionej przed Zagerem przez niemal wszystkich członków społeczności.

– Do Ostrogaru muszę – oznajmił nie znoszącym sprzeciwu tonem. – Te grotty do strzał od Mścibora są łajno warte, niechby je sobie w rzyć wsadził, kowal od siedmiu boleści! Nowe muszę kupić, dobre, przez fachowców robione. I parę skórek mam na sprzedaż: kuny i łasice. Na dwór elejata chodził z nimi nie będę, bo tam skórę ze mnie zedra dusigrosze, za bezcen będą chcieli dostać.

– Mężywór wie, że chcesz z nami płynąć? – spytał powątpiewającym tonem Zager. – Nie będzie się ciskał?

– A niby o co? – wzruszył ramionami Trzęsikęsek. – Wczora mu do chaty młodego dziczka zwlokłem, w całości, nic dla siebie nie odkroilem. Stary dobrze wie, że bez grotów długo nie popoluję, a on lubi sobie zjeść, chociaż zębów już nie ma. Nawet okiem nie mrugnie, a wam jedna para rąk do wiosel więcej na pewno się przyda.

Słyszac te słowa nikt z rybaków nie zaoponował, bo chociaż na co dzień Trzęsikęsek więcej czasu spędzał w puszczy niż na połowach, wszyscy cenili sobie jego celne oko, silne ramię i spore poczucie humoru. Jednak wszyscy jednocześnie obawiali się jego ogromnego apetytu, bo zapasy zgromadzone w łodziach obliczone były na czterech śmiałków, nie zaś na pięciu.

Zepchnięte łodzie chlupnęły cicho, do dźwięku tego dołączył zaraz odgłos rozbryzgiwanej bosymi stopami wody. Wskoczywszy do drewnianych łupin i złapawszy za wiosła, młodzieńcy poczeli machać nimi z dziką werwą, oddalając się z każdym ruchem krzepkich ramion od swej rodzinnej osady.





* * *

Wiosłowali wytrwale przez kilka godzin, kierując się gwiazdami w stronę granic najdalej na południu położonych łowisk osady. Potem odpoczęli krótko, przyciągając obie łodzie do siebie i przywiązując je linami na czas posiłku. Woda chlupotała o drewniane burty, pogłębiając uczucie osamotnienia na mrocznej tafli Wielkiego Jeziora Dan-Ugar. Rozgwieżdżony nieboskłon iskrzył się miriadami niewielkich punkcików, odbijających się w lekko rozfalowanej wodzie.

– Styknie tego dobrego – wymamrotał z pełnymi ustami Pchełek, zawijając niedojedzoną rzepę z powrotem w lnianą szmatkę. – Przez dzień też coś trza będzie zjeść, bo Męczywór gadał, że nikt nas tam na miejscu strawą nie ugości.

– Oj, nie ugości – przyznał Trzęsikęsek, mlaskając przy tym niezrównanie. – To przecie Ostrogar, stolica Imperium, istot tam jak mrówek albo i tych gwiazdów w górze, a każdy tylko patrzy, co by z przyjezdnych ostatniego srebrnika wycisnąć. I gdzie człowiek nie spojrzy, tam orkowie. Nie trza ich drażnić nieopacznym słowem ani zbyt śmiałym wzrokiem, bo lochy Kartana pono bezdenne są i bez spodu.

– A dużo ich tam je? – zapytał swym wiecznie pełnym zadziwienia głosem Łamignat, żujący niestrudzenie twardą jak kamień kalarepkę. – Orków tych, znaczy się. Więcej jak na dworze eleje... ejeler... ta?

– Gnacik, ty już lepiej nic nie gadaj – odparł Gusłek. – Ani tera ani potem, bo nam jeszcze biedy napytasz takiej, że przy niej niczym będzie apopleksja starego Męczywora. Łaż za nami, w ziemię patrzaj i czekaj, aż ci powiemy, co dalej.

Skończywszy posiłek młodzieńcy złapali czym prędzej za wiosła, zanurzając rytmicznie ich pióra z zamiarem dotarcia do Ostrogaru przed pierwszymi promieniami słońca. Wszyscy byli rybakami od dziecięcych lat, toteż wysiłek fizyczny niezbędny do tej podróży ich nie przerażał, w każdym razie nie tak bardzo jak perspektywa ujrzenia wielkiego świata, o którego przepychu słyszeli czasem to i owo z ust przejeżdżających przez wioskę handlarzy i najemnych rębaczy.

Dobre dwie godziny przed brzaskiem ujrzeli coś, co Pchełek wziął w pierwszej chwili za konstelację gwiazd wiszącą tuż nad czarną taflą Jeziora.

– To Ostrogar – wyprowadził go z błędu Zager, trzymający wiosło w poprzek kolan i spozierający ku horyzontowi z nabożnym podziwem. – To muszą być światła w portach i latarnie na murach miejskich, a te wyżej to Pałac Katanów. Płyniemy w dobrą stronę.

– A jak już bramę miasta przekroczym, to kaj pierwej pójdziem? – spytał niespokojnie Gusłek, młody nowicjusz z wioskowej kapliczki Piana. – Trza nam Krzesimira i Sękacza znaleźć, ale kędy ich nogi poniesły, psia ich mać? Gdzie szukanie zaczniemy? Najsampierw u Michelona z Placu Karczemnego języka zasięgnąć nam trza, dobrze gadam?

– Ano, do Michelona... ale nie najsampierw, tylko po upewnieniu się, że w ogóle do miasta trafili – odpowiedział cierpko Hogur. – Najsampierw zapytajmy w porcie, czy ich ktoś widział.





Potem pewnie pójdziem do Michelona.

– Łoooo.... – odezwał się nagle z lubością Łamignat, urzeczony widokiem migoczącej światłkami metropolii, z gębą rozdziawioną na zwyczajowy dla wiejskiego głupka sposób. – Jakie to pikne! Tatuńcio dobrze gadali, co to za cudy na świecie bywajom. Chłopaki, a my to blisko tych gwiazdeczek płynięć będziem?

Pozostali rybacy słowem nie odpowiedzieli na dziecięce pytanie olbrzyma, ktoś westchnął jedynie głośno, ktoś inny zaśmiał się w kułak. Łamignat był mężem słusznej postury i wielce wprawnym w robieniu drewnianą pałą, toteż wszyscy z wielką radością przyjęli decyzję Męczycy-wora o włączeniu go w skład wyprawy, ale z drugiej strony, niejeden z młodzieńców zadawał sobie w duchu pytanie jakie kłopoty może im ściągnąć w wielkim mieście ten niezdarny osiłek o rozumie małego dziecka, dobroduszny na co dzień, ale straszny w słusznym gniewie.







Rozdział II

Niedy brzask poranka oświetlił coraz bliższe mury Ostrogaru, oczy wytrwale wioślujących rybaków zrobiły się wielkie i okrągłe. Każdy z nich nosił w głowie pewne wyobrażenia na temat stolicy Imperium, ale wyrastająca z toni Jeziora Dan-Ugar wielka wyspa pozbawiła ich na dłuższą chwilę tchu, burząc całkowicie nieadekwatne porównania z rodzimą wioską.

Wystrzeliwujące ponad szczytami odległych gór promienie słońca złościły olbrzymie białe mury Pałacu, odbijały się od pokrytych miedzianymi gontami kopuła świątyni Katana. Setki strzelistych dachów pomniejszych pałacyków i zameczków przylegały do gładkich białych wałów, poniżej ich zaś przyciągały wzrok tysiące kolorowych dachówek wieńczących liczne miejskie kamienice i zabudowania portowe.

Okrzyknięci przez miejscowych rybaków, młodzieńcy odpowiedzieli niemrawo i bez przekonania, ignorując zaczepliwe spojrzenia ostrogarskich poławiaczy. W łódkach trwała przez chwilę ożywiona dysputa dotycząca wejścia do portu, jeśli bowiem oczy nie kłamały, rybaczy mieli przed sobą co najmniej cztery wielkie, strzeżone przez basztele kanały prowadzące do wewnętrznych części stołecznego portu. Nadbrzeżne kamienne mury, wręcz śmiesznie małe w porównaniu z olbrzymimi wałami Pałacu, a mimo to górujące coraz bardziej nad głowami wioślarzy, udekorowane były łopoczącymi na wietrze proporcami, a promienie słońca lśniły w ostrzach przemierzających blanki włóczników.

Na wodach, u brzegów wyspy roilo się od niewielkich rybackich łódek, manewrujących wprawnie pomiędzy dużo większymi holkami i kogami o rozpiętych żaglach, a gdziekolwiek można było i szebekę wypatrzeć. Ponad wodą niosły się ludzkie śmiechy, obraźliwe zawołania i zbiorowe śpiewy Ostrogarczyków, wyciągających nad powierzchnię jeziora pierwsze pełne ryb sieci.

– Toż to się we łbie nie mieści! – wydusił z siebie Pchełek. – Kiejby mi kto wcześniej rzekł, że to takie wielkie, tobym chyba ze śmiechu pynknał, a tu już! Oczyskom nie wierzę!

– Ostrogar... – powiedział wolno Trzësikęsek. – Stolica Katanów. Iście inny świat...

– Kędy nam wpłynąć? – zapytał Łamignat, rozglądając się wkoło roziskrzonym gorączkowo wzrokiem. – Tam czy tamoj?

Zager i Gusłek spojrzeli na siebie, wrzuszając równocześnie ramionami. W litej skale nadbrzeżnych fortyfikacji widniały cztery wielkie wodne bramy, ponad którymi wprawni budownicy przerzucili drewniane pomosty obsadzone przez miejskich strażników – dostatecznie wysoko, by wpływający właśnie do portu holk nie zahaczył o żaden z nich czubkami swych masztów.

– Jak nam ich tutaj znaleźć? – jęknął nieco bezradnym tonem Gusłek. – I to we dwa dni?





* * *

Wstrząs spowodowany niezwykłą panoramą stolicy rysował się na każdej bez mała twarzy i nawet Maskacz pozwolił sobie na krótkie otwarcie ust, iście na podobieństwo siedzącego tuż przed nim Łamignata.

– No, chłopki, co żeście tak porozdziawiali japy jakbyśta cycki młynarzówny zoczyli – zaga-
dał Pchełek próbując ukryć jakoś swój nabożny podziw dla rozpościerającego się przed łódkami
widoku. – Już ja przewodnika znajdę.

Nim ktokolwiek zdążył go powstrzymać, młodzian podniósł się na nogi i pomachał ręką
w stronę łowiącego coś opodał Ostrogarczyka.

– Holaaaaa, panie rybaku, jak tu płynąć coby się bystro przy Placu Karczemnym znaleźć?

– Cichaj, Pchełek, nie drzyj gęby. – Gusłek skulił się w łodzi, wyraźnie wystraszony i zdzi-
wiony przesadnie przyjacielskim zachowaniem kompana wobec obcych. – Czort wie, co to
za ludzie z tych miastowych. Jużci zamiast pomocy nam udzielić, one rybaki łódkę nam wy-
wala, a nas potopią. Biedy nam napytasz. Płynmy co tchu, drogę na przystań sami znajdziem.

– Ja bym tam z nim pogadał – mruknął nieco rozczarowany Pchełek widząc, że miejscowy
rybak ogląda się przez ramię w stronę buratarskiej łódki. – Wielce jest możliwe, że pokażą dobrą
drogę, a nie że w dwa dni sami znajdziemy Plac Karczemny.

– Ja się tam mądrzyć nie będę, ale z tego co mi rozum podpowiada, to w każdziutkim doku
pełno karczmów będzie, a jak do jednej trafim, to się tam już spytamy o Michelona przybytek –
oznajmiał nie do końca przekonany tonem Trzęsikęsek.

Wymieniwszy między sobą uwagi rybacy złapali pospiesznie za wiosła, ale nie zdążyli ich
już zanurzyć w wodzie. Okrzyknięty przez Pchełka poławiacz ostryg podpłynął bliżej swą nie-
zgrabną łódką, złożył wiosła w dulkach spojierając podejrzliwie na obcych.

– Czego chceta, chłopcy? – zapytał chrapliwym głosem, odpędzając jednocześnie długim ki-
jem kilka bezczelnych mew próbujących wykraść mu za plecami małe rzeczne raczki wrzucone
do glinianej misy na rufie łódki. – Czego szukata?

– Toć żem gadał, że Placu Karczemnego – odpowiedział Pchełek posyłając jednocześnie
pełne wyższości spojrzenie w stronę Gusłka. – Bo my tu pierwiej nie bywali, a mus nam na Plac
i nie wiemy kędy.

– A skądżeście som? – indagował dalej poławiacz, kręcąc na boki swą zarośniętą zbójcko
gębą. Miał szczupłe opalone ciało, na sobie zaś jedynie krótkie, ociekające wodą spodnie, co
świadczyło, że ledwie chwilę wcześniej nurkował w poszukiwaniu małży. – Skądy was tu przy-
niosło, co?

– Z Burat-aru – odpowiedział chłodnym tonem Zager. – I jeśli wiedzieć chcesz, czyśmy tu
przyplłynęli ostrygami kupczyć, to ci rzeknę: nie.

– Przecie nie pytam – poławiacz roześmiał się gardłowo, klasnął dłońmi w uda. – Płynta
do tamtej bramy, o tamoj, a potem kanałem aż po pomosty dla rybaków.





– Dzięki i bywaj – machnął ręką Pchełek, ujmując ponownie wiosło. – I widzita? Czego żeście się strachali? Dyc to całkiem fajny chłop.

Pchnięte wiosłami łódki szybko znalazły się w cieniu rzucanym przez kamienne mury. Fale uderzały z sykiem w podstawy wodnych fortyfikacji, pieniać się na wielkich blokach granitu. Wpływając do szerokiego zacienionego kanału rybacy słyszeli wyraźnie łopot wywieszonych wysoko w górze miejskich proporców i nawoływania strażników. Woda w kanale miała ciemnozieloną barwę, unosiły się na niej jakieś śmieci, a Łamignat wyłowił końcem wiosła zdechłego szczura.

– Z drogi, łajzy! – z dziobu nadpływającego z przeciwnej strony holka padły szydercze okrzyki i śmiechy. Rybacy odbili swymi łupinami w bok, pod stromą ścianę bramy, ale wywołała przejściem ciężkiego statku fala i tak rzuciła nimi o kamienną podstawę kanału – Won, psie syny!

Ktoś cisnął z pokładu ogryzkiem, ale chybił, ktoś inny zarechotał donośnie. Holowany przez dwie wielkie łodzie holka przesunął się obok siedzących w łódkach rybaków, wypłynął na szerokie wody jeziora, gdzie mógł już rozwinąć żagle.

– Łać ich? – jęknął Łamignat patrząc z rozczarowaniem na oddalającą się rufę statku. – Za nimi i łać?

– Daj spokój – mruknął Gusłek. – Patrzta lepiej tutej.

Przed oczami Buratańczyków rozciągnęła się panorama wielkiego portowego akwenu przylegającego do pełnych żurawi i magazynów doków, oplecionych płataniną zbitych z desek pomostów. Spojrzenia oszołomionych tym widokiem młodzieńców skakały od statku do statku, od magazynu do stoczniowej pochylni, sięgając hen ku wysokim dachom kamienic i lśniącoblitym murem Pałacu Katana.

– Tam, tamoj jest miejsce! – syknął Pchełek wskazując palcem jeden z pobliskich pomostów. – Przywiążemy łódki tamoj, do tego drąga.





Rozdział III

Port w Ostrogarce.

Drzybiwszy do pomostu rybacy wydostali się po kolei z chwiejnych łódek, wciąż rozglądając się wkoło ciełym wzrokiem. W porcie cumowało istne mrowie statków, łodzi i łódeczek, a przelewające się pomostami i nadbrzeżami morze ciał wprawiało rybaków w stan skrajnego oszołomienia.

– Patrzajcie tamoj – stęknął Gusłek. – Czy to małe tam, co idzie koło furmanki to to, co mnie się zdawa?

– Tak – odparł Pchełek. – Toż to prawdziwy krasnolud! Jaki brodaty, no nie mogę!

– Lepiej się na niego tak nie gapiecie, bo się jeszcze wzburzy – doradził Trzęsikęsek, samemu śpiesznie odwracając wzrok. – Lepiej z tym tam pogadajcie, co tu lezie.

Faktycznie, środkiem pomostu sunął tęgi człowiek o krótko przyszczyżonych włosach i jowialnym obliczu, targający przewieszoną przez ramię skórzaną sakwę oraz pergaminowy zwój i wykonany z grafitu rysik.

– Witam jegomościów! – zakrzyknął donośnie, ciskając sakwą wprost pod nogi Łamignata.

– Ja jegomość? – stęknął osilek, spoglądając z góry na Ostrogarczyka. – Ja przecie Łamignat, nie jeg...

– Nieważne! – uciał ruchem ręki grubas. – Oplata trzy srebrniki, jako regulamin portowy rzecz. Pokwitowanie ważne od wschodu do wschodu słońca. Kto płaci?

– Olaboga, panie wielmożny, toż to cały nasz majątek. My są biedne chłopy. Ale jako leguramin rzecz, tako i zapłacić nam trza. – Gusłek wydobył zza pazuchy zawiniątko, w którym trzymał powierzone mu monety i pieczołowicie odliczył trzy sztuki, po czym wyciągnął prawicę z pieniędzmi w stronę brzuchacza. Ciężko mu było się rozstać z pieniędzmi, wszak za coś trzeba kupować eliksiry spożywane ku czci Piana. W ostatniej chwili jakby się rozmyślił i ręka zawisła nieruchomo w powietrzu.

– Dobry panie, jam jest pomocn... tfu, kapłan. Jeśli o jeden pieniążek nam mniej leguramin policzysz, tedy takie błogosławieństwo uczynię, co u Piana na miesiąc cały powodzenie ci sprawi. – Drugą rękę unioś jak do błogosławieństwa i zamknął oczy, po czym nie patrząc odjął błogosławiącą ręką jednego srebrnika, a starał się przy tym wyglądać tak dostojnie, jak jego mistrz podczas wioskowych ceremonii.

Tęgi inkasent popatrzył bystro na Gusłka, taksując go wzrokiem iście niczym poborca podatkowy szacujący wartość rzeźnej krowy, potem zaś zaśmiał się tak gwałtownie, że aż mu brzuszysko zafalowało.

– Może i chłop z ciebie, ale sprytna bestyja – oznajmił grubas, przestając się w końcu śmiać





i ocierając cieknące z oczu łzy. – Niech ci zatem będzie, że wezmę dwa srebrniki... od pierwszej łodzi! Człek jestem pobożny, a błogosławieństwo kapłana Piana nie furda, chociaż mi wcale na duchownego nie wyglądasz. Ale regulamin mówi: trzy srebrniki od łodzi, toteż licz tam żwa-wo jeszcze trzy monetki, bo mi się śpieszy!

Postawiony przed faktem dokonanym, Gusłek oddał z ogromną niechęcią pięć srebrnych pieniędzy, które zniknęły bez zwłoki w sakwie grubasa. Inkasent zaczął coś skrobać rysikiem na pergaminowym zwoju, spozierając jednocześnie w stronę próbującego go obejść od tyłu Pchełka, najwyraźniej zaintrygowanego rozmaitymi woreczkami, które zwisały z szerokiego pasa urzędnika.

– Coś się tak na mój zad zapatrzył? – zapytał wioskowego złodziejaszka Ostrogarczyk. – Jesteś z tych, co to męskie tyłki nad babskie przedkładają? Tylko mi tu spróbuj za plecami sapać, to cię sakwą tak zdzielę, że do jutra nie wstaniesz, perwersyjasie ty jeden!

– Perwer... co? – próbował powtórzyć Łamignat.

– Perwersasie – szepnął do ucha Łamignatowi Trzęsikęsek. – Tak tutaj zowią ciekawskich, tylko co on o tych babach gadał, to nie wiem, ale widzisz jak to za bardzo ciekawskim niechlubnie być.

– Trzy dni bym w barci dupę trzymał, bym się takiej nie dorobił – mruknął zniesmaczony Pchełek pod nosem, na tyle cicho, by inkasent tego nie usłyszał, a potem znienacka, świadom śledzących go spojrzeń kompanów, odwrócił się plecami do urzędnika i ściągnął nieco portki demonstrując mu swe pośladki.

– Dzięki wielmożny panie, wieczorem przy obrzędzie błogosławieństwo w twojej intencji uczynię. – Gusłek uklonił się grubasowi kątem oka z całych sił próbując nie wybuchnąć gromkim śmiechem, bo mimo targających go nerwowych spazmów ucieszny widok Pchełkowego zadka pozwolił nowicjuszowi zapomnieć na chwilkę o napięciu. – Tera mus nam na Plac Karczemny. Gdzie nam iść trza, co by imć Michelona, co to ziarnem kupczy znaleźć?

– Na Plac Karczemny to droga prosta, bo pójdziecie tamoj, między te dwa spichlerze i ulicą dalej i prosto na Plac wejdziecie – oznajmił inkasent spozierając na wypinającego tyłek Pchełka z wyrazem pobłażliwego politowania na jowialnym obliczu. – Powiedzcie mu, żeby tak za często nie robił, bo jeszcze ktoś to opatecznie zrozumie, a jak przyjdzie co do czego, to biedaczysko potem parę dni nie usiedzi... Już nawet nie dodam, że to przecie nie po bożemu.

Tęgi jegomość zarzucił sakwę z powrotem na ramię, wręczył Gusłkowi nabazgrane byle jak pokwitowanie na opłacony postój. Łamignat zerknął klerykowi ponad ramieniem, otworzył jeszcze szerzej swe oczy.

– Patrzaj, hihi! – zaśmiał się osiłek. – Jakie robaczki na papierku, a każdy trochę inny! Mogę dotknąć?

– Nie, jeszcze cię ugryzą – ostrzegł Gusłek, wsadzając zwitek pergaminu do niemalże pustej sakiewki i wiążąc ją z powrotem u pasa, pochwyił ciekawskie spojrzenie inkasenta. – Wierny





to nasz druh, choć roztropny... inaczej. Tutejsze cuda troszku mu pomysłu odjęły, ale to się wróci.

– Rozumiem... – pokiwał głową urzędnik. – Idźcie tedy tamtędy, a jak już do Placu dojdziecie, to się dalej o tego kupca pytajcie, ja tam go nie znam, ziarnem nie handluję. Zresztą to Ostrogar, pewnie pół dnia nogi schodzicie i ozory wam na wiór wyschną, zanim go znajdziecie, bo na samym Placu z trzysta kupców albo i faktorii urzęduje, a każdy czymś innym się para. I nie zapomnijcie miejsca zrobić przy pomocy jutro o poranku albo nową opłatę uiścić, bo inaczej rekwizyta! Wiecie, co to rekwizyta?

– Nie – odparł z rozbijającą szczerością Gusłek, reszta rybaków pokiwała zaś zgodnie głowami dowodząc, że owe ewidentnie cudzoziemskie słowo im również pozostaje całkowicie niezrozumiałe.

– To nic – wzruszył ramionami inkasent. – Jak odpłyniecie na czas albo zapłacicie, to się nie dowiecie i tego wam życzę. Czas mi w drogę, bywajcie zdrowi, a ty, dobry człowieku pamiętaj o mojej intencji u Piana.

– Gdzieżbym śmiał zapomnieć, wielmożny panie – Gusłek wręcz zgiał się w pół w dziękczynnym ukłonie. – Twa szczodrość jest równie wielka jak twój brzuch. I jedno jeszcze rzeknąć muszę, choć strach wielmożnego pana wstrzymywać. Cztery dni nazad dwa wiejskie paroby, jako i my do wielkiego Ostrogaru przyplłynęli. Wspomni szlachetny pan, czy ich czołno ciągle na falach tu w przystani się hušta? Jeno, że to nie som nasze ziomki, leguraminu opłacać za nich nie będziem, bo to z sąsiedniej wioski łachmyty!

Tęgi inkasent podrapał się po głowie, popatrzył na zacumowaną opodal kogę i grupę majtków, wylewających z jej pokładu balie pełne nieczystości, wprost do portowego basenu.

– Tego to nie sposób rzeknąć – odparł z autentycznym żalem, nadzwyczaj widać dobrze nastawiony do grupki dziwacznych kmiotków z zapadłej dziury po drugiej stronie jeziora. – Nas tu w porcie prawie pięćdziesięciu pracuje, inkasentów. A każdy wystawia na dzień pełną sakwę kwitów, ile ich jest, nawet ja nie potrafię zrachować, chociaż łepetynę mam równie tęgą jak zadek. Zresztą my nawet miana nie zapisujemy, jeno numer pomostu, a jakie opisowe słowa, co to do klienta pasują. U was dla przykładu stoi: pomost sto czwarty, dwie łódki badziewne, a prawie przeciekające, pięciu wizytatorów w strojach mało wizytowych. Mógłbym jeszcze skrobnać, że jeden mało bystry jest, a drugi ma włochate dupsko i tyle styknie.

Inkasent westchnął, poprawił raz jeszcze torbę.

– Jak ich koniecznie znaleźć chcecie, to wam współczuję, bo będziecie musieli wszystkie trzy porty wte i wewtę obleźć i łodzie na pomostach, a to was dużo czasu będzie kosztować. Więc bywajcie.

Machnąwszy na pożegnanie ręką inkasent oddalił się pomostem w stronę kamiennego nadbrzeża, pokrzykując coś gniewnym tonem do zanieczyszczających akwen marynarzy z kogi.

– Dobrze by razem iść na plac, pogubimy się w tym wielkim mieście tylko i nie odnajdzie-





my, a Łamignat sam do wioski nie trafi, coś mi sie widzi! – oznajmił Pchełek, kiedy poborca opłat oddalił się już poza zasięg jego głosu. – Zresztą zoczymy tyłu kupców na tym placu co cała wieś do kupy wzięta nie widziała, już se wyobrażam jak baby gęby otwierają na nasze historyje, a dziewczki ile zrobią, coby posłuchać o skarbach co je tam zobaczym, ho ho dużo!

– A przy okazji może i Michelona znajdziem, ot co! – dodał niepewnie Gusłek.

– A jo to bym pojadł coś, bo mnie głodno... – odezwał się nieśmiało Łamignat. – Nu, ale bydzie jak wy chceta. To gdzie tera?

Naradziwszy się, co dalej czynić, wciąż porażeni rozmiarami, wyglądem i dźwiękami stolicy rybacy udali się nieśpiesznym krokiem w stronę nadbrzeża, wpierv ostrożnie pokonując drewniane deski pomostu, później zaś zanurzając się w cień rzucany przez dwa murowane spichlerze. Brukowana granitową kostką ulica biegła w głąb portowej dzielnicy, pod wielkimi żurawiami i rynnami zsypowymi budowli.

– Patrzajcie, jakie oni cudaczne odzienia majom – szepnął Pchełek, spoglądając z podziwem na ubranych w bogato zdobione szaty kupców ze stołecznej Gildii, roztrzaskających wrzaskliwie temat spóźnionej dostawy i odsetek karnych. – Musowo zimno im, chociaż to środek lata. Sawkiewki też pewnie mają wypchane, musowo...

– A to co takiego? – zdumiał się Łamignat, ustępując natychmiast miejsca lektyce niesionej przez czwórkę muskularnych, ogolonych na łyso mężczyzn z niewolniczym piętnem wypalonym na czołach i ramionach. Leżący w lektyce człowiek w średnim wieku, otyły mężczyzna o znudzonym, aczkolwiek aroganckim wyrazie twarzy, przesunął po gromadce rybaków wzrokiem zarezerwowanym zazwyczaj dla wioskowego inwentarza. – Kto on taki, że tam leży?

– Znaczny jakiś, może tutejszy hyrtan albo co... – zastanowił się na głos Gusłek, na wszelki wypadek odwracając głowę, by człowiek w lektyce nie uznał jego zachowania za napastliwe.

– Albo on chory... – wydedukował naprędce Łamignat, gapiąc się na lektykę okrągłymi ze zdumienia oczami – Chory i słaby, to nogami nie przebiera, a oni w te pędy do znachora.

– Tak, pewnie z głodu na zdrowiu podupał – zaśmiał się sarkastycznie Zager. – A taki gruby jest, bo z głodu opuchł, iście biedaczysko!

– Cichaj! – skarcił Hogura Pchełek. – Gapi się na nas, jeszcze każe oćwiczyć bizunem jak co usłyszyl!

Lecz Zager nic nie odpowiedział, bo jego uwagę przykuło coś zupełnie innego: otwierająca się coraz szerzej panorama Placu Karczemnego, widocznego już u wylotu krótkiej ulicy.



Rozdział IV

Ostrogar. Plac Karczemny.

Plac Karczemny stanowił w rzeczy samej miniaturową dzielnicę wtłoczoną pomiędzy zabudowania portowe i kwartały mieszkalne stolicy, pełną karczm i tawern, dormitorów, gospód, zamtużów i sklepów oferujących wszystko, czego tylko odwiedzający Ostrogar przyjezdny mógłby sobie zażyczyć. Idący wolno przez tłum przechodniów rybacy ponownie zamilkli, nie wierząc własnym oczom, spozierając z otwartymi ustami na wyłożone na sprzedaż bele drogocennych tkanin, kramy z przyprawami, lśniąca stalą stragany płatnerzy i zbrojmistrzów, jubilerskie budki strzeżone przez znudzonych, ale sprawiających groźne wrażenie najemników o zarośniętych gębach półorków, sprzedawców futer i całe mrowie innych handlarzy, których specjalizacji proste umysły Buratańczyków nawet nie potrafiły sklasyfikować.

Trzęsikęsek korzystał skwapliwie z okazji, aby przystanąć przy każdym napotkanym handlarzu skórami, targując się zawzięcie o swe kunie skórki. Im dłużej to trwało, tym większego nabierał myśliwy przekonania, że niektórzy miastowi ewidentnie próbują go naciągnąć, bo jedni oferowali mu od sztuki po dwie srebrne monety, pomstując na źle usunięty tłuszcz i parchate futerko, inni zaś potrafili wyłuskać z sakiewki po pięć, sześć sztuk srebra za skórkę, wybrzydając w identyczny sposób jak ci pierwsi.

Próbujący zaczepiać przechodniów Gusłek był zazwyczaj ignorowany, czasami zaś pokrzykiwano na niego gniewnie lub próbowano zdzielić kulakiem. Młody kapłan szybko zmiarkował, że im bogatszy był strój pytanego osobnika, tym większe niebezpieczeństwo z jego strony groziło. Idąc dalej tym właśnie tokiem myślenia, rybak dopadł w końcu jakiegoś odzianego w proste rzemieślnicze szaty człowieczka, idącego z wiklinowym koszem na ramieniu.

Otoczony przez pięciu obcych mężczyzn, w tym groźnego osiłka z drewnianą pałą, człowieczek ów zaczął się rozglądać niespokojnie na boki, szukając zapewne najbliższego patrolu straży miejskiej.

– Nie dygaj, dobry czleku, o drogę chcemy spytać – oznajmił czym prędzej Gusłek, szczerze przestraszony perspektywą niepotrzebnego spotkania ze strażnikami. – Kupiec zbożowy nam potrzebny, Michelin się zwie, podobno gdzieś tu urzędowuje. Wiesz li, któż on?

– Juźci, że wiem – oznajmił rzemieślnik, wciąż spozierając na intruzów podejrzliwym wzrokiem. – Toż to się wystarczy odwrócić w tamtą stronę, zadkami do interesu Michelona stoicie. Ten murowany dom między karczmami to jego faktoria, ale tam ziarna nie trzymają, tam się tylko kupczy, papiery spisuje.

– Robaczki na papierkach? – zainteresował się natychmiast Łamignat.





– Jakie robaczki? – zaniepokoił się rzemieślnik. – Nic nie wiem o robaczkach!

– Nieważne!!! – uciął temat Gusłek. – Wielcem ci wdzięczni za poradę, dobry człowieku.

Niech ci bogowie sprzyjają!

Pożegnawszy uczynnego z konieczności Ostrogarczyka, rybacy stanęli przez podwójnymi drzwiami prowadzącymi na parter wielkiego murowanego budynku wciśniętego między dwie hałaśliwe gospody.

Gusłek uniósł niepewnym gestem dłoń, nie wiedząc czy w drzwi pukać, czy też od razu pchać je i pakować się do środka faktorii. Dylemat rozwiązany został w prosty sposób, albowiem chwilę później drzwi stanęły otworem i ze środka wypadł jakiś niewielki, ale ruchliwy kształt, kędzierzawowłosy, wielkooki i bosostopy.

– Ki bies?! – syknął zaskoczony kleryk cofając się mimowolnie o krok. Mały kształt zerknął na niego w biegu okrągłymi oczami gнома i popędził przez Plac, ściskając w rękach opieczęto-wane lakiem pergaminowe zwoje.

– To chyba taki mały krasnolud – bąknął niepewnie Trzęsikęsek. – Młody widać, bo mu jeszcze broda nie urosła. A jaki szybki, patrzajta!

Ale Gusłek nie patrzył w ślad za pędzącym na złamanie karku gońcem, tylko westchnął ciężko, a potem przekroczył próg budowli.

Rozległa kamienna izba zastawiona była drewnianymi regałami pełnymi oprawnych w skórę ksiąg buchalterskich, zwojów oraz granitowych tabliczek, których obecność zdradzała istnienie handlowych powiązań pomiędzy kupcem Michelonem i górskimi krasnoludami. Podzielono ją na dwie części: parter oraz odgrodzone barierkami podwyższenie, gdzie schodki wiodły ku kantorkom zajmowanym przez intendentów i skrybów pracujących dla Michelona. Wszędzie panował ożywiony ruch, coś tam spisywano, oglądano wysypane na misy próbki ziarna, odważano jakieś miary.

Kiedy tylko buratarscy rybacy zbili się w kupę za progiem izby, jeden z najbliższych skrybów przeprosił na chwilę swego klienta i podszedł szybkim krokiem do niezbyt pasujących strojem do miejsca gości.

– Chyba pomyliliście wejścia, dobrzy ludkowie – oznajmił spozierając na młodzieńców z ukosa. – Zaciąg do flotylli rybackiej dwa domy dalej i podobno skończył się wczoraj wieczorem. Sio stąd!

– Krzesimir i Sękacz, z Burat-aru – powiedział szybko Gusłek, oczami wyobraźni widząc już gnających go za próg pachółków Michelona. – Ziomki to nasze, mieli u was ziarno kupić ze trzy dzionki od tera, za pięć dziesiątek srebra, na zasiew. Po dzisiaj dzionek do wioski nie wrócili, jak kamień w wodę. Byli tu aby?

– A, z Burat-aru – na twarzy skryby pojawił się wyraz zrozumienia. – Zechciejcie tu zaczekać, ludkowie. Panie asesorze, zechce się pan tu na chwilę pofatygować? Spóźnieni klienci!

Po schodkach wiodących na podwyższenie zszedł zżawym krokiem starszy wiekiem męż-





czyzna o łysiejącej czaszce i świdrującym spojrzeniu.

– Asesor Hubała, do usług – przedstawił się zlustrowawszy wpierw przybyszów od stóp po głowy. – Jak mogę pomóc?

– Jam jest Gusłek, z Burat-aru, to zaś moje druhy – odparł śpiesznie młody kapłan. Szukamy Sękacza i Krzesimira, dniów kilka temu mieli tu ziarno dla wioski kupić, na zasiew, ale dotąd nie wrócili. Byli aby tutaj?

– Byli, trzy dni temu w południe – przytaknął Hubała splatając ramiona na piersiach. – Cieszę się, że nie tylko ja na nich czekam, chociaż to kiepska pociecha, bo interes nie znosi zastoju. Mieliśmy akurat pusty magazyn, nowa dostawa miała przypłynąć z wieczora. Wpłacili zaliczkę, dziesięć srebrników, mieli przyjść na następny dzień po ziarno, ale przepadli jak kamień w wodę. Jeden dzień czekałem, ale potem sprzedałem wasze ziarno komu innemu. Jak chcecie zrobić nowe zamówienie, nie widzę żadnego kłopotu, będzie jutro rano do odbioru. Tyle, że wasza zaliczka przepadła, mus wam znowu pięćdziesiąt srebrników wpłacić, inaczej z interesu nici.

Gusłek pobladł lekko po twarzy słysząc słowa Hubały: dziesięć srebrników stanowiło dla wioskowego kapłana miniaturową fortunę, toteż przelknąwszy głośno ślinę młodzian upadł znieścacka do kolan asesora, budząc konsternację zarówno jego samego, jak i znajdujących się opodal skrybów i klientów.

– Pomiłujcie, łaskawy panie! – wyrzucił z siebie Gusłek ściskając kurczowo materiał spodni Hubały. – Toż to wielkie pieniądze dla nas maluczkich! Tamci po ziarno nie przyszli, bo pewnikiem złego ich co spotkało, nie z własnej winy!

– Wstawaj natychmiast, kmiotku! – odparł Hubała próbując się jednocześnie wyzwolić z desperackiego uścisku rybaka. – Puszczaj mnie, toż to nieobyczajne! Zadatek przepada jako kupieckie reguły stanowią...

– Przecie nie stratni się staliście, panie! – nie ustępował Gusłek, głosem na poły zrozpaczonym, na poły dziko zawziętym. – Nasze ziarno innym sprzedane, toż to i monетки w kiesie macie! Podarujcie te srebrniki, przecie my u was z roku na rok kupujemy, nigdy my was nie ukrzywdzili na zapłacie...

– Ręce precz! – podniósł głos Hubała, słysząc za swoimi plecami coraz głośniejsze pomruki i szepty. – Bo każę pachółkom za próg was wyrzucić!

– Chwileczkę, asesorze – jakiś stanowczy męski głos sprawił, że Hubała znieruchomiał natychmiast. Starszy wiekiem mężczyzna o posiwiałych skroniach i ubiorze bogatego kupca zszedł po schodkach od strony kantorków, przepuszczany przez cofających się na boki pracowników faktorii – Co tu się dzieje, na Oriaka?

– Rybacy z Burat-aru, panie – skłonił się Hubała próbując jednocześnie dyskretnie odepchnąć Gusłka nogą. – Ich ziomkowie przyszli parę dni temu po ziarno, ale go nie odebrali, więc przepadł im zadatek. Ci tutaj proszą, by oddać pieniądze, za nic mają nasze prawa...

– Czcigodny panie – Gusłek dowiedział tego, że zdesperowany człowiek potrafi wykonać skok





nawet pozostając wciąż na kolanach, dopadając do eleganckich ciżemek Michelona. – Nam te ziarno potrzebne, inaczej wioska głodem pomrze! Zapłacimy uczciwie, ale nie zabierajcie nam tych dziesięciu srebrników tylko potemu, żeśmy za późno po ziarno przyszli! Pomilujcie!

Kupiec Michelon powiódł wzrokiem po twarzach Gusłka i stojących za nim rybaków, zbitych w ciasną gromadkę. Pchełek i Trzęsikęsek spoglądali na niego z posępną desperacją, prostopoduszny Lamignat ze łzami w oczach, jedynie oblicze Zagera nikło pod naciągniętym na czoło czarnym kapturem kapoty.

– Asesor Hubała postąpił zgodnie z zasadami tej faktorii – oznajmił po chwili namysłu. – Zadatek przepada, jeśli klient nie odbierze na czas swego towaru. Gdybyśmy tego nie przestrzegali, kontrahenci gotowi byłiby z lekceważeniem podchodzić do zawartych transakcji. Lecz gotów jestem spojrzeć na to z drugiej strony, bom człowiek wyrozumiały i znam Męczywora z dawnych lat. Jeśli chcecie nadal kupić ziarno, dostaniecie zamiast tych dziesięciu srebrników jeden worek. Resztę możecie zamówić podług normalnych reguł, do odbioru dzień później w magazynie portowym. Macie pieniądze na zakup?

– Niestety nie, chyba że sprzedajecie ziarno po kilka srebrników... – mruknął ponuro Zager. – Jednak zdobędziemy je tak szybko jak jeno się da, panie. A jeśli o tamtych mowa... czy kiedy który z panów z naszymi ziomkami rozprawił, niczego złego nie spostrzegł? Może rzekli co aby o swych planach?

– Tyś z nimi rozprawił, pomiarkowałeś aby coś dziwnego? – Michelon spojrzał pytająco na asesora Hubałę, wyraźnie niezadowolonego z decyzji pryncypała w kwestii umorzonego zadatku.

– Ano nic – odpowiedział pracownik faktorii. – Jak oni się zwali? Krzemik i Sękaty?

– Krzesimir i Sękacz – podpowiedział uczynnie Pchełek, zbliżając się o krok do kupca i międląc nerwowo palcami skraj swej kapotki. Wszyscy rybacy czuli lekką euforię uświadamiając sobie znieca, że ich zaginieni ziomkowie faktycznie dotarli do kupca Michelona: byli ledwie trzy dni temu w tym samym sklepie, być może nawet stali dokładnie w tym samym miejscu, co teraz oni sami, dobijając targu z asesorem Hubałą. Jaki los spotkał ich potem, skoro nie wrócili po zamówione już ziarno?

– Weseli byli i rozgadani ponad miarę – oznajmił Hubała. – Rwetesu w dodatku narobili, bo chcieli ziarno od razu na łódź ładować, bardzo im się do domu śpieszyło. Powiedziałem, że muszą poczekać do następnego dnia. Mali odbiorcy zawsze są tak traktowani. To zwyczaj faktorii, że tylko majątnych klientów obsługujemy w tym samym dniu, to przydaje im splendoru.

– Ja tam nie wiem, co to ten splendor i jak się to sieje, nam tylko pszenica potrzebna – powiedział prędko Gusłek, poczerwieniały po twarzy z wrazenia. – Wielkie wam dzięki, miłoścyw panie, żeście się ulitowali, radzi my będziemy, jeśli pozwolicie modły odprawić w swej intencji do Piana. Burat-ar nigdy wam tej szczodrości nie zapomni.

– Idźcie już zatem, bo mi klientów płoszyacie – odparł z pozorną powagą kupiec Miche-





lon. – Worek ziarna możecie odebrać sobie jutro z rana w portowym spichlerzu faktorii, a jak zdobędziecie więcej pieniędzy, to i więcej ziarna wam sprzedamy. Pamiętajcie, cena to dziesięć srebrników od worka. Bywajcie.

Rybacy zaszępli się momentalnie jak jeden mąż, w myślach rozważając swą gotowość do powrotu do wioski. Krzesimir i Sękacz mieli kupić pięć worków pszenicy, a Michelin hojnym gestem podarował właśnie gościom jeden z nich, bo po prawdzie wcale zadatku zwracać nie musiał. Lecz co z pozostałymi czterema? Wszyscy wiedzieli, że muszą zdobyć co najmniej trzy, by zasiew przyniósł plony wystarczające do wykarmienia osady.

Obejrzawszy sobie wpiery nad wyraz dokładnie fasadę faktorii Michelona, rybacy wtopili się migiem w rozgadany wielobarwny tłum przelewający się ulicami Placu Karczemnego. Szybko się ucząc, Buratarczycy stąpali przeważnie pod ścianami murowanych budynków, uchodząc poza zasięg łokci uzbrojonych po zęby, rozbawionych i często podpitych mimo wczesnej pory rębajłów wszelakiego rodzaju, zarówno miejscowych wojaków i zbirów oraz osmundzkich najemników, jak i odzianych w łuskowe zbroje orków o ciemnej pomarszczonej skórze i sterzących zza grubych warg kłach. Te dwie nacje – ludzie i orkowie – przeważały, aczkolwiek bystre oczy wieśniaków szybko wypatrzyły w tłumie kilka krasnoludów i gnomów. Ku swemu zdziwieniu Trzęsikęsek odnotował w pamięci spory odsetek mieszanców krwi, w rodzimej wiosce rybaków będących ewenementem, gdyż miejscowy elejat, posepny, mało wyrozumiały i wyjątkowo rasistowski ork Murrh, zabraniał mieszania krwi między swymi ziomkami i ludźmi. Na ulicach Ostrogaru mieszkańcy byli jednak czymś zupełnie normalnym, dowodząc przy okazji niezbitie znanej już wszystkim innym rasom jurności orkowego gatunku.

Myśliwy sprzedał swe skórki po długiej i zaciętej walce o cenę, zwyczajny na sam koniec przez rozeźlonego kupca od parchatych naciągaczy i oparszywiających kmiotów. Wyzwiska wyzwiskami, ale napchany srebrnymi monetami mieszek wspaniale ciążył mężczyźnie w dłoni, toteż chowając go skrupulatnie pod kaptotę Trzęsikęsek posłał kupcowi szeroki uśmiech i pomachał mu na pożegnanie ręką.

– Dwadzieścia pięć srebrników! – zachnął się Pchełek. – Toż to... to siła! Pomyślałbyś kiedyś, że staniesz się taki bogaty? Przecie za to można z tuzin kur kupić albo nawet dwa kozłatka! Albo owcę!

– To jest miasto! – odpowiedział rozanielony myśliwy, klepiąc się ponownie po sakiewce. – To jest życie! Ale z nas kmioty, żeśmy nigdy wcześniej nie pomiarkowali, coby samemu tutaj przypląć. Tu srebro leży na ulicach, toć sami widzita! Nic, tylko kuny a wiewiórki trzebić, a futerka zwozić! A może nawet spróbować się na gronostaje zasadzić?

– Ale Męczyworowi to nie w smak będzie – ostrzegł natychmiast Gusłek. – On przecie nie pozwala się od wioski oddalać, nie dalej jak na pięć z łuku strzelań.

– Staremu powoli rozumu odejmuje – zaryzykował śmiałą uwagę Zager. – Widać by nas najchętniej zewsząd opalikował i w wiosce do starości zamknął, a mnie to nie po myśli. Tylko





niech się żaden dziadowi nie wygada, co myślę, bo pożałuje.

– Patrz, gdzie leziesz, parchu jeden! – ryknął jakiś konny w kolczudze i błękitnym płaszczu spływającym z ramion, torując sobie rumakiem drogę poprzez tłum pieszych. – Precz, bo cię nahajką smagne!

Hogur zrobił krok w bok i kryjąc kąśliwe wyzwicko w cieniu swego kaptura, odprowadził jeźdźca złowrogim spojrzeniem.

– Słońce jeszcze ani w pół drogi do południa – zauważył Trzęsikęsek, wyłapując wzrokiem kawałek jaskrawej tarczy wyzierający spoza przesłaniających niebo budynków. – Zajdźmy tutaj, do tej oberży. Z zapachu miarkuję, że ktoś tam jakoweś mięsiwo piecze, a mnie już trochę skręca jak o tej paskudnej rzepie i kalarepie myślę. Posiedzimy trochę z boku, spróbujemy dla Lamignata chętnego w konkury znaleźć do siłowania, to może i co więcej zarobimy. Trza języki rozpuścić, o Sękacza i Krzesimira dobrze wypytać, chociaż tak sobie miarkuję, że nic nam to nie da. Widzita wy, ilu tu człeków a inszych nieludziów się pałęta? Takie dwa ziomy jak oni to tutaj kamień w wodzie, iście kamień w wodzie.

– Idźcie beze mnie – odezwał się nagle Zager. – Mam sprawę do załatwienia, jeno mnie wiadomą, sam muszę. Wiem, gdzie was szukać, a jak nie znajdę, będę stał przed zmierzchem przed faktorią Michelona.

– Ciekawym wielce, co to masz za sprawę? – Pchełek ujął się pod pachy, spojrział na Hogura pytającym wzrokiem. – Pierwszyś raz tutaj bywały, a już samemu cichaczem sprawy idziesz załatwiać?

– Dowiesz się później – odparł nie znoszącym sprzeciwu tonem Zager. – Dowiesz się... albo i nie. Bywajcie.

Hogur pożegnał swych kompanów beznamiętnym spojrzeniem, po czym zniknął w tłumie.

– Czasami ciarki mi po grzbiecie latają jak go widzę – powiedział Gusłek. – Jedno jest wszakże pewnikiem: lepiej go mieć po swojej stronie niżli mu naprzeciw stawać. Dalej, wiara, ładujmy się do środka tej karczmy.





Rozdział V

Wnętrze położonej nieco poniżej ulicy karczmy było kamienne, ale zastawiono je rozlicznymi drewnianymi meblami, które w połączeniu z wielkim kominem i rożnem nadawały piwnicznemu pomieszczeniu cieplejszego wyrazu. Czwórka zstępujących po schodkach rybaków powitana została znużoną miną pachółka stojącego za kontuarem, natomiast kilku jedzących śpiesznie śniadanie gości nie zwróciło na przybyszów żadnej uwagi. W kącie debatowało nad czymś z cichym ożywieniem dwóch zbrojnych o rysach mieszańców krwi, ci zerknęli na rybaków króciutko, zaśmiali się do siebie i wrócili do rozmowy.

– Pustawo tu jakoś... – mruknął Trzęsikęsek. – Widać pora jeszcze zbyt wczesna, by gawiedź swawoliła.

Jakby w odpowiedzi na jego słowa osadzone w górze schodków drzwi otworzyły się z trzaskiem i do karczmy wpadło kilku zziąjanych rzemieślników w pobrudzonych zaprawą fartuchach murarzy. Rybacy usunęli im się z drogi przysiadając na najbliższych ławach i zwracając na siebie uwagę innego z parobków, przetaczającego za pobliskimi drzwiami składziku duże beczki.

– Czym mogę służyć... waszmościom? – zapytał z lekkim przekąsem młodzian, spoglądając z istic wielkopańską wyższością na łatane kapoty i stare łapcie gości. – Piwo czy może śniadanie, ale to dużo powyżej srebrnika. Co podać?

– To może na początek małe piwo i jeszcze cztery puste kufle do tego? – zaproponował nieśmiało Gusłek. – Rozlejemy każdemu po równo, co?

Grupa mularczyków rozsiadła się przy stole obok, głośno i pośród śmiechów wzywając obsługę, by ta nie zwlekała z wydaniem zamówionej dzień wcześniej przez majstra stawy. Na dębowy blat stołu wjechały momentalnie parujące jeszcze półmiski z kaszą okraszoną skwarkami, do tego kilka pachnących bochenków chleba i smażone ryby. Na widok ten czwórka rybaków poczuła, że zjedzone przed świtem skąpe śniadanie przeszło już do wspomnień, a kurczące się żołądki wzywały, by je ponownie nakarmić.

– To nie pensja, tu się po darmowemu nie wysiaduje – oznajmił nieco zniecierpliwionym tonem pachółek. – Macie wy aby pieniądze, czy tylko miejsca szukacie, żeby sobie przysiąść?

– Dobry człowieku, jam jest kapłan i wybrał żem tą zacną oberżę, aby zgotować skromne dziękczynienie ku czci Piana – Gusłek ze wszystkich sił starał się naśladować styl wystawiania swego sędziwego mistrza, z nielada trudem przybierając pozę człeka pełnego dostojęstwa i kapłańskiego autorytetu. – Jeno nim decyzyję podejmiam, ja i moi pomocnicy, skosztować



zanych trunkowych wykwinuałów tej karczmy musim. Coby przedwcześnie ceremoniji nie inicjalizować – skonfundowanemu młodzieńcowi zaczynało brakować mądrych słów zasłyszanych u czcigodnego Żłopa, toteż począł się nieporadnie drapać po głowie. – Prosim o podanie małego piwka i tyle kuflów ile nas tu przyszło, uf...

– Kęsek, potrząsnij no sakwom i wysupłaj na napitek dla bratków – wtrącił natychmiast Pchełek, rozwalony wygodnie na ławie i zerkający z łakomym błyskiem w oku na jedzących opodal mieszczan. – Dyc widzisz, że zanim zdążymy się kogo o co spytać, dostaniem kopa w rzyć i na zbitą gębę wylecimy na bruk, jak ongiś wujcio Mendek, co się zgniłych wiśni obzarł, we łbie mu się zakołowało i wszychne cztery zemby na ścianie stodoły zostawił.

Trzęsikęsek nie zdążył jeszcze nic odrzec Pchełkowi, kiedy karczmarz stanął przy stole rybaków łypiąc na gości przekrwionymi, noszącymi ślady zmęczenia oczami.

– Kapłan Piana ze swą swiżą? – ni to stwierdził, ni to spytał, głosem głębokim i niskim. – Jak człek pobożny, pozdrawiam z całym szacunkiem i rad żem niezmiernie, że tak swiętobliwa persona raczyła zawitać w nasze skromne progi.

Mężczyzna przemawiał tonem nad wyraz uprzejmym i miłym, toteż Gusłek nie omieszkiał się szeroko uśmiechnąć, całym swym obliczem dowodząc zadowolenia z tak grzecznego powitania. Trzęsikęsek się nie uśmiechał, bo kątem oka spostrzegł coś, co zupełnie przeoczyli Gusłek, Pchełek i Łamignat: pucujący dotąd kufle barman przerwał swą robotę i schylił się pod kontuar wyciągając zza niego tęgą pałkę, zaś odpowiedzialny za zbieranie zamówień pachotek zniknął na chwilę za sąsiednimi drzwiami, by moment później stanąć za progiem wraz z innym młodzianem, dzierżąc w rękach podobne do barmańskiej pałki i spozierając badawczo w stronę swego pryncypała.

Widać było, że wszyscy czekają na jakiś umówiony znak, a przeczucie podpowiadało Trzęsikęskowi, że kiedy znak ten zostanie uczyniony, nie będzie wieścił gościom niczego dobrego.

– Jestem tym bardziej zaszczycony, że to już druga wizyta duchownego Pana Uciech w mojej karczmie w tym miesiącu – ciągnął karczmarz, tonem wciąż uprzejmym i spokojnym. – Odprawione poprzednim razem ceremonie tak chwacko inicjalizywowane były, żem ledwie nadażył z opróżnianiem składzików, wszystkie trunkowe wykwinuały na zbożny cel poszły. Kapłan, któren ten zaszczyt mi uczynił darmową biesiadę tu wyprawiając, obiecał, że za mą hojność rychło spłyną na mnie łaski rozliczne i wielkie błogosławieństwo Piana. Cosik mi się widzi, że opacznie te słowa zrozumiałem, bom się spodziewał większych zysków ze sprzedaży, a tymczasem Pan Uciech zaszczycił mnie w zamian po raz wtóry wizytą swego syna.

Trzęsikęsek w mig pomiarkował, co w powietrzu wisiało, wyjął zza pasa sakiewkę potrząsając nią znacząco.

– Nikt nie chciał was obezreć za darmo, łaskawy panie – oznajmił karczmarzowi, a marsowa mina gospodarza natychmiast zelżała. – Masz ci tutaj dwie srebrne monетки i każ piwa przynieść pachotkom, bo nam w gardłach strasznie poszło!





– Tacy goście zawsze są mile widziani – gospodarz klasnął donośnie w dłoń, a widzący ten znak młodzieńcy odstawili czym prędzej palki biegnąc do najbliższej beczki piwa. Karczmarz zwinął podane mu przez myśliwego srebrniki, schował je do kieszeni fartucha.

– I chleba nam podaj i może jaką rybę, może być smażona – zażyczył sobie Trzęsikęsek, wciąż niebywale ukontentowany interesem jaki ubił z handlarzem futrami.

Dwaj siedzący w kącie zbrojni popatrywali znacząco w stronę rybaków, coś tam do siebie szeptali, potem obaj dosiedli się do ław przy stole wieśniaków. Trzęsikęsek i Gusłek zmierzylili badawczym wzrokiem ich przeszywanice, pasy z metalowymi klamrami i ciężkie buty, zatrzymując spojrzenia na koniec na noszonych przy pasach szablach mieszańców. Łamignat i Pchełek nie odrywali wzroku od pociągłych twarzy wojaków, zwłaszcza zaś wystających spomiędzy grubych warg dolnych kłów, jawnie dowodzących domieszki orkowej krwi w ich żyłach.

– Fortuna wam sprzyja jak widzę, niejeden chciałby mieć tak nabity mieszek – powiedział jeden z półorków, opierając się o blat stołu i klepiąc Łamignata protekcyjnie po ramieniu. – Łaska Katana z wami, dobrzy ludkowie. Pierwszy raz w Ostrogarze?

Gusłek, jak zwykle ostrożny, nic nie odrzekł, skinął jedynie głową.

– Jestem El Wurzzt, a to El Ayheer – przedstawił się mieszaniec, używając oficjalnych tytułów mieszczańskich przed imieniem, rzadko podawanych podczas nieoficjalnych spotkań. – Jeśli wam czego potrzeba, przewodnika po mieście albo ochrony, radzi będziemy pomóc.

Trzęsikęsek zauważył, że obaj mężczyźni nader skwapliwie spozierają na jego sakiewkę i niezbyt mu te spojrzenia przypadły do gustu. Było coś dziwnego w jowialnych uśmiechach zbrojnych, w ich przyjacielskim zachowaniu i dobrodusznym słowach; coś, co niezbyt myśliwemu przypadło do gustu.

– A może chcecie się jeszcze bardziej dorobić? – zaproponował Ayheer. – Możemy się razem nieźle zabawić w ciekawą grę, zwie się „trzy muszelki”. Grunt, żebyście gotówkę mieli, to wam chętnie pokażemy jak się w to gra.

Mieszaniec urwał na chwilę, odczekał, aż jeden z pacholków postawi na stole kufle pełne pianistego piwa.

– Przyjdzie jeszcze czas na grę, Ayheer – wtrącił z szerokim uśmiechem Wurzzt. – Powiedzcie wpierr, dobrzy ludkowie, skąd jesteście i co was sprowadza do Ostrogaru?

– A masz ci los, szkoda, że wszystko w sakwie panu swojemu oddać muszę – odparł nie spodziewanie bystrze Trzęsikęsek, z marszu przejawiając w stosunku do nowych znajomych głęboką, aczkolwiek starannie skrywaną podejrzliwość. – Słyszałem za to, że można się nieźle obłowić w takiej grze, nawet powiem wam, przemiłym waszmościom, że niespełna kilka dni temu dwóch obdartych kmiotków tak było rozochoconych takowym zarabianiem pieniędzy, że już mnie chcieli ze sobą zabrać, jak im tam było? Krzesicośćam i Sękaty, ciekaw jestem niezmiernie jak im poszło.

Poblady po twarzy i ewidentnie przestraszony nagle zawartą znajomością Gusłek przełknął





z trudem ślinę nie odrywając wzroku od szablitych kłów rozmówców. Oddychając głęboko i błagając w myślach swe bóstwo o łaskę stalowej siły woli młodzieniec chrząknął znacząco zwracając na siebie baczną uwagę obu mieszańców.

– Dobre pany, my proste chłopcy. Grać my nie umiemy, a i pieniążków w kabzie niewiele mamy, coby my je postawić mogli. Możemy uraczyć dobrych panów kufelkiem, bo gdzie jest dla dwóch, tam znajdzie się i dla trzech. Ale mus nam insze sprawy załatwić w Ostrogarze i dobrym panom kompanii dotrzymać jeno na chwilkę możem.

– Wurzzt patrzył na Gusłka dłuższą chwilę, wzrokiem pospołu ironicznym i pełnym politowania, potem trącił Ayheera łokciem z pełną wesołości miną.

– Ech, nie bądźże taki skromny, człeku – powiedział machając jednocześnie w stronę jednego z pacholków kuflem, co miało oznaczać, że domaga się piwa. – Ty może i kasy nie masz, ale twój kompan w srebro zasobny. Skoro mus wam dalej iść niebawem, poznajomujmy się tym prędzej. Skąd to zatem jesteście?

– Jesteśmy myśliwymi z Bura-ura – oznajmił czym prędzej Trzęsikęsek, wybawiając zmieszanego Gusłka z opresji. – Nasz jaśnie panujący elejat wysłał nas, byśmy wybadali jak tu łącno futra wszelakie sprzedawać, bo ziomki by chętnie skórki do miasta ślali jak cena dobra będzie.

Dwaj zbrojni spojrzeli na siebie z pewnym zdziwieniem, potem Ayheer wrzucił ramionami i wyciągnął z kieszeni talię dziwnych papierków, którą zaczął wprawnie tasować, z miejsca przyciągając wzrok Łamignata.

– Bura-ura? – powtórzył Wurzzt. – To musi być bardzo daleko stąd albo to bardzo mała wiocha, bom nigdy takiej nazwy nie słyszał. I szukacie zbytu na futra, powiadacie? Jak tak, to się bez trudu dogadać możemy, wy je będziecie wozić do miasta, a my je od was kupować. Po co macie sami kupców szukać, o dutki się targować? Z nami dobrze zarobicie, myśmy są wyborne pośredniki w kupczeniu.

– Co to je? – odezwał się nagle Łamignat, wciąż wpatrzony w talię kartoników w rękach Ayheera. Mieszaniec zauważył jego minę, uśmiechnął się pod nosem.

– To są karty do gry – powiedział rozkładając barwne kartoniki na blacie stołu. – Mają różne wartości, podług tych obrazków, co są na nich wymalowane. Patrzcie tylko, to jest Kartan, a to jego kurtyzana, a tutaj hyrtan i elejat. Są jeszcze inne, a każda coś znaczy. Jak chcecie, mogę was nauczyć grać, pierwsza partyjka darmowa, potem zdałoby się parę srebrników na stół rzucić, coby stawkę podbić i grze werwy przydać.

Siedzący dotąd w milczeniu Pchełek szacował zbrojnych wprawnym okiem, wyceniając mimowolnie ich czarne skórzane kaftany, przesywanice, ciężkie buty, wiszące przy pasach rękawice o mosiężnych guzach, wreszcie szable i wiszące po drugiej stronie bioder puginały.

– A jak ty robisz, że one tak z ręki do ręki latają? – Łamignat zdradzał hipnotyczne zainteresowanie kartami Ayheera.

– Tajemnica – zaśmiał się półork. – A coś ty taki ciekawy, co? Ciekawość dużo kosztuje.





– Jestem ciekawski, bo jestem... bo jestem... ten, tego... perwersas! – wypalił osilek, przypominając sobie egzotyczne słowo zasłyszane od portowego inkasenta. – Ta, jestem perwersas i Trzęsikęsek też, bo on zawsze wszystko musi wiedzieć!

Kilku siedzących obok mularczyków przerwało na chwilę rozmowę, wlepiło swe spojrzenia w rybaków, któryś z nich zakrztusił się piwem.

– No, cóż... to nie zbrodnia – przyznał po chwili ciszy Wurzzt. – My sami w takich rozrywkach nie gustujemy, ale jeśli macie srebro, chętnie wam sprowadzimy paru takich, co wygodzą wam za wszelkie czasy. To były te pilne sprawy, do których wam śpieszno?

Rybacy milczeli niczym zakłęci, nie wiedząc widać, co odrzec. Mularczycy zaczęli szeptać z ożywieniem między sobą, posyłając wieśniakom albo rozbawione albo potępiające spojrzenia.

– Dobrze, nie mówmy o tym, są przecie wielce ciekawsze tematy. – Wurzzt upił piwa z kufła, oblizal grube usta z piany. Trzęsikęsek nie omieszkiał zwrócić uwagi na fakt, że obaj mieszkańcy nosili orkowe miana: świadczyło to o tym, że ich wywodzący się z orkowej linii rodzice usynowili pochodzących z mieszanego związku potomków, a to dawało im w Ostrogarze znacznie wyższy status niż ten przynależny ludziom czystej krwi. Myśliwy rozmyślał zatem gorączkowo nad sposobem wykorzystania dwóch zbrojnych do poszukiwań zaginionych ziomeków.

Jak się okazało, Wurzzt myślał chyba o tym samym, ale jego komentarz nie sprawił Trzęsikęskowi radości.

– Coś żeś tam pomiarkował o tych dwóch kmiotkach, co to cię chcieli ze sobą zabrać do miasta? – spytał półork. – Też tu pierwszy raz byli?

– Nie, niby już wcześniej przyплыwali – odparł myśliwy łapiąc jednocześnie w dwa palce wysmażony rybi filet, który nęcił od dłuższej chwili jego nozdrza. – Jako rzekłem, bardzom ciekaw tego, jak im mnożenie dutków idzie.

– Pewnikiem ktoś ich już odarł z gotówki do gołej skóry – zaśmiał się Ayheer. – Tutaj gorsze drapieży grasują jak na puszczy, dobrzy ludkowie. Kto w Ostrogarze niebywały, temu mus na każdym kroku zważać, tedy Kartan wam sprzyjał krzyżując nasze ścieżki. Rzeknijcie tylko słowo, a chętnie się wami zaopiekujemy, za drobną opłatą.

– Karczmarzu, piwa szlachetnym panom! – zakrzyknął czym prędzej Trzęsikęsek. – Zaszczyt to gościć przy stole tak zacnych wojaków, nie lza im napitku skąpić, a przecie kufle pustawe mają! Żywo tu do nas!

Atmosfera przy stole rybaków robiła się coraz bardziej ożywiona, w głównej mierze dzięki kufłom piwa, które Trzęsikęsek domówił z pozornie zachwyconą miną, w duszy zaś nie potrafiąc za nic odżałować dwóch następnych srebrników znikających w dłoni karczmarza. Dwaj mularczycy dosiedli się do stołu, wyrażając zainteresowanie kartami Ayheera, na blat posypało się trochę monet zrzuconych do wspólnej puli. Zafascynowany grą, chociaż kompletnie nic z niej nie rozumiejący Łamigant gotów był zastawić swą drewnianą pałę, ale oferta nie spotkała się z aprobatą graczy, podobnie zresztą potraktowano jego schodzone łapcie i parciany pas.





Właściciel karczmy musiał być zadowolony z powstałego w lokalu zamieszania, bo wesole okrzyki karcianych graczy zwabiły z ulicy kilku następnych gości, ubranych co prawda w proste stroje rzemieślników, zasobnych jednak w srebro, a może i złoto, i gotowych wydać je dla odrobiny rozrywki.

– Drodzy przyjaciele! – zakrzyknął właściciel stając na drewnianej ławie i waląc łyżką w sagan. – Uciszcie się na chwilę! Mam wam cosik ważnego do powiedzenia!

Goście, na których składali się wciąż jeszcze nieco nieśmiali rybacy z Burat-aru, rozochoceni grą mularzczy, którzy zapomnieli widać, że czas wracać na budowę, dwaj inkasujący coraz więcej monet mieszkańcy oraz blisko dziesiątka nowych klientów różnej profesji i aparycji, uciszeli się niechętnie, przestali grać, ktoś uciszył śpiewającego ochryple kompana.

– Zaszczyt mi przypadł oznajmić, że mamy w naszym gronie osobę duchowną! – krzyknął karczmarz celując swą łyżką prosto w Gusłka. – Ten oto dobry człowiek tam na ławie jest nikim innym jak kapłanem Piana! Poprośmy go o błogosławieństwo Pana Uciech!

– Prosimy! Prosimy!... – gwar rozradowanych głosów pozbawił Gusłka tchu. Widząc jego onieśmieloną minę mężczyźni zaczęli uderzać kuflami w białe stołów, wystukując na nich nierówny rytm. Dźwięk ów sprawił, że drzwi lokalu rozwarły się szeroko, a po kamiennych schodkach zeszło kilku mieszkańców i orków czystej krwi, zbrojnych w szable i w skórzanych zbrojach zdradzających profesję najemników.

– Prosimy! Prosimy!... – nie ustawały wezwania gości, spotęgowane jeszcze widokiem beczki piwa wytoczonej na polecenie karczmarza przez dwóch pacholków, na koszt właściciela.

Czerwony jak burak Gusłek podszedł niepewnie do beczki, jeszcze bardziej przerażony zapadła nagle ciszą niż wcześniejszymi krzykami, uniósł w górę ręce usiłując przypomnieć sobie naprędce obrzędy swego mistrza. Kłopot polegał w głównej mierze na tym, że skłonny do bachanaliów Żłop rzadko kiedy kończył swe liturgiczne obrządki, pomijając wiele ich fragmentów w chęci jak najszybszego zabrania się do picia.

– Aj, aj! – zakrzyknął Gusłek starając się zapanować nad drżącym głosem. – Zaprawdę powiadam wam, pijcie do dna na chwałę Pana Uciech, albowiem spogląda on okiem łaskawcy na tych, którzy hołd trunkom oddają i wszetecznym zabawom! Niechaj błogosławieństwo jego spłynie w naczynia wasze i głowy, żeby wam trzewiów nie poskręcało i żeby wam łby nie popeękały od nadmiaru świętych opiatów! To... to chyba styknie, jak myślicie, chłopcy?

– Styknie! – ryknęły „chłopy”, trącając się ochoczo kuflami. Grupa najemników usiadła przy jednym z sąsiednich stołów, pozdrawiając zdawkowymi gestami Wurzzta i Ayheera, resztę klientów mierząc zaś pogardliwym wzrokiem. Trzęsikęsek zauważył, że trzech z sześciu najmitów było rodzonymi orkami, o ciemnej pomarszczonej skórze, spiętych w kity długich włosach i osadzonych głęboko pod łukami brwiowymi oczach. Pozostali trzej zdradzali swym wyglądem sporą domieszkę ludzkiej krwi, przez co ich twarze nie były tak nienaturalnie pociągłe i pozbawione charakterystycznie wysuniętych szczęk. Złożyli zamówienie posługując się własnym





językiem, ale karczmarz zrozumiał ich w lot, toteż myśliwy szybko się zorientował, że oprócz Wspólnej Mowy popłacała w Ostrogarze znajomość języka panów świata.

– Znajomki? – zagaił do Wurzzta, z trudem przekrzykując gwar głosów i dyskretnie wskazując mieszańcowi sprawiających groźne wrażenie przybyszów. Półork pokręcił przecząco głową.

– Nie, pierwszy raz ich na oczy widzę. Chodzi ci o pozdrowienie? – domyślił się mieszaniec.
– Więzy krwi, nic więcej. Ale na miejscu twego ziomka nie słaawiłbym już zbyt głośno miana Pana Uciech. Myśmy są z Ayheerem światowi i bardzo tolerantowni wobec bogów wszelakich, to nam i Pian na co dzień miły, ale przyuważ wisiory, które tamci na szyjach noszą, z żelaza odlane. Widzisz?

Trzęsikęsek pokiwał głową dostrzegając wskazaną mu przez Wurzzta biżuterię. Wszyscy najemnicy mieli na szyjach rzemyki, na nich zaś odlane z czarnego żelaza wisiory pod postacią zaciśniętej pięści wkomponowanej w przecięty błyskawicą okrąg, misternie wykończone i wypolerowane na błysk.

– To czciciele Katana, Boga Najważniejszego – wyjaśnił mieszaniec. – Bardzo irytatywni, jeśli się przy nich słaawi miano innych bogów. Lepiej się przy nich nie wychylać, zwłaszcza tych pełnej krwi.

Wurzzt pochwycił badawcze spojrzenie starszego wiekiem orka o twarzy pociętej licznymi szramami, straszącego strzępkim lewego ucha i groźną miną. Weteran kiwnął mieszańcowi nieznacznie głową, wydał usta wypychając jeszcze bardziej swe okazałe zębiska. Wurzzt odklonił się grzecznie, uderzył w pierś zaciśniętą pięścią w geście pozdrowienia. Chwilę potem na stół najmitów wjechała taca pełna kufli spienionego piwa, całkowicie pochłaniając uwagę rębajłów.

Trzęsikęsek poczuł lekki dreszcz wyobrażając sobie Sękacza i Krzesimira, którzy nieostrożnie zadzierają ze stworami pokroju tych czcicieli Katana. Taki zatarg nie mógł się skończyć dobrze, a przecie był ledwie jednym z rozlicznych niebezpieczeństw czyhających w Ostrogarze na nieobytych z miastem przybyszów z prowincji.

– Tak sobie miarkuję, że pomoc waszmościów iście się nam może przydać w pewnej nader delikatowej materji – powiedział myśliwy przysuwając usta do ucha Wurzzta.

– Tak? – mieszaniec uniósł z zainteresowaniem brwi, ale nie zadał następnego pytania, bo przerwał mu nagły wrzask karcianych graczy.

– Cztery katany i cztery dziwki! – ryknął jeden z mularczyków, tęgi człowiek o łysej czaszce i krzywym nosie. – Leżycie i kwiczycie! Dawać pieniądze!

W gwar protestów i jęków zawodu wdarł się donośny trzask otwieranych drzwi karczmy. U szczytu schodów pojawił się krzepki mężczyzna w fartuchu ubrudzonym od kamiennego pyłu, z zaciśniętymi gniewnie pięściami.

– Tuście są, wy sucze syny! – wrzasnął przybysz nie panując nad swymi nerwami. – Skórę z was każę drzeć, nieroby parchate! Won mi na budowę, a żwawo, ostatni dziesięć batów dostanie!





Kilku młodszych mularczyków poderwało się śpiesznie z ław, ale zwycięzca ostatniej karcianej partyjki podniósł w stronę majstra kufel, wymachując nim tak żwawo, że opryskał piwem Gusłka i Lamignata.

– Dawaj do nas, majster! Robota nie zając, nie uciekniesz! Szacowny gospodarz darmowym napitkiem raczy, toż to żal nie skorzystać!

– A wy dokąd?! – ryknął ponownie mężczyzna w fartuchu, tym razem w stronę wskakujących już na schody mularczyków. – Do stołów, z powrotem! Chcecie dobre imię karczmarza zniesławić, gościna gardzicie?! Wy psie chwosty, skórę z was będę darł, żeście o mnie zapomnieli, sami wszystko przechlać chcecie!

Kiedy mularczykowie przepychali się na ławie, robiąc miejsce swemu majstrowi, Trzęsikęsek skorzystał z okazji, by wrócić do przerwanej rozmowy z Wurzztem.

– Futra to jedna sprawa, panie – przyznał się myśliwy. – My tu też w innej intencji, znajomkowie nas prosili, cobyśmy w mieście bywając rozpytać mogli o ich znajomków, rybaków z wioski o rzut kamieniem od naszej, co im dutki winni są, a nie chcą wracać.

– Przyjechali do Ostrogaru i nie wracają do domu? – spytał Wurzzt, a kiedy myśliwy kiwnął głową, półork roześmiał się ironicznie. – To się tutaj na co dzień zdarza, toż to stolica, tutaj łatwo się dorobić... albo życie postradać. Jak chcecie ich szukać, a jeno miana znacie i nie wiecie, gdzie nocowali, to coś mi się widzi, że ich nigdy nie znajdziecie. Wiesz ty, dobry człeku, ilu w Ostrogarze jest mieszkańców? Ja ci nie powiem, bo do tyłu zrachować nie potrafię, ale pomyśl sobie, że jest ich tylu, co ryb w Wielkim Jeziorze albo drzew w Zielonej Puszczy. Tu szpicle potrafią tygodniami szukać kogoś, na kogo nakaz był wydany i go nie znaleźć, a co dopiero jakowychś kmiotków!

– Co nam tedy czynić? – zapytał Trzęsikęsek. – Gdzie rozpytywać, gdzie szukać? Nam tam furda, co z nimi się stało, bo to sąsiady są, a nie ziomki, ale jakeśmy już tu dojechali, to szkoda bez nowin dla sąsiadów wracać, nie?

– Jeśli własną łodzią przyплыnęli, możecie w portach szukać, choć pewnie wam tydzień z okładem zejdzie, nim wszystkich wypytacie. Jeśli przyплыnęli z kimś, szukajcie wiatru w polu, tutaj dziennie przyplywa i odpływa istna armia.

– Własną łódź mieli – odparł coraz bardziej rozczerowany Trzęsikęsek.

– Cóż, nie macie pewności nijakiej, że oni jeszcze w mieście są, prawda? – zadumał się Wurzzt, pociągając haust piwa z kufła z ochotą świadczącą o głębokim zamiłowaniu do trunków opłacanych przez innych. – Może w drodze do wioski łódź im się wyrwała i utonęła? Albo ich kto napadł? Podobno na jeziorze cały czas grasują tacy niby to rybacy, co się na inne łódki zasadzają, mordując i grabiąc. Ale jeśli wciąż w Ostrogarze pozostają, mus wam wpierw do inkasentów się zgłosić w porcie, co to pieczę mają nad porzuconymi łódkami. Jeśli te sąsiady nie płacili za miejsce przy pomoście, ktoś im niechybnie łódź przeciągnie do punktu skupu, gdzie takie zdobycze sprzedaje się nowym właścicielom.





– A gdzie to takie punkty skupu są, panie Wurzzt? – spytał z nagłym przyływem nadziei Trzęsikęsek.

– W każdym z portów, wystarczy na miejscu popytać. My byśmy wam z serca całego pomogli, aleśmy nigdy tej ichnej łódki nie widzieli, to i jej nie poznamy na własne oczy, ale jak wyłożycie trochę srebra za nasz zachód, to możemy z wami pójść, coby łatwiej wypytać miejscowych, co i jak i gdzie.

Myśliwy pokiwał głową zamyślając się głęboko, Wurzzt napił się zaś piwa. Ayheer zaczął rozdawać karty do następnej partyjki, na blacie zabrzęczały kolejne monety, tym razem znacznie więcej srebrnych. Wtem wesołe okrzyki z przeciwnej strony zwróciły uwagę graczy na nowe widowisko.

Poklepywany po plecach przez Pchełka Łamignat podwijał rękawy swej kapoty szykując się do siłowania na ręce z roslym mularczykiem o przepitych oczach.

– Ha, to lubię! – zakrzyknął Wurzzt. – Na dobrą walkę zawsze warto coś postawić, choćby się i miało przegrać! Miliście człowieczki, to na waszego ziomka postawię, całego srebrnika!

Wrzawa przy stole uciszyła się na znak dany przez majstra, Ten wspiął się na ławę, otarł wargi z piwnej piany, po czym klasnął donośnie w dłonie. Cisza przysła w ułamku sekundy, a zgiełk dopingujących zawodników gości wzbil się pod powalę knajpy, budząc pomruki niezadowolenia u grupki orków i półorków wciąż okupujących stolik w kącie.

Łamignat wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu, bo mularczyk – chociaż chłop na schwał – nie mógł się równać krzepą z wiejskim osiłkiem, harującym przy wiosłach i w lesie przy wyrębie od dziecięcych lat. Ostrogarczyk walczył szaleńczo, szczerząc własne zęby i napinając mięśnie tak, że aż mu żyły na skroniach powychodziły, ale nie podołał wyzwaniu. Łamignat docisnął jego dłoń do blatu stołu i roześmiał się gromko, ukontentowany swym zwycięstwem, radosnymi okrzykami widzów i przyjacielskim poklepywaniem po plecach, do którego zupełnie nie przywykł, a które niesamowicie przypadło mu nagle do gustu.

– Wygraliśmy, Pchełek! – oznajmił uszczęśliwiony. – Żem przecie gadał, że wygramy i widzisz? Dobrze żem się sprawił, dobrze?

– Pewnie, że dobrze – odparł płowowłosy rybak. – Tyle, żeś tylko ty wygrał, my jeszcze nic, bośmy nic nie obstawili. Hej, ludkowie, ktoś się jeszcze zamiaruje mierzyć? Chyba portkami nie trzęsiecie, co? Trzęsikęsek, sięgnij no do sakiewki, dajże z pięć srebrników! Jaśnie pany, kolegi, stawiam w imieniu mego druha pięć srebrników, że wygra następną walkę. Kto w pięć srebrników zasobny, a szczęście i krzepę chce sprawdzić, niechaj do stołu zasiada. Srebro na blat i niech je zgarnie silniejszy!

Mularczycy wdali się w dyskusję między sobą, podpuszczając się wzajemnie i naigrywając z nieco wątpliwego w swe możliwości robotnika, którego wytypowano gremialnie jako następnego zawodnika. Człowiek ten, równie barczysty i roslý jak poprzednik, zasiadł w końcu na ławie po przeciwnej stronie Łamignata, spluwając wpieryw na szczęście przez ramię.





– Dawaj łapkę, syneczku – oznajmił głębokim basem, rzucając na stół pięć srebrników, które Pchełek zgarnął na niewielką kupkę dokładając do niej monety wyciągnięte od Trzęsikęska. – I bacz na swe paluchy, żebym ci ich nie zgniółł.

– Twardyś w gębie – zaśmiał się Wurzzt. – Zaraz przyjdzie się nam przekonać, czyś równie chwacki w mięśniach!

– Pchaj ile wlezie – trącił Łamignata Pchełek. – Tera nasze srebro na szali, jak je przetracisz, Trzęsikęsek ci niechybnie szyp jaki w rzyć wsadzi ze złości.

– Nikt mnie nie będzie niczego w zadek wciskać! – warknął rozeźlony olbrzym. – Dawaj no tu tego cielebunia i już każ kolegom po jakiego konowała lecieć!

Dotknięty do żywego słowami Łamignata, wielki mularczyk złapał go za dłoń, oplótł ją palcami, zagryzł wargi szykując się do zaciętego boju. Trzęsikęsek z musu wdrapał się na ławę, bo stłoczeni wokół stołu widzowie przysłonili mu widok.

– Cichajta! – krzyknął majster. – Na moje słowo, jazda!

Tym razem żyły wystąpiły na czoło i krzepkiemu rybakowi i Ostrogarczykowi. Mężczyźni zastygli na moment w bezruchu, potem ich ręce zaczęły poruszać się to w prawo, to w lewo, kiedy na przemian próbowali przełamać zawziętą obronę przeciwnika. Żaden z widzów nie ważył się klepnąć na znak zachęty swego ulubieńca, wszyscy za to wrzeszczeli przeraźliwie i tłukli kufłami w blat stołu wywołując dziki harmider, którego dźwięk ściągnął do karczmy kilku następnych gości, zstępujących wolno po schodach.

Siedzący z boku ławy Gusłek przełknął mimowolnie ślinę widząc, że jednym z przybyszów jest krasnolud – prawdziwy krasnolud, z gęstą brodą zaplataną w warkoczyki, w szpiczastym metalowym hełmie i z wielkim misternie rzeźbionym ryngrafem na piersiach. Gusłek wzorem Trzęsikęska wspiął się czym prędzej na ławę, nie odrywając swego oszołomionego wzroku od nieludzia rozglądającego się badawczo po wnętrzu karczmy.

– Uuaaa! – wrzask części widzów, oznajmił wszem i wobec, że Łamignat pokonał kolejnego z rzędu oponenta, omal mu nie miażdżąc przy tym dłoni. Zachwycony rezultatem pojedynku Pchełek zgarnął dźwięczące mile monety do ręki, spoglądając tryumfalnie na Trzęsikęska.

– Niezły jest – powiedział do myśliwego Wurzzt. – Całkiem niezły. Można by pomyśleć o jego mecenasowaniu, jeśli byście szukali kogoś do załatwienia lepszych płatnie gier...

Gwar przy stole umilkł jak nożem uciął, kiedy przed Łamignatem wyrosła znienacka masywna sylweta. Mularcykowie wycofali się czym prędzej do swoich ław, poszeptując coś między sobą. Rozradowany osiłek oderwał wzrok od Pchełka i spojrział w górujące nad nim oblicze orkowego weterana, wspartego potężnymi pięściami o krawędź stołu.

W zapadłej nagle ciszy rozległo się kilka chrapliwych słów, wręcz wydartych z gardzieli wielkiego orka. Siedzący obok Ayheer przeniósł spojrzenie z wojownika na Łamignata, chrząknął znacząco.

– Ten pan chce się z tobą zmierzyć – przetłumaczył słowa weterana na Wspólną Mowę.





– Stawia sztukę złota przeciwko twoim dziesięciu srebrnikom, ale jeśli przegrasz, obetnie ci na znak wygranej kciuki.

Wielki ork odczekał, aż Ayheer skończy mówić, dorzucił coś jeszcze, co wywołało wesołość jego towarzyszy.

– Mówi, że jeśli chcesz się wycofać, nie będzie ci robił wyrzutów. Każdy powinien znać swe miejsce i nie stawać nadaremno przeciwko lepszym od siebie.

Lecz pijany zwycięstwem Łamignat wsparł z marszu rękę na blacie stołu gotowiac się do kolejnego pojedynku i nawet nie próbując mierzyć swych sił na zamiary.

Pchełek struchlał słysząc słowa orka, zaś zuchwała postawa Łamignata wprowadziła go w stan silnego przerażenia. W Burat-arze nikt z wieśniaków nawet by się nie poważył podjąć takiego wyzwania w obawie przez chłostą za bezczelność, bo orkowie rządzą w północnych elejatakach żelazną pięścią i bizunem, w razie konieczności nie stroniąc też od wbijania aroganckich poddanych na pal.

Siedzący w ostrogarskiej karczynie Łamignat, rozochocony wcześniejszymi zwycięstwami i pewny siebie, przyjął wyzwanie, które najpewniej miało go przerosnąć – Pchełek widział tę posepną pewność również w oczach milczącego Trzęsikęska. Orkowy weteran był olbrzymem podług swej i ludzkiej rasy, pięści miał jak bochny chleba, a mięśnie rąk niczym niedźwiedzie szynki. Widząc bezczelną minę rybaka rębajło sapnął chrapliwie, a potem siadł na opustoszałej raptownie ławie. Stojący pół kroku za nim mieszaniec dobył zza pasa dwa długie noże, podał swemu towarzyszowi. Kilku widzów wciągnęło gwałtownie powietrze, kiedy zawodnik zakręcił nożami młynka, a potem wbił je do połowy ostrzy w drewniany blat stołu, pod błyskawicznie, ale niebywale starannie dobranym kątem.

Splecione dłonie orka i człowieka znalazły się w środku pomiędzy nożami i Pchełek pojął znienacka, czemu broń ta miała służyć. Przeginający dłoń przeciwnika zawodnik przybliżał ją nieuchronnie w stronę ostrej jak brzytwa klingi, w dodatku dokładnie na wysokości kciuka ofiary, w brutalny sposób markując linię cięcia przegranego palca.

– Chrukk hazar het myrrda! – wyrzucił z siebie mocarny najemnik, najwyraźniej pod adresem zbitego z tropu majstra mularczyków, swych zmrużonych złowrogo oczu nie odrywał jednak od uśmiechniętego dobrodusznie oblicza Łamignata. Pchełek miał coraz gorsze przeczucia, coraz gorsze.

Już pierwszy rzut oka na muskulaturę wojownika dowodził jego ewidentnej przewagi nad wioskowym osiłkiem. Płowowłosy złodziej zmełł w ustach przekleństwo, wymienił bezradne spojrzenie z Trzęsikęskiem, spojrzał w stronę Gusłka, który oderwał w końcu wzrok od przyglądającego się walce krasnoluda i wbił przejęte spojrzenie w splecione między nożami dłonie zawodników.

Pchełek pojął, że tylko szybkim działaniem zdoła ocalić lekkomyślnego przyjaciela.

– Na mój znak, jazda! – krzyknął majster, a krąg widzów zbił się ciasno wokół przeciwni-





ków. Ludź i nieludź wydali z siebie głuche stęknienia próbując z biegu przelamać siłę mięśni oponenta, napierając na siebie wzajemnie i zaciskając zęby tak, że mało nie popeękały. Gustek jęknął ledwie słyszalnie widząc jak splecione ze sobą dłonie zaczynają się odchyłać w stronę prawego ostrza.

Łamignat powoli, powolutku ulegał brutalnej półzwierzęcej sile orkowego wojownika.

Pchełek nie tracił czasu. Korzystając z uwagi widzów skupionej niepodzielnie na pojedynku oraz z ciszy wokół zawodników wślizgnął się za ich plecami pod wielki drewniany stół, zabierając wpierrw z pobliskiego blatu niewielką olejną lampkę. Wiedziony desperacją i pewien obciążonej głowy w razie odkrycia tego oszustwa, zaczął pełznąć po kamiennej posadzce w stronę wspartych o nią wielkich stóp orka, słysząc dobiegające z góry coraz głośniejsze okrzyki, gwizdy i posapywanie przeciwników. W lampie wciąż palił się knot, więc dopełznawszy do wielkich skórzanych butów orka Pchełek jał wylewać olej przez otwartą boczną ściankę lampy, zraszając obficie przestrzeń wokół podeszwy buta w nadziei na to, że przyciskający stopy do posadzki ork rychło się poślizgnie i ulegnie z zaskoczenia Łamignatowi. Sam złodziej musiał się jeszcze na czas wycofać, by nie zostać złapanym na gorącym uczynku...

Lecz rezultat tego sprytnego w rzeczy samej planu przeszedł wszelkie oczekiwania Pchełka, bo kiedy rybak uznał, że starczy już rozlewania oleju, stękający coraz donośnie Łamignat zmienił nagle ułożenie swych nóg trącając płowowłosego towarzysza łapciem prosto w zadek.

Zaskoczony Pchełek upuścił z rąk lampkę, ta zaś ześlizgnęła się po jego kolanie na posadzkę upadając na nią praktycznie bezgłośnie – delikatny trzask pojemnika utonął w coraz dzikszym aplauzie dobiegającym znad blatu stołu. Rybak zbladł jak ściana, sięgnął dłonią po lampkę, cofnął ją jednak widząc wypadający z wnętrza pojemnika knot.

Wciąż palący się knot.

Pierwsze ogniki zaczęły leniwie lizać niewielką kałużę płynu i grubą skórę butów orka, całkowicie niezauważone przez podekscytowanych zaciekle walczył zawodników.

Pchełek zamarł w całkowitym bezruchu, chociaż był dziwnie pewien tego, że szaleńcze bicie jego serca odbijało się echem od powały karczmy. Płomyki nabierały powoli większych rozmiarów i złodziej nie wiedział, czy tłuc rękami po butach weterana w nadziei na ich ugaszenie, czy też pierzchać czym prędzej spod stołu, nim dziwny żar w okolicach stóp zostanie w końcu przez orka zauważony.

Łamignat zrobił się krwście czerwony na twarzy, wszystkie żyły wyszły mu na wierzch podobnie jak oczy, dosłownie wylazące z orbit. Wielki ork również nie czuł się komfortowo, bo sapał spazmatycznie, a z kącika zagryzionych ust ciekła mu strużka spienionej śliny.

Lecz ściskająca prawicę rybaka ręka weterana zbliżała się coraz bardziej do białego w drewno stołu ostrza. Gustek jęknął cichutko widząc ów przerażający spektakl, bo chociaż znał się nieco na opatrywaniu ran, nie potrafił sobie wyobrazić sytuacji, w której Łamignat dałby sobie dobrowolnie obciąć jakąkolwiek część ciała.





– Pianie, poratuj – wyszeptał młody duchowny, pogrążony w czarnej rozpacz i zdjęty poczuciem całkowitej bezradności.

I nagle zdało się młodemu nieszczęśliwemu rybakowi, że Pan Uciech odpowiedział na jego nieśmiałą prośbę.

Posapujący dotąd spazmatycznie ork przestał nagle oddychać, dosłownie sztywniejąc na całym ciele. Dopingujący go widzowie umilkli natychmiast, pojmując instynktownie, że dzieje się coś dziwnego. W zapadłej nagle ciszy słychać było jedynie zdyszane oddechy i westchnienia gapiów.

Oraz ledwie słyszalny suchy trzask, przywodzący na myśl dźwięk wydawany przez płomyki.

– Cosik tu gorzej? – spytał jeden z mularczyków pociągając dla pewności nosem.

– Arghh, kurrwa muttra! – ryknął w swojej barbarzyńskiej mowie ork, wyszarpując prawicę z uścisku Łamignata i zrywając się na nogi tak raptownie, że dwaj odskakujący na ten widok obserwatorzy zderzyli się ze sobą nieporadnie i gruchnęli z wielkim hukiem na kamienną posadzkę.

– Pali się! Pali!

Weteran zaczął się miotać po sali tłukąc pięściami po nogawkach w nadziei na zdławienie coraz większych płomieni trawiących materiał jego spodni.

W karczmie wybuchło istne pandemonium ludzkich krzyków, a tratujący się nawzajem robotnicy pierzchali czym prędzej na boki, chcąc się znaleźć jak najdalej zarówno od ryczącego jak bawół orka jak i palącej się pod stołem kałuży oleju.

– Przerwał bitkę... – jęknął zdumiony Łamignat. – Tak się zgrzał biedaczysko, że aż się od tego zapalił? Gusłek, to jam wygrał? Byndzie to ten... jak mu tak... wałkofer?

– Ja pierdzielę – westchnął głośnie stojący na ławie Wurzzt, nie dowierzający widać własnym oczom. – Ale się tu zaraz będzie działo...







Rozdział VI

Ostrogar. Karczma Cisia Nora.

Zager łąził długo po Placu Karczemnym, pozornie bez celu, przypatrując się w milczeniu straganom i przechodniom, taksując ich wzrokiem i czegoś szukając. Odwiedził kilka karczm z kolei, przysiadował w nich nie kupując niczego, potem opuszczał je na widok podchodzących do ławy pacholków. Paru usmarkanych i brudnych uliczników obrzuciło go ogryzkami, bo zwrócił na siebie ich uwagę naciągniętym aż po nasadę nosa kapturem, ale żaden z podrostków nie ośmielił się za nim pójść. Zager zignorował uliczników, chociaż kuśiło go przez chwilę, by któremuś dla nauki złamać parę kości. Wytrwale szukał czegoś innego.

W „Lisiej Norze” szczęście się w końcu do niego uśmiechnęło.

Był to lokal dość obskurny, o kiepsko oheblowanej podłodze i osmolonej od dymu świec powale, zastawiony drewnianymi stołami i ławami. Mimo wczesnej pory siedziało w nim kilku robotników zapijających ziołową herbatą pajdy chleba ze smalcem, ale to nie oni zwrócili uwagę stojącego w progu Zagera.

Wokół stołu ustawionego pośrodku karczmy siedziało pięciu roslých drabów o iście bandyckich gębach, w tym dwóch zarośniętych mieszkańców o rysach zdradzających domieszkę orkowej krwi. Już pierwszy rzut oka na uwalony resztkami jedzenia blat stołu, założone nań nogi gości i ich sprośne docinki uświadomiły Hogurowi, że piątka mężczyzn nie należała do gości chętnie widywanych przez karczmarzy.

Mina stojącego w drzwiach składziku człowieka z liczydłem w rękach utrwaliła Zagera w tym przekonaniu. Człowiek ów, bez wątpienia właściciel lokalu, gapił się na piątkę niechlujnych klientów wzrokiem na poły przerażonym, na poły pełnym rozpaczy, najwyraźniej jednak nie zamierzał ich wyrzucić: albo zbyt się ich bał albo czuł się w obliczu natrętów zupełnie bezsilny.

– I co tak przestępujesz z nóżki na nóżkę, co? – ryknął jeden z półorków celując ogryzionym kurzym udkiem w ładną młódkę o grubych warkoczach stojącą za kontuarem. – Nie bój się, chodź tu do nas, myśmy są w chędożeniu wyborni, nie będziesz się skarżyła, a srebra też ci nie pożałujemy!

Zager uśmiecnał się ironicznie w cieniu kaptura widząc, że dziewczyna wcale się obleśnej propozycji nie przestraszyła, spozierała bowiem na amanta całkiem chętnym wzrokiem, za to w stronę karczmarza zerkała z wyraźną obawą.

– Co się strachasz, głupia? – zarechotał inny drab, człowiek o przeciętym blizną policzku i złotym kolczyku w prawym uchu. – Tatka się boisz? Nie bój się, tatko złego słowa nie powie!

– Jagoda, do piwnicy, gąsiorka przynieś! – podniósł głos gospodarz, a jego polecenie zostało powitane z miejsca kakofonią niechętnych okrzyków, ktoś rzucił nawet w niego objęzoną z mięsa





kością. – Ruszaj się, dziewczko, nie stój za barem jak kolek!

Dziewczyna posłała zalotne spojrzenie w stronę jurnego półorka, a potem z wyraźnym rozczarowaniem zniknęła na schodkach prowadzących do piwniczki. Sam gospodarz, wciąż z głęboko nieszczęśliwą miną na twarzy, odkopnął niecelnie rzuconą kość i włożył za kontuar udając, że ściera go szmatką.

– A ty czego się gapisz, kmiocie?! – krzyknął człowiek ze złotym kolczykiem kładąc prawą dłoń na rękojeści przypasanej do boku szabli. – Mam ci ten durny łeb odciąć?!

Zager drgnął słysząc ten okrzyk, bo pomyślał, że oprych woła do niego, ale okazało się, że groźba skierowana była pod adresem jakiegoś robotnika, który zbyt długo spoglądał w stronę stołu wulgarnych gości i który nie dość szybko odwrócił głowę napotkawszy zaczepne spojrzenie jednego z nich.

– Zabieraj się stąd, zasańcu! – nie ustępował bandzior, próbując niepewnie podnieść się z ławy i zdradzając nieskładnymi ruchami spore upojenie alkoholem. Trzej robotnicy naradzili się śpiesznie przyciszonymi głosami, a potem zabrali manatki i wyszli z karczmy nie zwlekając ani chwili dłużej.

Hogur przyjrzał się kątem oka skórzanym kaftanom opryszków oraz ich broni. W grupie byli bez wątpienia pełni buty i arogancji, ale Zager domyślał się, że w obliczu przeważającego wroga uciekaliby co sił w nogach. Tacy ludzie żerowali na słabszych, pastwiąc się nad nimi i gnębiąc w poczuciu swej bezkarności. Mężczyźni mieli przy pasach miecze lub szable, Hogur mógł też iść w zakład, że chowali gdzieś noże, ale nie zrobiło to na nim większego wrażenia. Karczmarz się tych ludzi bał, ale on był słabym człowiekiem – Zager żywił wobec niego nie tyle politowanie, co pogardę.

Miecze i noże były niczym wobec potęgi magii.

Hogur wyszedł bez słowa z karczmy, odszedł kilka kroków w bok, zaczął się przyglądać przemierzającym ulicę przechodniom. Dojrawszy jakiegoś człowieka rozmawiającego ze śmiechem ze swym ziomkiem w mieszczańskim stroju, rybak spozierał na niego przez dłuższą chwilę w ogromnym skupieniu, potem zaś skrzyknął gwałtownie za róg karczmy wchodząc w pusty ciasny zaułek i odwracając się plecami do ulicy.

Gdyby ktoś podszedł wówczas do Buratańczyka, usłyszałby kilka bardzo cichych i kompletnie niezrozumiałych słów szeptanych z wysiłkiem w zamierzczłym dialekcie ludzi bagien, którego nie używano od czasu rozpowszechnienia Wspólnej Mowy.

Gdyby ten ktoś posunął się jeszcze dalej i spojrzał pod kaptur drgającego spazmatycznie mężczyzny, najpewniej uciekłby czym prędzej z dzikim krzykiem grozy, przekonany o tym, iż postradał zmysły albo że jakiś wysłannik piekieł przybył właśnie po jego duszę.

Mięśnie twarzy Zagera poruszały się w sposób zupełnie przeczący prawom natury, deformując oblicze młodzieńca i czyniąc je na chwilę gładką maską, w której tkwiły szklące się bólem kruczoczarne oczy. Upiorna maska znikła po krótkiej chwili, twarz Hogura przybrała zaś zupełnie





nowego kształtu, magiczną energią uformowaną na podobieństwo oblicza mężczyzny, któremu Zager chwilę wcześniej się tak uważnie przyglądał.

Podobieństwo było porażające, tak doskonałe, że człek ów na widok Hogura pewnie z miejsca by zemdlął.

Zager odetchnął głęboko, poprawił swój płaszcz, a potem wszedł ponownie do „Lisiej Nory” zmierzając szybkim krokiem wprost do kontuaru. Piątka niechlujów przy środkowym stole wznosiła właśnie kolejny toast, toteż żaden z nich nie zwrócił na nowego klienta uwagi.

– Kłopoty? – mruknął Zager opierając się o kontuar i wskazując dyskretnym ruchem ramienia na opryszków.

– A tobie co do tego? – odburknął właściciel, wciąż szorując szmatką blat w próżnej nadziei na pozbycie się wyjątkowo głęboko wżartej w drewno plamy. – Jeśli nie chcesz mieć własnych kłopotów, lepiej się stąd zabieraj, i to już.

– Boisz się – stwierdził Zager wbijając swe niesamowite oczy w twarz mężczyzny po drugiej stronie kontuaru. – Boisz się ich tak bardzo, że trzęsiesz się na samą myśl o tym, że mogą się na ciebie rozgniewać. Kim oni są? Strażnikami miejskimi? Najemnikami w służbie miasta?

– To bandyci, zwykli bandyci – odparł wbrew sobie samemu karczmarz, chociaż jego mina zdradzała, że cała ta konwersacja wcale mu się nie podobała. – Łażą to tu, to tam, robią zamęt, zaczepiają kobiety.

– I pewnie nie płacą – kiwnął głową Zager. – Co do kobiet, widziałem, że mają chętkę na twoją córkę. Jeśli jej wygodzą całą piątką, parę dni się nie podniesie na nogi. Chciałbyś tego?

– A co mam zrobić? – syknął karczmarz czerwieniejąc z bezsilnego gniewu. – Wezwać strażników miejskich? Dostaną srebro w łapę i wyjdą, a wtedy tamci wezmą się za mnie.

– Powiem ci, co masz zrobić – Zager uśmiechnął się słysząc pytanie karczmarza, a jego uśmiech mroził mężczyźnie krew w żyłach. – Idź na zaplecze i przygotuj dwadzieścia sztuk złota, po dziesięć sztuk w woreczku. Nie wracaj tutaj, dopóki cię nie zawołam i nie wypuszczaj na salę córki, jeśli ci jej zdrowie mile.

– Co ty chcesz zrobić, człowieku? – jęknął karczmarz blednąc dla odmiany. – To bardzo źli ludzie, z nimi nie ma żartów.

– Wierzaj mi, nie masz się o co lękać, bylebyś tylko naszykował zapłatę – odparł Zager. – To ja jestem złym człowiekiem, to ze mną nie ma żartów. Jeśli zapłacisz, ci ludzie nigdy więcej nie będą cię nachodzić. Zapłacisz?

Karczmarz milczał przez długą chwilę, spoglądając ponad ramieniem Zagera na piątkę swych gości. Milczał i milczał, ale Hogur był cierpliwym człowiekiem i rozumiał doskonale niezdecydowanie właściciela knajpy.

– Zapłacę – szepnął w końcu karczmarz. – Rób, co chcesz, byłem nie ucierpiał ja ani moja córka. Jeśli kto będzie pytał, rzeknę, że cię nigdy w życiu nie poznał.

Zager uśmiechnął się ponownie, tym samym lodowatym uśmiechem, odwrócił się plecami





do kontuaru spoglądając na piątkę opryszków niczym wąż na stado myszy.

W przeciwieństwie do wielu innych początkujących adeptów magii, Zager nigdy nie odczuwał potrzeby sięgania dłońmi po zawieszony na szyi pod ubraniem amulet. Trzewiskręt nauczył swego wychowanka nie tylko szorowania drewnianej podłogi, prania przepoconych ubrań i gotowania ziołowych wywarów, przekazał mu również kilka sekretnych sztuczek, którymi parali się jego pochodzący w prostej linii od ludu bagien przodkowie. Jedną z tych sztuczek było niebywale użyteczne w praktyce absorbowanie przenoszonej w amulecie energii poprzez bezpośredni kontakt ze skórą czarownika.

Hogur rzucił pierwsze zaklęcie zbliżając się statecznie do stołu niechlujnych awanturników, odczekawszy wpiery, aż jeden z nich zacznie żłopać piwo z dzierzonego oburącz glinianego garnca. Młodzieniec wyszeptał słowa mocy prawie niesłyszalnie, ledwie poruszając ustami, wystarczyło to jednak w zupełności, by efekt zaklęcia poraził opryszków.

Żłopiący piwo wielkimi haustami półork zacharzał nagle, wypuścił naczynie z rąk i złapał się za gardło czerwieniejąc na zarośniętej gębie. Garniec poturlał się po stole, spadł na posadzkę i rozbił z trzaskiem, a z jego skorupy wyciekło brójwate coś o obrzydliwym zapachu zgnilizny.

– Bellu, pomiluj! – wrzasnął inny łotrzyk, ten mocny w pysku, który przed chwilą wygrażał robotnikom. – Co ci jest, Ghulak? Coś ty wypił?

Czwórka rzezimieszków zerwała się czym prędzej z ław spozierając z grozą na swego wymiotującego konwulsyjnie kompana, który padł na czworaki i zdawał się wyrzucać z siebie całą zawartość trzewi, brudząc spienioną wydzieliną posadzkę, swój kubrak i buty ziomków.

– Bogowie, niech ktoś wezwie znachora! – ryknął drugi mieszaniec, nie potrafiąc się zdecydować, czy przy kompanie przykucnąć czy lepiej przezornie się od niego oddalić. – Patrzajcie na moje żarcie! Co to jest?

Na blaszanym talerzu niedojedzona kasza ze skwarkami przeobraziła się w równie odrażającą breję co piwo pierwszego półorka, roztaczając po wnętrzu karczmy wywołujący zawroty głowy smród.

Maskacz stanął wyprostowany przy stole, opierając się zgiętą w kolanie nogą o ławę i spoglądając prosto w oczy draba z kolczykiem w uchu.

– Takoś mi się widzi, że nie zechcecie posłuchać po dobroci, jak wam rzeknę, byście stąd uciekali na zbity pysk? Ale jeśli to uczynicie, w zamian nic gorszego prócz potknięcia się o próg nie powinno was spotkać.

– Ty kurwi synu! – wyrzucił z siebie drab z kolczykiem. – Tyś nas potruł, gadzie jeden! Bebechy ci wypruję, klnę się na Bella!

Opryszek był szybki, Zager nie mógł mu tego odmówić, poruszał się ze zwinnością ulicznego nożownika, z taką też wprawą sięgnął prawą ręką po noszony przy pasie kordelas.

Drugą zaś uczeplił się rękawa Hogura zamierzając widać wytrącić go szarpnięciem z równowagi i pociągnąć wprost na dzierżone ukośnie od dołu ostrze.





Lecz Zager potrafił równie szybko splatać słowa mocy, więc kiedy opryszek łapał sękatymi paluchami jego ramię, amulet młodzieńca zawibrował ledwie wyczuwalnie przesyłając do jego krwiobiegu ogromną dawkę magicznej energii.

W opinii Trzewiskręta zaklęcie to było jedną z najbardziej morderczych pułapek na nierozważnych przeciwników Hogura i towarzysze draba ze złotym kolczykiem zapewne by zdanie starego znachora podzielili. Karczmą wstrząsnął huk tak potworny jakby się sufit oberwał i faktycznie, spod sklepienia posypały się chmury gryzącego w oczy wapiennego pyłu. Porażony ładunkiem elektrycznej energii opryszek wygiął się w huk wydając z siebie potępieńczy skowyt, a potem odleciał od Hogura niczym człowiek zdzielony kowalskim młotem, przetaczając się po blacie stołu i lądując bezwładnie po jego drugiej stronie. Potworny odór spalenizny omal nie zwałił z nóg pozostałych opojów. Sondując mentalnie swój amulet, Zager stwierdził, że jego zasób energii skurczył się niepokojąco, ale też zużycie magicznej energii przez rzucone właśnie zaklęcie nie należało do skromnych.

Lecz z min przerażonych opryszków wywnioskował, że być może dalsze czarowanie wcale nie było potrzebne. Słowa potrafiły zdziałać czasami wiele więcej od oręża lub magii.

– Czy jeszcze ktoś jest chętny do wyprucia mi flaków? Jenó niechaj się niepotrzebnie nie klnie, bo to obraza, takie czeze zaklinanie...

Hogur wciągnął w nozdrza gryzący zapach spalenizny, przeniósł spojrzenie w stronę drzwi karczmy. Kilka ludzkich głów wejrzało do środka zwabionych donośnym hukiem, ale widok dwóch ciał sprawił, że gapie zniknęli za progiem równie szybko jak się tam pojawili. Dorodna córa gospodarza wystawiła nos z piwniczki, pisnęła przestraszona i zaszła się ponownie w podziemiach budynku, podobnie jak jej ojciec w kantorku na zapleczu.

Trzej nietknięci dotąd łotrzykowie trzymali dłonie w pobliżu szabel i noży, żaden z nich nie wykonał jednak ruchu mogącego zdradzać wrogie zamiary. Zager pojął z miejsca, że mężczyźni nie byli głupcami i nie zamierzali podejmować niepotrzebnego ryzyka.

– Czego od nas chcesz? – zapytał niski człowiek o skołtunionych rudych włosach, noszący przepoconą pod pachami koszulę, na której wciąż można było dostrzec nie dość dobrze sprane pozostałości po zakrzepłej krwi. – Nie znam cię, więc nigdy sobie w zwadę nie weszliśmy. Po co to było?

Rzygający jak kot rzezimieszek przewrócił się z łoskotem na bok, skulił w kłębek w kałuży własnych wymiocin, zaczął jęczeć rozdzierająco. Drugi oprych, okropnie poparzony i dymiący na całym ciele, nie ruszał się wcale, a żaden z kompanów nie wykazywał większej ochoty do sprawdzenia, czy aby jeszcze dycha.

– To Mścibor cię nasłał, co? – odezwał się półork ze złotym łańcuchem na szyi, dziwnie nie pasującym do obszarpanego brudnego ubioru włóczęgi. – A miała być między nami zgoda. Do ciebie nic nie mamy, ale jemu nie popuścimy. Powiedz mu zatem, że może sobie tę zasaną karczmę pod protektoryję brać, ale koniec między nami pokoju. Od jutra poleje się krew, tego może być





pewien, bo złamał kodeks.

– Ale na dzisiaj dwa trupy wystarczą... – to mówiąc Zager zdjął z głowy kaptur. – Możemy się chyba pożegnać, bo wy chyba nie chcecie dołączyć do tych na ziemi, a mnie taka rozróżba wystarczy...

Bandyci zastanawiali się nad czymś jeszcze chwilę, być może dumając czy aby jednak nie zaryzykować i nie skoczyć w trójkę na samotnego czarownika. Ich wahanie przesądził zdławiony jęk, który wydostał się z gardła potwornie poparzonego człowieka dymiącego smrodliwie na podłodze. Zager spojrział na niego z pewnym zainteresowaniem, uniósł brew nieco zdziwiony, że tamten wciąż dycha.

– Twardy ów – kiwnął głową Hogur. – Patrzajcie, kolczyk mu się w uchu całkiem stopił, złoto spłynęło, ale on ciągle żyw. Zaiste, twardy musi być, bo zwykłego człeka tym zakłębem od środka gotują niby kurze jajko. Bogowie mu widać sprzyjali, chociaż na pobożnego mi nie wygląda.

Te słowa przesądziły o wszystkim. Trzymając dłonie z daleka od broni opryszkowie pochwylił czym prędzej swych towarzyszy – dwóch ujęło pod pachy człowieka z wtopioną w skórę warstwą złota krzywiąc przy tym swe nosy, trzeci postawił na nogi toczącego ślinę z ust niezdolnego podtrutego piwem. Oglądając się co chwila ostrożnie za siebie wszyscy zniknęli czym prędzej za progiem karczmy, pozostawiając po sobie brudne miski, kałużę wymiocin i mdlący odór spalonego mięsa.

Hogur poczuł się nieco dziwnie w całkowicie opustoszałej sali.

– Na Oriaka i Bella! – stęknął karczmarz wystawiając nos z kantorka. – Poszli sobie?

– Poszli – odpowiedział Zager. – Złoto masz?

Gospodarz wyciągnął zza pleców ręce, położył na blacie kontuaru dwa mieszki, na widok których chłopakowi zaświeciły się oczy. Rybak podszedł do lady, rozsznurował jedną z sakiewek, przesunął między palcami dłoni kilka monet.

– Nie miałem tyle złociszys więc trochę wymieniłem na srebro – mruknął karczmarz spoglądając wciąż lekliwym wzrokiem na porzucony przez opryszków stół. – Ale wszystko razem jest warte dwadzieścia. Nie przeliczysz?

– Nie – odpowiedział złowróżbnie niskim tonem Zager. – Jeślibym potem pomiarkował, żeś mnie na zapłatę ukrzywdził, tedy rychło tutaj wrócę... A sam żeś widział jak kończą ci, którzy do sporu ze mną chwaczą.

– Zgadza się co do monety – odparł natychmiast karczmarz. – Bierz te sakiewki i idź stąd, a żwawo! Nie chcę, by nas kto widział jak razem rozprawiamy. Jak mnie o ciebie będą pytać, rzeknę, żeś obcy był i sam z siebie zadarł z tamtymi! Idź już!

Hogur przywiązał mieszki starannie do ukrytego pod kapotą pasa, uśmiechnął się chłodno na pożegnanie i wyszedł bez słowa za próg gospody, prosto w promienie słońca i gwar głosów przechodniów.

– Tatku! – zza jego pleców dobiegł piskliwy głos córki karczmarza. – Co tam tatko wyprawia





na górze z tym obcym?! Tu na dole całkie wino pokwaśniało w beczkach, wszystko szlag trafił! Jak to się mogło stać?!

Zager uśmiechnął się raz jeszcze, po czym ruszył w głąb ciasnej uliczki, zmierzając przed siebie pozornie bez celu.

Jego smoliście czarne oczy lustrowały bacznie otoczenie, niczym bystre ślepia drapieżnika czyhającego na nieostrożną ofiarę.

Zager okrążył śpiesznie budynek karczmy, rozglądając się przy tym uważnie w poszukiwaniu bandy rozgromionych przed chwilą niechlujów. Opryszkowie zniknęli jednak bez śladu, zabierając ze sobą ciężko poszkodowanych kompanów.

Czarownik naciągnął mocniej kaptur, bardziej z przyzwyczajenia niż z konieczności, bo przecież wciąż nosił na twarzy obce mu zupełnie rysy innego człowieka. Hogur miał zresztą nadzieję, że bandyci dobrze mu się przyjrzeni, bo zapamiętawszy lepiej jego iluzyjny wygląd tym łatwiej mieli go w przyszłości ominąć na ulicy nie miarkując wcale, że właśnie przeszedł obok nich sprawca bolesnego incydentu w karczmie.

Rozejrzawszy się raz jeszcze wokół, Zager wszedł ponownie w uliczkę, w której chwilę wcześniej dokonał przemiany, schował się w jej głębi odwrócony plecami do krążących kilkadziesiąt kroków dalej przechodniów. Palce młodzieńca zaczęły się przesuwać po jego twarzy w rytm cichego pomruku, inicjując bolesną przemianę do pierwotnego układu mięśni. Hogur szczerze nienawidził tego etapu zaklęcia, ale powoli już się do niego przyzwyczajał, świadomy faktu, że za wszystko w życiu trzeba było czymś płacić: czasami złotem, czasami cierpieniem.

Kiedy jego skryte pod kapturem oblicze przyjęło ponownie rysy młodego rybaka z Burat-aru, Zager wcisnął się jeszcze głębiej w zaułek i wbrew słowom rzuconym pod adresem karczmarza zaczął przeliczać zawartość pękatek mieszków. Młodzieniec rzadko kiedy się uśmiechał, a jeśli już, to zazwyczaj w lodowaty sposób budzący lęk w rozmówcach, ale tym razem uśmiech na jego ustach miał wyraz upojnego tryumfu. We wręczonych mu pośpiesznie sakiewkach znajdowało się osiemnaście złociszy cieszących oko swą głęboko bitą podobizną Katana na awersie i znakiem zaciśniętej pięści na rewersie oraz dwieście srebrników. W przeciwieństwie do swoich niepiśmienych ziomeków, Zager potrafił całkiem biegle rachować, nauczywszy się tej niezwykle trudnej sztuki od bywałego niegdyś w świecie Trzewiskręta. Dokonane naprędce obliczenia dowiodły uczciwości właściciela karczmy, toteż czarownik przepakował monety upychając je w miarę do pełna w trzech trzosach, by zbyt luźne pieniądze nie brzęczały mu przy pasie podczas chodzenia.

Nie miał pojęcia jak sobie radzili jego pobratymcy, ale nie potrafił powstrzymać niecodziennego uśmiechu nadal cisnącego mu się na usta. Nie zamierzał się rzecz jasna dzielić całym łupem, bo ryzykował własnym życiem stając przeciw bandzie opojów, ale pozostawał lojalny wobec wioski.

Planując opłacenie z własnej kieszeni dziesięciu worków z ziarnem miał wszelkie podstawy do mniemania, że zostanie ulubieńcem i prawą ręką starszyny, zyskując w osadzie niebywałe wpływy i posłuch; teraz nawet marudny Męczywór musiał się liczyć z jego głosem.







Rozdział VII

Trzęsikęsek i Gusłek wymienili znaczące spojrzenia, w locie pojmując, że myślą o tym samym.

– Chodu! – ryknął myśliwy, łapiąc zwinnie za swój łuk i tobolek. – Dajem drapak! Reszcie kompanii nie trzeba tego było powtarzać, bo kogo nie ponaglały do ucieczki wściekle porykiwania orka, ten pobladł na widok wyciąganych przez pozostałych czcicieli Katana szabel. Rwetes w karczmie wciąż nie malał. Chociaż weteran zdołał ugasić płonące nogawki i toczył teraz dzikim wzrokiem po izbie, krzyczący coś nieskładnie karczmarz wciąż chlustał wodą z wiadra na palącą się z trzaskiem kałużę oleju pod stołem. Jeden z mularczyków podczas rejterady potracił niechcący półorka z amuletem w kształcie pięści na piersiach i zarobił w odpowiedzi tak silny cios łokciem w żebra, że aż się zgiał wpół wpadając za pobliską ławę.

– Łapy precz od moich ludzi! – ryknął poczerwieniały majster przewracając z hukiem drewniany stół z zamiarem uczynienia z niego barykady. Gliniane półmiski runęły na posadzkę rozbijając się w drobne kawałki, co wywijający wiadrem karczmarz powitał donośnym lamentem.

– Uny! – rosły ork wpił swe złe spojrzenie w plecy salwującego się ucieczką Pchełka i zaciął kurczowo pięści. – Harr teng uny!

Czciciele Katana rzucili się w te pędy w stronę schodów, z ewidentnym zamiarem pojmania wskazanych przez przywódcę rybaków, tłukąc pięściami na prawo i lewo dla oczyszczenia sobie drogi.

Taktyka ta przez wzgląd na swą brutalność nie spotkała się z aprobatą części klientów. Dwóch potraconych robotników, wyraźnie podpitych i bardzo buńczucznych, rzuciło się na najbliższego orka zwalając go z nóg i zasypując ofiarę gradem ciosów. W powietrzu śmignął duży dzban, który rozbił się o głowę jakiegoś mieszańca i chociaż nie pozbawił zabijaki przytomności, półork przystanął na chwilę w miejscu trzymając się kurczowo za głowę i tocząc wokół wyjątkowo ogłupiałym wzrokiem.

Trzęsikęsek i Gusłek dosłownie wysadzili za próg karczmy, wpadając wprost w jaskrawe promienie słońca i gwar rozmów przechodniów, potracając w biegu jakąś tęgą niewiastę, która na widok rybaków wypuściła z rąk wielki kosz z pieczywem.

– Patrzajcie, gdzie latacie, kurwie syny! – wrzasnęła kobieta wygrażając młodzieńcom pięściami. – Niechby was Seth dopadł, dranie! Tyle strat narobić!

– Razem, trzymajta się razem! – krzyknął Trzęsikęsek zerkając za ramię na gramolącego się przez próg Łamignata, wręcz pchanego do przodu przez siedzącego mu na karku Pchełka. – Do portu!





Tuż za Pchełkiem na ulicy znaleźli się Wurzzt i Ayheer. Na twarzach mieszkańców nie mało wało się jednak przerażenie widoczne u wieśniaków. Obaj półorkowie zanosili się histerycznym śmiechem, ubawieni po pachy dramatycznymi wydarzeniami w karczmie.

– Bieźajcie za nami! – krzyknął Wurzzt uspokoiwszy się nieco. – Szybko, bo wam skórę z grzbietów zedra! W tamtą uliczkę!

Słyszając propozycję mieszańca Pchełek klepnął Trzęsikęska w ramię, złapał pod pachę wciąż nieco oglupiałego Łamignata.

– Za nimi, a żwawo! – zakrzyknął młodzian zwinnie wymijając sięgającą po oparty o pobliską ścianę kij kobietę od pieczywa. – Ile wam sił w nogach styka!

Z walącymi jak młoty sercami, nieludzko zdyszani i potracający oburzonych przechodniów rybacy pomknęli chyżo w głąb brudnej brukowanej uliczki wijącej się między kamienicami, przeskakując przez puste beczki i kałuże pełne wylewanych z okien odchodów. Prowadzący grupkę Ayheer skręcił po kilkudziesięciu krokach w prawo, w jeszcze węższą uliczkę odgradzającą od siebie jakieś magazyny, pełną śmieci i walczących o odpadki kotów, które syczały wściekle na mijających je uciekinierów.

Biegący na samym końcu Pchełek przystopował na chwilę, wyjrzał zza rogu uliczki, po czym podskoczył z wrażenia i zmełł w ustach kilka wulgarnych słów. Szóstka czcicieli Katanana pędziła na złamanie karku śladami uciekinierów, wymachując wyciągniętymi z pochew szablami i krzykiem domagając się od przechodniów informacji na temat zbiegów. Ten i ów wzruszał ramionami, inni odpowiadali krzykiem, Pchełek dostrzegł jednak jakiegoś ulicznika, który pochwycił ciśniętego mu przez poparzonego orka srebrnika, a potem z szerokim uśmiechem wskazał na położony w głębi uliczki zaułek.

Ten, zza którego rogu wystawiał właśnie nos Pchełek.

– W nogi! W nogi! – młody złodziej nabrał takiego pędu, że omal nie wskoczył Łamignatowi na barana, przed oczami świeciło mu bowiem wyraźnie dzierzzone przez rozjuszonych orków żelazo. – Leżą za nami, psie syny, uparte jak diabli!

– Tędy, za te skrzynie! – syknął Wurzzt, wpychając Gusłka w kolejną boczną uliczkę, strasznie ciemną, pełną gratów i rozwalonych drewnianych skrzyń. – Ciśnijcie się w tę wnękę i ani mi dychać, bo jeszcze wszyscy przyplacimy tę chryję gardłami!

Stłoczeni w ciasnej ciemności, przywierający do wilgotnego i lepkiego od czegoś śmierdzącego bruku, mężczyźni wstrzymali oddech nasłuchując w zamian pilnie odgłosów pościgu. Orkowie znaleźli się w zaułku ledwie chwilę później. Dwaj pierwsi przebiegli obok mrocznej alejki, popędzili dalej pokrzykując na siebie wzajemnie. W ślad za nimi przebiegł sam weteran, ofiara niezamierzonego figla Pchełka. Inny napastnik, mieszaniec z szablą w rękę, zawrócił w stronę ominiętego wpierv zaułka, przyjrzał się uważnie ciemności, przyzrom skrzyń, stertom szmat.

– Zobaczy nas – wyszeptał niemal bezgłośnie Ayheer. – Jako my widzi po trochu w ciemności, nawet nie drgnijcie.





Trzęsikęsek zmartwił słysząc jego słowa, zacisnął palce do białości na rękojeści myśliwskiego noża tkwiącego dotąd w cholewie buta. Coś mu się wcześniej obilo o uszy, że orkowi mieszańcy na podobieństwo swych kuzynów czystej krwi widzą co nieco w ciemnościach, ale nie przywiązywał do tego większej wagi.

Do teraz.

Dwaj następni czciciele Katana przebiegli obok swego podejrzliwego ziomka, wciąż wpatrującego się uważnie w ziejący kocią uryną mroczny zaułek. Przywołany przez nich odwrzaskał coś chrapliwie, potrząsnął przecząco głową.

A potem zrobił kolejny ostrożny krok w głąb uliczki.

– Cśśś, może nas nie zoczy – szepnął Pchełek. – Pssst, Łamignatku, i nie ruszaj się, ale jeśli tylko nas zauważy ja spróbuje odwrócić jego uwagę, a ty go wal pałą w łeb... – rybak z przerażeniem w głosie szeptał do kompana.

Cóż tu dużo mówić. Gusłek był dobrym pomocnikiem wioskowego kapłana, ale takie życie nie obfitowało w sytuacje wywołujące dreszcze emocji. W chwili obecnej, w tej ciemnej uliczce, w tym śmierzącym odpadkami i odchodami kąciku Gusłek po prostu wariował ze strachu. Nie był zdolny do jakiegokolwiek działania. No, może poza kontrolą przepelnionego pęcherza. Krew tętniła w uszach Buratańczyka z hukiem wodospadu, a mimo to jego wyostrzony napięciem słuch rejestrował każdy dobiegający zewsząd odgłos: oddechy kompanów, kroki mieszańca z szablą w rękę, miauczenie jakiegoś rozdrażnionego bezpieczeństwa kota.

Półork przystanął ponownie, nasłuchiwał przez ciągnącą się przerażająco chwilę, potem zaś wzruszył ramionami, splunął siarczyście w ciemność zaułka i potruchał za oddalającymi się coraz bardziej kompanami.

– Ani drgnąć miarkujcie – wysyczał przez zęby Wurzzt. – Niechby się cichaczem wrócili za chwilę, łapną nas za karki jak świeżo okocone owce.

Posłuszni słowom mieszańca rybacy trwali w bezruchu, czekając i czekając, póki im mięśnie nie zaczęły drętwieć. Nasłuchujący dotąd czujnie Wurzzt ruszył w końcu z miejsca, podkrał się do rogu zaułka, wyglądał przez dłuższą chwilę na uliczkę.

– Dobra nasza, stracili się z oczu – oznajmił wciąż przyciszonym głosem. – Wyłaźcie stamtąd, bo całkiem tymi kocimi sikami przesiąkniecie. Za mną, a żywo!

Nie wdając się w zbyteczne dyskusje, wieśniacy podążyli szybkim krokiem za dwójką mieszańców w głąb miasta, przemierzając wąskie brukowane uliczki, dopóki przewodnicy nie wyprowadzili ich pod jakiś porastający mchem basztel, pusty i rozsypujący się z braku troski o właściwą konserwację. Wieża ta wznosiła się nieco powyżej Placu Karczemnego, przycupnąwszy na skraju masywnego ziemnego wału tworzącego podstawę podzamecza i górując ponad dachami położonych niżej kamienic i zajazdów. Ruch na uliczkach koło basztelu był znikomy, bo większość mieszkańców tłoczyła się teraz na targowiskach Placu Karczemnego, toteż Wurzzt i Ayheer usiedli z zawadiackimi minami na sypiącym się ze starości murku obok wieży.





– Kusicie wy licho, huncwoty! – orzekł Ayheer macając się przy tym po kabzach kaftana. – Psiakrew, karty w tym rwetesie zgubiłem, a sporo kosztowały! Znowu strata!

– I widzicie, coście narobili? – zaśmiał się ironicznie Wurzzt. – Nie dość, że zdrowie na szwank naraziliśmy, by wam skórę ratować, toście jeszcze nas do strat przywiedli, bo pomiarkujcie sobie, niejedną miskę zupy nam łaskawy los zesłał dzięki zabawom z tymi kartami. A teraz co? Kraść nam pewnikiem przyjdzie albo głodem przymierać...

Trzęsikęsek pojął w mig aluzję ukrytą w słowach mieszańca, bo cała wypowiedź Wurzzta wręcz dźwięczała srebrnikami. Myśliwy poczuł rozpaczliwy ucisk w sercu na myśl o tym, że znowu miał uszczuplić zasoby swej gotówki, toteż bił się w myślach ze sobą nie wiedząc, czy w wyrazie podziękii wysuwać z sakiewki nieco grosiwa czy też w możliwie najgrzeczniejszy sposób dać półorkom do zrozumienia, że mogą sobie iść naciągać bardziej podatnych na ich urok kmiotków.

– Chłopy, patrzajta na to – odezwał się nagle Łamignat, głosem dźwięczącym od nabożnego podziwu. – Kto to taki mocarny, że to pobudował, co?

Wioskowy osiłek obszedł basztel z boku i oparty o murek spozierał szeroko otwartymi oczami na przytłaczające swymi rozmiarami blanki Pałacu Katana, lśniącobiałe i zdające się sięgać obłoków, wystrzeliwujące wysoko ponad wieżyczki i kopuły pomniejszych kaszteli i pałaców arystokratycznej dzielnicy.

– U was w wiosce takich nie ma? – zażartował pobłaźliwie Ayheer, trącając Wurzzta łokciem. – Mus wam lepszego kamieniarza znaleźć! To jak będzie, przyjaciele, toć to wypada nam wynagrodzić ryzyko, cośmy je ponieśli, prawda? Jeśli wola wasza taka, możemy wam protektorami zostać w mieście, ale nie za darmo.

Trzęsikęsek z niedowierzaniem słuchał słów mieszańca.

– Cosik mi się wydaje, że na strasznych odrzyskórców zdało nam się trafić towarzysze niedoli mojej – oczy myśliwego poczerwieniały wściekle na myśl o tym, że tych dwóch miastowych uważa ich za proste cepy gotowe na odarcie z dutków. – I cosik mi się zdaje, że przyjdzie się nam tu oddalić od siebie, bo mi srebra nie starczy na wasze pomyłki i zapomniane rzeczy, zacni nieznajomi.

Nie czekając na odpowiedź dodał jeszcze:

– Przykro nam, żeście omyłkowo do niezamożnych się przysiedli i kłopotów sobie tym samym napiętrzyli, ale winić się za to my nie będziemy, bośmy sami w tarapaty nieumyślnie wpadli.

Trzęsikęsek sam nie wierzył w swoje słowa, ale cała sytuacja tak go oburzyła i nakręciła za razem, że na końcu zdania splunął jeszcze siarczyście w bok opluwając swój kaftan. Widząc ślinę spływającą po ubraniu starł ją niedbale, po czym obrócił się na pięcie przesadnie udając obrazę.

Wyraz ustawicznej wesołości zniknął z twarzy mieszańców w jednej chwili, jakby starty niewidzialną ręką. Ayheer przygryzł usta z cichym parsknięciem, Wurzzt zaś ujął się powoli pod





pachy, spozierając nie wróżącym niczego dobrego wzrokiem na Trzęsikęska.

– Patrzaj, Ayheer, na tych wiejskich ciołków – wycodził przez zęby mieszaniec. – Grzecznie się do takich odnosisz, z pomocą śpieszysz, z tarapatów wyciągasz własną skórą ryzykując, a oni co? Wielceście niewdzięczni, dobrzy ludkowie, wielce. Z dobrego serca my się z wami poznajomili, a nie dla dutków, ale skoroście tacy hardzi, wasza wola!

Półork opuścił ręce, wsadził palce obu dłoni za swój pas.

– Tylko sobie nie miarkujcie, że jak wam ktoś krzywdę zrobi, to z bekiem za nami latać będziecie i o pomoc zachodzić! Ech, że też was nie dorwał ten Kataniec z ziomkami, byłoby na co popatrzeć, a tak tylko nogi schodziliśmy! Chodź, Ayheer, szkoda śliny na gadkę z takimi kmiotami.

Powiedziawszy swoje, Wurzzt odwrócił się na pięcie zadzierając dumnie nos. Ayheer stał jeszcze chwilę w milczeniu, dalej gryząc wargi i popatrując na rybaków z dziwną miną. Gustek odniósł nawet wrażenie, że mieszaniec rozważa w myślach możliwość sięgnięcia po szablę, ale podczas ucieczki z karczmy młodzieńcy zachowali dość rozsądku, by zabrać swoje rybackie ościenie. Nie był to oręż równie profesjonalny jak szabla półorka, niemniej jednak metrowej długości metalowy szpikulec z zaostrzonym czubkiem stanowił w rękach biegłego rybaka morderczą broń i Ayheer chyba to w końcu pojął.

Mieszaniec splunął na bruk, wzruszył ramionami, po czym dołączył do oddalającego się wolnym krokiem Wurzzta, wyciągając po drodze z kieszonki talię kart i tasując ją wprawnymi ruchami, bardziej z nieświadomego przyzwyczajenia niżli takiej potrzeby.

Młodzieńcy odprowadzili mieszkańców wzrokiem, dopóki ci nie zniknęli na najbliższym skrzyżowaniu, wracając niechybnie ku niżej położonym placom i portom Ostrogaru.

– Jako rzepy na psim ogonie albo pchły w posłaniu – warknął Trzęsikęsek dając upust swej złości. – Mieli nas za kiepów ostatnich, co to się dają odrzec z każdej monетки! Won mi z oczu, a żwawo! Szczyście, że po rozum do łba poszli i się oddalili, bo chwila jeszcze, a niechybnie bym im gnaty poprzetrącał!

Pchełek zaśmiał się słysząc słowa myśliwego, ale nic nie odrzekł, potrząsnął za to znienacka wyciągniętą spod kapoty sakiewką – sakiewką, której nikt wcześniej u niego nie widział, wykonaną ze starannie wyprawionej i barwionej skóry, którą jakiś rzemieślnik wprawnie nasączył farbami w fantazyjne wzory.

– Hej, a skąd to masz, co?! – ujął się pod pachy Trzęsikęsek, spozierając na Pchełka karcąco. – Nie dość, żeś mało tamtego świńskiego ryja nie spalił, bystrzaku ty jeden, toś jeszcze czasu miał dosyć, żeby po cudze mieszki sięgać? Gadaj, a żywo.

– A co tu gadać? – zachnął się Pchełek. – To prawie wypadek był, nie tam po cudze sięganie. Jakeśmy z karczmy pierzchali, to Łamignat tego krasnala potracił, co na schodach stał, pamiętacie go? No i jak brodacz rypsnał, to się złapał rękami za ławę i mu się płaszcz podciągnął, a pod płaszczem miał mieszek, do pasa przytyczony. No i samo to jakoś tak wyszło, bo żem





miał przecie nóż w ręku, jakby was przed tym orasem przyszło bronić. Potkłem się i nóż mi po sznurku od mieszka przejechał, a zabrałem, bo szkoda by przecie było, jakby go jaki złodziej ukradł, co pewnie mniej od nas dutków potrzebuje, nie?

Pchelek próbował opowiedzieć tę historię poważnym tonem, ale nie podołał wyzwaniu, śmiejąc się coraz głośniejsze – toteż jego ziomkowie poddali się w końcu rozbrajającej historii i sami zaczęli się zaśmiewać do łez. Kiedy już przestali, Trzęsikęsek zerknął na sakiewkę w wymowny sposób.

– Patrzaj do środka, to ci powiem, czyś aby po próznicy czasu nie mitrężył.

W mieszkaniu było trzynaście srebrników: kwota oszałamiająco wysoka sama w sobie. Myśliwy przywołał kompanów bliżej, przysiedli na rozsypującym się murku wysypując nań wszystkie posiadane pieniądze i przeliczając je niewprawnie na nowo.

– To będzie czterdzieści i trzy srebrne – oznajmił po chwili Gusłek, aż blady od umyślowego wysiłku włożonego w zliczenie rozsypanej po murku fortuny. – A wielmożny Michelin jeden worek ziarna nam podarował, to nam jeszcze na cztery worki styknie i jeszcze trochę zostanie!

– Tylko nie mędrkuj – burknął Trzęsikęsek. – Jam nie kiep, sam też tak rachować potrafię. A te dutki, co zostaną, dla siebie biorę, i tak sam siebie na futerkach przekręciłem, poszły przecie na ziarno, a ja groty do strzał kupić muszę, po próznicy tu tyle nie wiosłowałem, co to to nie!

– To my teraz do domu idziemy? – zapytał Łamignat odrywając w końcu wzrok od blanków Pałacu i rozglądając się wokół ze zdziwieniem. – A te dwa kompanie nasze, mieszane świńskie ryje, gdzie som? Znikli? Kiedy?

– No chłopki, musimy szybko radzić. Może nasze nowe kompanie i za ładne to nie byli, ale miasto znali. Jeszcze możemy ich dogonić, zapłacić cosik, a jak znajdziemy swoich zagubionych wsioków, zapłacić coś jeszcze. Możem też kupic zboże, wracać do wioski i pieron z Krzesimirem i Sękaczem – wypowiedział się Pchelek. – Od biedy możemy iść na przystań i tam podreptać i popytać za łodzią owych urwipołci. Na karczemnym to bym ostrożnie się poruszał, bo już może być nasza kompanija znana, a Łamignaś taki je mały, że go widać chyba u nas w wiosce. No, ja tam se jeszcze pochodzić mogę i popytać. Mały jestem i bystry. Może czegoś się dowiem – kontynuował młodzieniec korzystając z tego, iż mu nie przerywano. – Ale jestem chyba za pierwszom myślom, coby onych mieszańców opłacić. Wujcio Mendek mawiał: „Świnia najlepiej zna swoje koryto”... choć w zasadzie to nie wiem o co mu sie rozchodziło...

– No, na karczemnym to lepiej coby nasza stopa już nie postąpiła. Ale co z Maskaczem? Jak się z nim odnajdziemy? Szwenda się gdzieś niecnota, pewnie piankę z jęczmiennego piwa tera spija, a my tu prawie życia postradalim. Nic to... – przez chwilę milczał Gusłek. Po namyśle dodał: – Na naszych kompanów Wrzóta i Majchera czy jak im tak psiwiarom matki dały liczyć już raczej nie możem. Niech se swoją drogą idą, jeno byleśmy się już na nich nie natknęli pilnować nam trzeba. Prawda to, że miasto jak własne gacie znali, ale jakie ich prawdziwe zamiary wobec nas były, tego już nie pomiarkujem i powiadam wam, może tak i lepiej. Ale jak który





uważa, że lepszy kartofel w garści niż pieczeń z prosięcia w garnku sąsiada i lecieć za nimi zechce to bronić nie będę. Ale jak mam zdanie swoje powiedzieć, to najbardziej widzi mi się do doków wrócić i tam szczęścia i zgubionych ziomeków poszukać. Jeno pamiętać nam trza, że element przeróżny po dokach się szwenda i mieć się bardziej na bacności musim.

Łamignat przysłuchiwał się trochę wcześniejszemu wywodowi Pchełka jednym uchem, ale po dziesiątym słowie płowowłosego złodzieja i tak stracił wątek. Wielkiego osiłka bardziej interesowały okoliczne widoki: od murów imperatorskiej fortecy począwszy, poprzez mniejsze kompleksy pałacowe, dzielnice mieszczaństwa do doków dochodząc. Rybak wspiął się dla większej wygody na murek okalający basztel, omal nie strącając przy tym łapciem poukładanych starannie w kupki monet.

Chociaż blanki Pałacu przyémiewały swymi rozmiarami wszystko wokół, Łamignat zdziwił się w końcu ich widokiem i począł spoglądać w przeciwną stronę: na rojące się od kolorowych żagli jezioro, rozciągające się na podobieństwo morza ku linii horyzontu. Bardzo daleko osilek zauważył ciemniejszą linię wybrzeża oraz pas kształtów, które mogły być zarówno wiszącymi nisko nad puszcza chmurami jak i stokami Gór Pięciu Twierdz. Promienie słońca skrzyły się na falujących delikatnie wodach Wielkiego Jeziora, wywierając na prostolinijnym i łatwo wpadającym w zachwyty mocarzu ogromne wrażenie.

Znacznie bliżej, wręcz na wyciągnięcie ręki, osilek widział kryte wypalonymi z gliny dachówkami dachy niezliczonych domów mieszkalnych, wzniesionych pomiędzy podzamczem i portami Ostrogaru. Wysoko położona uliczka wyłożona była starannie ociosaną granitową kostką, dzień w dzień wykuwaną mozolnie przez dziesiątki tysięcy więźniów i niewolników w kamieniołomach u podstawy Gór Mroźnych i Gór Pięciu Twierdz, potem zaś przewożonych płaskodennymi barkami do wiecznie cheiwej budulca stolicy.

Otoczające Łamignata miasto odbierało swym widokiem dech, pyszniąc się pełną zbytków architekturą wzniesioną na fundamentach z krwi, łez i potu niezliczonych śmiertelników zaprzęgniętych w tryby imperatorskiej maszyny służącej tylko jednemu celowi: zaspokajaniu wszelakich żądy panów życia i śmierci całego świata – Uruk-hai.

* * *

Trzęsikęsek założył ręce za plecy spoglądając pytająco na swych kompanów. Zajęty upychaniem monet do mieszkań Pchełek pomrukiwał coś do siebie pod nosem wesoło, za to Gusłek sprawiał wrażenie spiętego i nerwowego, o czym świadczyły jego spojrzenia rzucone to w jedną, to w drugą stronę uliczki. Jakaś strojna w długą suknię mieszcza prowadząca pod rękę rozwrzeszczanego urwisa przyspieszyła kroku napotkawszy spojrzenie Gusłka, przeszła śpiesznie obok grupki rybaków, oglądając się przez ramię na wciąż stojącego na murku Łamignata.

– Jakaś dutki w mieszek powpychał, to i pora na nas – zdecydował myśliwy spoglądając na lśniące wysoko w górze słońce. – Powłóczymy się po przystaniach krzynkę; byle cichaczem, co nas te katananity nie zoczą, bo klaki będą furguły. Mus tych inkasentowych wypytać, co





dotki za miejsca przy pomostach biorą, a dobrze też popatrywać, czy aby gdzie łódka Sękacza i Krzesimira nie stoi.

– A z ziarnem co? – zapytał nerwowo Gusłek, przestępując z nogi na nogę. – Ziarno to furda? Toć nas Mężczywór zamęczy, za wory wytarga, jak tego zaniedbamy.

– Nie bój ty żaby – zaśmiał się Trzęsikęsek. – Najpierw się po porcie powłóczymy, żeby zawczas pod faktorią nie wystawać, bo to karczmy blisko, a tam nas pewnikiem gorąco wypatrzą. Niechby im łby nieco ostygły do wieczora, to dobrze będzie. Wieczorkiem do Michelona zajrzemy, się zamówi te worki, co by na jutro gotowe były w spichlerzu. Jakby co, to my jutro gotowiśmy do wypłynięcia, możemy już do domu wracać, tyle że bez Krzesimira i Sękacza.

Gusłek zaszepił się słysząc ostatnie słowa Trzęsikęska, Pchełek też stracił sporo ze swej wesołości.

– Trochu stracha mam, że oni tu jak kamień w wodę przepadli – oświadczył Pchełek. – Toć to człek rozumem nie umie ogarnąć jakie to miasto wielkie, a gdzie nam tam dwóch takich znaleźć, co tu jak w mrowisku siedzą. Jak tu takie dwie mrówki znaleźć?

– Będziem mrówki szukać? – zainteresował się Łamignat, który dosłyszał kątem ucha wypowiedź złodzieja. – Mrówki to łatwizna, trza miodkiem kij nasmarować, a do gniazdowiska ichnego wsadzić i one same zaraz wyleżą, na patyk się poprzykleją. Poszukać patyka?

– Może potem... – mruknął w stronę osiłka Trzęsikęsek. – Teraz do przystani pójdziemy, ale inną ulicą co wcześniej, z tamtej tamoj strony, nie byłbym rad się na kogoś z naszych mieszkańców abo katanowców napatoczyć. A ty, Pchełek, dobrze pozor daj na tę sakiewkę, bo jak se ją ukraść dasz, nie chciał ja bym w twojej skórce być, oj nie.

Czwórka rybaków wróciła na Plac Karczemy schodząc nań zupełnie innymi ulicami i podpytując mijanych przechodniów o drogę. Chociaż wszyscy prócz Łamignata rozglądali się bacznie wokół w poszukiwaniu najmniejszego śladu Wurzta, Ayheera lub któregoś z czcicieli Katana, miłosierni bogowie najwyraźniej Buratarczykom sprzyjali.

Przeciawszy labirynt ulic Placu w poprzek, młodzieńcy przedostali się z powrotem do portu, zostawiając za sobą gwar głosów i ścisk ciał na uliczkach, witając w zamian znajomy zapach wody, łopot żagli i poskrzypywanie takielunku.

W porcie również panował ruch, ale rybacy czuli się tutaj bardziej na miejscu, krążąc nie wśród bogato odzianych przechodniów, a zwykłych dokerów, poławiaczy małży i marynarzy.

– Jakie wielgachne te statki – zdumiał się kolejny raz z rzędu Pchełek, idący skrajem nabrzeża w cieniu rzucanym przez wielką kogę. – U nas łódkę parę dni trzeba zbijać, w paru się męczyć, a przecie ona malučka taka! A taki statek toby Jemioła chyba do końca życia klecił, co?

– Na łódki popatruj, a nie na statki – ofuknął złodzieja Trzęsikęsek, wyraźnie rozdrażniony i coraz bardziej rozczarowany. Pchełek i Gusłek wcale mu się nie dziwili, bo i ich nogi bolały coraz bardziej od pozornie niekończącego się wędrowania. Słońce zaczęło już opadać za ciemniejące blanki Pałacu Katana, wieszcząc rychłe nadejście wieczoru, a oni wciąż ani nie natrafili





na jakikolwiek ślad Krzesimira i Sękacza, ani nawet nie zdążyli odszukać Maskacza, bez wątpienia przestępującego nerwowo z nogi na nogę przed faktorią Michelona.

– Cosik mi się widzi, że nic z tego nie wyjdzie – wrzucił ramionami Guslek, poddając się ostatecznie zwątpieniu. – Pewnikiem my ani połowy pomostów jeszcze nie zwidzieli, a tu zaraz noc będzie, spoczynku trza nam gdzieś poszukać, Zagera odnaleźć. I w brzuchu mi już poburkuje, głodnym strasznie.

– A taką piękną flagę im dziewczki naszykowały – powiedział zupełnie od rzeczy Łamignat, wrzucający z niegasnącym zapałem do wody rozkruszone kawałki bruku. – Taka śliczna była, wilczy łeb na modrym, a wokół liście dębowe, a ktoś zerwał i za burtę wyciepl. Oj, nieładnie!

– Co ty gadasz? – zainteresował się słabo Guslek. – Skąd ci nagle do łba przyszła myśl o fladze z łódki Krzesimira? Skąd ci w ogóle te wszystkie dziwne myśli przychodzą, co?

– Olaboga, ja nie wiem, jam nie kumaty – rozłożył ramiona Łamignat. – A o fladze żem pomyślał, bo tam przecie na wodzie pływa, jako szmata jakaś, a przecie taka piękna była.

Pozostali trzej rybacy dosłownie skamienieli spojrzawszy w stronę wskazaną przez osiłka.

Kilka metrów od pomostu na powierzchni wody unosiła się niewielka błękitna flaga przedstawiająca stylizowany wilczy łeb okolony wieńcem z dębowych liści.

Ta sama, którą wydziergały jesiennymi wieczorami Kraśka i Perełka, a z której do łez zaśmiewali się Trzęsikęsek i Łuczka, boć kto to widział, żeby na rybackiej łódce wilczy łeb wywieszać, któren tak do tego fachu pasuje jako pięść do nosa!

– Olaboga... – Guslek złapał się za głowę. – ...toć to ichnia banda... banderol... bandera! Ojoj, krzywda jakowaś się stać naszym biednym ziomkom musiała, bo z własnej chęci tego dziergania by się chłopcy nie pozbyli. Ale dobra nasza. Wyłowić toto nam trza. W oczy to kłuje przecie, może który z portowych pilnowaczy wspomni, że takową płachtę gdzieś już zoczył. Może to nas do Krzesimira i Sękacza w końcu doprowadzi. Który prędko chybnie i szmatę wyłowi?

Łamignatowi nie trzeba było dwa razy powtarzać, co Guslek przywitał pełnym zadowolenia westchnieniem. Osilek zwiesił się z pomostu tak daleko, że omal sam nie wpadł do brudnej portowej wody, wyłowił banderę czubkiem swej drewnianej pałki.

– To aby na pewno nasze? – zapytał raz jeszcze Trzęsikęsek, wyzymając w rękach mokry materiał i spoglądając z lekkim dreszczem niepokoju na symbol wilczego łba. – Znaczy się, łódka ziomali gdzieś tu musiała być i to całkiem niedawno, inaczej pewnie fale by zawlokły banderalorę gdzieś pod pomosty.

Grupka ostrogarskich rybaków przeszła obok gości z prowincji mierząc ich podejrzliwymi spojrzzeniami, bo ościenie Buratarczyków jasno zdradzały ich profesję, a miejscowi z trudem tolerowali obcych nie płacących zwyczajowych składek w ostrogarskiej gildii.

– Tylko gdzie ich szukać? – zapytał Pchełek, rozglądając się wokół. – Przecie inkasenty też już poszli do tawern, pewnikiem dutki za opłaty przehulać! Kogo będziemy za ozór ciągać?





I tym razem nie kto inny przyszedł ziomkom w sukurs jak tylko poczciwy Łamignat, który rozejrzawszy się wokół pojaśniał nagle po gębie, a potem zaczął podskakiwać w miejscu niczym przerośnięte dziecko, wskazując pałą ku sąsiedniemu pomostowi.

– Tamoj patrzajta! – zakrzyknął radośnie. – Tam, gdzie te chłopcy wiosła oglądają! To to nasza łódka!

Na końcu sąsiedniego pomostu czterech mężczyzn rozprawiało z ożywieniem nad przycumowaną do belek wielką rybacką łódką, której charakterystycznie wysklepiona rufa natychmiast zwróciła uwagę Buratarczyków. Jeden z rozmówców nosił na ramieniu torbę portowego inkasenta, drugi zaś szyte na miarę czleka zamożnego, najpewniej jakiegoś stołecznego kupca. Dwaj pozostali trzymali się o krok za kupcem, sprawiając wrażenie najemnych ochroniarzy.

– To łódź Krzesimira i Sękacza! – stwierdził z ożywieniem Guslek. – Tylko co oni z nią robią, te niecnoty?! Czemu banderę zerwali jak to nie ich własność?!

Stojący na pomoście rybacy zastygli w pełnym niezrozumienia bezruchu, patrząc okrągłymi oczami na dziwną scenę rozgrywającą się przy sąsiednim pomoście. Zdradzający rysami twarzy domieszkę orkowej krwi kupiec gestykułował dłuższą chwilę z portowym inkasentem, kłócąc się o wysokość opłaty. Dwaj stojący nieco w tyle mężczyźni – jeden człowiek czystej krwi, drugi mieszaniec – gapili się na tę scenę z wyrazem skrajnego znudzenia na twarzach: jeden spluwał co chwila siarczyście do portowego basenu próbując trafić dla zabawy w podskakujący na falach kawałek drewna, drugi zaś z zapalem godnym lepszej sprawy dłuwał w nosie.

Dogadawszy finansowe detale kupiec zeskoczył do buratarskiej łódki, przyjrzał się jej raz jeszcze krytycznym spojrzeniem, wetknął głowę do schowka na rufie wyciągając stamtąd jakiś tobolek, który bez otwierania wyrzucił bezceremonialnie za burtę. Łamignat aż westchnął widząc ów ostatni wybryk, albowiem z miejsca rozpoznał w tonącym toboleku zszyty z wyprawionych króliczych skórek plecak podróżny Krzesimira.

Kupiec wylazł z łódki z pomocą jednego ze swoich znudzonych pacholków, uściśnął na pożegnanie dłoń wyraźnie się gdzieś śpieszącego inkasenta, odebrał od niego jakiś kwit.

Stojący na krawędzi pomostu Guslek omal nie wpadł do wody widząc jak jeden z pomagierów kupca – najwyraźniej nowego właściciela łódki! – wsiada do niej pomrukując coś pod nosem, a potem zaczyna odwiązywać pomostową linę, szykując się do odpłynięcia. Dwaj mieszańcy – kupiec i jego ochroniarz – zaczęli rozmawiać między sobą, lecz chociaż rybacy co sił nadstawiali uszu, słyszeli zaledwie strzępki niezrozumiałej konwersacji.





Rozdział VIII

Nupiecki gwar na Placu Karczemnym zelżał zauważalnie, zastąpiony coraz głośniejszymi dźwiękami zabawy. Kolejny dzień dobiegał końca, więc sklepy i faktorie zamykały z wolna swe podwoje, ustępując miejsca wystawiającym przed lokale stoły i ławy oberżystom. Sprzedawcy wszelakiego rodzaju ładowali swe towary na dwukołowe wózki ciągnięte przez osły, muły lub bawoły, zamiatali bruk przed stoiskami lub przeliczali skrupulatnie utarg. Siedzący na murku pod jedną z karczm Zager przyglądał się ze szczególnym zainteresowaniem tej ostatniej czynności, albowiem pękate sakiewki wielu handlarzy świadczyły o udanym dniu i nęciły oko sporego grona włóczących się po placykach łachmaniarzy o bandyckim wyglądzie.

Lecz czujny wzrok Hogura szybko wyłapał stojące w cieniu straganów postacie, tkwiące w dyskretnym bezruchu, ale gotowe rzucić się na złodzieja – większość zamożnych handlarzy miała w zanadru uzbrojonych w pałki i kordelasy strażników, dbających o to, by nikt nie zagroził zdrowiu i życiu ich pryncypałów podczas odwózki grosiwa do domu. Na ulicach Placu pojawiło się też więcej patroli straży miejskiej i żołnierzy, obchodzących portową dzielnicę w niewielkich grupkach, z rękami w kieszeniach płaszczy i z wesółymi okrzykami na ustach, kierowanymi głównie w stronę przesadnie umalowanych ulicznic. Zager odnotował w pamięci fakt, że wśród strażników miejskich znajdowali się niemal wyłącznie orkowie i mieszańcy, podczas gdy patrole wojskowe tworzyli zazwyczaj ludzie czystej krwi, w ciemnoniebieskich płaszczach i koczugach, noszący okrągłe puklerze ze stylizowaną dziesiątką umieszczoną pośrodku tarczy.

Rybak wgrzył się z lubością w pieczone udko kurczaka, kupione u ulicznego sprzedawcy piekącego mięso na rusztach na oczach swych klientów. Na piętrze odległej o kilka domów faktorii Michelona pogasły już światła świec wieszcząc koniec pracy dla tamtejszych klerków i rachmistrzów, ale na parterze wciąż krzatali się jacyś pachółkowie. Zager otarł usta z gorącego tłuszczu, przełknął smakowity kawałek mięsa, westchnął ciężko. Chociaż krążył przed faktorią od długiego czasu, po jego kompanach ślad zagażał, iście jak w przypadku Sękacza i Krzesimira.

Dla zabicia czasu Hogur poukładał na nowo woreczki z ziołami kupione u miejskiego aptekarza, wsadzone w delikatny sposób do tobołka Zagera i owinięte kawałkami tkaniny dla ochrony przed pokruszeniem liści. Kiedy skończył i tę robotę, zaczął stukać palcami dłoni w murek, na którym siedział, zastanawiając się, co właściwie powinien był zrobić dalej.

Otrzymane od karczmarza miszki srebra i złota przypominały mu swym ciężarem, że zdałoby się wejść przed zamknięciem faktorii do Michelona i zamówić worki z ziarnem na zasiew,





ale czarownik nie był pewien, czy nie należało poczekać z tym zakupem do powrotu reszty kompanii... z drugiej strony, Michelin mógł lada chwila przekręcić klucz w zamku wejściowych drzwi, a to oznaczało konieczność spędzenia w mieście kolejnego dnia.

Zager obgryził do czysta udko, cisnął kością w wałęsającego się w pobliżu bezpańskiego kota. Zaskoczone zwierzę zasyczało przenikliwie wyginając ciało w łuk i jeżąc sierść, co Hogur obserwował ze sporą domieszką rozbawienia. Odskokczywszy w bok, kot rozejrzał się bacznie na wszystkie strony, a potem rzucił się na kość jak szalony, zabierając ją czym prędzej w ciemny zaułek.

Młody czarownik wytarł zatłuszczone palce w kapotę, przeciągnął się leniwie, a potem zwinym ruchem zeskoczył z murku i poszedł do faktorii Michelona, podjąwszy w duchu decyzję.

Samego właściciela przybytku już w środku nie było, kręciło się tam jedynie paru pacholków, jakiś skryba noszący na nosie dziwaczny przyrząd zbudowany z drucików i kawałków kwarcu zawieszonych na tej kruchej konstrukcji przed jego oczami oraz asesor Hubała. Ten ostatni spojrzał na późnego gościa mało przyjaznym wzrokiem, przywołał go ruchem ręki do swego stołu.

– Zamykamy już, więc lepiej, żebyś nie mitrężył po próżnicy mojego czasu, chłopcze – powiedział handlarz. – Chcesz zamówić to ziarno?

– Tak – odparł sucho Zager. – Siedem worków by się zdało, ósmy już szanowny pan Michelin nam darował. Jutro do odbioru?

– To zależy – Hubała odłożył trzymane w dłoni gęsie pióro, spojrzał wprost na Hogura. – Zależy od tego, czy zapłacisz teraz siedemdziesiąt sztuk srebra.

Młodzieniec nic nie odpowiedział, sięgnął w zamian po jedną ze swoich sakiewek. Na oczach milczącego Hubały odliczył srebrne monety rzucając je w prowokacyjny sposób na blat stołu. Metaliczny brzęk pieniędzy zwrócił uwagę pacholków, ale chociaż wszyscy się w stronę Hogura skrycie oglądali, żaden nie podszedł bliżej.

– Patrzcie, patrzcie... – wydał usta Hubała. – Z ranka żeście się przed Michelinem płaszczyli jako te płaszczki morskie z południowych archipelagów, a teraz złotem szastacie? A jam się nabrać dał, żeście biedaki skończone i nawet na suchy chleb was nie stać. To się człek pomylić może, nieprawdaż?

– A prawdaż – zgodził się łaskawie Zager, w ostentacyjny sposób ignorując docinki Hubały i rozglądając się czujnie po izbie. Nie podobały mu się spojrzenia niektórych klerków, dość rośłych jak na pisarczyków, widać prócz smykałki do pióra obdarzonych również męską krzepą. Skrybowie ci spozierali na kupkę złotych i srebrnych monet dość łakomym wzrokiem, trącąc się dyskretnie łokciami i wymieniając między sobą jakieś cichutkie uwagi, których Hogur nie potrafił dosłyszeć.

– Zapłata zgadza się co do dutka, więc zabierz ten kwit, dobry człeku, i zgłoś się z nim jutro w spichlerzu Michelona na Kamiennym Nabrzeżu – oświadczył asesor wręczając rybakowi kawałek pokreślonego piórem papieru. – A teraz zechciej się w swej łaskawości oddalić, albowiem





na dziś skończyliśmy pracę.

Hogur nic nie odpowiedział, tylko skinął nieco ironicznie głową, schował zwitek papieru do kieszeni kapoty i odwróciwszy się na pięcie wyszedł na ulicę, zamykając za sobą drzwi faktorii.

Chłodne wieczorne powietrze przesycone było znajomą wonią wody, ale prócz niej w nozdrza młodzieńca wdzierały się również rozliczne zapachy wielkiego miasta: smakowite wonie gotowanej stawy sączące się z otwartych szeroko zajazdów, odór zwierzęcego potu bijący od ciągnących dwukółówki osłów i mułów, smród wylewanych z okien prosto w zaułki ekskrementów.

Coraz więcej ludzi i nie ludzi ciągnęło do niezliczonych gospód Placu Karczemnego, wypełniając wąskie ulice narastającym gwarem rozmów, wesołych pokrzykiwań, gniewnych obelg i pierwszych pijackich zaśpiewek.

Nigdzie nie było widać śladu pozostałych Buratarczyków.

Zager wahał się przez dłuższą chwilę nie wiedząc, czy powinien nadal cierpliwie wystawać przed faktorią czy zacząć poszukiwania ziomeków na własną rękę. Splunął na bruk, podrapał się po karku, potem ziewnął donośnie i ruszył uliczką wiodącą w kierunku portowych nabrzeży.

– Uwważaj, gdzie leziesz, pacanie! – głośnie warknięcie sprawiło, że nieco zamyślony Hogur przesunął się zwinnie o kilka kroków w bok. – Hołota z prowincji, nic, tylko kłopoty z nimi!

Czarownik zlustrował wzrokiem grupkę orków i półorków w skórzniach i pod bronią, bez wątpienia wałęsających się po Placu w poszukiwaniu okazji do sprowokowania bójk i nabicia komuś guza. Bandzie przewodził wyjątkowo rosy i wybitnie nieprzyjazny z gęby ork w śmiesznych spodniach o nadpalonych nogawkach. Zager odwrócił od niego czym prędzej wzrok, bo nie zamierzał wikłać się w kolejne utarczki mogące narazić na szwank jego cenne zdrowie i życie.

Mruknąwszy szybko nieszczerze przeprosiny, młodzian udał się do portu, baczenie wodząc wzrokiem dookoła w poszukiwaniu Trzęsikęsa, Gusłka, Pchelka i Lamignata.







Rozdział IX

Hola! – zakrzyknął jeden z młodzieńców do zbierających się do odpłynięcia, handlarza i jego świty. – Panie złoty, toć to łódka naszych kamratów je. Łamignatku, weź no wyłów ten plecak Krzesimira, co go Pan złoty wyrzucił. Gusłek, wołaj tego inkasenta, psia jego mać. Niech no gada co o Krzesimirze i Sękaczu wie!

Pchełek na podkreślenie swoich słów wymierzył Łamignatowi potężnego w zamierzeniu kuksańca, ale osiłek ledwie zarejestrował zmysłami fakt, że ktoś go trącił w żebra.

– Na co czekasz, psiamać? Łapaj ten tobołek, żwawo! – syknął złodziej rzucając się jednocześnie biegiem w drugą stronę, chcąc jak najszybciej dostać się do kamiennego nabrzeża i wejścia na drugi pomost. Znajdujący się w jego połowie inkasent portowy przystanął w miejscu, spojrział na pędzącego na złamanie karku rybaka z niechęcią, potem obejrzał się przez ramię na kupca i jego ochroniarza.

– Czego chceta?! – zawołał rozkładając jednocześnie szeroko ręce w geście świadczącym o braku czasu. – Mus mi do kapitanatu!

Głośny plusk przykuł z miejsca uwagę wszystkich. Ważący prawie tyle co koń, Łamignat runął w portowy basen młóćąc ramionami brudną wodę i zмирzając pośród rozbryzgów piany ku tonącemu tobołkowi z króliczych skórek. Siedzący w łódce ochroniarz wypuścił z rąk wiosła, wstał z ławeczki spoglądając na żwawego pływaka szeroko otwartymi ze zdumienia oczami.

Widząc jawną desperację człowieka w wodzie oraz jego trzech wbiegających na pomost kompanów, machających rękami na znak, iż chcą porozmawiać, inkasent wycofał się przezornie pomiędzy kupca i jego pachółka. Przywołany ostrym słowem, mężczyzna z łódki wspiął się czym prędzej na pomost, występując wraz z towarzyszem o krok przed pryncypała i kładąc dłoń na rękojeści przypasanej do boku szabli.

– Czego chceta, chłopcy? – powtórzył inkasent, kiedy zdyszani młodzieńcy dobiegli do grupki ludzi tarasując im przejście na nadbrzeże. – Jak zwady szukacie, toście źle trafili, bom jest persona urzędowa i pod ochroną prawa!

– Raccie wybaczyć, panie złote – sapnął Pchełek. – Nam mus z wami pogadać, w sprawie wielce wagowej, a gardłowej.

– Wagowej, a gardłowej? – powtórzył nieco ironicznie kupiec, ujmując się pod pachy i spozierając na ubogo ubranych rybaków z protekcyjną ciekawością. – Domyślam się o co wam idzie, ale muszę odrzeknąć szczerze, że nikogo do terminu nie biorę, zwłaszcza obdartusów bez rekomendacji.

– My pracy nie szukamy, panie złoty – zaprzeczył gwałtownym ruchem głowy Pchełek. –



Idzie nam o tę łódkę. Wasza ona?

– Ano moja – uśmiechnął się nieco szerzej kupiec. – Od paru chwil, ale to się rychło może zmienić, jeśli chcecie ją odkupić. Pierwszorzędna robota szkutnika, chociaż na pozór sprawia wrażenie prostackiej w wykonaniu. Spójrzcie na dulki, metalowe, kadłub dobrze wysmołowany. Jeśli dacie za nią pięć sztuk złota, jest wasza choćby zaraz.

Kupiec przerwał dość ożywioną prezentację, przesunął się o kilka kroków w bok, by wspinający się na pomost Łamignat przypadkiem nie ochlapał go wodą. Ociekający od stóp do głowy osiłek wyszczerzył radośnie zęby, rzucił w ręce Trzęsikuska futrzany tobolek, potem zaś jął z wielkim entuzjazmem wytrząsać wodę z uszu, potrząsając głową jak szalony.

– Szkolony do aportowania? – zapytał z ogromnym zainteresowaniem mieszaniec w kupieckim stroju. – Nie zaprzeczę, żem zaciekawiony. Nie wygląda na specjalnie bystrego, ale widać, że krzepki i usłuchliwy. Ma któryś z was do niego prawa?

Rybacy nic w pierwszej chwili nie odpowiedzieli, nie zrozumieli bowiem sensu dziwaczne-go pytania – pojął je za to inkasent.

– Panie Tarrih, zmiłujcie się, bo mnie za uszy wytargają w biurze – wybuchnął urzędnik. – Jak chcecie łodzią kupczyć, to raz dwa i piszmy nowe kwity, bo mi śpieszno. A handlem niewolnikami zajmujcie się potem do woli, choćby i przez całą noc, jeśli wola taka wasza, ale już beze mnie.

– To jak będzie, dobrzy ludkowie? – klasnął w dłonie pan Tarrih. – Pięć złotych i łódź wasza?

– Olaboga, panie złoty, toć my tyle złota w życiu naszym, biednych rybaków, na oczy nie widzieli. Umiłujcie się nad nami. Jak do wioski łodzi nie przyprowadzimy, to nas wójt precz przegoni, a batogiem wcześniej poczęstuje. Umiłujcie się litościwy panie. Złota my nie mamy, ale może usługę jakowąś w zamian zaoferujemy? My proste chłopcy, ale Łamignatek krzepę ma, w załadunku towaru pomóc możemy, a onże to za czterech miastowych krzepki – sprawę próbował ratować Guslek.

– Oddać im naszym najlepszom łódeczke tak po prostemu – szeptał pchełek do Trzęsikuska – to jak chcieć, żeby Męczywór pobłogosławił nas przyszczami na zadkach, a z tyłka zaczęły wychodzić ci co rano fretki, jak to Męczywór zrobił z wujciem Mendkiem po tym, jak mu powypijał wszystkie elyskiry z loszku. Musim jakomś metodom odzyskać te łodke, bo ja fretki z rzyci nie bende wyciongał, o nie.

– Hola, łapserdaki – Tarrih uniósł wysoko obie ręce przerywając tym samym dysputę rybaków. – Coby do jasności dojść, a wyrazistej konkluzji: twierdzicie, że to łódka waszych ziomków, a i po części wasza własność?

Czterej rybacy pokiwali głowami jak jeden mąż, nawet Łamignat, który oczyścił już z wody uszy i z wielką uwagą przysłuchiwał się rozmowie swych ziomek z kupcem, łasy na powtórzone dwa razy słowo „złoto”, które budziło stosowne wrażenie nawet na mało rozgarniętym osiłku.





– Tedy rzeknąć wam muszę, że macie kłopot, bom ja jej od waszych ziomów nie odkupił, tylko od Kostropatego z ulicy Powroźników, co łodziami rybackimi i żeglarskimi przyborami kupczy. Od niego kwit mam takowy – Tarrih pomachał przed nosem Gusłka jakimś papierem. – Stoi na nim, żem uczciwie za łódź zapłacił i prawo własności do mnie należy. Tedy konkluzja idzie taka: dajcie sobie spokój z braniem mnie na litość i jękami o oddanie czegoś, co tylko i wyłącznie do mnie należy. Rozumieta?

Uciszeni rybacy pokiwali z oporem głowami, ogromnie niechętnie przyjmując do wiadomości oświadczenie Tarriha.

– Tak więc swe żale możecie Kostropatemu wylewać, on pewnikiem teraz w „Kruczej Wieży” wieszera, zawsze tam obwieś interesy opija, tylko dajcie na siebie pozór. „Krucza Wieża” przy Chłopskim Kroczu stoi, tam o tej porze dnia nie za ciekawie dla takich ciołków z prowincji, łącno za nieopaczne słowo kosę zarobić. Tych waszych znajomków, co tu łodzią przyplłynęli, nigdym w życiu na oczy nie widział i ani bym oglądać nie chciał, bo się za bardzo nie lubuję w spoufalaniu z gawiedzią.

Kupiec ponownie urwał wypowiedź, zawieszając ostatnie słowa w powietrzu i przyglądając się słuchaczom w denerwująco pobłażliwy sposób.

– Tera zaś czas, by przejść do rozmów o interesach. Cena za łódkę to pięć złotych, targów żadnych nie przyjmuję do wiadomości, nie upuszczę ani o srebrnika. Jakbyście mi tego osiłka sprzedali, dałbym wam i łódkę i pięćdziesiąt złotych w monecie, ale musicie umowę na piśmie sporządzić, bo nie chcę mieć kłopotów z sądem jak mu piętno na zadku wypalę, a potem się okaże, że to czyjś inny niewolnik. Idzicie na to?

Rybacy ponownie nic nie odrzekli, popatrzyli jedynie na siebie szeroko otwartymi oczami, bo jakoś nie mieściła im się w głowach myśl, że mogliby dobrodusznego Łamignata z własnej woli sprzedać w niewolnicze kajdany.

– Skoro wam to nie w smak, trudno – wzruszył ramionami Tarrih. – Ale zakarbujcie sobie w głowach, na handlu ludźmi można się w tym mieście szybciej wzbogacić jak na handlu łodziami.

– A jakbyśmy się w pracę na krótko zaprzędali, panie złoty? – bąknął nieśmiało Pchełek potwarzając wcześniejszy pomysł kompana. – Taki Łamignat to przecie ze czterech chłopu warty, w samoj raz do noszenia czego ciężkiego. A my też przecie nie ułomki, na robocie się znamy. Dajcie nam odrobić tę łódkę, panie złoty, politujcie się! – nie dawał za wygraną młodzian.

– Politujcie, politujcie... – Tarrih wyduł usta z niesmakiem. – Kiedy ja roboty nie mam dla takich jak wy! A zresztą wiecie ile tutaj za dniówkę taki jak wy dostaje? Srebrnika abo dwa, góra trzy jak ma szczęście! Niechbyście ochłapy żarli a pod gołym niebem mieszkali, to i tak przez tydzień wam codziennie roboty musiałbym szukać, a nie mam ku temu czasu. Ale rzeknę wam inaczej: jeśli pięć złotych gdzieś zarobicie, a ja łódki do tego czasu nie sprzedam, to mnie znajdziecie na ulicy Pelikanów, między Placem Karczemnym a Srebrną Dzielnicą, na pierwszym





piętrze faktorii pana Sahaala. Tedy się pewnikiem dogadamy. A teraz bywajcie, dobrzy ludkowie, bo nam już czas do domu, lada chwila całkiem ciemno się tu robi, a po ciemku w porcie też niebezpiecznie, łącno się potknąć i nieszczęśliwie upaść, albo z pomostu do wody albo na nóż kogoś mało życzliwego.

Machnąwszy ręką na pożegnanie kupiec odwrócił się plecami do swych rozmówców i wraz z inkasentem odmaszerowali dziarskim krokiem w stronę nabrzeża. Towarzyszący im ochroniarz odszedł bokiem, z ręką na szabli i z podejrzliwą miną, nie wążąc się widać odsłonić przed obcymi własnych łopatek. Jego kompan wskoczył z powrotem do łódki, zaczął wiosłować zwa-wo odprowadzając najnowszy nabytek pana Tarruha do jego przystani.

Na pomoście zapadła ciężka cisza. Nie wiedząc, co właściwie rzec, Trzęsikęsek wywrócił do góry dnem przemoczony tobołek z króliczych skórek, popatrzył rozczerowanym wzrokiem na drobiazgi pokroju rozmoczonego chleba, złamanej oselki do noża czy krzesiwa.

– Mogę sobie cosik wziąć? – spytał Łamignat kucając obok kupki nieprzydatnych śmieci.

– Wszystko se weź – burknął zły myśliwy. – To my w dupie som, chłopcy, i to po uszyska. Ani łodzi, ani Krzesimira i Sękacza, oby ich Mężczywór wysypką pokarał a fretkami! Ani ziarna zamówionego, bo ani chybi mości Michelin już drzwi faktorii deskami zastawił! I co nam teraz zrobić przyszło?

– Na początek zdałoby się coś przekąsić, bo mi w brzuchu potworzaście burczy – zza pleców myśliwego dobiegł zniecka czyjś znajomy głos.

Pośrodku pomostu stał Zager, w nieodłącznym kapturze na głowie i z rękami wsadzonymi za pasek swych przykrótkich portek.

Opadnięty przez swych ziomek, Zager zebrał niecodzienną dawkę uścisków i poklepywania po plecach, co szczerze go zaskoczyło przez wzgląd na to, iż zazwyczaj mieszkańcy wioski raczej woleli go omijać łukiem, a nie klepać – lecz osamotnieni w całkowicie im obcym i przerażającym na wiele sposobów mieście, Buratarczycy pewnie skakaliby z radości nawet na widok pryskającego kropelkami śliny Warzychwasta albo ściskali czule śmierdzącego rybą Patroszacza.

– I zapłaciłeś za ziarno? – zdumiał się niepomiernie Gusłek, kiedy Hogur opowiedział już w wymijający i enigmatyczny sposób swoje przygody. – A ten karczmarz dał ci tyle dutków za to, żeś wypłoszył jakowys łapserdaków z jego przybytku? Toż to niezwykle, klnę się na Piana! Pan Uciech musi na nas spoglądać łaskawym wzrokiem, powiadam wam!

– Dał i zapłaciłem – powtórzył czarownik tonem dającym do zrozumienia, że chciałby już zamknąć ten temat. – Rzeknijcie wy lepiej, czemu tamten człek odplywa łódką Krzesimira i Sękacza, a my stoimy tu jako kołki miast go gonić?

– Boć to już nie nasza łódka – zasepił się Trzęsikęsek. – Wszystko ku temu idzie, że ziomy nasze ją jako przetraciły, albo za długi albo sprzedali psie syny i ten kupiec, co tam nabrzeżem poszedł, pan Tarruh, kupił ją od jakiegoś Kostropatego, któren ją niechybnie odkupił od Krzesimira i Sękacza.





Zager myślał przez chwilę, próbując sobie ułożyć w głowie nieco chaotyczny przekaz Trzęsikęska.

– A ten Tarrih rzeknął, że nam ją może oddać za pięć złotych – wtrącił Pchełek spoglądając na Zagera. – Jakeś ziarno już zapłacił, to może dutków dość styknie, coby łódkę wykupić, bośmy się też trochę wzbogacili na mieście i mamy w tejsze sakiewce więcej srebrników... Gusłek, tyś liczył, gadaj, ile nam zbraknie, bom ja zapomniał.

– No, trochę jeszcze nam trza – odparł młodzieniec. – Jeśli ci co w kabzie zostało, Zager, tedy razem do kupy dość naskładamy, abyśmy dutki mieli na łódź. Tedy jutro będziemy mogli pana Tarruha odwiedzić, coby go spłacić, a łódkę odebrać.

– A jak ziarno odbierzemy, to my po prawdzie gotowi do domu wracać, boć Mężczywór prawił, że mamy za dwa dni wrócić, prawda? – zapytał nieco niepewnie Pchełek.

– Tyle, że mus nam jeszcze o los Krzesimira i Sękacza się zwiędzić – zmarszczył czoło Trzęsikęsek. – Toć żeście słyszeli, że ten cały Kostropaty musiał z nimi interesy robić, a teraz wieczery w „Kruczej Wieży”, tfu, toć mi się zrymło! Najsampierw do tej karczmy pójdziemy a weźmiemy tego Kostropatego na spytki. Potem podumamy, co dalej.

Tak postanowiwszy, piątka młodzieńców udała się w głąb portowej dzielnicy, zaczepiając mijanych robotników i marynarzy w poszukiwaniu drogi ku „Kruczej Wieży”.

W porcie robiło się coraz ciemniej, a milkliwi rybacy czuli coraz większe zmęczenie, ziewając szeroko albo trąc palcami powieki. Kończący się dzień dostarczył im niesamowitych wrażeń, ale teraz zaatakowało ich w końcu skrajne wyczerpanie. Było to wynikiem tego, iż wiosłowali przez całą minioną noc w drodze do Ostrogaru, przedtem też niewiele spali, a cały dzień spędzili na nogach.

– To pewnikiem tutaj – powiedział Pchełek wskazując w głąb bocznej błotnistej uliczki, w której ślepym zaułku dostrzec można było światła świec sączące się przez obciążone rybimi błonami okna. – Chodźcie żwawo, bo jak coś zaraz nie zjem, to chyba pomrę z głodu.

Wszyscy przyspieszyli kroku oczarowani wizją ciepłej strawy, piwa i być może miejsca do spania, ale kiedy Trzęsikęsek otworzył szeroko drzwi karczmy, dobre nastroje rybaków nieco się pogorszyły.

„Krucza Wieża” nie należała do karczmy, gdzie przesiadywali weseli robotnicy, skrybowie lub dobroduszni mieszczanie szukający odrobiny rozrywki przy winie i dobrej muzyce.

Złowrogie spojrzenia słane zza zatłoczonych stolików dały rybakom do zrozumienia, że obcy nie są w tym lokalu zbyt mile widziani.

W izbie znajdowało się kilkadziesiąt osób, w przeważającej większości mężczyzn różnych ras: ludzie, półorkowie i orkowie, paru półolbrzymów, jakiś kulawy gnom. Można było zauważyć również kilka przesadnie wymalowanych, a nie grzeszących przy tym ani urodą ani czystością ulicznic.

Miejscowi goście zabawiali się na różne sposoby: chleli w trupa, rznęli w karty, ktoś kogoś





w kącie okładał wyrwaną z podłogi deską. Pacholkom gospodarza nie zwracali na to większej uwagi, szacując za to uważnym wzrokiem otoczenie. Rybacy, nie wiedząc czemu mieli wrażeń, że personel w tej knajpie jest niewiele lepszy od klientów i lepiej nie trzymać tu na widoku większej gotówki.

Nieprzyjemna atmosfera panująca w czterech ścianach „Kruczej Wieży” udzieliła się z miejsca stojącym w progu młodzieńcom. Wszyscy prócz Łamignata pojęli w mig, że zbyt długie przebywanie w tym miejscu może dalece zaszkodzić ich zdrowiu albo i życiu. Widać to było wyraźnie we wrogich spojrzeniach miejscowych obwiesiów, zarośniętych jak odyńce, zaniedbanych i uzbrojonych po zęby w paskudnie się prezentujące szable i pałasze.

– Jakoś mnie głód odszedł – burknął Pchełek wsadzając natychmiast rękę pod kapotę i zaciskając palce na zdobycznej krasnoludzkiej sakiewce. – Idźmy stąd precz, byle szybko!

Pogodziwszy się z porażką, Buratarczycy wycofali się jak niepyszni na zewnątrz gospody, zamykając śpiesznie drzwi i ogradzając się nimi niczym tarczą asteriuszańskiego paladyna przed złymi spojrzeniami klientów.

– I co tera? – zapytał Trzęsikęsek. – Idziem do łodzi spać?

– Abo w łodzi abo gdzie pod dachem, bardziej chyba bezpiecznie będzie – dywagował na głos Gusłek. – Zjeść coś też by się zdało, co?

– Chyba pójdziem do łodzi, cooo? Tanio wyjdzie a i rano temu wielkodupemu intasenkowi zapłacić będzie trza – wtrącił się powtórnie Pchełek.

– Ano do łodzi. Strawa tam na nas czeka, trwonić srebrników nam nie wolno. Byłe tylko co do gęby włożyć, a i coby z nieba nic nam na łby nie kapalo – odparł Gusłek.





Rozdział X

Dowrót do właściwego pomostu zajął rybakom więcej czasu niżli wpierw sądzili, bo w gęstniejących ciemnościach poblądził i drogę wskazał im dopiero patrol straży miejskiej, złożony z podejrzliwych i mało życzliwych mieszańców wietrzających w osobach rybaków ani chybi przemytników albo zmierzających na robotę złodziei.

Przywiązane do pomostu łódki kołysały się leciutko na falach, ledwie widoczne w półmroku. Młodzieńcy pokonali szybkimi krokami opustoszały pomost, ześlizgnęli się do wąskich niewygodnych czółen z westchnieniami głębokiej ulgi. Od strony nabrzeża i położonego za nim Placu Karczemnego dobiegały odgłosy wieczornej zabawy, ale w cieniu portowych murów panowała kojąca zmysły cisza, przerywana jedynie pluskiem wody.

Gryzący rzepę Trzęsikęsek skrzyżował ręce pod głową i począł wodzić wzrokiem po roziskrzonym gwiazdami nieboskłonie, spozierając chwilami dla odmiany na rozświetlone wielkimi zniczami blanki Pałacu Katana, wyrastające ponad dachy stolicy.

– Coś wam rzeknąć muszę – powiedział po chwili cichym głosem. – Nic, a nic nie żałuję, że tu przypląnął, zły że jest za to, żeśmy nigdy wcześniej na taki pomysł nie wpadli.

– Męczywór nie pozwala – mruknął zawinięty w stary koc Gustek, leżący w sąsiedniej łódce, przywiązanej do czółna myśliwego za pomocą kilku sznurków.

– Męczyworowi ze starości wszystko się we łbie miesza – dodał bez cienia szacunku dla starszyny Zager, dłubiący w zębach drewnianą drzazgą w nadziei na usunięcie denerwującego go kawałka chlebowej skórki.

– I to istny kłopot jest, ludkowie moi mili – odparł nostalgicznie Trzęsikęsek. – Może to już czas, coby niektórym oczyska pootwierać, gnuśnego żywota oduczyć? Siedzimy w tym Burat-arze jak jakoweś ciołki wiejskie, ryby łowimy, a zboże młócimy i co z tego mamy? Tyle, co w gebę wsadzić, a reszta na daninę idzie, świńskim ryjom do mieszkań. Toć samiście widzieli, ilem dutków za te skórki zgarnął, a na dworze elejeta dużo mniej by mi za nie płacili! A sami je do Ostrogaru ślą, srebrem każą se płacić! A nasi ziomkowie, a rodziny biedę klepać do końca żywota będą.

– Ty już lepiej idź spać, Kęsek – burknął ostrożnie Pchełek, doskonale pamiętający bolesną chłostę, którą zebrał kiedyś na goły grzbiet za wyśmiewanie się z wioskowej starszyny. – Męczywór uszyska a oczyska wszędzie ma, jeszcze nam taką gadką kłopotu narobisz.

Myśliwy westchnął cicho w odpowiedzi, opatulił się mocniej kocem i zasnął niczym dziecko, zmęczony ponad wszelką miarę, ukołysany do snu cichym pluskiem wody.



* * *

Gusłek ocknął się pierwszy, jeszcze przed brzaskiem, obudzony nawoływaniem udających się na połów ostrogarskich rybaków. Początkowo ospały i nie do końca pewien, gdzie się znajduje, młody pomocnik kapłana z miejsca otrzeźwiał widząc nad sobą gnijące deski pomostu. Usiadł w łódce, wodząc wzrokiem po obu czołnach w poszukiwaniu czegoś niepokojącego, ale uspokoił się szybko, bo czwórka jego towarzyszy pochrapywała jeszcze pod kocami.

Portowa dzielnica pogrążona była w bladym świetle przedświt, ale pomiędzy zabudowaniami niosły się dźwięki coraz liczniejszych ludzkich głosów: robotnicy i marynarze ściągali do przystani gotowując się niechętnie na kolejny dzień znoјnej pracy. Od tafli wody ciągnęło zimnem, toteż Gusłek wślizgnął się głębiej pod koc, szcękając dźwięcznie zębami.

– Żeśta zaprawdę oszczędni ludkowie! – z wysokości pomostu dobiegł go rozbawiony głos grubego inkasenta portowego. Wielki urzędnik stał nad łódkami wodząc wzrokiem po obudzonych jego stwierdzeniem rybakach. – Mus mi z szefem gadać, coby zacząć po srebrniku brać za każdego, co to w łodzi nocleguje, bo to przecie równie wygodne jak w zajeździe, a za darmo.

Gusłek przyjął, że inkasent zażartował, bo jego jowialne oblicze przyozdobione było szerokim i szczerym uśmiechem.

– Panie, my tak ubodzy, że albo nam na bruku spać albo w łódce, a łódka bezpieczniejsza – mruknął pomocnik kapłana, trącając jednocześnie łokciem chrapiącego wciąż Łamignata.

– Ubodzy czy nie, opłatę trza uścić – klasnął w ręce mężczyzna na pomoście. – I tym razem bez upustów dla kapłanów Piana, bo nie dość, że mi twoje błogosławieństwo nic wielkiego nie przyniosło, to jeszcze baba pieczeń mi wczoraj spaliła na węgiel, grzbiet jej musiałem wygarbować dla rozumu przywrócenia. Sześć srebrników dawajcie, a bez ociągania.

– Skoro przypaliła jadlo, to obić babę należało. Wszak jak powiada stare przysłowie: „Jak się baby nie bije to jej wątroba gnije”. Ale skoro przemocy w chałupie własnej się wielmożny pan dopuścił, to błogosławieństwo Piana moc stracić musiało. Ale coby i nam błogosławieństwo nie wygasło, to nie zwlekając za uiszczanie leguraminu się bierzem – odparł z kwaśną miną Gusłek.

Kiedy Pchełek wyluskał już z sakiewki ograbionego niecznie krasnoluda srebrniki, a pogwizdujący pod nosem inkasent zabrał pieniądze i nakreśliwszy nowy kwit oddalił się drewnianym pomostem w stronę nabrzeża, piątka zziębniętych rybaków wylazła z łódek na deski, pojękując żałośnie i rozciągając zdrtwiałe mięśnie.

– Wszystko mnie boleje – burknął Trzęsikęsek spluwając siarczyście do wody. – W lesie mi chętniej nocować, a nie w łodzi, na runie człek może wygodne legowisko se namościć. Róbmy, co zrobić musimy, i wracajmy już do domu.

– Już za domem płaczesz? – zaśmiał się sikający do portowego basenu Zager. – Wczoraj z wieczora żeś się tak Ostrogarem zachwycał, a skoro świt inna śpiewka? Bardziej żałościwa? Bliższy ci zapyziały Burat-ar niżli stolica, gdzie na ulicach srebro leży?

– Bliższy mi suchy ką, miska ciepłej stawy i cycki Bławatki niżli spanie w łodzi, stara





rzepa i widok twojego fajfusa powiewającego na wietrze – odciął się z miejsca myśliwy. – A jak już o fajfusie gadka, schowaj go lepiej żwawo, bo jaka szczuka pomyśli, że to piskorzyk i jak z wody wyskoczy, będziesz potem rzewnie bęczał...

– Człek roztropny się na fajfusy nie siłuje, więc udam, że tego nie słyszał – Hogur zadarł demonstracyjnie nos, podciągając jednocześnie swoje portki. – Ale jedno ci rzeknąć muszę, cobyś nie myślał, żeś jest największy ogier w wiosce. Ja od dawna do siostry Bławatki zaglądam i zawsze mnie ochotnie do spiżarki zaciąga, a tyś ze dwa razy swoją dziewoję w stogu obrócił i to jej stykło, żeby się zaczęła za innymi oglądać, ot co! I kto tu teraz w fajfusie mistrzowny?

– O, zesz ty! – zdenerwował się nie na żarty Trzęsikęsek, zaciskając pięści i czerwieniejąc po twarzy. – Oj, pożałujesz ty za ten jęzor niewyparzony!

– Spokój! – Wtrącił się Pchełek stając pomiędzy ziomkami z rękami uniesionymi wysoko w górę. – Po gębach to się w domu będziecie prali, nie tutaj! We łbach wam się pokisiło? Miastowi się gapią z nabrzeża, a wy się o dziewczki chcecie wyklócać? I to o młynarzównę? Przecie ona każdemu daje na prawo i na lewo, sam nie tak dawno skorzystałem, po ostatniej potańcówce.

– Coś powiedział? – tym razem czerwień wystąpiła na sarkastycznie dotąd skrzywione oblicze Zagera. – Coś ty powiedział, łachmyto?!

– Jak się zaraz nie zamkniecie a po rozum do łbów nie pójdziecie, wszystko rzeknę Męczyworowi, Pan mi świadkiem! – podniósł głos Gusłek. – Niechby każdy tera łbem w ten pał wałał, a ze dwa razy, to chyba styknie, żeby wam złości upuścić, co? Idźmy do tego Kostropatego, słońce już widać, to pewnikiem kram swój otworzył. Niech gada, skąd wziął naszą łódkę, a potem zoczmy co dalej.

Maskacz i Trzęsikęsek nic nie odrzekli, obrażeni na cały świat, poszli pomostem przodem, ramię w ramię mimo tego, że chwilę wcześniej lać się chcieli po gębach. Pchełek zamykał pochód, przezornie schowany za szerokimi barami Łamignata, śmiejąc się w kułak z demonstrujących urażoną męską dumę ziomków.

Cała piątka wślizgnęła się w cień rzucany przez murowane portowe magazyny, zmierzając w stronę Placu Karczemnego i podpytując po drodze przechodniów o ulicę Powroźników.

Pokonawszy szybkimi krokami uliczki portowej dzielnicy, rybacy weszli na jeden z mniejszych placyków Placu Karczemnego otoczony zwartymi rzędami murowanych budynków. Gusłek nalegał co prawda, aby wszyscy udali się jak najszybciej do sklepu Kostropatego, ale widok zbitego tłumu mieszczan, włóczęgów i najemników sprawił, że nawet on przystanął w miejscu spozierając ciekawie na owo zbiegowisko.

– Co to się porobiło? – zapytał Łamignat kręcąc głową i wspinając się na palce.

– Wieszać będóm! – oznajmił Pchełek, który pierwszy rozpoznał znaczenie drewnianej konstrukcji wzniesionej pośrodku placyku, otoczonego gromadą ludzi. – Chodźta bliżej, chłopaki, a żwawo! Nigdy wcześniej wieszania nie widział, nawet na dworze elejata jak wydali na każdą tego truciciela z Mert-aru, co to jadem tyłu wieśniaków wytracił! Toż to będzie widowisko!





Korzystając z Łamignata jako taranu, młodzieńcy szybko wbili się w tylne szeregi gapiów, torując sobie drogę ku przodowi, gdzie dźwięk werbli zdradzał już rozpoczęcie egzekucji. Po kilku metrach ciżba zgęstniała już tak dalece, że rybacy utknęli w miejscu, dotarli jednak na tyle głęboko w ożywiony tłum, że doskonale widzieli poruszające wydarzenie.

Gapie tłoczyli się nie tylko na placu wokół poczwórnej szubienicy, wielu młodszych i zwinniejszych wspinało się na parapety i wykusze pobliskich kamienic, inni wyglądali z okien na piętrach śląc pod adresem skazańców mało wybredne okrzyki i ciskając w nich śmieciami, głównie nadpsuta żywnością.

Oprócz kata w czarnej masce oraz jego pomocników na podeście stał też bogato odziany ork noszący czerwoną szarfę i wielki kapelusz przyozdobiony farbowanymi ptasimi piórami. Grupa żołnierzy w łuskowych zbrojach i z włóczniami w rękach tworzyła okrąg wokół szubienic, odgradzając miejsce kaźni od napierających do przodu gapiów, żadnych krwi i dających temu wyraz hałaśliwym zachowaniem.

– Patrzajcie tamoj, prowadzą zbrodzeniów! – Łamignat zaczął pokazywać palcem grupkę zrozpaczonych, wrzeszczących coś nieskładnie nieszczęśników o skrępowanych za plecami rękach, wleczonych przez żołnierzy na podest. Czterej pierwsi z nich, wszyscy bez wyjątku mężczyźni o dość bandyckich gębach, zostali przemocą postawieni na niskich drewnianych stołkach, katowscy pomocnicy założyli im zaś na szyje zwisające z szubienic pętle.

– Zgodnie z wolą sądu ogłaszam wyrok! – oznajmił we wspólnej mowie ork noszący czerwoną szarfę, bez wątpienia jakiś urzędnik. – El Hebrat z Ata-aru, skazany na śmierć za morderstwo członka cechu! Szyklic z Ostrogaru, skazany na śmierć za zabójstwo strażnika miejskiego! El Bodbek z Ostrogaru, skazany na śmierć za nieobyczajne zachowanie wobec szlachcianki! El Ochłyst z Ostrogaru, skazany na śmierć za obrazę boskiego majestatu Katana!

Werble zagrały donośniej, zagłuszając swym warkotem okrzyki tłumy. Sami skazańcy też coś próbowali wrzeszczeć, ale ich eskorta zapobiegliwie wsadziła każdemu nieszczęśnikowi w gębę starą szmatę, toteż mogli jedynie jęczeć żałośnie i toczyć wokół przerażonym wzrokiem.

Kat przeszedł wzdłuż rzędu wyprężonych na stołkach nieszczęśników wykopując z zawodową wprawą oparcia spod ich nóg. Tłum punktował zgodnym rykiem każde opadające w dół ciało, gwizdząc przeraźliwie, kiedy jeden ze skazańców uniknął złamania karku i zaczął wierzgać dziko nogami ku uciesze gawiedzi. Na znak urzędnika, dwaj katowscy pomocnicy doskoczyli do wybaluszającego oczy człowieka i uwiesili się na nim, doprowadzając do szybkiego uduszenia.

– Decyzją sądu kara śmierci dla Wydryzka i Mrukla ze Slo-aru nie jest dość zaśadna, toteż została zaostrzona! – zakrzyknął urzędnik, kiedy tłum uspokoił się troszeczkę. – Obaj oskarżeni dokonali kradzieży mienia świątyni Seta! Niniejszym nie zostaną powieszani, lecz oddani w ręce kapłanów Boga Węży, aby ci uczynili z nimi cokolwiek wedle swej woli!

Dwaj inni skazańcy, stojący dotąd w paraliżującym lęku przed schodkami wiodącymi na podest szubienicy, zaczęli się nagle rzucać szaleńczo i kopać swych strażników, bo spośród ciżby





rozstępujących się szybko mieszczan wychyły sylwetki w powłóczystych czarnych szatach z kapturami. Wysłannicy świątyni pochycili więźniów pod ramiona, wywlekli ich pomimo dzikiego oporu poza plac nie odzywając się przy tym słowem.

– Wola boskiego Katana została wykonana! Możecie się rozejść! – oznajmił ork w kapeluszu kiwając ręką dowódcy eskorty i schodząc w dystyngowany sposób z podestu szubienicy.

– Rozejść się! Rozejść się! – krzyknął oficer. – Słyszeliście słowa oskarżyciela! Rozejść się!

– Pójdziem po łódź, ale co, jak za naszych obwiesi trza będzie jakiś okup czy co takiego zapłacić? – głośno myślał Pchełek. – Może lepiej tego Kostropatego odwiedzim, hę? Nie upieram się, tak se tylko głośno miarkuję. – Swoją drogą ciekawym wielce co ci kapłani Seta robią skazańcom, że ci chyba stryczek wolą od igraszek z nimi. – Młodzieniec przełknął niepewnie ślinę. – Swoją drogą całkiem mi ten jeden naszego Maskacza z postury przypominał.

Oglądając się co chwila w stronę widocznej w dole uliczki szubienicy i dyndających na niej wisielców, poruszeni egzekucją rybacy zmierzali szybkim krokiem po brukowej kostce chcąc się znaleźć jak najszybciej na ulicy Powroźników.

A przynajmniej niektórzy z nich.

– Czekałta – odezwał się nagle Gusłek, wstrzymując towarzyszy w połowie kroku. – Cosik mi do łepetyny wpadło, co ważkie może być a zasadne. Może nam lepiej by do pana Tarriha teraz poleźć, co? Jakaśmy w grosiwo zasobni, to wykupmy łódkę, coby nam jej ktoś sprzed nosa nie sprzątnął. A jak już nasza będzie, to się wtedy ze spokojnymi głowami do Kostropatego udamy o Krzesimira i Sękacza wypytać. Co wy na to?

Trzęsikęsek poprawił przewieszony przez plecy kołczan, podrapał się po rozczochranej głowie.

– Masz ty łeb nie od parady, Gusłek – oświadczył po chwili namysłu. – Mus nam wpierrw po łódkę iść, bo ktosik ją odkupić może, prawda to. A potem do Kostropatego.

– Bo ja wiem... – smarknął pod łapcie Pchełek, nieco rozdarty w obliczu konieczności zmiany planu. – A jak dutki na łódkę wyłożymy, a potem nam zabraknie, coby tych dwóch obwiesiów z długów jakowys wyciągnąć albo innej zbytkowej opresyi? Czym za nich zapłacimy jak wpierrw dutki na łódkę pójda?

– A może po łódce od razu do Burat-aru nam lepiej? – odezwał się jeszcze bardziej milkliwy jak dotąd, a przy tym bardzo podeksycytowany sceną wieszania Maskacz. – O Krzesimira i Sękacza aż tak bardzo mi nie idzie, narobili se kłopotów, to niech se radzą sami, a weale bym się nie zdumiał jakby łódkę przepili i nogę dali ze srebrem starszyny. A my za nimi jak głupi łazimy, a czas ucieka. W dwa dni mieliśmy wrócić.

– Jakaśmy tu już som, jeden dzień więcej nas nie zbawi, a powrotem do wioski to ja bym się tak bardzo nie zamartwiał – odparł Trzęsikęsek. – Męczywór i tak nas po stopach będzie całował jak zobaczy, ile ziarna przywieziemy, toż to kłopot będzie wszystko wysiać, bo pola zabraknie, ani chybi trza będzie kawałek puszczy wykarczować pod zasiew.





– Prawda – pokiwał smętnie głową Pchełek, Łamignat zaś aż pokraśniał po twarzy pojmując, że szykuje się robota, którą z racji swej krzepy uwielbiał: wyręb lasu.

– I to mi myśl inszą jeszcze zesłało – powiedział ostrożnym tonem Gusłek. – Widzieliście te stragany na targowiskach, z narzędziami? Toć nasze stare topory, a piły prawie całkiem wyszczerbione, rdza je trawi. Jak przyjdzie drzewa rąbać, a korzenie wytargiwać, a konary piłować, siódme poty będziemy z siebie wylewać z tym złodem.

– Ku czemu zmierzasz, brachu? – zapytał Trzęsikęsek, chociaż po części domyślał się już, co pomocnik kapłana chciał mu przekazać.

– Mus nam Krzesimira i Sękacza znaleźć, choćby przez srebro, co osadzie są dłużni. Męczywór rzekł przecie, że jeśli się złodziejstwa dopuścili, mamy mu ich prawe dłonie przywieźć. A ja tak sobie miarkuję, że jakby te czterdzieści srebrników odzyskać, a kupić za nie siekiery albo piły albo młoty i kliny do pniów rozszczepiania, toby nas starszyzna pod niebiosa wychwalała, bo przecie w wiosce wszytkiego pospołu brakuje, a narzędzi tutaj dostatek, a piękne i mocne, że ho ho, samiście przecie widzieli.

– Po mojej myśli to czas jeszcze na trwonienie grosiwa – zaśmiał się niepewnie Trzęsikęsek, ale Gusłek widział, że jego propozycja dała łowcy do myślenia. – To szukajmy wpierw tego Tarruha, a żwawo, bo dzionek szybko leci.

Zaczepiwszy kilku mieszczan pytaniami o drogę, rybacy zostali odpędzeni w niemiły sposób, przez co doszli w końcu do wniosku, że ich lichy przyodziewek i kiepskie maniery w mieście tak światowym jak Ostrogar utrudniają życie ubogich gości z prowincji w niepomiernym stopniu.

– Może nam mus łapcie a kapoty zmienić? – zastanowił się na głos Pchełek. – Po trochu to i prawda, tak se myślę. Patrzajcie tam, na tego obwiesia z miską, co pod murkiem siedzi. Żebak ani chybi, a na moje oko lepsze ma łachy od nas. Nie dziwota, że nas miejscowi gonią a kułakami karcą, boć my w ich oczyskach istne łachmyty, co nie?

– Boć to som miastowi – zadarł lekko nos Gusłek, nie do końca przekonany do własnych słów. – Mnie tam moje portki a kapota bliskie, bo mi je kuzynka pięć roków temu z okładem jako prezent dała i bardzo se je cenię. Lepszy przyodziewek własny, a cerowany niżli nowy, a cudzy, kupny.

– Wiedział, co powiedział – zaśmiał się niewesoło Zager. – Pewnikiem to filozofija Żłopa, co? Lepiej pięć lat kapotę na grzbiecie nosić, a dutki na młode wino wydawać niżli nową kupić.

– Jakbym na tobie nową widział, to bym słowem nic nie rzeknął, ale łat nosisz na portkach tyle samo, co i ja, to widać, że cię Trzewiskręt do miastowej mody też nie za bardzo przyuczył. – odciął się natychmiast Gusłek.

– Cichajta – syknął nagle Trzęsikęsek, wskazując palcem nadchodzącą z przeciwka grupkę strażników miejskich. Wszyscy byli pod mieczami, chociaż nosili też drewniane pałki i kordelasy. Myśliwy westchnął cicho porównując swą niewprawnie wyprawioną i mało elegancką skórnię do ich ewiekowanych kurtkowych zbroi i nasadzonych na głowy kapalinów.





– Pany wielce szanowne, poratujcie w potrzebie – Trzęsikęsek zwrócił się do najbliższego ze strażników, międląc ręce w geście skrajnej bezradności. – Mus nam na ulicę Pelikanów, przy Srebrnej Przystani, kupiec szanowany tam na nas czeka, a my zblądzieli.

– Jakoś mnie to nie dziwuje, kmiotku – odrzekł z wyrazem wyższości w głosie mężczyzna, wywołując lekkie uśmieszki na twarzach towarzyszy. – Idźcie za ten róg, a potem uliczką prosto w dół na garbarnię, traficie choćby i po zapachu, pewnie wam znajomy będzie, a nosom miły. Za garbarnią w lewo, a potem dalej o drogę pytajcie.

– Dzięki, wielmożny panie oficerze – Trzęsikęsek zgiął się w niskim ukłonie, starannie skrywając swą złość na konieczność płaszczenia się przed miastowym żołdakiem. – Łaska bogów z tobą.

– I rzepa Ci w rzyć... – mruknął pod nosem Pchełek.

* * *

Dotarcie na ulicę Pelikanów zajęło rybakom dłuższą chwilę, bo mimo instrukcji strażnika i tak jeszcze dwa razy poblądzili, zagubieni w gmatwaninie ulic i uliczek, po których miastowi poruszali się z porażającą kmiotków wprawą. Na domiar złego podróż opóźniał cały czas Łami-gnat, co rusz przystający to tu, to tam z zamiarem przyjrzenia się czemuś zadziwiającemu: raz kutej misternie rynnice, raz pracującemu na zewnątrz warsztatu tkaczowi dywanów, kiedy indziej zaś grupce grających w jakąś grę uliczników.

– To musowo tutaj będzie – mruknął Pchełek, wskazując na trzypiętrowy budynek, który chwilę temu opisał mu drobiazgowo jakiś zażywny jegomość o lśniącej w blasku słońca łysinie. – Te drzwi tam.

Trzęsikęsek pchnął po chwili namysłu ciężkie drewniane drzwi i wkroczył z niepewną miną do wyłożonej kamiennymi płytkami sali pełnej przepierzeń tworzących niewielkie kantorki pi-sarczyków.

– Ejże, gdzie pod bronią leziesz?! – jakiś rosły drab w liberii oderwał się od podpieranej przez siebie ściany i ruszył z szeroko rozłożonymi rękami w stronę myśliwego. – Bron do depozytu trza, nie lza samopas tu z nią łązić!

– Po co te krzyki? – mruknął pojednawczo Trzęsikęsek. – My nietutejsi, nie znamy obyczajów. Jak tak trza, to trza. Chłopy, dawajta ościenie a noże, szanowny pan chce je Depozytowi pokazać. A ten Depozyt tutaj urzęduje?

Drab westchnął w odpowiedzi w sposób nie licujący wcale z jego odstręczającą aparycją, bez słowa pozbierał wręczone mu przez Burataczyków potencjalne narzędzia zbrodni.

– A czego wy tutaj szukacie? – zapytał uporawszy się z tym zadaniem i wsadzając rybackie ościenie pod pachy.

– Jak to faktoria pana Sahaala czy jakoś tak się zwał, to tak – odparł Gusłek rewanżując się mało przyjaznym spojrzeniem licznym skrybom spozierającym w stronę rybaków ze swoich kantorków. – My do pana Tarriha, co łodziami rybackimi handluje.





– Tamtymi schodami na górę, na piętro – wskazał drogę strażnik. – Włochacz, pozwól no tutaj, petenty do pana Tarriha przyszli, zaprowadź ich na miejsce.

Jakiś młody chłopak w uboższej wersji liberii strażnika podbiegł bez słowa do rybaków, skinął im ręką dając do zrozumienia, że mają się za nim udać.

Gusłek rozglądał się bacznie po faktorii, szczególnie przyglądając się przyodziewkom pracujących w niej ludzi. Od rozmowy z Zagerem kwestia ich odzienia chodziła mu ciągle po głowie.

“Wszystkie ludzie miastowe tak pięknie poubierane łązą, może warto było stare łachy na jakoweś nowsze zamienić? Inwestycję poczynić, na kolejnych parę років byłby spokój. Bo stare kapota i portki już jako z sieci zrobione wyglądają, więcej odkrywają niżli zakrywają, a zadek mi na wierzch wyłazi, prawie jako księżyc w pełni przez owe dziury świeci. A wioskowi to by się tak dziwowali, jak nas w nowiuśkich ciuchach by obaczyli, że gały im wszystkim by na wierzch powylizały” – zadumał się rybak.

Doprowadzeni na pierwsze piętro i wprost pod drzwi biura pana Tarriha, rybacy nie zostali zaszczytzeni ani jednym słowem zadzierającego nos otroka, co Gusłkowi dało jeszcze bardziej do myślenia, Trzęsikęska zaś znacznie wzburzyło. – Rzekłby kto, każdy miastowy lepszym się miarkował od gościa z prowincji, choćby w Ostrogarze jeno drzwi innym otwierał a buty czyścił.

Kupiec Tarrih pisał coś gęsim piórem na wielkiej karcie papieru, ale na widok klientów kłasnął ukontentowany w dłonie i poprosił ich ruchem ręki, by podeszli bliżej dużego drewnianego biurka.

– Tak szybko w mych progach? Doskonale, lubię robić interesy z ludźmi, którzy wiedzą, czego chcą. Jak mi niemam, wciąż interesuje was ta łódka, o której rozprawialiśmy wczoraj na przystani?

– Tak, panie złoty – skłonił się Pchełek. – Bardzośmy nią interesowni i dutki też mamy nazykowane, to teraz nic, tylko kupczyk.

– Pięć złotych, pewnie pamiętacie – uniósł znaczącym ruchem swe pióro Tarrih. – Zdobyliście tyle gotówki?

Zager postąpił bez słowa krok do przodu, spojrział na Pchełka. Wspólnie wyłuskali z sakierek stosowną sumę, piętrząc monety na wielkiej kupce rosnącej pośrodku blatu biurka. Półork przyglądał się temu z zadowoloną miną, nic nie mówiąc, licząc w zamian w pamięci kolejne dodawane pieniążki.

– Doskonale – powtórzył, kiedy ostatnia moneta wylądowała z metalicznym trzaskiem na wierzchu kupki. – Proszę, oto akt nabycia łodzi. Doskonały interes, to świetna łódka.

– Wiemy, szanowny panie – odparł nieco cierpkim tonem Trzęsikęsek. – Dobrze nam wiadomo jak ona świetna, boć to nasza własna, wioskowa, pomagaliśmy przy jej budowie.

– No tak... oczywiście. – Jeśli nawet Tarrih zmieszał się pod wpływem sarkastycznej uwagi myśliwego, nie dał po sobie nic poznać. – Gdybyście kiedy się przymierzali do zakupu innych





łodzi a żeglarskiego osprzętu, serdecznie zapraszam w me progi, zawsze się jakoś dogadamy.

– Dzięki, szanowny panie – powiedział Gusłek zabierając z rąk kupca papierowy rulon będący poświadczeniem zawarcia transakcji. – Jak tylko w potrzebie będziemy a przy dulkach, pewnikiem do was zajrzemy, ani chybi.

Pozostali rybacy wymamrotali pod nosami słowa pożegnania, po czym wszyscy wycofali się za próg biura. Tarrih zdawał się o nich zapomnieć nim jeszcze wyszli za próg, zgarniał bowiem zarobione pieniążki do metalowej kasetki, pogwizdując z zadowoleniem pod nosem.

Cofając się w pamięci po własnych śladach, młodzieńcy zeszli na parter faktorii, gdzie drab w liberii oddał im bez słowa pobraną wcześniej w depozyt broń.

– I co tera? – spytał Pchełek odprowadzając wzrokiem jakiegoś zamożnie odzianego mieszczanina, który stapał środkiem ulicy wiodąc na łańcuchach dwa wielkie i robiące groźne wrażenie psy o lśniącej czarnej sierści. – Do tego handlarza, co łódkę Tarihowi sprzedał?

– Tak – potwierdził skinieniem głowy Trzesikęsek. – Wypytamy go, co wie o Krzesimirze i Sękaczu. I nie róbtą takich min nieszczęśliwych, boć przecie prawie wszystko my już tu załatwili. I ziarno kupione, a ile nadto! I łódka odzyskana! Starszyzna będzie z nas dumna. Łamignat, zostaw tego patyka! Coś z nim robić miarkował?

– Pieskom chciałem rzucić – zmieszał się osilek, który korzystając z nieuwagi towarzyszy wykręcił ze stojącego obok dwukołowego wózka jedną drewnianą szprychę i podrzucał ją z zawiadacką miną w dłoni spoglądając na mieszczanina z psami.

– Jeszcze cię bogowie pokarzą za te kielbie we łbie – sarknął myśliwy, odbierając siłaczowi szprychę i wrzucając ją czym prędzej za wózek. – Ruszaj za mną, a na krok się nie oddalaj, bo jeszcze jakowego kłopotu nam narobisz.







Rozdział XI

Wędrówka brukowanymi ulicami wydawała się ciągnąć bez końca, chociaż piątka rybaków wcale na nią nie narzekała: drugi dzień pobytu w Ostrogarze budził w nich podobnie głębokie oczarowanie jak pierwszy, atakując wszystkie zmysły Buratarczyków mrowiem niebywałych wrażeń. Guslek przystanął na chwilę przed lśnącobiałym frontonem jednej ze stołecznych świątyni Dagonina, wlepił oniemiały wzrok w odlany z kruszcu wizerunek wielkiego złotego smoka rozpościerającego skrzydła nad przepięknie rzeźbionym wejściem do sanktuarium.

– Oj, nie stójże tak jak kolek – burknął w końcu Trzęsikęsek, chociaż majestat świątyni i na nim wywarł ogromne wrażenie, zwłaszcza wielkie marmurowe statuy świętych i męczenników dagonińskiego kościoła ustawione po obu stronach wiodących ku wejściu schodów. – Oczyska tak wytrzeszczasz, że aż głupio patrzeć, każdy miastowy od razu pozna, żeś kmiot i prostak, co nic w życiu nie widział.

Przywołany do porządku Guslek przełknął głośno ślinę, po czym podreptał za swymi towarzyszami, oglądając się wszelako co chwila ponad ramieniem. Piękno dagonińskiej świątyni odebrało mu mowę, toteż myśliwy pozostawił kapłańskiego pomocnika Żłopa w spokoju i trącił łokciem idącego obok Pchełka.

– Patrzaj, znowu jaki chory! – Trzęsikęsek wycelował palec w zbliżającą się środkiem ulicy lektykę o delikatnych półprzezroczystych zasłonach, za którymi oszołomione spojrzenia dostrzegły zarysy splecionych w miłosnym uścisku trzech ciał. – Ja nie mogę, toć to widzicie?!

– Ja chcę do tego medyka! – sapnął Pchełek łapiąc się za głowę. Kiedy niesiona przez czterech odzianych jedynie w biodrowe przepaski półolbrzymów lektyka minęła grupkę młodzieńców, ci stanęli w miejscu z szeroko otwartymi ustami. – Taka terapija musowo z wszystkiego leczy! Widzieliście? On tam miał dwie dziewoje, całkiem голуśkie! Jedna mu między nogami klęczała, a druga siedziała na gębie! Jak on chory był, to ja chcę do tego samego znachora!

– Na chorego to on nie wyglądał – burknął sarkastycznie Zager. – I nie gapię się tak na nich, boć to możny musi być pan, żeby na obyczajność sobie bimbać na oczach wszystkich! Oj, wielce to światowe miasto ten Ostrogar. Coraz bardziej mi do gustu przypada.

– Łamignat, ostawiesz ten dzban! Jeszcze co potłuczysz i kto za to zapłaci? – myśliwy oderwał w końcu spojrzenie od oddalającej się lektyki, przeniósł wzrok na osiłka i zdretniał na całym ciele. Jego dobroduszny kompan wlaź pod nieuważę ziomeków między wystawione na skraju uliczki półki z glinianymi naczyniami i zaczął się im przyglądać z miną znawcy, kręcąc łokciami niebezpiecznie blisko bez wątpienia drogich garnców. – Chodź tu natychmiast!



Skaranie boskie z tobą!

– My teraz w tę czy w tamtę musimy? – spytał Maskacz stając pośrodku skrzyżowania dwóch uliczek i rozglądając się w obu kierunkach.

– Chyba tamoj – myśliwy pokazał ręką w stronę prawej uliczki, opadającej łagodnie ku następnemu placykowi, gdzie gromada hałaśliwych przechodniów tłocznie napierała na jakieś stragany i kramy. – Tam, gdzie te krzykaczki się tak pienią.

Przystanąwszy na skraju placu rybacy ponownie poczuli się urzeczeni, tym razem pożerając wzrokiem gromadę najmitów różnej rasy, a nawet płci, przechadzającą się pomiędzy zastawionymi bronią straganami, na których zbrojmistrze i płatnerze krzykliwie zachwalali swój towar.

– Patrzajcie na te łuki! – dał się ponieść euforii Trzęsikęsek, dopadając w kilku skokach wystawy łuczarza i wodząc wzrokiem po jego wyrobach. – Refleksyjny ciężki, ależ pięknisty! Co za łączysko! Po ile toto, mości panie?

– A osiemdziesiąt złotych, chłopcze – uśmiechnął się promiennie bezzębny stary łuczarz. – Jesteś pewien, że cię nań stać? Przyodziewek niekiedy oczy mydli, alem złych przecuć, jeśli o twą wypłacalność idzie, niestety. Starego łuku w rozrachunek nie biorę.

– Oj... ech... – zauroczony myśliwy poklepywał się chaotycznie po kieszeniach, po omacku szukając czegoś, co mógłby korzystnie spieniężyć – Chwila jedna...

– Osiemdziesiąt złotych to jest tyle, ile na oczy nie widziałeś – syknął mu do ucha przerażony ceną Gusłek. – Choćbyś Łamignata w niewolę sprzedał a łódkę Krzesimira, połowy tego nie nazbierasz. Chodź stąd lepiej, a szybko, bo ci ten łuk całkiem w łepetynie pomiesza.

Pociągnąwszy myśliwego za rękaw skórzni, Gusłek rozglądał się jednocześnie bacznie za Łamignatem, który znów gdzieś polazł bez pytania o zgodę.

– Tam jest, truteń jeden – powiedział z irytacją Maskacz, wskazując na stojącego obok grupy żołdaków ziomka, wymachującego z rozanieloną miną kolczastą maczugą słusznych rozmiarów. Jego nieporadne ruchy budziły powszechnie rozbawienie, toteż najmici rechotali donośnie trącając się przy tym znacząco łokciami.

– A rzucić nią potrafisz? – zapytał jeden z nich zaczepnym tonem, wysławiając się na cudzoziemską modłę i śpiewnie kończąc wypowiedane we Wspólnej Mowie słowa. – My na Gutumguru ciskamy takimi wekierami na pięćdziesiąt kroków i to tak celnie, że gołębia z gałęzi strącić potrafimy. Dasz ty radę?

– Nie wiem – osilek pokręcił bezradnie głową. – Mus mi Trzęsikęska spytać, czy mogę.

– Chędożyć Trzęsikęska! – wrzasnął donośnie inny cudzoziemski najemnik, rosty mąż w czarnej brygantynie i misiurce na głowie. – Broń honoru Orkusa, kmiotku. Widzisz tamten wóz? Ciśniesz wekierą tak, że kolce w niego wbijesz, dostaniesz ode mnie pieniążek. A jak nie trafisz, oddasz te parchate łapcie i kapotę, w samych portkach precz pójdziesz. Chcesz się spróbować?

Kilku żołdaków zaczęło klepać Łamignata po plecach, głośno zachęcając go do podjęcia





wyzwania i wyraźnie doskonale się bawiąc z żartów strojonych kosztem lekko ociężałego umysłowo wieśniaka.

– Łamignat, jeśli nie chcesz dalszą drogę paradować nago, choć lepiej i daruj sobie zakłady. I lepiej się od tej pory nas pilnuj, bo już nawet nie chce mi się głowy odwracać, coby sprawdzić czyś się gdzieś nie zawieruszył – zaoponował Trzęsikęsek.

– Ostawta go w spokoju, pany. Nie widzita że umysł ma dziecka? Chodź Łamignaś! – dodał Pchełek.

– Cichajcie! Kmioty, dajcie spokój druhowi! – nie dawał za wygraną najemnik w czarnej brygantynie. – A ty rzucaj, młody, bo wszyscy na ciebie patrzą!

Łamignat spjrzał raz jeszcze na dzierzoną oburącz wekiere, ciężką, nabitą metalowymi kolcami. Zmierzający w jego stronę Pchełek poczuł zimny dreszcz wyobrażając sobie jak może wyglądać ciało człowieka zdzielonego tego rodzaju bronią. Płowowłosy Buratańczyk podniósł rękę chcąc złapać osiłka za rękaw i wyciągnąć go spomiędzy grupki roześmianych wojaków z Gutum-guru.

Zrobił to zbyt wolno. Łamignat podjął nagle decyzję, zaskakująco szybko jak na swe standardy, wyrzucił obie ręce za głowę biorąc potężny zamach z myślą o posłaniu maczugi wprost w obrany za cel dwukołowy wózek. Lecz nie znając wcale wręczonej mu podstępnie wekiery nie złapał za jej opleciony rzemieniem uchwyt, tylko za koniec gładkiej rękojeści, który pod wpływem zamachu wyślizgnął mu się nagle z ręki.

Ciężka maczuga poleciała stromym łukiem w tył, nad głowami schylających się żołdaków, wprost na uchylną ściankę straganu, o którą jakiś zbrojmistrz poopierał rozliczne włócznie, hablabardy i glewie. Całe to żelastwo zważyło się na bruk z ogłuszającym hukiem, budząc popłoch wśród przechodniów i atak wściekłości właściciela.

Dopiero po krótkiej chwili, kiedy hałas zelżał odrobinę, odkryto, że nieszczęsny ów incydent miał znacznie poważniejsze konsekwencje niż tylko zdemolowany stragan. Przechodzącą z drugiej jego strony grupka zaciężnych żołnierzy ledwie uszła spod lawiny ostrej stali, jeden z nich został zaś dotkliwie zraniony ostrzem włóczni, które rozdarło mu głęboko przedramię.

– Który kurwi syn to zrobił?! – wrzasnął jeden z towarzyszy poszkodowanego, krótko ostrzyżony młody mężczyzna o twardych rysach twarzy, odziany w kunsztownie plecioną kolczą koszulkę. – Zaczepki szukacie, chamy niemyte?!

– Hola, hola, obwiesiu – najemnik w brygantynie ujął się groźnie pod boki, postąpił krok do przodu pośród gniewnych pomruków ziomek. – Bacz na swe słowa, bo ci inaczej kto jeżor przytnie! Nie lza zwać kmiotami innych komuś, kto sam pewnie właśnie co z puszczy wylazł!

– Z Wysp Kupieckich pewnikiem, co? – młodzieniec w kolczudze położył prawą dłoń na mieczu. – Poznać od razu po prostackich manierach. Wiedz zatem, że mówisz do Tan Olendera, wasała księcia Zachodniego Osmundu! Spuść z tonu, a znacznie, albo ci zaraz gębę wyplazuję!





Gusłek próbując wykorzystać powstałe zamieszanie i przepychanki słowne zbrojnych, skuliwszy się nieco, ściszym głosem rzekł do towarzyszy:

– Czmychajmy stąd, byle wartko. Zaraz tu do bitki pewnikiem dojdzie, a ja bym nie chciał oberwać jako ten wojak przypadkiem włócznią po ramieniu. Czmychajmy powiadam, zanim się zorientują, bo jak ze sobą skończą, to za nasze uszy wziąć się gotowi. Chodu...

– Nie sposób się nie zgodzić... Łamignat, mam ochotę cię tu zostawić... – dodał równie cicho Trzęsikęsek.

Złapawszy Łamignata za odzienie pozostali rybacy poczęli go odciągać czym prędzej od wzburzonych i krewkich żołdaków, natychmiast jednak zastąpił im drogę właściciel zniszczonego straganu, krępy i zarośnięty niczym niedźwiedź człowiek o wykrzywionej gniewnie twarzy.

– Ten wielki narobił szkód! – ryknął zbrojmistrz potrząsając trzymaną w prawicy drewnianą łagą. – Broń mi potępił, ostrza wyszczerbił! On jest winien wszystkiemu!

– I nie tylko zniszczeniu twego mienia, dobry człeku – szlachetnie urodzony Olender przestał przez chwilę spojrzeć gniewnie na najemnika z Gutum-guru, przeniósł swój wzrok na Łamignata. – On utoczył krwi jednemu z moich ludzi, choćby i przypadkiem, a jednak utoczył. Gunter, co z nim zrobimy?

– Utnę kmiotowi jaja! – wycedził przez zęby zraniony w przedramię najemnik, równie młody mąż w koleczej koszulce podobnej do tej noszonej przez Olendera. – Nauczę chłystka porządku!

Nim zmartwiony Gusłek zdążył cokolwiek powiedzieć, szcęk stali obwieścił pojawienie się znacznie poważniejszych kłopotów. Broczący krwią Osmundczyk wyciągnął z pochwy miecz i uniósł obnażone ostrze wygrażając nim Łamignatowi.

– Nie daj się ponieść nerwom! – Olender położył dłoń na ramieniu wzburzonego druha. – Kara adekwatna do winy. Obetnij mu jedno ucho, to wystarczy.

Osmundzki najemnik zrobił krok w stronę Łamignata i jego zdrewniałych towarzyszy, wówczas jednak drogę zastąpił mu żołdak w czarnej brygantynie. Gunter nie odezwał się do niego słowem, nie spróbował zawalidrogi obejść – zamiast tego jednym błyskawicznym ciosem pięści dzielił przybysza z Gutum-guru prosto w nos, łamiąc mu go z donośnym trzaskiem.

– Ty psie! – zawył zalewający się krwią mężczyzna wyszarpując z pochwy własny miecz. – Bić psubratów, bić!

Na placyku przed przewróconym straganem wybuchło pandemonium krzyków i poszczękiwania stali. Kilkunastu najmitów z Osmundu i Gutum-guru rzuciło się sobie nawzajem do gardeł, zapominając o prawie i zdrowym rozsądku, dając zaś upust tłumionej dotąd, a wzajemnej niechęci. Potrącony przez nie wiadomo kogo Trzęsikęsek poleciał w bok na jakieś beczki, zgiął się wół czując nagły paroksyzm bólu wywołany zderzeniem z twardą przeszkodą. Kiedy tylko odwrócił się w miejscu szukając w wszechobecnym chaosie towarzyszy, do gardła skoczył mu jakiś kędzierzawy Osmundczyk o przekrwionych oczach. Maskacz próbował przyjąć myśliwe-





mu z pomocą, ale sam zarobił pięścią w ucho i zatoczył się szerokim łukiem po bruku upuszczając przy okazji oścień. Pchełek skoczył czym prędzej za Łamignata, przywołując do siebie i Gusłka, ponieważ dzięki słusznym rozmiarom osilek nie został jeszcze zaatakowany, a w jego oczach pojawiał się powoli dziki blask, który sprawiał, że żadna ze stron jakoś nie zebrała się na odwagę, by go wziąć w obroty.

Pomocnik kapłana ruszył w ich stronę, lecz na jego drodze znalazł się znieenacka jakiś żołdak pełznący na czworakach i plujący kawałkami wybitych zębów.

– Bić psubratów, bić! – po placu niosły się przeraźliwe okrzyki najemników.

Młodzi rybacy postanowili jednak nie poddać się beznadziejnej, w ich ocenie, sytuacji.

– Łamignat, wal przodem, w tamtą ulicę! – wrzasnął zdesperowany Pchełek, pchając osiłka przed sobą oburącz i kopiąc z rozpędu w brzuch jakiegoś klęczącego na bruku najemnika. – Maskacz! Gusłek! Do mnie!

Kapłański pomocnik przesadził wielkim susem pełznącego po ziemi i plującego krwią żołdaka, złapał w biegu oścień Zagera i jego samego pod pachę, pociągnął za sobą z całych sił. Instruowany przez Pchełkę Łamignat przebijał się już przez tłok i ścisk walczących ze sobą ludzi, tłukąc na prawo i lewo pięścią oraz drewnianą pałką, zwalając z nóg każdego nieszczęśnika, który miał pecha znaleźć się zbyt blisko zdenerwowanego olbrzymia.

Jakiś wojak rzucił się na Maskacza, ale Gusłek podciął mu natychmiast nogę swoim drągiem i niedoszły pogromca Hogura padł jak długi na brzuch, rzucając w ślad za uciekinierami plugawe wyzwiska.

– Tam, szybko! – rybacy wydostali się z opresji pomimo licznych siniaków i zadrapań, kierowani okrzykami Pchełki w uliczkę sprawiającą wrażenie wyludnionej i bezpiecznej. Za ich plecami niosły się krzyki walczących najemników oraz dźwięk kościanych gwizdków strażników miejskich, którzy przez chwilę przyglądali się całemu zajściu z ogromnym zainteresowaniem, teraz jednak zaczęli przywracać na placu porządek za pomocą własnych pałek oraz bizunów.

– Za tę szopę – wydyszał Pchełek, oglądając się za siebie desperacko. Nikt za uciekinierami nie pędził, jako że na placu wciąż pozostawało dostatecznie wielu przeciwników, których nie trzeba było wcale gonić.

Schroniwszy się w cieniu niskiego zadaszenia jakiegoś magazynu dwie uliczki dalej, rybacy przykucnęli pod ścianą cuchnącego rybami budynku. Gusłek rozejrzał się po twarzach swych kompanów, mokrych od potu, o otwartych szeroko i łapiących z trudem powietrze ustach.

Lodowaty paroksyzm grozy ścisnął serce nowicjusza potwornymi cęgami odbierając mu na chwilę dech.

– Gdzie jest Trzęsikęsek? – wyszeptał zbielełymi wargami.

Zager i Pchełek wstrzymali oddechy spoglądając na siebie wstrząśniętym wzrokiem, jedynie Łamignat nie zareagował w żaden sposób na słowa poprawiając sobie spadającego ze stopy łapcia.





W pędzie szaleńczej ucieczki nikt nie zauważył, że gdzieś w tyle zgubił się uwikłany w biatykę myśliwy.

Zgubił się albo wcale nie opuścił placyku, powstrzymany przez swego zawziętego przeciwnika.

– O kuźwa... – pozwolił sobie zakląć szpetnie Pchełek. – Maskacz, może ja wleżę na daszek, sprawny w tym jestem, wujcio Mendek mawiał, że łążę po drzewach lepiej niż samica fretki, którym goni napalony rosomak – a ty mu wyczaruj jakom pomoc coby mu się udało wydostać się z opasji! – Nie czekając na odpowiedź, młodzian zaczął włązić na pobliski daszek. – A kamieniem też rzucić celnie umiem! – dodał, nie przerywając wspinaczki.

Zager spojrział na Pchełkę powątpiewającym spojrzeniem, ale wzruszył zaraz ramionami dając złodziejowi do zrozumienia, że postara się pomóc.

– Złaż i chodź, ty kudłata samico fretki – burknął Hogur podwijając rękawy swej kapoty i ujmując mocniej wręczony mu przez Gusłka oścień. – Tylko łepetyny nie wystawiaj niepotrzebnie na widok, bo styknie nam jednego druha z opresji wyciągać, dwóch w łkach toby już była katastrofa.

Kapłański pomocnik chrząknął niespokojnie, przyciągając z miejsca czarne oczy Maskacza.

– A ty siedz tutaj spokojnie i pilnuj Łamignata – rzucił suchym tonem czarownik. – Dość nam już kłopotów narobił, łapserdak skończony! Nigdzie się nie ruszajcie, cobyśmy zaraz was szukać nie musieli!

Obaj rybacy potruchtali ostrożnie w kierunku porzuconego chwilę wcześniej w popłochu placyku, dokładając wszelkich starań, by nie wyróżniać się spośród coraz liczniej wychodzących na uliczkę mieszczan, wywabionych z domów odgłosami niecichnącej wcale biatyki.

– To te najemne zbiry znowu się za łby wzięły – dowodził jakiś jegomość w eleganckiej kamizeli i z metalową laską w dłoni, ani chybi przedstawiciel fachu kupieckiego. – Niechby straż paru z nich powiesiła, od razu reszta poszłaby po rozum do głowy.

– A jak ich wieszać jak tam podobno co drugi szlachetnie urodzony?! – zachnął się starszy wiekiem mężczyzna o wyglądzie rzemieślnika. – Cudzoziemskie szlachetki na piędzi ziemi i z jednym wołem, a tutaj obnoszą się z tytułami jak niemalże hyrtany!

– Jak wieszać szlachetnie urodzonych, Oswaldzie? Toż to proste, ich się nie wiesza, tylko ścina – klasnął w dłonie rozbawiony tą perspektywą kupiec. – No i patrzajcie, nie miałem racji?

Wyglądając ostrożnie zza pleców mieszczan rybacy ujrzeli gromadę najemników zapędzanych w kąty i rozbrajanych przez strażników miejskich. Wielu leżało pokotem na bruku, krwawiąc z rozbitych nosów, trzymając się za brzuchy lub dochodząc do siebie po głuszającym ciosie pałką miejskiego strażnika. Paru wciąż jeszcze stawiało bezmyślnie opór, opędzając się przed stróżami prawa jakimiś porwanymi ze straganów drzewcami. Sami strażnicy wyraźnie tracili już cierpliwość, bo kolejny z opornych awanturników został solidnie skopany ich ciężkimi butami zaraz po skrepowaniu grubym sznurem. Maskacz doskonale rozumiał powód ich frustracji,





ponieważ w ferworze walki również kilku strażników oberwało po grzbietach, a jeden z nich związał się na bruku trzymając się za krocze i wyjął potępieńczo.

Hogur przeskoczył na wielką drewnianą skrzynię przysłaniającą piwniczne okienko kamienicy, przykucnął na niej szukając wzrokiem Trzęsikęska.

Myśliwy klęczał na bruku prawie u wylotu uliczki, na wyciągnięcie ręki czarownika. Musiał zostać dopadnięty w ostatniej chwili, zbity z nóg, przytrzymany przez przeciwnika dostatecznie długo, by i jednym i drugim zainteresowali się strażnicy. Najemnik leżał nieprzytomny, z rosnącym guzem na czaszce. Trzęsikęska przytrzymywali dwaj stróże prawa: jeden wykręcał mu do tyłu ręce, drugi wiązał je rzemieniem odpychając jednocześnie butem zdarty z pleców więźnia kołczan z łukiem i strzałami.

– Hogur, umiesz ty jakie takie czary zrobić cobym mógł pobiec i tego ćwoka zaciągnąć do naszej kryjówki? – zapytał niepewnie Pchełek.

Maskacz nic nie odrzekł w pierwszej chwili, kucając na pokrywie skrzyni i obserwując zmrużonymi oczami wydarzenia rozgrywane się na ryneczku. Podnoszeni z bruku najemnicy wiązani byli niczym bydło i zaganiani do szeregu pilnowanego przez uzbrojonych w pałki i chętnie z nich korzystających strażników. Grupa zaciężnych wojaków, którzy roztropnie w bitce nie brali udziału domagała się gromkimi okrzykami uwolnienia swych ziomeków, zwalając winę na przeciwników i wyzywając ich od parszywych prowokatorów. Kilku oficerów straży, wszyscy ludzie czystej krwi, w skórznicach, pod mieczami i w hełmach z białymi kitami, rozmawiało z właścicielami straganów z bronią oraz z przywódcami najemnych band, bez wątpienia zbierając stosowne zeznania.

– Powiesić paru dla przykładu – powtórzył swą propozycję kupiec z metalową laską. – Choćby tego tutaj, obszarpańca w łapciach. Łuk miał przy sobie, znaczy się, żaden z niego szlachcic, z dybów się nie wykupi. Parę ulic stąd zbrodzeniów dzisiaj wieszali, niechby kat i dla nas przysługę zrobił.

Pochwycony pod ramiona Trzęsikęsek stanął na nogach, uwięziony pomiędzy dwójką trzymających go mocno strażników.

– Miłosz, bierzcie tego nieprzytomnego na nosze! – zawołał jeden z nich w stronę najbliższych towarzyszy, kopiąc dla wskazania leżącego nieruchomo osmundzkiego rębacza. – Docucić suczego syna nie sposób, chyba za mocno zebrał po łbie!

– Chwila, zaraza! – odkrzyknął Miłosz, dociskając do bruku razem z parą innych strażników szarpiącego się dziko żołnierza w czarnej brygantynie, bryzgającego krwią płynącą ze złamanego nosa. – Wpierw tego tutaj trza poskromić!

Na niedawnego żartownisia z Gutum-guru posypały się ciężkie razy, wymierzone ćwiekowanymi rękawicami i drewnianymi pałkami.

Zager spojrział porozumiewawczo na Pchełka, ściskającego w rękę oścień i oblizującego nerwowo spierzchnięte usta. Czarownik szybko analizował w myślach hipotetyczny rozwój





wydarzeń na ryneczku w razie swojej interwencji, niezbyt mu się jednak podobały wnioski, do których doszedł. Trzęsikęsek i jego dręczyciele byli zaledwie kilka metrów dalej, ale ich z kolei dzieliło jedynie kilka metrów od trójki strażników tłukących nadal stawiającego opór najemnika w brygantynie. Odbicie myśliwego było możliwe, lecz wymagało błyskawicznego działania: trzeba go było wyzwolić z uścisku strażników, uwolnić z więzów i czym prędzej pociągnąć w boczną uliczkę, w gęstniejący tłumek gapiów i zbawczą płataninę zaułków, w których ewentualny pościg szybko mógł ulec zniechęceniu.

Maskacz nie wiedział dokładnie jakie kary przewidywało ostrogarskie prawo za podniesienie ręki na strażnika miejskiego, ale domyślał się, że nie było to bynajmniej dziesięć dni w ciemnicy o chlebie i wodzie. Rok wcześniej Zager był razem z Trzewiskrętem w stnicy straży drogowej kilka mil od Burat-aru, z wywarami leczniczymi dla koni. Młody Hogur miał wtedy sposobność przyjrzeć się losowi wędrownego barda, który odmówił poddania się kontroli, a w porywie złości uderzył swą lutnią jednego ze strażników. W stnicy stacjonował oddział złożony wyłącznie z orków, a oni nigdy nie słynęli z pobłażliwości. Nagi i pobity do nieprzytomności człowiek został rozkrzyżowany na ubitym dziedzińcu stnicy, przywiązany za ręce i nogi do drewnianych kołków i pozostawiony w takim stanie na kilka dni na słońcu i nocnym chłodzie, bez kropli wody.

– Maskacz, mus nas coś działać – szepnął ponaglająco zdenerwowany do granic możliwości Pchełek.

* * *

Kiedy Zager i Pchełek oddalili się śpiesznym krokiem w głąb brukowanej wąskiej uliczki, Gusłek westchnął głęboko, a potem spojrział z wyrzutem na wciąż ściskającego swą palkę Łamignata.

– I coś narobił, poćpiego? – zapytał z wyrzutem nowicjusz, kiwając przy tym z żalem głową. – Toć nam tu mało kłopotów a trosk Pian zesłał na utrapienie, żebyś i ty jeszcze psocił? Po coś łapał za tę maczugę? Ech, pięty ci ponacinać a solą posypać, może byś po rozum do łepetyny wreszcie polazł!

Łamignat oderwał wzrok od łopoczącego na wietrze kolorowego prania, wywieszonego w poprzek ulicy na wysokości pierwszego piętra, przeniósł rozkojarzone spojrzenie na Gusłka.

– Toć zem zrobił, co kazali – odparł z rozbrajającą szczerością, wzruszając przy tym ramionami. – Tatuńcio zawsze powiadali, zem na łebie szwankujący i że muszem słuchać inszych, nie? A tamten czarny pieniążek mnie chciał dać, toć by się tatko ucieszył jakbym taki do dom przyniósł.

– Pieniążek, pieniążek! – sarknął Gusłek. – Tera ani pieniążka ani Trzęsikęska, a jak dalej broił będziesz, to jeszcze gorsze nas tarapaty czekają!

Dotknięty do żywego ostrymi słowami nowicjusza, osilek zrobił rozżaloną minę, a w oczach zalśniły mu łzy.





– Już dobra, dobra – zachnął się Gusłek. – Taki chłop wyrośnięty, a mazać mi się tu będziesz? Przystań beczeć, ludziska na nas spojierają.

– A ten co, beczy? – za plecami Gusłka rozległ się czyjś na poły rozbawiony, na poły podejrzliwy głos. Nowicjusz zerknął przez ramię, zrobił z wrażenia okrągłe oczy. Środkiem uliczki nadsięgnęła dziesiątka strażników miejskich, zmierzających widocznie na ryneček, gdzie wciąż dogasała bitka. Dowodzący nimi podoficer podszedł do siedzących pod magazynem ryb młodzieńców, zdziwiony widać niecodzienną miną buratarskiego olbrzyma. Reszta stróżów prawa minęła obu rybaków obojętnie, idąc szybkim krokiem w stronę odległego o dwie ulice placyku, wprawnie przeciskając się pomiędzy schodzącymi im śpiesznie z drogi mieszczanami.

Gusłek przełknął głośno ślinę uświadamiając sobie, że dziesiątka straży najpewniej zaraz nieświadomie przetnie drogę ucieczki Maskacza i Pchełka, nie mających o niebezpieczeństwie jeszcze żadnego pojęcia i dumających zapewne gorączkowo nad sposobem uwolnienia Trzęsi-kęska.

– Coś taki cichy, he? – zapytał strażnik. – Ozór ci kołkiem w gardle stanął? Bo żeś niemowa, w to nie uwierzę, toć żem słyszał jakieś na tego drugiego pokrzykiwał. Dziw nad dziwy, taki wielki chłop, a beczy jak panienka. Wszystko u niego dobrze z pomyślunkiem?

– Miłościwy panie, my proste rybaki, zwady nie szukamy, a tuśmy w sam środek jakowychś porachunków jak śliwka w kompost wpadli. Ani nam w głowie bitki, my tu po ziarno przybyli, a tu co krok to tarapaty. Zbrojne pany do gardeł se skoczyli, a jeden taki, co całą burdę wszczął, to czmychnął. A czmychnąwszy pierwej mego słabującego na umyśle a strachliwego wielce kamrata przeraził, że aż rozpląkał się biedaczysko. A tamten łobuz to – o, tam – poleciał – Gusłek wskazał palcem w stronę przeciwną do kierunku całego zamieszania mając nadzieję, że odwróci to nieco uwagę zbrojnych. – Łapajta bandziora, dopiero co nogę dał, jeszcze go capniecicie jak się uwiniecie, ale na chyżego wyglądał, to mus wam pędem biec, wielmożny panie.

– Jeden był albo więcej? – zmarszczył czoło sierżant, gwizdnięciem osadzając w miejscu swoich podkomendnych. – I jak wyglądał? Broń miał?

– Wielki i wredny z gęby, że olaboga! – Gusłek wznosił ręce ku niebiosom przybierając jednocześnie trwożny wyraz twarzy. – Jam jest zwykły świątynny posługacz mości panie, toć nic to dziwnego, że mnie przeląkł ten drab, na pewno bezbożnik. Nóż miał abo co większego to było, już nie pomnę, a ślady na nim krwawe zoczyłem, aż pósoka kapąła. Uciekał na złamanie karku, toć pewne, że coś miał na sumieniu, zbrodzień jeden!

– Dobrze, dobrze, już się tak nie lękaj, w dobreś ręce trafił. – Sierżant podniósł pięć palców, a potem wskazał dłonią wylot bocznej uliczki, w której zniknął rzekomy uciekinier. Pięciu najbliższych strażników zawróciło natychmiast w miejscu, podbiegło do podoficera otaczając go ciasnym półkrygiem. – Duży, wredna morda, z kosą w łapie, najpewniej ubrudzoną posoką. Tam pobiegł. Sprawdźcie ulicę do dwóch skrzyżowań w głąb, bo nie chcę, żeby mi przypadkiem kogoś dźgnął po drodze.





Strażnicy odczepili od pasów swe okręcone rzemieniami pałki i pobiegli bez zbędnych słów we wskazanym kierunku, uważnie się rozglądając na boki.

– Pomagier świątynny, powiadasz? – zadumał się sierżant. – I obaj żeście tacy strachliwi, że jeden obwieś z nożem was o dreszcze przypawił. Oj, miętcy jesteście jak dziewczynki. A jakiej ty świątyni służysz, przyjacielu, skoro rybacki oścień przy sobie nosisz i po co ci ten drag, hę? Pomiarkuj sobie, iż nie zapytuję z czystej ciekawości, tylko ze służbowego obowiązku, bo tu się ostatnio kręciło paru łachmytów, co ryby z magazynu kradli.

– Panie złoty... – załamał ręce Gusłek, układając śpiesznie w myślach w miarę składną, a przy tym do szczętu fałszywą historyjkę. – Jam rybak przyjezdny, zza Jeziora. Skromny pomocnik w świątyni Piana, takiej małej, wioskowej, cztery deski na krzyż i ołtarzyk. Z ziomkami żem przypląnął, bo ziarno, owce a kozy mielimy kupić, coby z wełny i mleka dziesięcinę u elejata spłacić. A żem pierwszy raz tutaj, tom sobie pomiarkował, że mus mi jakie miastowe świątynie pooglądać, bo przyjezdni w naszej wiosce zawsze prawią, jakie to bogate i dostojne przybytki w Ostrogarze. Reszta wiary na targowiskach się kręci, owcom w pyski zagląda, a kozy za cycki ciąga, a jam wziąłem tego oto druha, co lekko na umyśle słabowity, coby skorzystać z okazji, a wszystko pięknie se na własne oczyska obejrzeć.

– Dobra, dobra, kmiotku, aż tak dokładnie nie musisz się spowiadać – machnął uspokajająco ręką sierżant. – Daj pozór na przyszłość, by się nie wciągnąć w jaką paskudną opresję, a jak pomocy będziesz potrzebował, to straży wzywaj, nie próbuj na własną rękę sprawiedliwości dochodzić, bo to nie prowincja, tu się prawa przestrzega i wedle niego postępuje. Bywaj i niech cię bogowie mają w swych łaskach.

– Wielkie dzięki, szlachetny panie i błogosławieństwo Piana z tobą – wyjąkał Gusłek patrząc jak podoficer macha ręką na pozostałych czterech strażników każąc im podjąć marsz w stronę ryneczku.

Gusłek odczekał, aż piątka strażników oddali się nieco, nie do końca ufając ich przyjaznemu, chociaż nieco protekcyjalnemu zachowaniu. Miastowi byli dziwnymi ludźmi, do których należało podchodzić w sposób ostrożny i podejrzliwy, a że nowicjusz był z natury człowiekiem podejrzliwym, stawiał w zaistniałej sytuacji na podwojoną ostrożność.

Lecz jego obawy okazały się nieuzasadnione. Grupka stróżów prawa oddalała się równym krokiem, by w pewnej chwili przejść w trucht, bo od strony nie tak odległego ryneczku buchnęła nagle dzika wrzawa ludzkich głosów.

Gusłek otarł prędko łzy kapiące z oczu przejętego Łamignata, po czym wymierzył mu tęgiego kuksańca.

– Przestań się mazać, bo do twego tatka pójde a wszystko wygadam, skórę ci wygarbuje na pewnik!

Uspokoiwszy nieco rosnącego kompana, nowicjusz złapał go czym prędzej za rękaw i powłókł w pobliską uliczkę, dość pustawą i opadającą pod lekkim kątem w dół, ku dzielnicy portowej.





Dwaj Buratarczycy nie dostrzegali nigdzie śladu swych nieszczęsnych towarzyszy, a że Gusłek za nic w świecie nie potrafił wymyślić jak im przyjść skutecznie w sukurs, uznał, że bezpieczniej będzie wziąć nogi za pas i to szybko. Lada chwila przy magazynie z rybami mogli się pojawić nie Maskacz, Trzęsikęsek i Pchełek, tylko zgraja żądnych pomsty za rozbite nosy miejskich strażników, a Gusłek nie chciał ryzykować ponownej rozmowy z niecie oszukanym sierżantem. Młodzian nie wiedział, co ostrogarska straż miejska zwykła robić ze złapanymi na gorącym uczynku kłamcami i nie zamierzał tej wiedzy zdobywać własnym kosztem.

Starając się iść spokojnym krokiem i dając z siebie wszystko, by nie sprawiać podejrzanego wrażenia, nowicjusz ciągnął za sobą stąpającego opornie Lamignata zmierzając w kierunku dzielnicy portowej – założył bowiem, że rozdzieleni nieoczekiwanie członkowie buratarskiej ekspedycji wpadną na podobny pomysł i ściagną w poszukiwaniu zaginionych druhów do tego samego miejsca, co Gusłek i Lamignat.

Do kołyszających się przy portowym pomoście czółen, którymi cała piątka przyplłynęła poprzedniego ranka do stolicy.







Rozdział XII

Ignorując poszeptywanie Pchełka, Maskacz sięgnął do przewieszzonego przez ramię tobołka, wyciągnął z niego czym prędzej niewielkie krzesiwo. Żaden z buratarskich rybaków nigdy się z tym przedmiotem nie rozstawał, bo też nikt nie wiedział, czy któregoś dnia kapryśna aura nie sprawi, że burza wyrzuci go na jedną z licznych wysepek rozsianych wzdłuż wybrzeża Wielkiego Jeziora, a wtedy ogień stawał się równie cenny jak niezbędny do obrony ościń. Dziką głuszę na północ od rozległego wodnego zbiornika zamieszkiwały różne drapieżniki, zarówno lądowe jak i wodne, ogień zatem stanowił pierwszą linię obrony przed ich głodnymi zakusami.

– Cóż to chcesz zdziałać, ognisko rozpaścić? – zdumiał się cichaczem Pchełek. Zager nic nie odrzekł, ściskając krzesiwo w dłoni i uważnie szacując wzrokiem dzielącą go od Trzęsikuska odległość. Trzymany za ramiona myśliwy stał na bruku z opuszczoną smętnie głową, spozierając z ukosa na swój porzucony opodal kołczan. Dwaj trzymający go strażnicy zaczęli się powoli niecierpliwic, ale nie odstępowali od nieprzytomnego. Osmundczyka, podejrzewając być może, że ten tylko udaje swą niedowładność, gotów zerwać się z ziemi i dać drapak na widok ich odwróconych pleców.

Nie czekając już dłużej młodzian zeskoczył zwinnie z drewnianej osłony piwniczki, podnosząc jednocześnie kołnierz swej kapoty tak, by materiał przesłonił mu dolną część twarzy aż po nos. Pokonał błyskawicznie połowę drogi dzielącej go od trzymających Trzęsikuska strażników, kiedy jeden z zaniepokojonych gapiów podniósł larum na widok trzymanyh w rękach Hogura przedmiotów.

– Dajcie pozor! On coś ma, łachmyta! – rozdarł się jegomość o aparycji kupca wsparty na swej metalowej lasce. – Pewnikiem co niebezpiecznego!

Zaalarmowani okrzykiem mieszczanina stróże prawa odwrócili natychmiast głowy w stronę źródła hałasu, dostrzegając idącego szybko w ich stronę człowieka o twarzy przesłoniętej improwizowaną maską.

– Stój! – krzyknął jeden z nich, drobny blondyn o kręconych włosach i niemiłej twarzy. – Ani kroku dalej!

Maskacz zatrzymał się natychmiast, lecz miast zastygnąć w bezruchu, przypadł na jedno kolano wyciągając przed siebie obie ręce. W jednej trzymał otwarty woreczek z cienkiej tkaniny, w drugiej zaś krzesiwo. Na oczach nie rozumiejących zbyt wiele, ale podejrzewających już kłopoty strażników czarownik uderzył krzesiwem z całej siły w brukową kostkę, krzesząc wielki snop iskiei, z których spora część wpadła do wnętrza woreczka.





Łatwopalny proszek zajął się momentalnie ogniem, strzelając przy tym niczym świąteczne kapiszony odpalane co roku na dworze elejata ku uciesze gawiedzi. Dociskając kołnierz do nosa czarownik cisnął woreczkiem wprost pod nogi puszcających myśliwego i łapiących za palki strażników. Gęstniejące w ułamku chwili kłęby dymu ogarnęły natychmiast całą trójkę, przesłaniając ich postacie rozrastającą się nienaturalnie szybko chmurą. I więzień i jego strażnicy zaczęli kaszleć, łapiąc się za gardła. Wstrzymując oddech Hogur zanurzył się w dym łapiąc za odzienie Trzęsikęska i ciągnąc go z całej siły w stronę zbawczej uliczki.

Obserwujący całe zajście przechodnie zaczęli wrzeszczeć wniebogłoso, alarmując resztę zajętych tłumieniem bójki strażników.

Pchełek wiedział, że nie ma na co czekać. Od jego reakcji zależało być albo nie być jego kompanów. Podjął się próby przekrzywienia tłumu i chyba zaczęło mu to wychodzić.

– Luuuuuuuuuudzieeee, olabogaa, co sie dziejee, za nami bogatego pana z dutków ograbili, cała skrzynia dutków na ulice jak kamyki sie sypiee, booogateeeegooo ograbili, same zło-too i diamentyyy, zbierają wszystkoo i na krzywdy nie patrzą! Złotaaa tyle zem jeszcze nie widział! A strażniki odganiają, tylaaa bogactwa, że kto dobrze nachwyta wielmożą będzieeeeee!!! Biegnijtaaaa, bogactwa innym odmawiają i kijami walą, a dutków się sypiee, aż tuu sływchać brzęk monet – wrzeszczał Pchełek ile sił w płucach, syjąc resztkami monet z sakiewki. – Lećta póki sami wszystkiego nie powybiorają! Kto bogaty w tamtą stronęeee!!!! – wrzeszczał Pchełek pokazując za siebie.

Dziki okrzyk Pchełka oraz charakterystyczny, nie dający się z niczym pomylić brzęk spadających na bruk monet wywołały natychmiastową reakcję tłumu. Nędzniej odziani miastowi, z wyglądu ubodzy mieszczanie, przyjezdni biedacy lub zwykłe niebieskie ptaki, runęli czym prędzej na kolana próbując wybierać jak największą ilość sypiących się po ulicy pieniędzy. Stłumione przekleństwa tych, którzy pojęli, iż mają do czynienia jedynie ze skąpą ilością srebrników utonęły i tak w gwarze podniesionych głosów, bo krzyceć zaczęli również zamożniejsi gapie, którzy nie zamierzali się po monety schylać, bardzo im natomiast zaczęło zależeć na szybkim wycofaniu się ze skotłowanej dziko ciżby, gdzie i łatwo było upaść pod czyjeś nogi i stracić w zamieszaniu sakiewkę.

Maskacz i Trzęsikęsek wbili się z rozpędu w ten tłumek, torując sobie drogę bezwzględными ciosami pięści. Zażywny jegomość z metalową laseczką, który chwilę wcześniej tak gromko domagał się powieszenia myśliwego, teraz sapnął jedynie głucho i zwałił się pod nogi innych przechodniów, niechcący dzielony przez Trzęsikęska łokciem prosto w nos. Myśliwy kaszlał wciąż strasznie, nieopatrznie wciągnąwszy w płuca wielki haust powietrza przesiąkniętego gryzącym dymem, dzielnie jednak parł do przodu nie mając zamiaru drugi raz wpadać w ręce Ostrogarczyków.

Z tyłu do uszu trójki rybaków dobiegały niespokojne okrzyki i dźwięki służbowych gwizdów miejskiej straży. Pchełek stanął na palcach, podskoczył w miejscu spoglądając w głąb





uliczki wiodącej pod magazyn ryb, poczuł lodowaty dreszcz na plecach widząc nadbiegających z drugiej strony, zdejmujących już z pasów pałki strażników. Było ich ledwie czterech czy pięciu, ale młody złodziej nie robił sobie złudnej nadziei na przebicie się gwałtem przez grupkę stróżów prawa.

– Droga odcięta! – krzyknął do Maskacza, popychając jednocześnie jakiegoś parobka, który padł na brzuch podcinając jednocześnie swego towarzysza. Sam Pchełek zarobił w tym samym momencie w ucho od jakiegoś zbrojnego w łagę żebraka próbującego wyciągnąć mu spod buta monetę, a cios był na tyle silny, że złodziejowi aż zadźwięczało w głowie.

Zager przykucnął ponownie na bruku, chociaż tym razem sporo ryzykował, bo w dzikiej ciżbie ktoś mógł go łatwo stratować. Uderzony krzesiwem bruk trysnął jaskrawymi iskrami, podpalając drugi wyciągnięty z tobołka woreczek sproszkowanego dymnego ziela.

– Chodu! – potrącony przez kogoś czarownik zgubił krzesiwo, ale nie miał czasu, aby go szukać pośród poruszających się szaleńczo ludzkich nóg, z których każda mogła go zaraz zdzielić prosto w głowę albo przydeptać boleśnie dłoń. Cisnąwszy przed siebie dymiący woreczek, Hogur skręcił w niewiarygodnie ciasny zaułek, ciemny, pełen śmieci i odpadków, ciągnący się pomiędzy dwoma postawionymi w odległości metra kamienicami. Oddychający boleściwie Trzęsikęsek i Pchełek wpadli w wąskie przejście tuż za czarownikiem, depcząc mu po piętach, pozostawiając w tyle stłumiony nagle ścianami budynków zgiełk i wrzawę.

– Mój łuk! – wycharczał nagle myśliwy, spluwając pod nogi gęstą flegmą. – Mój łuk!

– Chędożyć twój łuk! – warknął Pchełek. – Ciesz się, że łeb masz na karku! Wróćmy do wioski, to se procę zmajstrujesz albo oszczep wyciosasz z konarka, a teraz biegnij, a żwawo!

Pokonawszy zaułek, ubrudzeni od kurzu, pajęczyn i kocich odchodów rybacy wypadli znieacka na sąsiednią ulicę, prosto w środek idących większą grupą kamieniarzy o uwalonych białym pyłem fartuchach.

– Patrzaj jak leziesz, jelo pie! – wrzasnął jeden z nich, niemal potrącony przez Zagera.

– Gdzie teraz? – sapnął Trzęsikęsek przecierając piekące wciąż od dymu i łzawiące mocno oczy.

– Nie umiesz Maskacz jakim czarem wykryć gdzie to Łamignat z Gusłkiem przeherą som tera? Takie czary czynisz żeby się Męczywór zadziwił – pół żartem, pół serio rzucił Pchełek, spodziewając się, że aktualnie dotarcie do kompanów może być utrudnione, a jednocześnie licząc na Gusłka, że siebie i Gnasia z tak niebezpiecznego miejsca będzie potrafił wyostać.

Hogur nic nie odparł w pierwszej chwili, puszczając pytanie Pchełka koło uszu w charakterystyczny dla siebie i częstokroć irytujący jego druhów sposób. Zaskoczeni nagłym pojawieniem się ubrudzonych niemilosiernie włóczęgów kamieniarze wymienili między sobą jeszcze kilka niezbyt pochlebnych dla obcych komentarzy, po czym pociągnęły całą grupą w stronę pobliskiego placu budowy, oglądając się co jakiś czas podejrzliwie za siebie.

Spotkanie z nimi nie za bardzo było Maskaczowi w smak, bo nie dość, że robotnicy obej-





rzeli sobie dość dokładnie jego twarz – kaptur spadł czarownikowi z głowy w trakcie szaleńczej ucieczki i młodzian nie zdążył go sobie naciągnąć na czas na czoło – to jeszcze w pamięć musiał im zapaść charczący jak chory na dychawicę niedźwiedź Trzęsikęsek. Ani Zager ani Pchełek nie ucierpieli na szczęście od oparów dymnego ziela, inaczej bowiem całą grupkę pognanoby pewnie kopniakami i kijami precz w obawie przed zarażeniem się jakąś dziwną, a przy tym ani chybi okropną chorobą płuc.

– Wszystkie dutki my przetracili – jęknął z rozczarowaniem Pchełek, który mimo dzięki ucieczki nie wypuścił z dłoni pustej już krasnoludzkiej sakiewki. – To nas ta caluśka wyprawa coraz więcej kosztuje, coraz to mniej do domu przywieziem.

– Nie masz co jęczeć – odpowiedział Maskacz rozglądając się jednocześnie pilnie w obu kierunkach. – Przecie sam żeś rzeknął, że te pieniądze ukradłeś, to cię teraz bogowie pokarali. Łatwo przyszło, łatwo poszło.

Z ciemnego ciasnego przejścia dobiegły znieznacka podniesione ludzkie głosy, świadczące o tym, że ktoś jednak wykrzesał z siebie dość werwy, by pójść śladem uciekinierów.

– Wiejemy! – rzucił Maskacz ruszając pędem w dół uliczki, opadającej pod łagodnym kątem gdzieś w stronę dzielnicy portowej. – Szybko, tam skręcimy, za rogiem!

Jakaś tęga mieszcza pisnęła zadziwiająco wysokim tonem, kiedy trzej oberwańcy przemknęli obok niej, a jeden z nich nakaszłał na drogi płaszcz kobiety, ale nie zdążyła zdzielić żadnego z nich laską, tak szybko czmychnęli w stronę portu.





Rozdział XIII

Dopiero na przystani Gusłek zdał sobie sprawę z okropnego błędu, jaki popełnił i wielce się strapił.

– Łamignasiu, toć my z oczu stracilim naszych kamratów. Jak im się czmychnąć z tej wrzawy udało, to dobra nasza, pierwej czy potem, ale do nas tu przyliżą. A jak im jakowaś krzywda się stała? A jak w zbrojnych łapy wszyscy we trzech, jak jeden wpadli? A jak w inszą stronę pobiegli i drogę nazad zgubią, to gdzie nam ich szukać będzie? Oj, głupim jest, Łamignatku, głupim. Ale tera to już za późno, jak podpłomyk po wieczery. Czekać nam jeno ostało. Czekać i Piana prosić, coby drogę najkrótszą ku nam im wskazał.

Szczerze podłamany swą pochopną decyzją Gusłek siedział na skraju pomostu ze spuszczonej ku tafli wody nogami, z rozpaczą dumając nad nieznanym losem kompanów. Podjęta w ferworze dramatycznych wydarzeń decyzja leżała mu teraz ciężko na sercu, bo czuł się odpowiedzialny nie tylko za pochlipującego jeszcze chwilami Łamignata, ale też pozostałych członków wyprawy.

Osilek siedział na pomoście tuż obok, szybko zapominając o przykrych doznaniach i zabawiając się w liczenie zdechłych szczurów unoszących się na powierzchni brudnej wody – ponieważ jednak potrafił liczyć jedynie do pięciu, niezmiennie musiał zaczynać swą zabawę od nowa.

– Wiesz ty, matolku jeden, że ci czasami szczerze zazdroścę – powiedział w końcu nowicjusz. – Nie masz ty kłopotów takich jak inni, mało co cię obchodzi, żyjesz jako ta sikorka albo borsuk. Byle tylko mieć co do gęby włożyć a gdzie lepetynę do ziemi przyłożyć, nie cię więcej nie troska... – prowadził z namaszczeniem monolog Gusłek wciągając w płuca cieszące go zawsze zapachy przystani wodnej.

– Cztery... – oznajmił z namaszczeniem Łamignat, celując palcem w wyjątkowo tłustego szczura, podskakującego na falach z wyprężonymi do góry łapkami.

Gusłek westchnął ciężko, zapatrzył się na osadzoną głęboko w wodzie handlową kogę, która sunęła powoli szerokim portowym kanałem ciągnięta w stronę otwartych wód jeziora przez cztery pojące się w łodziach wiosłowe obsady.

– Pięc... – powiedział Łamignat wypatrzywszy następne utopione zwierzątko.

– Miast pozwolić mu szczury liczyć, wyślij go lepiej na jedną z tych łodzi – za plecami nowicjusza rozległ się nagle rozradowany głos Pchełka. – Wszystkie my dutki postradali w tej opresyi, sam jeden na nas wszystkich nie zarobię, pomiarkujcie to sobie. Wiosłować umi za czterech, pewnikiem coś by tam zarobił, choćby jeno na piwo wieczorkiem.

– Na Pana Uciech, caliście i bez szwanku?! – Nowicjusz zerwał się na równe nogi ściskając





swych towarzyszy, w tym nawet Zagera, którego na co dzień nie zwykł traktować z podobną wylewnością. – Nikt was nie złapał?

– Dobrzyśmy w nogach – zaśmiał się Pchełek.

Maskacz usiadł z westchnieniem ulgi na deskach pomostu, zaraz potem wyciągnął się na nich jak długi. Zamknawszy oczy odpoczywał po pełnej nerwów ucieczce rozkoszując się zapachami rozsiewanymi w pobliżu, które podobnie jak Gusłkowi wydały się teraz miłą odmianą.

– Łuk straciłem – jęknął powtórnie Trzęsikęsek. – Kurwie syny mnie złapały, a już prawie w uliczce byłem. Ten cudzoziemiec mnie przytrzymał, pomór na niego i jego bydło! Taki dobry łuk miałem! Strzały też szlag trafił!

– Nie martw się byle łukiem – Gusłek uściśkał ponownie myśliwego. – Jak do wioski wrócimy, procę se zmajstrujesz albo oszczep zrobisz – odparł podobnie jak Pchełek wcześniej, tylko z większą życzliwością młodzian.

– Co wy z tą procą? – zdenerwował się Trzęsikęsek. – Co ja, z procą na jelenia pójdę? Szaleju żeście się objedli?

– W ciżbie ktoś go w głowę musiał zdzielić, krztynę mu teraz łepetynka szwankuje. – Pchełek mrugnął porozumiewawczo do nowicjusza. – Jak odpocznie, to mu ten żal za łukiem przejdzie.

Myśliwy nie odrzekł nic więcej, zeskoczył z pomostu do czółna, zaczął przetrząsać swój skromny dobytek.

– Dutki przepadły, ale kwitunki chyba macie, co? – zapytał złodziejasek. – Coby się zara nie okazało, że ziarna i łodzi też już nie mamy.

Szybka kontrola dobytku wykazała, że obydwaj pokwitowania wciąż pozostawały w posiadaniu rybaków, toteż tym razem wszyscy rozsiedli się wygodnie na pomoście, pogryzając znalezione w czółnach kalarepki i rozkoszując się ciepłymi promieniami słońca. Zewsząd docierał do nich gwar ludzkich głosów, poskrzypywanie takielunku, chlupot wiosel, ostre krzyki unoszących się w górze mew i wszechogarniający zapach wodnej przystani, tak umiłowany przez każdego rybaka.

– Te, Maskacz, a czym żeś ich tak zakopcił, co? – Pchełek usiadł nagle na deskach, spojrzął na Hogura pytającym wzrokiem. – Toż od tego się podusić można na całego.

Czarownik nie zwykł się co prawda dzielić z każdym wiedzą, ale ukontentowany odpoczynkiem i poczuciem bezpieczeństwa w gronie ziomków, zdecydował się uchylić nieco rąbka tajemnicy, głównie z zamiarem wywarcia na swych towarzyszach odpowiedniego wrażenia.

– To było dymne ziele, po orkowemu ril-sor – oznajmił wpatrzony wciąż w niebieskie przestworza, z podłożonymi pod głowę rękami. – Trzewiskręt mi kiedyś o nim opowiadał, ale nigdzie kole wioski go nie znalazł. Na targu kupiłem wczoraj, widać coś mnie tknęło, że go będzie potrzeba.

Dokończywszy mizerne resztki prowiantu rybacy podjęli w końcu ciężką decyzję – co dalej? Pozbierali z powrotem swe skąpe mienie i ruszyli po pomoście ku kamiennemu nabrzeżu, tym





razem trzymając się ciasno w kupie i ostrożnie spoglądając we wszystkich kierunkach. Uzbrojony w pełniący rolę zapasowego oręża oszczep Trzęsikuszek niósł broń z ponurą miną na ramieniu, skutecznie zniechęcając ziomków do jakiegokolwiek konwersacji. Pchełek i Gusłek szeptali zatem między sobą, głównie na temat odzienia mijanych mieszczan, ich bogactwa i wrażeń, jakie na gościach z prowincji wywierały murowane wielopiętrowe budynki. Zager szedł ramie w ramie z Lamignatem, nie spuszczać z osiłka nawet na chwilę wzroku.

Kiedy tylko w głębi ulicy pojawiali się strażnicy miejscy, rybacy schodzili im czym prędzej z drogi, skręcając to w prawo, to w lewo na najbliższych skrzyżowaniach. Manewry te, aczkolwiek usprawiedliwione koniecznością zachowania ostrożności, kosztowały Buratarczyków sporo czasu, toteż do sklepu Kostropatego dotarli dobre dwie i pół godziny po wyruszeniu z portu, czując ból mięśni w nogach i narastający ponownie głód.

– Tam, gdzie ten szyld z łodzią byle jak nabazgraną – zaczepiony na ulicy rzemieślnik z imponującym zestawem dłut i młotków przy pasie pokazał palcem na wejście do przybytku handlarza żeglarskimi akcesoriami, po czym odszedł pomstując pod nosem na skąpego współnika, niewierną żonę i parchatych kmiotków, których rzekomo w Ostrogarze z każdym dniem przybywało.

Gusłek pierwszy przekroczył próg sklepu, zanurzając się w ciemny świat pełen zapachu kurzu i starzyzny, zagracony do granic możliwości wielokrotnie cerowanymi żaglami, linami, wiosłami, dzwonekami sygnałowymi dla łodzi, latarniami sztormowymi i mnóstwem wyglądających znajomo przedmiotów, które nieodmiennie kojarzyły się rybakom z ich życiową profesją.

Sam Kostropaty siedział za brudnym stołem pełnym zardzewiałych gratów, próbując doprowadzić je do jako takiego stanu za pomocą wielkiej szczotki o twardym włosiu. Towarzyszył mu młodzian o nieprzyjemnej twarzy i skudlonych, od wielu dni niemytych włosach, oparty o przeciwną do stołu ścianę i rozprawiający o czymś z właścicielem.

Obaj przerwali tę rozmowę przenosząc wzrok na gości i taksując ich mało przyjaznymi spojrzzeniami.

– Czego? – odezwał się szorstkim tonem Kostropaty, najwyraźniej niezbyt zachwycony prezencją i ubiorami swych klientów.

Pozostawiając konwersację bardziej biegłym w miastowych manierach kompanom, głównie Gusłkowi i Trzęsikuszkowi, Pchełek począł się rozglądać ciekawie po brudnym wnętrzu sklepiku w skrytej nadziei na rozpoznanie jakowychś przedmiotów będących wcześniej w posiadaniu Krzesimira i Sękacza. Oględziny te szybko i dogłębnie młodziana rozczerowały: jego wzrok padał na rozliczne piętrzące się stertami graty, w wielu przypadkach ledwie do czegośkolwiek przydatne, sprawiające wrażenie ekwipunku wyciągniętego z rozbitych lub zatopionych łodzi, w niczym nie kojarzące się natomiast ze sprzętem używanym przez Buratarczyków. Dodatkowym kłopotem był dla Pchełka brak bliższej wiedzy na temat dobytku swych zaginionych ziomków. Pamiętał rzecz jasna plecaczek z króliczych skórek, ale gdyby mu teraz przyszło wskazać





palcem na jedną z okrętowych lin, nie miałby najmniejszego pojęcia, czy przeszła wcześniej przez ręce Krzesimira lub Sękacza.

Kostropaty i jego rozmówca wymienili spojrzenia, pierwszy z nich odłożył na stół szczotkę, drugi oderwał się od ściany przyjmując pozornie rozluźnioną pozę, dziwnie niepokojącym wzrokiem łypał jednak na Łamignata, jakby wietrząc jakieś kłopoty. Pchełek zeszytniał leciutko widząc, że prawa dłoń młodzika o brudnych włosach majta niebezpiecznie blisko rękojęści wsadzonego za skórzany pas noża o groźnie nacinanej w zęby klindze.

– Przeciem pytał, czego? – burknął właściciel rudery podnosząc się ze stołka. – Ozora w głębie zapomnieliście czy co? Jak na zakupy, zapraszam, wielce interesantny wybór mam tutaj, dla każdego coś dobrego, ale z góry uprzedzam, zapłata tylko w gotówce, żadne tam kwity czy towar za towar.

Gusłek zgiął się czym prędzej w powitalnym ukłonie, międląc palcami kant swej kapoty i chyląc pokornie czoła. Trochę raziło to jego dumę własną, ale że był bystrym i szybko uczącym się młodzieńcem, jeszcze poprzedniego dnia spostrzegł, że miastowi lubili rozmowy z pokornymi i znającymi swe miejsce ludźmi.

– Szanowny panie sklepiarzu – rzekł pełnym egzaltacji tonem, żywiąc ogromną nadzieję, że Kostropaty poczuje się swym tytułem ukontentowany. – Myśmy są czelki interesu, nie żadne tam towar za towar czy kwitowniki papierzaste. Łodzi szukamy na sprzedaż... znaczy się, my kupić chcemy, a wczora z wieczora żeśmy w przystani jednego kupca spotkali, jak on się zwał, bracia?

– Tarrih, pan Tarrih – odpowiedział Maskacz.

– Właśnie, pan Tarrih. Miał ci on piękną łódkę na połów, z żaglem i sterem na rufie, cosik w sam raz dla nas. Rzeknął, że to u was kupne, panie, i że mus nam tutaj wypytać, czy oby jakiej innej nie macie, najlepiej takiej samej jak tamta wczorajsza, bo nam tak w serce wlała, że hej!

– To była specjalna transakcja – wydał usta Kostropaty. – Łódź iście ładnista, przeto się kupiec znalazł, co dobrze za nią zapłacił. Ale drugiej nie mam, macie pecha. Jak wam odpowiada, mogę parę mniejszych łódek załatwić, na jutro by były, też dobrej roboty, z drugiej ręki, ale w świetnym stanie.

– Oj, panie złoty, kiedy nam dokładnie taka potrzebna jak ta od Tarriha – zachnął się Gusłek załamując ręce. – Kiedy wy takiej nie macie, to rzeknijcie nam chociaż, od kogo żeście ją kupili, może ten ktoś ma inną taką samą i nam sprzedać zechce.

– Skoro tak, macie pecha w dwójnasób. Sprzedał mi ją dwa tygodnie z okładem temu pewien rybak z południowego wybrzeża, który pilnie gotówki potrzebował. Zabrał dutki i zniknął bez śladu, pewnie nigdy już tutaj nie wróci. Jak się jednak na czółna decydujecie, to możemy dalej gawędzić, a jak nie, to fora ze dwora, jam jest człowiek interesu, na czeze pogawędki nie mam czasu.

– Panie kupiec, nie ma co się nerwicować – nie dawał za wygraną Gusłek. – Jakowymś





sposobem towar nasz przepławić musim, takż zarobku jakowego spodziewać się możesz, to wypędzć nas nie jest roztropnie ani też obyczajnie. Czólmem nie pogardzim, jak łodzi odpowiedniejszej nie znajdziem, ale najsampierw mus nam takiego towaru szukać, jaki nam najodpowiedniejszy, a najodpowiedniejszy jest taki, jak pan Tarrih nabył. A wiedz, panie kupiec, że tak nam podobna jednostka miła, że jak w zakupie takowej nam dopomożesz, to i nagrody nie poskąpim. A skoro wam nie wiadomo skąd podobny towar wziąć, to choć rzeknijta wszystko co wam wiadomo na temat poprzednich właścicieli. Gdzieśta ich zoczyli, gdzieśta transakcję przypieczętowali, czy był to kupiec, wojak czy chłop niewolny, sam on był, samowtór czy samotrzcć może, et cetera. Jak ex-właścicieli znajdziem, to z podziękowaniami tu wrócim. To jak, panie kupiec, pomożecie?

– Nie pomożemy – prychnął Kostropaty opierając się pięściami o kant stółu i marszcząc twarz w odstręczającym grymasie. – Patrzaj, Wyrwichwast, jak to niektórym ciężkawo idzie pomiarkować, co im człowiek w łepetynę kładzie.

Młodzian z nieładnym nożem za pasem zaśmiał się krótko, gardłowo. Jego śmiech nie przypadł żadnemu z rybaków do gustu, zbytnio wibrował złośliwością.

– Rzeknę raz jeszcze, mój dobry człeku. Nie wiem jak się zwał ów człowiek, któren mi ją sprzedał. Przyszedł tu miesiąc temu, wymienił na gotówkę i zniknął. O nic żem go nie pytał, bo w interesach ciekawość może być dla zdrowia szkodliwa, rozumiesz? Jak sobie zdrowie szanujesz, to wyciągnij z mojej rady dobry morał i pogadajmy o tych czółnach, bo drugiej takiej łodzi nie mam i mieć nie będę.

Dźwięcząca w głosie właściciela obskurnego sklepiku niechęć do dalszego drażenia tematu była doskonale czytelna dla wszystkich z wyjątkiem Łamignata, który nie zwracając na konwersację najmniejszej uwagi jął się bawić niewielkim mosiężnym dzwoneczkiem, ściągając na siebie poirytowany wzrok Kostropatego.

– Coś mi się widzi, że nic się nie wywiemy od wielmożów – szeptał na ucho Gusłkowi Pchełek. – Może popytać kogo koło sklepu skąd nasz gospodarz taką łodkę wziął, a może kto widział chłopków naszych, a jak nie to się poczeka i zobaczymy gdzie wieczorem nasz gospodarz chodzi.

– Skoro pomocy nijakiej a informacyi udzielić nam nie chceta, to my pięknie dziękujemy, ale jednak z usług waszych nie skorzystamy. Narzucać się już więcej nie będziem. Do widzenia panom kupcom – zakończył Pchełek, zwracając się już bezpośrednio do właściciela sklepu i szykując się do wyjścia.







Rozdział XIV

Okolice sklepu Kostropatego.

Powiem wam jedno – rzekł zdecydowanym tonem Maskacz. – Cosik mi się zdawa, że to nic nie da. Bogowie się teraz pewnie z nas śmieją, bo Kostropaty nic nie wie nad to, co nam już rzeknął. Ale mam ci ja jeszcze troszkę grosiwa w zaskórniakach, to żeby czyste sumienie mieć, mogę z Gnatkiem tam wrócić i sklepiarzowi srebrem w oczy poświecić.

Piątka rybaków stała w głębi uliczki, wsunięta dyskretnie za pryzmę rzuconych byle jak desek, które ktoś zakupił z zamiarem naprawienia dachu kamienicy, ale których nikt jak dotąd nie ruszył z miejsca. Młodzieńcy debatowali z posepnymi minami, co rusz wysuwając propozycje działania wykipiwane lub obalane celnymi argumentami oponentów.

– Może mu się pamięć nieco poprawi jak pieniądze zobaczy – dokończył Zager, oglądając się jednocześnie przez ramię na wejście do odległego o kilkadziesiąt metrów sklepiku.

– A dużo dutków masz? – zainteresował się natychmiast zawsze tym zaintrygowany Pchełek.

– Dość, by stykło – udzielił iście wymijającej odpowiedzi Maskacz. – To, że mu będę w ślepiu nimi świecił nie znaczy, że je dostanie.

– Cichajta! – syknął naraz Trzęsikęsek, garbiąc się przy tym zabawnie i chowając za deski. – Jeden wylazł!

Faktycznie, młody nieprzyjemny rozmówca Kostropatego wypadł dość śpiesznie z za progu wejścia, po czym zaczął się oddalać szybkim krokiem w przeciwną stronę, roztrzając łokciami znajdujących się zbyt blisko przechodniów i nic sobie nie robiąc z ich oburzonych okrzyków.

– Ktoś się zrobił bardzo zdenerwowany – mruknął Maskacz spoglądając jednocześnie znacząco w stronę ziomków. – Kostropaty widać sam został. Bierzemy się za niego?

– Pchełek, lećże cichcem za tamtym, jeno pozor miej, coby cię nie zoczył i rzeknij nam potem coś widział. A ty Zager, skoroś pewny swego, to włącz do środka z Gnasiem i na srebrniki Kostropucha-kłamczucha weźta. A jak coś się dziać będzie, to Kęsek pocznie hukać jak stary puszczyk na dębowej gałęzi albo kwiczeć jak warchlaczek co żołądzia głodny – powiedział Gusłek.

– Dobra chłopy! Jak was tu nie będzie to spotkamy się przy naszych łódkach. – Błyskawicznie odpowiedział Pchełek, tym samym informując wszystkich o przyjęciu powierzonego mu zadania.

* * *

Pchełek nie czekał już na żadną odpowiedź nowicjusza, oderwał się od sterty desek przechodząc szybkim krokiem na przeciwną stronę ulicy, gdzie wywieszzone z okien pranie rzucało cień na bruk i przesłaniało nieco pole widzenia oddalającemu się śpiesznie Wyrwichwastowi.





– I pamiętaj... daj pozór, coby ci się cosik nie przydarzyło – płowowłosy rybak puścił mimo uszu dobiegające z tyłu ostrzeżenie i uśmiechnął się tylko. Od małości zdradzał upodobanie do wkradania się w miejsca, gdzie niezbyt chętnie go widziano i zabierania stamtąd rzeczy, których potem usilnie szukano; od małości też zbierał za to ostre ciągi, ale nie odwiody go te srogie kary od żywego zainteresowania cudzą własnością i skrytością działania.

Wyrwichwast był głęboko poruszony, widać to było w jego nerwowych ruchach, gestykulacji wobec nie dość szybko schodzących mu z drogi przechodniów oraz przekleństw słanych pod adresem usmarkanych i wyjątkowo zaczępliwych uliczników.

Pchełek trzymał się na sporą od swej ofiary odległość, bo chociaż Wyrwichwast tylko raz czy dwa obejrzał się za siebie i to dość nieuważnie, Buratarczyk nie chciał ryzykować, że mężczyzna go rozpozna i zorientuje się, iż ktoś depcze mu po piętach. Podczas krótkiej rozmowy w sklepiku Pchełek trzymał się raczej na uboczu, udając żywe zainteresowanie niewiele wartym towarem Kostropatego, zauważył jednak kątem oka, że kompan handlarza przyjrzał się wszystkim gościom nad wyraz uważnie i zapewne jego akurat twarz też sobie w pamięci zakarbował.

Ruch na uliczkach sprzyjał śledzeniu Ostrogarczyka. Wszędzie kręcili się rzemieślnicy, kupieccy pomagierzy i skrybowie, dochodziło do tego wiele dzieci i podlotków swawolących na ulicach i w ciemnych bramach kamienic. Ciągnięte przez osły wózki turkotały na kocich łbach, a porykiwanie zwierząt mieszało się z gwizdami poganiaczy. Tu i ówdzie Pchełek dostrzegł kilka skromnie odzianych kobiet, niektóre chyba z piętrem niewolnic na czołach, niosących jakieś ciężkie pakunki i dzbany. Ich widok wzbudził w młodzieńcu mimowolny dreszcz, bo chociaż niewolnictwo było w Imperium Katanów czymś równie powszechnym jak choćby deszcz, jednak w zasiedlonym wyłącznie przez ludzi i położonym na uboczu Burat-arze mieszkali tylko wolni chłopci, zobowiązani co prawda do płacenia wysokiej daniny, ale poza tym pozostawieni samym sobie. I oczywiście uciążliwej władzy przewodzącego starszyźnie Męczywora, który w oczach poznającego ogrom i majestat Ostrogaru Pchełka stawał się coraz bardziej groteskową i absurdalną w swym zapiekłym konserwatyzmie postacią.

Złodziej zauważył, że Wyrwichwast zmierza w kierunku bardziej ubogich kwartałów dzielnicy, bo coraz częściej natrafiał na swej drodze na wyrwy w bruku, a mijane budynki straszyły oczy płatami odpadającego od ścian tynku i potrzaskanymi dachówkami. Gdziekolwiek nawet spomiędzy kocich łbów sterczały kępki trawy, świadczące o całkowitym braku prac konserwatorskich. Miejsce porządnie odzianych mieszczan zajęli ospali staruszkowie wygrzewający się na wyniesionych przed kamienice drewnianych stołkach, piorące w cebrach ubrania jazgotliwe matrony i całe stada rozwrzeszczanych dzieciaków, pochłoniętych bez reszty sobie tylko znanymi grammi. Zmieniły się również zapachy z tych bardziej znośnych na te bardziej znane.

Pchełek uświadomił sobie z lekkim dreszczem niepokoju, że już się zdążył zagubić w labiryncie uliczek, którymi wiódł go sprawiający wrażenie doskonale obeznanego z okolicą Wyrwichwast. W umyśle młodego rybaka pojawiły się niepokojące myśli, które podsyczał dodatko-





wo widok mijanych tu i ówdzie młodych mężczyzn o gęstym zaroście, niechlujnych ubiorach i z nożami pod ręką, wystających w niewielkich grupkach na skrzyżowaniach uliczek lub kryjących się w cieniu bram i za pozbawionymi szyb oknami zapuszczonych domostw.

Instykt podpowiadał Pchełkowi, że nie była to okolica, w której rozsądni ludzie przebywali po zmroku.

Pchełek mimo wszystko postanowił wyglądać na pewnego siebie, na takiego czleka, który wie gdzie lezie... i na jak najbardziej miejscowego jak się da, jednocześnie starał się nie nawiązywać kontaktu wzrokowego z mijanymi osobami. Wiedział to wszystko wspominając lekcje wujcia Mendka, który udzielił mu kiedyś jej tymi słowy: „Jak wylziesz w takie cuś, że byndzie tam dużo ludziów, co bedom chcieli ci dać w pysk, to wyż staraj się wyglondać na pewnego siebie, i wyglondać jakbyś wiedzoł gdzie lyziesz. Staraj się też wyglondać jakbyś był miejscowy.... aha i weż się postaraj nie nawiązywać kontaktu wzrokowego z mijanymi osobami.”

Stosując się ściśle do bezcennych rad wujcia Mendka Pchełek dokładał wszelkich starań, by wyglądać jak miejscowy i wtopić się przynajmniej po części w otoczenie. Niezbyt mu to szło, bo szybko spostrzegł, że wskutek odmienności ubioru i tak ściągają na siebie podejrzliwie spojrzenia.

Ku swemu skrytemu niezadowoleniu złodziej odkrył, że nawet w tym przypadku, paradując pewnym siebie krokiem i z zadufaną miną, wciąż znacząco odbiega od mijanych przechodniów przez wzgląd na swe znoszone łapcie i łatane portki na parcianym pasku. Mieszkańcy ubogiej dzielnicy mogli biedować na swoim, ale prawie wszyscy mieli skórzane buty o twardej podeszwie oraz porządne pasy z metalowymi sprzączkami, o jakich prowincjonalny rybak mógł jedynie pomarzyć.

Wyrwichwast dotarł w końcu do jakiegoś wciśniętego między kamienice niskiego jednopiętrowego budynku o stromym dachu, który ział paroma wielkimi dziurami. Rozmówca Kostropatego zaczął tłuc pięścią w drewniane drzwi wejściowe, oglądając się jednocześnie za siebie. Pchełek zmełł w ustach przekleństwo widząc nagle zainteresowanie młodziana otoczeniem, ale szczęściem dla niego grupka uliczników weszła w tej samej chwili w pole widzenia Wyrwichwasta wypadając z bocznego zaułka i przesłaniając śledzonemu postać Buratarczyka.

Rybak skręcił czym prędzej w bok, pod dającą pewne schronienie rynnę. Maltretowane przez Wyrwichwasta drzwi otworzyły się w końcu szeroko, w ich progu stanął jakiś potężnie zbudowany człowiek o łysej czaszce i byczym karku, noszący nabijaną metalowymi guzami kurtę. Hałas czyniony przez gościa najwyraźniej go zirytował, bo miast powitania zdzielił Wyrwichwasta otwartą dłonią w ucho, a cios ten sprawił, że głowa młodzieńca aż odskoczyła w bok. Łapiąc się za promieniujące bólem ucho chłopak odskoczył kilka kroków w tył, a potem zaczął coś odźwiernemu tłumaczyć z wściekłą miną.

Coś w jego słowach musiało rozmówcę zaalarmować, bo machnąwszy ponaglająco ręką byczy kark wpędził Wyrwichwasta czym prędzej za próg, potem zaś zatrzasnął drzwi z ogłuszającym hukiem.







Rozdział XV

Maskacz odczekał, aż Wyrwichwast i idący jego śladem Pchełek znikną za rogiem ulicy, ignorując pomruki podekscytowanego, ale nie do końca zorientowanego w planie Łamignata. Kiedy tylko stracił z oczu plecy gościa Kostropatego, Hogur wysadził zza desek ciągnąc za skraj kapoty osiłka i obydwaj potruchtali w stronę opuszczonego chwilę wcześniej sklepiku.

– I dajcie pozór, coby wam też się cosik nie przydarzyło. – Ostrzeżenie wypowiedział Gulek, spoglądając przy tym wymownie na milkliwego Trzęsikęska. Myśliwy w ciszy oplakiwał utratę wiernego druha, jakim był dla niego od lat myśliwski łuk wykonany rękami samego Wyżłacza z sąsiedniej wioski, mistrza nad mistrze w łuczarskiej robocie. Serce bolało Trzęsikęska nie tylko na wspomnienie ustrzelonych za pomocą tej wyśmienitej broni zajęcy i kaczek, ale i należności, którą mu wtedy przyszło za łuk uściścić, a jeśli dobrze pamiętał było to: dwa tuziny przepiórczych jaj, pięć łokci doskonałej jakości lnianego płótna i cztery oselki do ostrzenia żniwarskich sierpów, a i tak cena była łącznie opłacalna.

Zager puścił słowa nowicjusza mimo uszu, pewien swego w konfrontacji z osamotnionym handlarzem. Zabrał ze sobą Łamignata w charakterze straszaka, ale nie sądził, by wydarzenia podażyły torem wymagającym ubiegania się do brutalnej siły. Ordynarna przemoc fizyczna niezbyt zresztą Maskacza pociągała, chociaż młodzieniec nie miał większych obiekcji przed wsadzeniem komuś między żebra noża albo złamania bez środków znieczulających kilku piszczeli.

W jego opinii magia oferowała znacznie większe możliwości w zakresie czynienia krzywdy lub zastraszania od prawa pięści i ostrej stali.

Pchnięte mocno drzwi zazgrzytały przeraźliwie alarmując natychmiast stojącego przy pełniącej rolę kasy szufladzie Kostropatego. Właściciel sklepiku przerwał zliczanie monet, fuknął coś gniewnie rozpoznając oblicza intruzów, złapał wymownym gestem za stojący obok stołu okuty żelazem drąg.

– Czego tu szukacie, he? – warknął handlarz. – Precz mi stąd, wynocha!

Niemile zachowanie Kostropatego dało w końcu nieco do myślenia Łamignatowi. Siłacz stęknął głucho, skrzywił twarz w bardzo nieładnym grymasie, a potem podniósł swą drewnianą pałę i zaczął nią uderzać w otwartą lewą dłoń, wielce złowieszczym gestem dając do zrozumienia, że tylko czeka na pozwolenie swego towarzysza, aby Kostropatego solidnie skarcić. Była to wielokrotnie już ćwiczona sztuczka, którą Maskacz wymyślił wiele miesięcy wcześniej zabierając Łamignata na zrękowiny do sąsiedniej rybackiej osady. Mieszkający tam młodzi mężczyźni słynęli z zacepliwości i niegasnącej chętki na bitkę z sąsiadami zza miedzy, toteż





Zager wyuczyl swego tegiego w barach towarzysza kilku min i póz skutecznie odstrasżających ewentualnych agresorów.

Sztuczka zadziałała i tym razem, z miejsca studząc wojownicze zapędy Kostropatego, w którego oczach pojawił się leciutki błysk głębokiego niepokoju.

– Czego chcecie, pieniędzy? – wycedził przez zęby handlarz. – Jeśli tak, bardzoście kieszawo trafili do rabunku. Chyba pomyślunku nie macie. Ale proszę bardzo, rabujcie. Pójdziecie wisieć za kilka srebrników.

– W zadku mam twoje monety, dobry człeku. – Kiedy Maskacz tego chciał, jego niski głos potrafił ciąć niczym zmrożone ostrze noża. – Zatrzymaj je sobie i nadstaw dobrze uszu, bo rychno możesz ten nędzny majątek powiększyć.

Czarownik odrzucił połę kapoty, zdjął z pasa jeden z przytroczonych tam mieszkań, rozsznurował go przed nosem przelykającego ślinę Kostropatego. Na widok wypełniających woreczek srebrnych monet w oczach handlarza zaśniła czysta i niczym nieskrępowana chciwość.

– To całkiem inna gadka – powiedział Kostropaty odkładając na bok drag, dość blisko jednak, by móc po niego błyskawicznie sięgnąć, gdyby goście zaczęli się nieodpowiednio zachowywać. – Od razu, jakeście tutaj wleźli czułem, że macie jakowyś sekretny interes. Kto was do mnie wysłał?

– Nieważne – machnął ręką Maskacz. – Ważne, czy potrafisz na te dutki zapracować.

– Och, możecie być tego pewni – roześmiał się chrapliwie Kostropaty. – Czego wam trzeba? Amuletów? Niewolników? Mogę wam naraić parę łebskich dzieciaków, bezpieczeństwa, z ulicy zgarniętych, w sam raz do wychowania na niewolną służbę. Mam też całkiem ładniutkie dziewoje, ciche i spokojne, a wiedzące wielce akuratnie, czego jurnemu mężczyźnie trzeba.

– Nie interesują nas dziewczęta ani dzieci ani żadne amulety – oznajmił Zager tonem, który stał Kostropatemu jego radosny grymas z twarzy. – Chcę wiedzieć, skąd miałeś łódź, którą sprzedałeś kupcowi Tarihowi.

Handlarz spochmurniał, zacisnął dłonie w pięści, zerknął szybko na swój drag żałując widać, że tak szybko go odłożył.

– Rzeknę ci zatem raz jeszcze, powoli a dosadnie, co byś dokładnie pomiarkował odpowiedź – wycedził przez zęby Kostropaty. – Obcy ci to był człek, nigdy go wcześniej na oczyska nie widział. Przymyśl jakiś miesiąc temu jęcząc, że mu grosiwa zabrakło, a opłacić miejsce musi na holku, co na południe płynął. Łódź ładna była i wcale nie przeciekała, tom ją kupił bez szemrania. Wziął był zapłatę i się wyniósł, kapujesz? Im go więcej już nie widział, tedy nic ci nie pomogę i nie wiem, co się tak na mnie uwziął, przybłądo.

– A ten twój kompan, co tak szybko zwiął, cóż to za jeden? – zmienił raptownie temat Maskacz, przechylając nieznacznie głowę i taksując Kostropatego badawczym wzrokiem. – I gdzie mu tak śpieszno było, he?

– Nie wiem – odburknął natychmiast Kostropaty. – Prawie go nie znam, huncwota. Czasami





tu zachodzi, pogadać o wszystkim i o niczym, parę razy mi jakieś wyłowione z jeziora śmieci próbował opchnąć.

Maskacz szybko powrócił do wątku. – Mówisz, że ten obcy przyszedł, chciał sprzedać łódź coby opłacić miejsce w porcie? I czemuż miałby sprzedawać łódkę akurat tobie, tak daleko od portu? Coś mi się twoja historia kupy nie trzyma. Ponawiam pytanie, i dobrze się zastanów nad swoją odpowiedzią... Bo za pobicie to raczej nie pójdziemy wisieć... – Czarownik postanowił zagrać w otwarte karty.

Kostropaty zjeżył się iście niczym jeź i to w dodatku z gatunku tych przerośniętych, siejących postrach na gościńcach Zielonej Puszczy. Maskacz domyślał się, że handlarz aż kipiał w środku i hamował się z rękoczynami wyłącznie przez wzgląd na obecność Łamignata.

– Za pobicie możecie nieźle oberwać po gębach gdzieś za rogiem, a jakeście pechowi, to zamiast pięścią zbierzecie po grzbiecie ostrzem – sarknął złowrogim tonem sprzedawca. – Idź się chędożyć, łachmyto i zabierz ze sobą tego grubasa! Jak zadry szukacie, toście się bardzo przewieźli, bo jam człek w wielu miejscach znany, znajomków rozmaitych mam wielu. Nie spowiadam się nikomu z interesów i nikomu nie pozwalam w nich grzebać, nawet poborcom skarbowym!

– Tym razem zważ jednak na to, że łącz wystawiasz na szwank swoje zdrowie, i to bardzo – wycedził przez zęby Zager. – Mój druh nie jest grubasem, to najprawdziwsze mięśnie, nie tłuszcz i zaraz może ci tego niechybnie dowieść. Przy okazji sprawdzimy jak wielu masz po prawdzie tych znajomków, bo jeśliś nie łgał, wszyscy zaraz się zlecą słysząc jak wrzeszczysz. A wierz mi, każdego, któremu Łamignat kulasy przetrąci, wrzeszczy tak, że słyhać go po drugiej stronie jeziora.

– Nie groź mi, przybłędo – warknął Kostropaty. – Won stąd!

Maskacz milczał przez długą chwilę, a wyraz jego ledwie dostrzegalnej po kapturze twarzy musiał nieco Kostropatego przestraszyć, bo rozszoszczony właściciel sklepiku skrzyżował dwa palce lewej dłoni w geście odpędzającym w potocznej opinii plebsu złe duchy.

– I czego tak dumasz, włóczęgo? – zawarczał Kostropaty skacząc spojrzeniem od Zagera do Łamignata i z powrotem. – Lepiej idźcie stąd oba, zanim Wyrwichwast wróci, pewnikiem pomiarkował, że źle wam z oczysków patrzy i po wspólnych znajomków pognał, a jak oni tukej przyleżą... oj, nie wyjdziecie stąd o własnych siłach, lepiej mi uwierzcie.

Hogur dalej milczał, lustrując oblicze handlarza wzrokiem tak badawczym i przenikliwym, że po plecach Kostropatego zaczęły przebiegać lodowate ciarki lęku i zdaje się w jego umyśle rodził się jakiś kolejny podły plan.

– Czego ślepczysz jak żaba, co jej furgon na rzyć najechał? – Ostrogarczyk podniósł wyżej swój drag, ogarniany chyba coraz większą desperacją ku temu, by wyrzucić niepokojących intruzów za próg. – Won mi stąd, abo nie tylko znajomków, ale i straż miejską na was naśle!

Maskacz przestał się w końcu gapić w niepokojący sposób na właściciela sklepiku, szepnął





kilka słów do ucha Łamignata, na tyle cicho, by Kostropaty nic z nich nie zrozumiał. Cała ta konwersacja bardzo rzecz jasna gospodarza zbulwersowała.

– Co ty tam mamroczesz, popaprańcu?! – Kostropaty zebrał się na odwagę, postąpił krok do przodu unosząc groźnym gestem swój drąg, isticie niczym paladyn spod znaku Gorlama Walecznego swą rycerską kopię. – W moich ścianach konspiracyjujesz...

Handlarz urwał znienacka, pobladł niczym śnieg, upuścił drąg, który grzmotnął z głuchym stukotem w drewnianą podłogę. Jego okrągłe ze zdumienia oczy wpiły się w oblicze Zagera. Czarownik zdjął szybkim gestem swój kaptur, zaczął mamrotać słowa mocy splatając wiązkę zaklęcia. Mięśnie jego twarzy poruszały się w konwulsyjny sposób, nos przybrał na rozmiarach, zyskał wydatny garb, szczeka w zamian cofnęła się nieznacznie wśród budzącego ciarki zgrzytu zmieniających ułożenie zębów.

Kostropaty zaczął jęczeć czy raczej wydał z siebie niski wizg, jakby się dławił własną śliną. Cofnął się w tył, przewrócił jakieś wiadro z metalowymi wiekami, wpadł plecami na tylną ścianę sklepu i tak na niej pozostał, niezdolny do wykonania żadnego dalszego ruchu.

Maskacz zaczął iść w jego stronę, przywołując do siebie ruchem ręki Łamignata. Trzęsący się spazmatycznie Kostropaty podniósł obronnym gestem rękę, spoglądając przez jej rozcapierzone palce na doskonale sobie znane oblicze.

Własną twarz, noszoną przez młodego człowieka w czarnym kapturze, który tak beczere-monialnie wtargnął do sklepu i który wywrócił do góry nogami świat szemranego sklepikarza.

Nawet nie próbował się bronić, belkotał coś jedynie nieskładnie, kiedy drewniana pałka Łamignata świsnęła w powietrzu pozbawiając go celnym ciosem świadomości.

* * *

Gusłek wylał sobie palce splecionych ciasno dłoni, potem zaczął targać bezwiednie za frędzel rozdartej nieznacznie kapoty, z każdym ruchem ręki powiększając dziurę. Nowicjusz martwił się niepomiarowo zarówno o Pchelka, jak i pozostałych dwóch kompanów, którzy zniknęli we wnętrzu sklepu Kostropatego i dotąd nie wyszli. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności ów handlowy przybytek nie cieszył się dużą popularnością, bo od chwili wyjścia Wyrwichwasta żaden przechodzień nie wykazał cienia zainteresowania drewnianym szyldem, na którym jakiś grafoman nieporadnie wymalował czarną farbą łódkę i kotwicę, bo Gusłek nie potrafił sobie nawet wyobrazić konsekwencji obicia przez Łamignata jakiegoś przypadkowego klienta. To było miasto, tutaj zupełnie inaczej egzekwowano prawo, a całkiem niedawno widziana scena egzekucji dogłębnie nowicjuszem wstrząsnęła. Skoro tutaj wieszano ludzi isticie hurtem i całym kupami, to przyjezdnemu łatwo było popaść w rozstrój nerwowy na samą myśl o zatargu z ostrogarskim wymiarem sprawiedliwości.

A Gusłek czuł, że tajemnicze zniknięcie Krzesimira i Sękacza coraz bardziej zbliżało szukających ich ziomek do mrocznej i cuchnącej zatargiem z prawem prawdy, której odkrycie mogło wstrząsnąć całą rybacką społecznością. Co takiego uczyniły te łapserdaki, że los skrzy-





zował ich drogi z indywiduami pokroju Kostropatego i Wyrwichwasta? Gusłek znał Krzesimira i Sękacza nieco, zdarzało mu się z obydwojma na połów wypływać, składali też zwyczajowe ofiary w kapliczce Piana. Spokojni to byli ludzie, przed trzydziestką, bez żon i dzieci, ale oddani swej pracy i starszyźnie Burat-aru. Zresztą, gdyby było inaczej, gdyby Męczywór nie pokładał w nich swojej ufności, nigdy nie popłynęliby do Ostrogaru z całym srebrem starszyny.

– Hukać czy kwiczeć? – odezwał się nagle Trzęsikęsek, tonem po części sarkastycznym, po części głęboko niespokojnym. Nie rozumiejący sensu tego pytania nowicjusz podążył wzrokiem za dyskretnie wystawionym palcem myśliwego i zeszytywniał napotkawszy spojrzeniem grupę zbrojnych idących nieśpiesznym krokiem uliczką.

Było ich pięciu czy sześciu, w skórzniach i pod mieczami, na głowach mieli zaś płaskie kapaliny podobne do hełmów noszonych przez strażników miejskich. W oczach Gusłka jawili się wojskowymi na żołdzie orków, nie zaś strażnikami, bo nie mieli pałek, a na ramionach nosili niewielkie puklerze obite metalową blachą.

– Co to za jedni? – zapytał Trzęsikęsek udając jednocześnie, że wcale na niepokojących przybyszów nie spogląda. – Szukają nas?

– Cichaj – odparł Gusłek. – Patrzaj jak między sobą rozprawiają, jak na dziewczki oczyskami łypią. Pewnikiem zbrojni jakowis w służbie możnego pana, swawoli szukają abo haustu świeżego powietrza. Wiesz co, Kęsek, zejdziem tym zbrojnym z oka, przycupniem gdzieś, coby w oczy ani w łapy im się nie pchać, a ich poczynania widzieć. Jeno jak wleźć do Kostropatego przybytku chcieć będą, to rejwachu na odwrócenie ich uwagi zrobić nam będzie trza. No ale tera czmychajmy, coby nas nie zoczyli.

Kręcąc na boki desperacko głową, Gusłek wypatrzył ciemny otwór uchylonej kamienicznej bramy, szturchnął Trzęsikęska łokciem pokazując mu kryjówkę, potem zerknął szybko w stronę nadchodzących zbrojnych. Żaden z nich nie sprawiał wrażenia człowieka będącego na służbie, ale buratarski nowicjusz wołał nie nadstawiać głowy po próżnicy.

– W bramę, ale spokojnie – syknął Gusłek popychając myśliwego ku schronieniu. Wojacy nadal nie zwracali na obu rybaków uwagi, wymieniając wesołe okrzyki z trójką młodych dziewcząt, które wyglądały zza parapetu na pierwszym piętrze kamienicy, eksponując w całej swej okazałości głębokie dekolty sukienek.

Udając zaferowanych ważką rozmową mieszczan, Buratarczycy przeszli przez uliczkę znikając z ledwie powstrzymywanymi westchnieniami ulgi w mrocznej bramie. Gusłek przekroczył próg wejścia oglądając się jeszcze naprędce przez ramię i z zadowoleniem odnotowując w myślach, że żołdacy całą swą uwagę poświęcili niepodzielnie hożym dziewczynom na piętrze, nawet nie zwracając uwagi na obecność innych przechodniów.

Cuchnąca uryną brama wychodziła na otoczone ścianami kamienic podwórze, tonęła w półmroku spowijającym również wiodące w górę kręte schody. Gusłek aż podskoczył w miejscu dostrzegając dwa ciemniejsze kształty, które oderwały się od muru w mrocznym zakamarku





bramy podchodząc do rybaków.

– Spóźniliście się! – syknął jeden z kształtów, chrapliwym męskim szeptem. – Nie pierwszy raz, psie syny! Wyciągajcie dutki, bo nam śpieszno w swoją drogę. Proszek ułud pierwszorzędnej jakości, z pierwszej rafinacji. Pięćdziesiąt srebrników od uncji.

– Oj, chyba do imię Wielokłosa Ostrostopego to nie tutaj. Przepraszamy, śpieszno nam. Kęsek, my już pójdziemy.

To rzekłszy, co sił w nogach i tchu w płucach Gusłek wybiegł z bramy ciągnąc za sobą Trzęsikęska. Młodemu kapłanowi, mimo wcześniejszego zachwytu wielkim miastem, po ostatnich przygodach podobało się w Ostrogarze znacznie mniej. Nagle zapragnął znaleźć się w swojej rodzinnej wiosce i z dziką radością znów zająć się ścieraniem z podłogi wioskowej świątyni Piana rzygowin swojego mistrza.

Wyskakujący niefortunnie z bramy rybacy przerazili Bogu ducha winną kobiecinę, która na widok dwóch łapserdaków w starych kapotach upuściła niesiony oburącz wiklinowy kosz i wrzasnęła na całe gardło wzywając na pomoc Asteriusza z całą switą świętych i błogosławionych pospołu. Jej piskliwy głos skutecznie oderwał uwagę wojaków od mizdrzących się do nich dziewczek.

– Czego białogłową napastujecie, łachmyty?! – ryknął natychmiast jeden z żołdaków, rosły mąż w brązowej skórni, o brodzie ozdobionej wplecionymi we włosy kokardkami. – Odstąpcie od biedaczki, a żwawo, bo kulasy poprzetrącam!

Kilku innych mężczyzn zaczęło pomrukiwać coś gniewnie kładąc jednocześnie dłonie na mieczach. Gusłek nie miał pojęcia, czy czynili ten popis rycerstwa ku ocaleniu wrzeszczącej wciąż niewiasty czy też dla wywarcia stosownego wrażenia na piszczących z balkonu dziewczątkach, ale nie zdążył dojść do żadnego wniosku, bo z mrocznej bramy wysadzili nagle dwaj mężczyźni w bluzach z kapturami i z nożami w rękach. Nowicjusz pojął z miejsca, że handlarze ułudnym proszkiem – czymkolwiek by to nie było – poczuli się chyba dotknięci odmową zakupu i popędzili za przypadkowymi klientami z żądzą wywarcia na nich pomsty.

Widok sześciu wojaków osadził ich w miejscu równie skutecznie jak Gusłka i Trzęsikęska.

– A to co za jedni?! – ryknął ponownie dryblas z kokardkami w brodzie, wodząc wzrokiem od Buratarczyków do pokątnych handlarzy i z powrotem. – Co tu się dzieje?!

Pianie, pomiluj, jęknął w duchu Gusłek. Toż to niemożliwością jest co krok popadać w tak niefortunne, a nieszczęśliwe opresyje! Cóżem ci uczynił na opak, że mnie tak karzesz?!

Gusłek na chwilę stanął jak wryty spostrzegłszy, że wszystkie oczy w okolicy zwrócone są w jego (i Trzęsikęska rzecz jasna) stronę. Z osłupienia wyrwała go, uderzywszy jak zabłąkany elektron, nagła, szalona myśl. Zaczął biec w stronę zbrojnych gorączkowo machając rękami, mając nadzieję, że Kęsek pójdzie w jego ślady po początkowym osłupieniu dość nietypowym zachowaniem kompana.

– AAAAAAaaaaaaaaaaaaaaaa, sodomityyyyyyyyyy, zboczuehyyyyyyyyy, perserwan-tyyyyyyyyyy, ratunkuuuuuuu...





– Ach! Perwersasy i zbóje! – ryknął drągal przywołując ruchem ręki swoich towarzyszy.
– Co inszego niewiasty napastować a strachliwych kmiotków, a co innego przeciw zbrojnym mężom stawać! Zaraz się przekonacie jak to jest!

Pokrzykujący rozpaczliwie Gusłek zanurkował pod ramieniem wojaka, ten jednak nie zwrócił ani na niego ani na Trzęsikęska większej uwagi, biorąc rozpęd i sadząc wielkimi susami w kierunku osłupiałych ze zdumienia handlarzy halucynogennym proszkiem. Jednemu z nich nóż wypadł ze zdrtwiałej dłoni, stuknął metalicznie o bruk. Drugi jęknął głucho, cofnął się o kilka kroków, a potem zawrzasnął niewiele gorzej od lamentującej donośnie właścicielki w klinowego kosza.

Sześciu rycerskich zabijaków ryknęło z dziką radością, do uszu Gusłka dotarł charakterystyczny dźwięk wyciąganych z pochew mieczy. Dwóch opryszków zapodało tyły mknąc w dół uliczki chyżo niczym zające, ale pościg nie zamierzał odpuścić, pokrzykując krwiożerczo i wymachując bronią.

W ułamku chwili uliczka opustoszała, bo oprócz dwóch łotrzyków i ich dzielnych prześladowców zniknęli z niej przezornie wszyscy inni przechodnie prócz dwójki rybaków i strachliwej mieszczi – każdy rozsądny Ostrogarczyk trzymał się z dala od takich burd, wszczynanych zazwyczaj przez nieobyczajnych przyjezdnych.

– Raczie wybaczyć, pani złota – skłonił się kobiecie nowicjusz. – My prości ludzie, bez złych intencji...

– Paszoł won! – mieszcza zamachała rękami odpędzając od siebie zatroskanego jej stanem nowicjusza. – Precz, bo gębę podrapię, włóczęgo!

Odkoczywszy od nieszczęsnej kobieciny Gusłek rozejrzał się śpiesznie wokół, przywołał do siebie Trzęsikęska. W tej samej chwili zgrzytnęły drzwi sklepu Kostropatego, a stojąca w progu postać w znajomym czarnym kapturze poczęła dawać rybakom pośpieszne znaki.

– Maskacz! – syknął Trzęsikęsek schylając się w truchcie po upuszczony przez jednego z handlarzy nóż. – Pewnikiem się czego zwiedziało, że tak pomachuje. Widać Kostropaty uległ i po dobroci wygadał, co mu na ozorze leżało.

Zager cofnął się w bok przepuszczając nadchodzących śpiesznie druhów, odwracając z nieznanego powodu głowę w bok. Nowicjusz i myśliwy znaleźli się ponownie w ciemnym zakurczonym wnętrzu sklepiku, tocząc wokół wzrokiem w poszukiwaniu właściciela. Gusłek podskoczył słysząc trzask zamykanych drzwi, a potem wytrzeszczył oczy na widok wystających zza kontuaru nieruchomych ludzkich nóg.

– Jam go wcale mocno nie palnął – powiedział Łamignat spoglądając na towarzysza smutnym wzrokiem. – Niby wielgaśny chłop, a raz dostał i padł jak muszka.







Rozdział XVI

Pchełek oblizał spierzchnięte usta, rozejrzał się badawczo wokół. Jakiś starszy wiekiem mężczyzna z uciętą nad kolanem nogą odpowiedział mu równie badawczym spojrzeniem, po czym wyciągnął się wygodniej na drewnianym stołeczku przed domem i zaczął ćmić fajeczkę. Gromada rozwrzeszczanych dzieciaków zniknęła w przeciwnym zaułku, przegnana tam przekleństwami tęgiej matrony w kolorowej chuście na głowie, urządzającej pranie nad rynsztokiem i jazgotliwie przekrzykującej się z sąsiadką z przeciwnej strony ulicy.

Młody rybak cmoknął niecierpliwie, w myślach próbując ułożyć jakiś błyskotliwy, a przy tym mało ryzykowny plan podsłuchania konwersacji, jaka bez wątpienia miała teraz miejsce wewnątrz niszczonego domostwa. Zwykle podkradnięcie się pod drzwi nie wchodziło jednak w grę przez wzgląd na licznych mieszkańców okolicznych kamienic, którzy z braku jakichkolwiek zajęć wylegali na ulicę gawędząc lub ubliżając sobie nawzajem, a przy tym bacznie lustrując spojrzeniami swe otoczenie. Pchełek domyślił się od razu, że widok obcego w śmiesznych portkach i z uchem przystawionym do dziurki od klucza wzbudzi w miejscowych niepomierną ciekawość, a może i przejaw ich wrogości. Z tego samego powodu nie mógł rzecz jasna skorzystać z okien, chociaż nie miały ani szyb ani rybich błon i straszyły ciemnymi otworami odsłaniającymi zaniedbane mroczne pokoje.

Złodziej przespacerował się wzdłuż fasady domostwa, spoglądając prosto przed siebie i z całych sił nadstawiając uszu na wysokości mijanych kolejno otworów okiennych. Z głębi domu dobiegały go co prawda jakieś dźwięki ożywionej dyskusji, która zdawała się przechodzić momentami w pokrzykiwanie, ale nie potrafił niczego z niej zrozumieć, kamienne ściany budynku skutecznie tłumiły odgłosy rozmowy.

Wielkie dziury w dachu niesamowicie Pchełka nęciły, bo chłopak lubił się wspinać i nieraz dawał w osadzie popis swych akrobatycznych umiejętności, ale wyczyn tego rodzaju na oczach starca z fajeczką i wrzaskliwych sąsiadek nie należał do specjalnie bezpiecznych pomysłów.

Chwilę później okazało się zresztą, że opinia rybaka na temat miejscowych nie była ani trochę przesadzona. Matrona w kolorowej chuście wytarła mokre ręce w swój wypłowiały fartuch, odłożyła na bok waszbrętę i ujawszy się pod pachy ruszyła z groźną miną na stojącego przy przeciwnym rogu domostwa Pchełka.

– Szukata tu czegoś?! – zapytała podniesionym głosem. – My tu niechętnie wielce jak się obce krynciom, siła tu złodziejstwa a moc hultajstwa! Czego to lazita tam a nazad? Cosik zgubione, abo co?





– A wielmożna Pani, znajomka zdało mi się, że widziałem jak wchodził do tej chałupy, ale nie wiem czy to un czy nie un. A głupio tak pukać do drzwiów, bo pewny nie jestem. Kto to mieszka w tym domostwie? – rzekł Pchełek wskazując palcem na obserwowane domostwo. – A może, mateńko złota, widziałas takich jak ja rybaków tu w okolicy, dwóch ich było skromnie odziane jak i ja, pare dni temu zagubiły nam się nieboraki. Widziałas ich może??

Tytułowana wielmożną panią, podejrzliwa matrona straciła z miejsca sporo ze swej wrogości, ale wciąż łypała na Pchełka – całkiem przystojnego w rzeczy samej młodziana – badawczym wzrokiem.

– Patrzasz mi na porządnego czelaka, mój drogi – powiedziała przenosząc spojrzenie na podniszczałe domostwo. – Jeśliś w istocie taki, to się lepiej trzymaj z daleka od tamtych drzwi. Tam siedzą hultaje jakich mało, jeszcze sobie nieszczęście jakie na łepetynę przez takowych ściągniesz, złociutki. A rybaków nijakich żem tu nie udziwiła. Powiadasz, że takie jako ty podobny? Z liczka też czy jeno z odzienia?

Pchełek poczuł ukłucie niepokoju na dźwięk tonu, który przybrała sroga praczka, niezbyt mu też przypadł do gustu jej drapieżny wzrok, przesuwający się w krepujący młodzieńca sposób po jego torsie i przyrodzeniu.

– Z liczka? – wybąkał. – A można i z liczka, z odzienia na pewno. Takie łapcie jak ja mieli i takież kapotki. Bojam się wielce, że gdzieś tu pobłądzili w tym wielkim mieście.

– Oj, nikogom nie widziała – uśmiechnęła się zalotnie matrona, prezentując liczne braki w uzębieniu. – Ale jakeś sam jeden i bez dachu nad głową, toć chętnie pomogę, wszak bogowie ochotnie spoglądają na tych, co innym pomoc niosą. U mnie barłóg pustkami świeci po męża śmierci nieszczęśliwej, miejsca rychło naszykuję, podkarmię czym chata bogata.

– Pani złota, nie śmiem nawet myśleć, że godny jestem damie jak ty sprawić przyjemność. Chudy jestem i cherlawy. Ale w imię przysłowia onego, że Bogi ochotnie spoglądają na tych, co innym pomoc niosą mam ja dla cie propozycje która i mi i tobie się opłaci. – Pchełek szybko przekombinował plan w łepetynie. – Baaardzo jestem ciekaw, o czym mój znajomek rozprawia w tej chacie, a jako widać pani bystra jesteś jak woda w potoku. Idźże no tam, podsłuchaj co oni prawią, a w nagrodę takiego ci byczka przyprowadzę, że świat nie widział. Ma ze dwa metry, i mięśnie jak bochny. A jak raz mu nad rzeką portki spadły, a mój biedny wujcio Mendek na drugim brzegu ryby łowił i w całej krasie go zobaczył, to dwa tygodnie markotny chodził, a i w nocy ciągle budził się z wrzaskiem i darł się, że go olifant atakuje – zakończył młodzian.

Po chwili przerwy dodał. – I co ty na to powiadasz? Od biedy i ja być mogę... – dodał cichutko, prawie niesłyszalnie Pchełek.

Sroga praczka najpierw szeroko się uśmiechnęła, ponownie szokując swym nielicznym uzębieniem, w miarę słów Pchełka markotniała jednak, by na koniec ponownie się rozpromienić.

– Och, kochanieńki mój, mnie nie trza jakiego olifanta, jeno zucha, co pięknie umi gadać. Iście, pięknieś rzeknął, bystra jako woda w potoku, toć to jakbyś mnie od maleńkości znajomił –





powiedziała kobieta wycierając raz jeszcze ręce w fartuch i postępując krok w stronę młodzieńca. – Ale tam pod te okna nie pójdę, bom nie jest głupia i po łbie mnie się zebrać nie uśmiecha. W tej norze siedzą łapserdaki jakich mało, to banda Dartana Odrzyskóry. Onych kaźden tutaj unika, co trosk nie chce mieć o blizny na gębie, a czerwony kur na dachu. Tedy daj spokój z tymi obwiesiami, mój miły, bo jeszcze i tobie pokancerują tę urokliwe liczko.

Złapany palcami kobiety za przód kapoty, Pchełek rozejrział się wkóło z leciutkim błyskiem paniki w oczach. Na ulicze panował pozorny spokój, dziadek z fajeczką drzemał na stołku nie zwracając uwagi na łowy swej sąsiadki, za to jej znajoma z okna po przeciwnej stronie ulicy spozierała na Pchelka z ewidentną zazdrością wyrysowaną na pucolowatej twarzy.

– Pójdźmy lepszy do mnie, jaki gąsiorek się znajdzie, a może i co więcej... – matrona uśmiechnęła się zalotnie, składając ręce na uwodzicielski w swym mniemaniu sposób. Pchełek poczuł na ów widok ciarki, ale zmusił się do przyjaznego uśmiechu.

“Raz kozie śmierć” – pomyślał Pchełek. – “Wujcio Mendek mawiał, że darowanemu koniowi nie zagłada się w zęby... eh żeby jeszcze ten koń chociaż zęby miał... Babsztyla trzeba obskoczyć, może jak usnie po wszystkim to da się jeszcze podskoczyć i jakąś informację podsłuchać. W kaźdym razie, babę trza pod takim kątem do okna ustawić, żeby mieć baczenie na budynek Dartana. Hmm, a może jak paskudztwo się odwróci to w zaciszu domowym ją tym gąsiorkiem w łepetyne zdzielić?”

Niemalże przemocą zaciągnięty do domostwa praczki, Pchełek odkrył ku swemu zaskoczeniu całkiem czyste mieszkanie, które wręcz nie pasowało tym wyglądem do podniszczonej kamienicy i rozpadającego się bruku na ulicy. Z kuchni dobiegł go mile łechcący nozdrza zapach pieczonego kapłona i zsiadłego mleka, który sprawił, że brzuch młodzieńca zaczął wydawać z siebie głośnie burczenie.

– Pani złota, ależ tutaj pachniście – westchnął rybak oblizując usta i zerkając na wejście do kuchni. – Iście mistrzyni z was w pichcieniu, szczerze prawię.

– W inszych sprawach też żem mistrzyni. – Mieszczka napařła na Pchelka całym ciałem, opłotła go ramionami. – A ty nie praw o pichcieniu, tylko się bierz do dzieła, bom wyposzczona za wszelkie czasy. Najpierw przyjemności, potem jedzonko.

Zapchany do niewielkiego pokoiku z rozlatującym się drewnianym łóźkiem, Pchełek westchnął ponownie, rozglądając się pośpiesznie za oknem, przez które mógłby podczas mało eksytujących amatorów dyskretnie wyglądać na kwaterę Odrzyskóry. Znalazł je zaraz i to z pięknym widokiem na rozlatujące się domostwo po drugiej stronie uliczki, ale nim zdążył dobrze przez nie wyjrzeć, wesoła wdowa pchnęła go na łóźku, a potem sama wylądowała na swym amancie z wyrazem skrajnego ukontentowania na zarumienionym obliczu.

– Ech, mójże ty gołabczku, ależeś mnie się wydarzył – oznajmiła zadzierając w górę kiecę. – Oj, juści tak drapko nie uciekniesz z miłosnych uścisków!

“Arianno, błagam, dodaj mi sił” – pomyślał ze zgrozą Pchełek, wzywając pomocy bogini





plodności, kiedy tylko jego wzrok padł na pulchne nagie ciało kochanki – “niedźwiedzica mi się trafiła!”

W niektórych częściach Ostrogaru moda na golenie zarostu na kobiecych nogach zdecydowanie się nie przyjęła, zapewne ze względów praktycznych, bo wiele niewiast niższego stanu nie widziało potrzeby, aby się poddawać co jakiś czas katuszom skrobania brzytwą po nogach i podbrzuszu. Czuły na kobiece wdzięki i wielce pod tym względem estetyczny złodziej przeżył zatem niemały wstrząs, ale nie zdążył nic wyrzec na głos, wciśnięty w rozmemłaną pościel przez żądną uciech białogłowę.



Rozdział XVII

Zatrzasnąwszy szybko drzwi przybytku Kostropatego, Gusłek znalazł kawałek deski, pośród różnych walających się po pomieszczeniu rupieci, i kawałkiem węgla drzewnego, z wyciągniętym z wysiłku myślowego językiem, napisał najlepiej jak potrafił jeden wyraz. Gotowe dzieło obejrzał, wyciągając przed siebie i podziwiając niczym jakiś piękniś swe odbicie w zwierciadle, pokręcił z zadowolenia głową, wyraźnie dumny ze swej znajomości pisma, po czym szybko wywiesił je po zewnętrznej stronie wejściowych drzwi i z pomocą kompanów ponownie solidnie je zaryglował.

Napis głosił:



Uspokoiwszy szorstkimi słowami wstrząśniętych jego nową twarzą towarzyszy, Maskacz zarządził dokładne przeszukanie sklepu Kostropatego, po części w nadziei na znalezienie przedmiotów należących do Krzesimira i Sękacza, po części zaś z myślą o powiększeniu swej zasobności.

– Małom w porty nie narobił na widok tej gęby – szepnął do Gusłka Trzęsikęsek, wciąż zerkając nieufnie na noszącego czarny kaptur Kostropatego. – Wypisz-wymaluj, ten pierwszy. Jak on to robi? Szkoda, że Trzewiskręt i mnie tego nie wyuczył.

– Można i lepiej dla ciebie, że jego za otroka wziął na wychówek, bo tak se miarkuje, że to nie był dobry człek. Czcigodny Żłop powiadał, że oni się od maleńkości Zagera bagienną magią parali, a to nie jest przyjazna magia, możesz mi wierzyć.

– Co wy tam tak konferunsjecie, co? – Hogur rzucił w stronę rozmawiających szeptem towarzyszy, zganiał ich wzrokiem przetrząsając jednocześnie stołowe szuflady handlarza. Od razu wyszedł też na jaw pierwszy błąd Kostropatego, leżącego wciąż bez świadomości na podłodze sklepu: w szufladach nie było bynajmniej kilku monet, bystre oczy Maskacza natychmiast wyłapały błysk kilkunastu srebrnych pieniędzy.

– Te dzwonki całkiem dobre są – burknął Trzęsikęsek potrząsając na próbę mosiężnym dzwon-



kiem, który rybacy zwykli używać we mgle dla odnajdywania się nawzajem. – Ma ich tu więcej.

Gusłek potrząsnął z rozczarowaniem głową, cisnął w kąt sklepu kawał zwiniętej ciasno liny, obejrzał kilka wypełnionych żelaznymi nitami wiader.

– Niczego tu nie zobaczył, coby z Burat-aru przyplłynęło – oznajmił cierpko nowicjusz. – Gadajta co dalej, bo jeszcze jaki znajomek tego tam przylezie i nas na rozboju przyłapi, a wtedy Pianie poratuj! Pchełek gdzieś przepadł, a my na bandyckiej robocie! Matula się w domu łzami zaleje jak usłyszysz, żeśmy na złą drogę zesзли!

– A mnie się zdawa, że on coś tam wie, psi syn. – Czarownik uśmiechnął się w paskudny sposób. – I mogę iść w zakład o te porty, w które małoś nie narobił, Kęsek, że to z niego wydrę.

– Juźci – przewrócił oczami myśliwy spoglądając na Gusłka. – Ten to ma uszyska.

Maskacz przykleknął tymczasem obok Kostropatego i zaczął go w mało delikatny sposób klepać po policzkach. Mężczyzna zajęczał coś głucho, przekręcił w bok głowę, potem otworzył oczy i zaczął nimi mrugać.

A potem wydał z siebie wizg przerażenia widząc własną twarz spoglądającą na niego spod czarnego kaptura.

W tym czasie roześlony Gusłek złapał za trzymany przez Trzęsikęska dzwonek, wrzucił go z grymasem złości do najbliższego wiadra czyniąc przy okazji sporo hałasu, bo pojemnik wypełniony był metalowymi manierkami.

– Ratować ziomków w potrzebie godzi się wszystkimi sposobami, ale na rabunek mojej zgody nie ma! Powroza se na gardziel kręcił nie będę! Jak nas ten obwieś będzie chciał straży miejskiej wydać, to rzeknie, żeśmy mu całą fortunę za próg wynieśli, a ja za to nie miarkuję zadyndać.

Nowicjusz obejrzał się przez ramię, na stojącego nad Kostropatym Maskacza.

– Gnatek, drzwiów pilnuj, nikogo nie puszczaj – polecił osiłkowi Gusłek, zmierzając szybkim krokiem ku jęczącej rozdzierająco ofierze. Trzęsikęsek deptał ziomkowi po piętach, chociaż widać było, że mu żal bardzo odebranego dzwonka i nie do końca się ze słowami Gusłka godzi.

– Coście wy za jedni? – wybelkotał przerażony Kostropaty. – Czemu on wygląda po mojemu? Co wy mi chcecie uczynić?!

Maskacz pochylił się nad Kostropatym, niemalże oszalałym ze strachu i wpatrującym się w prześladowcę szeroko otwartymi oczami. Tylko lekce, lekce, opamiętał się w myślach czarownik, jak go za mocno przyciśniesz, jeszcze palpitacyi dostanie albo waporów na pikawie.

– Przyszli do ciebie dwaj rybacy, przyjezdni – wysyczał złowrogim tonem Hogur. – Sprzedali ci tę łódkę, o którą cała rzecz idzie. Nie zapieraj się, żeś bez winy, bo tylko sobie więcej bólu a zgryzoty przyprawisz. Mnie wiadomym jest, że wiesz, o co mnie idzie, jeno prawdy wyznać nie chcesz. Daj pozór, boś się przeliczył myśląc, że z byle chłystkami zadzieraszą. Gdzie są ci rybacy i co ci o nich wiadomo?

– Ja żem im nic nie zrobił, klnę się na Bella! – Kostropaty wydał z siebie pełny grozy wizg. – Ani żem żadnych rybaków na oczy nie widział!





Maskacz przykleknął obok swej ofiary, przycisnął do piersi struchlałego człowieka kolano, zaczął z nie wróżącą nic dobrego miną oglądać ostry szpic swego ościenia. Stojący w tyle Gulek zeszywniał natychmiast, zrobił krok do przodu, jednakże Trzęsikęsek osadził go w miejscu łapiąc nowicjusza pod ramię i omal nie rozdierając mu przy tym rękawa licej kapoty.

– Łaskawi bogowie stworzyli człeków dając im parę oczysków – syknął ponownie Hogur, próbując czubkiem kciuka ostrość ościenia. – Wieszcze, czemuż to? Bo jedno niezbędnym jest, coby coś widzieć, a drugie to zbytek, dar boży. Jam jest człek nierychliwy i do gniewu nieskory, ale jeśli mi zaraz nie rzekniesz, co się z tymi ludźmi stało, stracisz dar boży i ostaniesz przy jednym jeno oku, a potem może i ono stracisz jak dalej będziesz przy swoim obstawał.

– Nie! – wrzasnął Kostropaty przekręcając w bok głowę i próbując odczołgać się w tył mimo związanych rąk i nóg. Ciężar kłęzącego mu na piersiach Hogura uniemożliwiał jednak ucieczkę, toteż przyszpilony do podłogi handlarz zaczął szlochać w panicznym lęku.

– Nie było tu żadnych rybaków! – wyrzucił z siebie żałośne. – Od nikogo żem jej nie kupował! Dostał żem ją dwa dni temu od jednego znajomka, Dartana Odrzyskóry! Klnę się na Bella, że prawdę powiadam! Pomiłujcie, panie złoty, wybaczcie mą zuchwałość a brak ogłady! Ja żem was z kim innym pomylił, zaprawdę powiadam! Jakbym wiedział, o co rzecz idzie, rzekłbym wam wszystko zaraz a bez gwałtu, przysięgam! Ostawcie mi oka!

Zager przekręcił głowę w bok powolnym ruchem, spojrział ponad ramieniem na Trzęsikęska i Gusłka, skrzywił usta w leciutkim uśmiechu tryumfu. Kiedy jego wzrok spoczął ponownie na bladej jak ściana twarzy Kostropatego, nie było już na niej śladu uśmiechu, jeno lodowata wrogość.

– Któż zacz ten Odrzyskóra? – zapytał czarownik. – Skąd wziął łódź i czemu ci ją dał?

– To znaczny łotr że Żabiego Skrzeku, niedaleko Chłopskiego Krocza, rządzi tam na całym kwartale, haraczowuje, a wszystkich się czepia niemiłosiernie. Słucham się go, boć strach go nie posłuchać, panie, czasami mi towar do sklepu przysyła, sprzedawać każe, bierze dla siebie zapłatę, a mnie ledwie parę dutków zostawia za fatywę.

– Toś ty popaser jest – stwierdził Maskacz odwołując się do dziwaczego słowa, które kiedyś zasłyszał u wędrownych kupców, a które oznaczało rzekomo handlarza kupejącego kradzionymi dobrami.

– Nie, klnę się na bogów! – podniósł głos spanikowany więzień. – Jam jest Kostropaty, nie Popaser, nie znam Popasera, nigdy z nim interesów nie robił! Ale jak zechciecie, to popytam tu i tam, na pewno ktosik tego Popasera zna!

– Nie pleć od rzeczy, bo po gębie zbierzesz – ostrzegł sklepikarza Zager. – Znaczy się, ten Odrzyskóra dwa dni temu łódź ci załatwił na sprzedaż, tak? Nie wiesz, skąd ją wziął?

– Nie wiem, nie wiem! – zarzekął się przerażonym głosem Kostropaty. – Przyłazł tu z Wywichwastem i Pęcina, dał kwit na łódź i powiedział, gdzie w porcie stoi i że mam ją za nie mniej jak dwie sztuki złota sprzedać, a zwawo. Nic więcej nie wiem, naprawdę!





Maskacz spoglądał na Kostropatego dłuższą chwilę, w milczeniu, za to nie wróżącym nic dobrego wzrokiem.

– I co rzekniesz, Guslek, he? – odezwał się w końcu. – Taki się zdawał porządny a niekłamliwy i co? Mnie przecucie z rzadka myli, i tera też żem się nie omylił. Ty psie wszawy, gadaj, co wiesz o tym Odrzyskórce, a żwawo, by ci się co złego nie przytrafiło! – te słowa skierował znów do swego więźnia.

Handlarz jęczał i szlochał, kręcił głową na boki starając się unikać za wszelką cenę kontaktu wzrokowego ze swym prześladowcą. Jąkając się niepomiernie sklepikarz wyznał w końcu, że z Dartanem łączyły go ciemne interesy, polegające w głównej mierze na upłynnianiu różnych dóbr, w których posiadanie Odrzyskóra wchodził w sposób nader podejrzany. Kostropaty zarzekał się, że nie uczestniczył w żadnych rozbojach ani kradzieżach, a jego rola w bandzie Dartana ograniczała się wyłącznie do paserstwa, ale Zager nie widział powodu, by od razu w te zapewnienia uwierzyć.

Odrzyskóra mieszkał w rozpadającym się domostwie w kwartale Żabi Skrzek, tuż przy niesławnej dzielnicy Chłopskie Krocze. Razem z nim koczowała tam banda złożona z dobrego tuzina hultajów i rębaczy: ludzi, orków i półorków o bandyckiej przeszłości. Wszyscy oni, trzymani przez Dartana żelazną ręką, zastraszały i łupili okolicznych mieszczan oraz sklepikarzy, dobrze się ponoć w zamian opłacając lokalnej ostrogarskiej straży.

Opowieść dotycząca łodzi Krzesimira i Sękacza była jeszcze krótsza, niezbyt jednak pomogła w rozwiązaniu tajemnicy ich zniknięcia. Dwa dni temu Odrzyskóra przyniósł kwit własności łodzi, po czym nakazał ją korzystnie sprzedać. Posłuszny woli herszta Kostropaty znalazł następnego dnia kupca pod postacią pana Tarruha i wymienił towar na równowartość dwóch sztuk złota w różnych monetach. Cztery piąte z tego zagarnął pracujący dla Odrzyskóry Wyrwichwast, nim opuścił sklep spłoszony obecnością dziwnych rybaków, resztę dostał na otarcie łez sam Kostropaty.

– Dwieście srebrników? – uniósł brwi Trzęsikęsek słysząc cenę, jakiej zażądał od Tarruha Kostropaty. – A nam ten kurwi syn pięćset zaśpiewał, niechby mu trzewia poskręcało! Iście miastowe zwyczaje, jeden drugiego by tu zeżarł za garść dutków!





Rozdział XVIII

Ziajany i mokry od potu Pchełek przewrócił się na plecy, łaskawie tolerując krążące po jego torsie pożądliwe dłonie mieszczyki. Młodzian wspiał się na wyżyny swego miłosnego talentu, dzielnie próbując sprostać misji jaką z pewnością musiała na niego zesłać przewrotna w swej kobiecej naturze Arianna.

– Och, mój złościutki – sapnęła ukontentowana niewiasta zarzucając na Pchełka swą nogę. – Dawno mnie tak zaden nie wygodził jak ty! Chyba cię stąd nie wypuszczę.

– Co to, to nie, gołąbeczko – odparł czym prędzej Pchełek. – Wielcem rad, żem mógł wesprzeć tak urodziwą białogłową w potrzebie, ale mus mi czym prędzej dalej w drogę, znajomków szukać, co tu przepadli z kretesem.

– Oj, tu ci nie pomogę – zasmuciła się kobieta. – Nie znam ja ci tego Kretesa, tutaj właśnie Odrzyskóra rządzi, kurwi syn czystej wody. Biada temu, co mu w drogę wejdzie, nawet niewiasta. Złym słowem zelży, czasami pogna kopniakiem. Nic w nim z takiego urokliwego gaszka jak ty. Jak te twoje ziomki z nim zadarły, a nie z Kretesem, to pewnikiem już po nich, pewnie gdzieś obici w bramie leżą, abo i bez ducha.

Pchełek wygramolił się niezdarnie z wyrka pomimo dzikiego oporu lubieżnej niewiasty, próbującej oblać go naprędce i wciągnąć z powrotem na lepką od potu pościel.

– Miła moja, dość tych swawoli – wybronił się młodzian, szybko dając nogę w drugi kąt pokoju, gdzie praczka cisnęła zdarte z oblubieńca portki. – Ledwiem z głodu ruchawy, Pian mi świadkiem! Jak czego zaraz nie połknę, istic żadnego ze mnie nie będzie pożytku, a tak namięt-na białogłowa potrzebuje ogiera czystej wody, nie chuchrzaka!

Lukrecja z rozczarowaniem przyjęła oświadczyzny kochanka z łapanki, zrobiła nadąsaną minę, ale puściła rybaka sięgając po własny przyodziewek.

– Niechaj ci będzie, mój ty – zaśmiała się w mało urokliwy sposób, niezbyt pociągający głównie przez wzgląd na swoje czterdzieści lat na karku i związane z nimi liczne zmarszczki. Przyglądając się kobiecie z ukosa, ubierający portki Pchełek pogratulował sobie w duchu niezwykłego wyczynu, bo nigdy wcześniej nawet by nie sądził, że sprawdzi się w obliczu tak nieatrakcyjnego wyzwania.

Chwilę później, wciąż jeszcze spocony, ale już ubrany i odgradzony od praczki bezpiecznym białem drewnianego stołu, pożerał z donośnym mlaskaniem ogórki w śmietanie i kawał zimnej pieczeni, popijając to wszystko piwem domowej roboty.

– Ależ ci pychota! – wymamrotał z pełnymi ustami. – Ogórki i piwo, pewnikiem mi trzewia poskręca, ale niech tam, pychota.





– A papaj, papaj, kochanieńki. – Lukrecja złapała młodzieńca pod stołem za kolano, ścisnęła je niczym kowal kleszczami kawał żelaza. – Jak ci zasmakuje, można częściej zaglądnieć do miłej wdówki?

Pchełek zakrztusił się łykiem piwa, ale szybko odzyskał dech, zachował twarz posyłając mieszcze flirciarski uśmiech.

– Jak Arianna sił doda, nader chętnie a gorliwie – oświadczył żując jednocześnie kawał mięsa. – Ale rzeknij mi, miła, coś więcej o tych obwiesiach z drugiej strony ulicy. Naprzykrzają ci się? Ublizają uczciwej niewieście, kurwie syny jedne?

– A wieszże, żeś dobrze pomiarkował! – Ostrogarka pociemniała po twarzy, zmarszczyła czoło. – Odrzyskóra to pies nad psy, złodziej, a przy tym raptus i gwałtownik! Nie ma dnia, co by kogo po gębie nie obił albo i zadźgał w ciemnym kącie! Ty tam lepiej się tym człkiem nic a nic nie interesowuj, bo se jeno biedy napytasz a jakiego nieszczęścia.

– Znaczy się, istny zbój miastowy z niego? – Pchełek wciąż dbał o to, by mieć pełne usta, ale mimo intensywnego gryzienia i zucia cały czas umiejętnie prowadził rozmowę. – Ale przecie sam on jeden, prawda to? Nie możecie skrzyknąć chłopca z całusieńskiej ulicy, razem mu grzbiet wygarbować, w beczkę wsadzić i do jeziora?

– Och, nie gadaj tak głośno, bo jeszcze ktosik usłyszysz – zatroskała się jeszcze bardziej Lukrecja, spozierając jednocześnie ku zamkniętym drzwiom swego mieszkanka. – On tu wszystkim trzęsie, a podobno ma jakoweś koneksyje w podzamczu. Niektóre ludziska gadają, że po cichaczu niewolników łapie, przyjezdnych pewnikiem, że ich sprzedaje za grubaśne dutki na obrzędy w świątyniach złych bogów albo na walki na śmierć i życie, co to podobno bogate pany się w nich lubują, rozlaną krew chłepcą razem z winem.

– Juźci, nie jeno zbój, ale i zbrodzień – burknął Pchełek. – I nikt go nie tyka, straż go na szafot nie wlecze?

– Kochanieńki, ten psubrat bogatego a władnego nie ukrzywdzi, za łebski jest ku temu. On jeno biednych wyzyskuje, a przecie biedny taki do grodzkiego sędziego nie polezie, bo się nie ma czym opłacić – odparła Lukrecja. – A ma przy sobie drabów a oprychów, co jeden, to z gęby szpetniejszy, nic a nic do cię nie podobny, kochasiu. Z tuzin ich przy nim siedzi, w tej ruderze naprzeciwko albo po mieście się włóczą, porządnych ludzi zaczepiają, nożami straszą.

Pchełek przełknął wyśmienitego kwaszonego ogórka, oblizał się ze smakiem, łaskawie pozwoił, by Lukrecja dołała mu jeszcze trochę piwa z glinianego dzbanka na stole.

– Łapie niewolników, powiadasz? – W głosie rybaka pobrzmiwała beztraska nuta, ale jego myśli sposepniały na wspomnienie Krzesimira i Sękacza. – Na sprzedaż, znaczy? A co na to grodzcy, przecie jak piętno wypalają, to muszą z gminy papierzyska podpisywać a wypisy z registeru sprawdzać?

Mieszczka zaśmiała się donośnie, do rozpuku, potem otarła oczy z łez kręcąc głową na myśl o łatwości przystojnego przybysza z prowincji.





– Złociutki, wierzaj mi, tu się nikten w takowe ceregielyje nie bawi – oznajmiła wprost. – Moźne paniska niewolników są żądni jako kania dżdzu. Furda papiery a wypisy, tu się czlekwowi do zadka rozpalone żelazo przystawia jak ładny z lica a młody, a starym to od razu piętno na czoło i w kajdany, hajda biczyskiem po grzbiecie, pot wylewać a łyzy. To jest Ostrogar, tu prawo dla bogaczy jest a szlachetnie urodzonych. Zwykle ludziska jęczeć jeno mogą w jarmie, nic więcej. Orkowe rządy twarde są a niewyrozumiałe.

– A skąd ten zbój takowe koneksyje ma na podzamczu, co? – Pchełek odsunął od siebie miskę, nie tyle nasycony, co wyzbyty dalszego apetytu przez wzgląd na złowieszczą opowieść Lukrecji. – Z bogaczami kupczy ludzkim towarem?

– A można i... – kiwnęła głową Lukrecja, wyraźnie nieskora do dalszej rozmowy na mało dla niej przyjemny temat. – Kto to wie, kto się tam z tym psim synem układa, kto mu za rozbój płaci?

– A coś to rzekła o tych walkach na śmierć i życie? – Nie ustawał drążyć wątku Buratarczyk, w coraz czarniejszych barwach widzący nagle los swych zaginionych ziomków. – Gdzie to miejsce ma i kiedy?

– Tegom to ja wcale nie znajoma – odparła kobieta. – Tak tylko słyszała żem, jak ludziska po kątach szeptali, ale nic więcej nie wiem. Podobno ktosik widział jak nocami draby Odrzyskóry ludzi wynosili z tej jego nory, jako barany powiązanych a ze szmatami w gębach, gdzieś w miasto ich wlekli po ciemku. Żaden tutejszy na rozumie zdrowy nosa w takie sprawy nie ciśnie, bo nie jeno nos straci, ale po gardle ostrzem zbierze. Z Odrzyskórą nie ma żartów a swawoli, dobrze se to pamiętnij.

Zasepiony tak grobowymi wieściami, Pchełek wstał czym prędzej od stołu, dociągnął parciany pasek. Gospodyni zrobiła na ów widok rozczarowaną minę, wyraźnie niezadowolona z rychłego rozstania z namiętym kochankiem.

– Gdzież to ci tak śpieszno, milutki? – uśmiechnęła się przymilnie, ale tym razem jej mało urokliwa mina nie zrobiła na rybaku żadnego wrażenia.

– Mus mi w drogę, gołąbeczko. – Pchełek przechylił się nad stołem, złapał Lukrecję za policzki i cmoknął ją w usta z zaskoczenia. Mieszczka z miejsca pokraśniała, obłapiła amanta z całej siły. – Ej, puść, puszczaj, kochanieńka, nie czas na figle!

Chwilę później, odprowadzony przez Lukrecję aż na ulicę i pozbawiony przez to okazji do podprowadzenia jej gotówki, Pchełek sunął już szybkim krokiem ku kwartałowi, gdzie miał nadzieję odnaleźć sklep Kostropatego. Liczył się z tym, że pobłądzi, bo śledząc Wyrwichwasta nie przykładał się zbyt do zapamiętywania drogi, ale nie tracił optymizmu: było nie było, koniec ozora za kierunków wskazatora, jak zwykł powiadać jego sąsiad, stary Pasibrzuch.

Mijając domostwo Odrzyskóry, rybak zerknął w ciemne okna nadstawiając jednocześnie dobrze ucha, ale gwar ludzkich głosów dobiegających ze środka umilkł, za brudnymi parapetami panowała cisza.





* * *

– Ziomy, ktosik tu biegnie – odezwał się nagle Łamignat, ściskając mocniej swą pałę i wzierając przez małe okienko w drzwiach na ulicę. – Toć to Pchełek! Możem jego wpuszczać albo wołać, że zamknięte?

– Wpuszczaj, wpuszczaj! – Myśliwy sam doskoczył do drzwi, otworzył je szybko, pomachał ręką rozglądającemu się po ulicy ziomkowi. Zdyszany złodziej wskoczył za próg sklepu, oparł się plecami o ścianę dysząc ciężko.

– Gdzieżeś się szwendał, powsinogo jedna?! – naskoczył na niego Gusłek, nawet nie próbując ukrywać ulgi na widok całego i zdrowego ziomka. – My tu od rozumu odchodzimy, że cosik ci się stało!

– Nic się nie stało, za to coś stało – odparł z tajemniczym uśmiechem Pchełek. – A wy tu co, za mistrzów małodobrych się macie?

Młodzieniec spojrział znacząco na związanego sznurami Kostropatego, potem przeniósł wzrok na Gusłka. Nowicjusz wrzucił w odpowiedzi ramionami.

– Jawnym się stało, że ów człek nie był prawdomównym – oznajmił ze smutkiem Gusłek. – Trza go było gwałtem brać a wielce straszyć, coby pęknął. Trzyma ci on konszacht z jednym takim Odrzyskórą...

– ...ze Żabiego Skrzeku – dokończył nieoczekiwanie Pchełek, uśmiechając się przy tym bez cienia wesołości. – Juźci, głowę dam, że gadamy o tym samym kurwim synie.

– Prawdomównym onci nie był, ale nie to dla nas... – lamentował dalej Gusłek i dopiero po chwili załapał, że Pchełek przy przesłuchaniu był nieobecny.

Rybacy wzajemnie wymienili się informacjami, które zdobyli i dla większości z nich wszystko stało się jaśniejsze.

– Cosik więcej jużeśmy pomiarkowali, ale co wieść, to gorsza jawi mi się sytuacja i nasza i ziomków naszych. Kłamlivy on, ale do rozboju nas doprowadził. Mała to pociecha, że zbójami my przez zbója, a nie przez prawego człeka się stalim. I co tera my robić dalej będziemy? – Gusłka nie opuszczał pesymistyczny nastrój.

Spozierając co chwila na leżącego w kącie Kostropatego, czterej młodzieńcy naradzali się ściszonymi głosami, w ożywieniu rozprawiając nad swymi pomysłami co do dalszego pobytu w coraz bardziej niebezpiecznym Ostrogarze. Wszyscy wiedzieli doskonale, że po prawdzie mogli już wrócić do portu, zabrać ziarno i wszystkie łodzie, po czym odpłynąć czym prędzej na północ, do Burat-aru, gdzie wyczekiwano ich zapewne z utęsknieniem.

Lecz wszystkich ich gryzło przemożne dążenie do rozwikłania zagadki tajemniczego zniknięcia Krzesimira i Sękacza. Dwa dni spędzone w stolicy pozwoliły im odkryć wiele nitek wiodących do sedna tej sprawy i czuli, że zaprzestając teraz śledztwa zawiedliby zaufanie pokładane w nich przez starszyznę.

Łamignat stał przy zamkniętych na rygle drzwiach wejściowych, gryząc znalezione przy





Kostropatym skórę chleba i mrużąc coś nieszcześliwym tonem pod nosem.

– Ja tam nie wiem, czy nocleg u tego łgarza to dobry pomysł – mruknął Gusłek, rozważając jedną z sugestii. – Jak go zacząć szukać, to pewnikiem wpierw tam, gdzie się go spodziewają znaleźć. Jeśli ten Odrzyskóra zaprawdę taki kurwi syn jak Pchełek powiadał, to mnie tam w jego łapy niepilno, pomiarkujcie sobie te słowa. Mus nam inne miejsce na schronienie znaleźć i ziarno też mus odebrać, bo jeszcze nam znowu przepadnie, a to strata by była straszniasta.

– A to niby gdzie się chcesz przespać, he? – zapytał Maskacz. – Na ulicy niewiele bezpieczniej jak tutaj, a na posłanie w karczmie dutków nie dosyć.

– To wsadźmy worki na łodzie i pośpijmy na jeziorze – zaproponował Gusłek rozchmurzając się natychmiast. – Zawszeć to taniej i bezpieczniej jak w samym Ostrogarzu. A potem z ranka wrócimy dalej szukać.

Zager nic nie odrzekł w pierwszej chwili, ale sposepniał zauważalnie, jego wzrok pobiegł ku zapleczu sklepiku, gdzie chwilę wcześniej czarownik odkrył niewielki żelazny piecyk, wielce w jego mniemaniu zdalny do warzenia ziołowych specjalów.

– Mus mi porządnie wypocząć – odpowiedział po chwili głosem, w którym pobrzmiwała nutka rozczarowania. – Druga noc w łodzi wielce mnie nie nęci, jeszcze mnie gnaty po ostatniej bolą. Wypędźmy handlarza ze sklepu, niech do domu idzie, a my tutaj pośpimy spokojnie, za ryglami.

– Czyś ty rozum postradał? – zapytał Gusłek przewracając oczami. – Toć jego nie można puścić, boć nas zara sprzeda: albo temu oprychowi Odrzyskórze albo miejskiej straży. Wieszanie widziałeś? Rychło ci pod szubienicą stanąć?

– Ty się tak nie nerwuj, Gusłku, boć to niezdrowe wielce – uśmiechnął się chłodno Hogur. – Kostropaty nie wyjdzie stąd bez rozmowy ze mną, a wierzaj albo nie, po tej rozmowie nawet kat mu języka nie rozwiąże, moja w tym głowa... i talent.

– Znowu bagienna magia? – ściszył głos nowicjusz. – Jakie przeklętych Arjounów zaklęcia, co to ich porządni i bogobojni ludzie lękają się od zawsze? Zaprzestań ty tych praktyk, bracie, póki jeszcze nie za późno, pomnij na słowa moje.

– Nie marudź, boć tom słyszał te twoje jęczenie tyle już razy, że mnie się kiszki od tego skręcają – syknął Maskacz dając do zrozumienia, że nie podoba mu się bieżący temat rozmowy. – Może to i czary, co innym ni w ząb są, aleć pomagają wielce, pomnijcie sami, ilem dla dobra Burat-aru w tym mieście już zdziałał z moją magią. He? Bez tych czarów z jednym by nam wracać przyszło!

Gusłek i Pchełek nic nie odrzekli na to, bo wbrew sobie samym musieli przyznać Hogurowi słusność. Czarownik wyczuł to, toteż zaczął kuć żelazo, póki gorące.

– Mus mi tukej zanocować, bom mocno z mocy wyczerpany – oświadczył wprost. – Jak wam w łepetynach dalej Odrzyskóra i pomsta za ziomków, tom wpierw do regeneracji przymuszony, a temu nie podołam śpiąc drugą noc w łodzi.





Guslek nie dawał za wygraną w dyspacie z Zagerem, otwarcie demonstrując swą niechęć do pozostania w ciasnych czterech ścianach sklepu Kostropatego. Chociaż nowicjusz doskonale rozumiał potrzeby Maskacza, nie potrafił ich zaakceptować z powodu przemożnego lęku przed wpadnięciem w łapy Odrzyskóry, a jeśli słusznie rozumował, herszt miejskiego gangu ostrzeżony przez Wyrwichwasta musiał prędzej czy później odwiedzić swego pasera, choćby po to, by się z nim rozmówić w kwestii węszących za łodzią wieśniaków z prowincji.

I jak się szybko okazało, miało to nastąpić raczej prędzej niż później...





Rozdział XIX

Ico rzekniesz, milczku jeden? – fuknął na Trzęsikęska rozsierdzony nieco Gusłek. – Dzień w dzień gęba ci się nie zawiera, kłapiesz nią na prawo i lewo, tylko patrzeć jak ci ozór od tego spuchnie, a jakeś na tym ryneczku po łbie zebrał od żołdaka, tak ci zara gadka przeszła?!

Nim zaiste dziwnie milkliwy myśliwy zdążył odpowiedzieć, czatujący przy drzwiach Łamignat poruszył się zniенаcka niespokojnie, łypnął nerwowo w stronę kamratów.

– Ktosik tukej lezie! – syknął osiłek. – Siła ich, olaboga, trzy abo cztery abo więcej! A mordy takie, co to tatuńcio zawsze prawił, zara onego w taką mordę lać trza.

Trzęsikęsek doskoczył bez słowa do najbliższego okienka, odciągnął ubrudzoną niemilosiernie zasłonę, ciężką od kurzu i muszych odchodów. Za równie brudną szybką z kiepsko odlanego szkła dostrzegł grupkę pięciu czy sześciu mężczyzn o fizjonomii rasowych oprychów, zmierzających szybkim krokiem w stronę sklepu Kostropatego.

– No i masz babo placka z agawą. Doigralim się, nie ma co. Wiedział żem, że tak się zadzieje, oj, wiedział żem. Tera do Piana modlić się nam trza, coby skórę na grzbiecie zachować. Zager, umyśl no coś, bo my tu jako królik we wnykach. Łamignaś, łap się za swą pałeczkę, może polechtać intruzerów nią musieć będziesz.

To rzekłszy Gusłek przeskukał wzrokiem izbę, coby jakowegoś drągała wynaleźć, za broń improwizowaną w czasie możliwego starcia posłużyć mu mogącego. A co dalej? – najbliższe chwile miały pokazać.

– Skitrać nam się na zapleczu ot co! Siedzmy cicho jak mysz pod miotłą i będzie dobrze – szeptał Pchełek. – Tylko temu tu szmatę w gębę wsadźta albo lepiej jeszcze raz go po łbie, bo jak mawiał mój sąsiad, psia jego jednonożna mać, Pasibrzuch: „nawet posłuszna świnia pierdzi głośno jak każda inna”, a nie chcemy tu żadnych oszczegawczych bąków!

Koncepcja Pchelka przypadła reszcie grupy wielce do gustu, bo rzut okiem na masywne żelazne rygle przy dębowych drzwiach podpowiedział wszystkim, że nawet w sześciu i wspólnymi siłami, nadciągający z marsowymi minami goście nie podołają zamkniętemu wejściu.

Powleczoney za kołnierz Kostropaty jęknął w bezrozumnym strachu, lecz że Maskacz z miejsca przyłożył mu do ucha ostry szpic ościenia, handlarz nie wydał z siebie żadnego głośniejszego dźwięku, wpatrzony szeroko otwartymi oczami w noszoną przez obcego mu człowieka własną twarz.

Ciasne zaplecze sklepiku zawalone było rozmaitymi gratami, ale rybacy znaleźli w nim dość miejsca, by cisnąć dość obcesowo na podłogę właściciela i jeszcze samemu pochować się w różnych zakamarkach.





Przyciśnięty do futryny zaplecza Gusłek, ściskający w rękach swą rzeźbioną topornie laske nowicjusza, nadstawiał pilnie ucha próbując odgadnąć, co też działo się właśnie pod zewnętrznymi drzwiami sklepu.

A działo się tam całkiem wiele – najpierw ktoś zaczął walić w drzwi i szarpać za klamkę, wyzywając Kostropatego przy okazji brzydko i bardzo donośnie. Po chwili bezskutecznego dobijania się na zewnątrz rozgorzała ożywiona dyskusja, potem do uszu Gusłka dotarła kolejna porcja uderzeń w twarde i nieczułe na perswazję drewno. Po dłuższej z kolei przerwie rozległ się nagle dźwięk tłuczonego szkła, jego odłamki posypały się dźwięcznie na podłogę sklepu.

Gusłek stężał słysząc ten odgłos, ale Trzęsikęsek posłał mu uspokajające spojrzenie – obydwaj okienka sklepu były zbyt małe, by zdołał się przez nie precyzyjnie człowiek, nawet głowy by tam nie zdołał wsadzić.

– Kostropaty, kurwi synu jeden, jeżżeś tam?! – ryknął ochryply męski głos. – Jakiś jest, wylaż, nie dygaj, kulasów ci nie poprzetrącam, jak rychło odewrzesz! No, wylaż, powiadam!

Handlarz wydał z siebie cichutki dźwięk przywodzący na myśl miauknięcie, ale na nic więcej się nie poważył, pomny przystawionego do ucha ościenia Zagera.

– Nie ma go, suczego chwosta – zza okienka dobiegł cichszy już głos ordynusa. – Żółwiak, Wrzód, zostaniecie tu i zaczekacie, a nuż z powrotem przyjdzie. My zajrzemy do mieszkania.

Chwilę później zza wejściowych drzwi dobiegały już tylko dźwięki rozmowy pomiędzy pozostawionymi na straży opryszkami.

Pierwszy zdecydował się odezwać cichutko Maskacz. – Do cholery jakim tu by ich-zielskiem załatwić? – Były to raczej przemyślenia czarownika, które zupełnie przypadkowo wyrwały mu się na zewnątrz. Pewne było jednak – Zager miał jakiś kolejny plan.

– O jakim ty ziele gadasz Maskacz, we łbie ci się od tych zielei poprzestawiało! Jedyne ziele co znam to te co palią ukradkiem wujcio Mendek z sąsiadem moim, Pasibrzuchem... Dziwni po tym byli prawie jak i ty. Tyle że się chichrali więcej... W zasadzie tylko się chichrali... Przynajmniej do wtedy co wujcio zlał się z tego śmiechu w gacie i ciotka... Eeeh, co ty masz z tym zieleem Maskacz, co? Portki masz za suche? – wywód swój wygłosił Pchełek, który już sam zorientował się, że to chyba nie pora na humor.

Maskacz zmierzył Pchełka spojrzeniem, w którym niewiele było sympatii, mnóstwo za to lodu, isticie z samiuśkich szczytów Gór Mroźnych.

– Nie błaznuj a nie dowcipkuj, bo jak tamte draby cię w łapy pochwyca, toć sam suchych portków mieć nie będziesz, wierzaj mi. Cosik mi się widzi, żeśmy już dawno do Burat-aru płynąć mogli, a zamiast tego jeszcze tutaj łepetyny położymy!

Płowowłosy młodzian wyzbył się z miejsca żartobliwego nastroju, przygryzł wargi, pokiwał tylko niemo głową.

– Mus nam wpierv tych wachtujących sprzątnąć, a żwawo – oznajmił ściszone głosem Hogur. – Tylko patrzeć jak Odrzyskóra wróci z innymi, a wtedy za siła ich będzie, coby wszyst-





kim sprostać, czoła stawić.

– A jak ich sprzątnąć pomiarkujesz? – zapytał ze sceptyczną miną Gusłek, popatrując przy tym znacząco na Trzęsikęska.

Ścisząc głos jeszcze bardziej Zager przedstawił naprędce swój ryzykowany plan, zakładający pojmanie w niewolę całego miejskiego gangu.

– Olaboga – oniemiał Gusłek. – A jak to się nie uda? Kto nas poratuje?

– Potem będzie czas, coby beczeć jako ta koza na postronku – strofował go czarownik. – Tera czas cosik zrobić, inaczej po nas, musowo.

– Ale w tym proggu wołanie, to niedobry pomysł jest – odezwał się nagle Trzęsikęsek. – Jak taki Żółwi Wrzód czy jak oni się tam zwą zoczy, że jaka obca gęba z proggu go woła, to pewnikiem za nic w świecie do środka nie wlezie, wierzajcie mi, wiem, co powiadam. Lepszy niżli Gusłek ty sam będziesz, Maskacz, toć masz mordę tego Kostropatego na pysku, wypisz wymaluj. Jak ty ich zawołasz, zara tu wleżą, a my się nimi już dalej zajmujemy. Co rzekniesz?

Dogadawszy śpiesznym szeptem wszelkie szczegóły swego nader ryzykownego planu, drżący z nerwowej ekscytacji młodzieńczy ujęli w dłonie palki, laski i drągi, gotowi na spotkanie z pilnującymi wejścia do sklepu oprychami. Zakneblowany dla pewności Kostropaty został zaciągnięty w róg zaplecza i zarzucony cuchnącymi baraniami kozuchami, a dopinający kurtkę właściciela Maskacz wylał sobie na pierś pół butelki taniej zbożowej wódki, krzywiąc z niesmakiem twarz.

Pchełek wlaźł za kontuar sklepu ze ścisłym oburącz drągiem, Trzęsikęsek zawiązał się w brudną, upstrzoną pajęczynami płachtę materiału na żagle, Gusłek i Łamignat przykucnęli za regałami pełnymi żelastwa. Ocenivszy stopień ich zakonspirowania na zadowolający, Hogur podszedł chwiejnym krokiem do drzwi, odryglował je mamrocząc coś nieskładnie pod nosem.

Słyszając zgrzyt rygli dwaj mężczyźni odwrócili się ku frontonowi sklepu. Stojący w proggu czarownik nie omieszkiał zauważyć, że obaj natychmiast położyli dłonie na rękojeściach swych szabli, z reflekssem nie wróżącym zbyt wiele dobrego.

– Kostropaty, suczy chwoście! – warknął jeden z nich, niski człowiek o noszącym ślady wielokrotnych złamań nosie i szczeciniastym zaroście. – Odrzyskóra łeb ci urwie, żeś mi nie odevrzał!

Drugi oprych zrobił krok do przodu, pociągnął nosem, pokiwał z niedowierzaniem głową.

– Aleś się schlał, ty opoju! – zarechotał drapiąc się jednocześnie po podziobanej niedoleczonymi wypryskami twarzy; Zager pomiarkował od razu, że człek ten musiał nosić miano Wrzoda, to znaczyło zaś, że połamany nos był Żółwiakiem. – Gdzie polazły te kurwie syny, co cię tu straszły?

– Jakie kurwie syny? – wymamrotał Kostropaty, opierając się dla lepszego efektu o futrynę drzwi.

– Ano te, co cię z nimi Wyrwichwast widział – sarknął Żółwiak, podchodząc do rzekomego





właściciela sklepu. – Poszli już? Gdzie? Musieli ci nieźle strachu napędzić, żeś zara flaszkę ob-rócił. Odrzyskóra zły na ciebie wielce jest, a ty wiesz, co to znaczy. Wiesz?

– Wiem, wiem – wybelkotał Hogur, cofając się do wnętrza sklepu. – Pójdźcie no, patrzajcie tylko na to.

Fałszywy Kostropaty zawrócił w miejscu, powlókł się w głąb sklepu. Dwaj bandyci spojrzeli na siebie, wzruszyli ramionami miarkując coś dziwnego w doborze słów i akcencie znajomka, kładąc to chyba jednak na karb spożytego zbyt prędko alkoholu. Obaj przekroczyli próg ciemnego sklepiku wodząc wokół niezbyt podejrzliwym wzrokiem, co zdradzało, że musieli wcześniej nieraz bywać w przybytku handlarza.

Ale dowiedli, że byli też szybko myślącymi i szybko działającymi ludźmi; niebezpiecznymi ludźmi.

Kiedy kopnięte przez Trzęsikęska drzwi zatrzasnęły się z donośnym hukiem, obaj mężczyźni momentalnie zaczęli wyciągać z pochew szable, uginając nogi lekko w kolanach z zamiarem gibkich uników i kręcąc głowami niczym przestraszone nagłym hałasem ptaki.

Cięzka pałka Łamignata zetknęła się pośród głośniego trzasku z potylicą Wrzoda, odbierając mu w ułamku chwili przytomność i posyłając walącego się z nóg rzezimieszka wprost na stertę wypełnionych żelaznymi ćwiekami wiader. Żółwiak rzucił się w bok dostrzegając kątem oka ów atak, wyciągnął szablę do końca, mierząc nią w nacierającego z kapłańską laską Gusłka, odsłaniając się tym samym na szarżę wyskakującego zza kontuaru Pchełka. Płowowłosa złodziej dźgnął oprycha drągiem niczym paladyn lancą smoka, prosto między łopatki, wytrącając go z równowagi.

Żółwiak grzmotnął o podłogę rozcinając sobie przy okazji wierzch dłoni o ostrze własnej szabli, stęknął głucho, bardziej z wściekłości niż bólu. Trzęsikęsek doskoczył do niego momentalnie, kopnął z rozpędu w wykrzywioną nieładnie twarz, łamiąc oprychowi kolejny raz z rzędu nos i druzgocząc kość policzkową.

Pozbawiony przytomności Żółwiak opadł na deski podłogi brudząc je sączącą się z nosa krwią.

Cała konfrontacja trwała zaledwie pięć do ośmiu uderzeń serca, ale zdyszany i podekscytowanym rybakom zdało się, że walczyli w ciasnej przestrzeni sklepu kwadrans z okładem.

– No i co tera? – zapytał niepewnie Pchełek.

Kiedy już dwóch oprychów leżało bez ducha na podłodze przybytku Kostropatego, do Gusłka w końcu dotarło, co tu się właściwie wydarzyło. Z początku pobladł, uświadomiwszy sobie, czym groziło niepowodzenie, ale zaraz potem poczuł przyływ dumy ze swoich kompanów i z samego siebie, ze sprytu i z odwagi, jakimi się wykazali. Poczul się jak prawdziwy wojowniczy mnich.

– No tak, ale co dalej? – powtórzył pytanie Pchełka nowicjusz.

Stając w rozkroku nad nieruchomymi ciałami, Pchełek ujął się dumnie pod pachy, zaraz





jednak spuścił z tonu zachodząc w głowę, co właściwie należało zrobić z powiększającym się nader szybko poczetem więźniów.

– No i ja się pytam, co tera? – zadał powtórne pytanie młodzian wyciągając z pochwy Wrzo-da tkwiącą tam do połowy ostrza szablę i markując nią jakieś nieporadnie składane ciosy. Broń oprycha należała zapewne do ostatnich egzemplarzy tego oręża, ale złodziej wpatrywał się w jej klingę niczym urzeczoną, pierwszy raz dzierżąc w dłoni prawdziwą szablę. Mieszkańcy Burat-aru z racji ubogich sakiewek nie mogli sobie pozwolić na broń z prawdziwego zdarzenia, umiłowali sobie zatem drewniane pałki, włócznie i oszczepy oraz rozmaitego rodzaju noże. Liczbę mieczy i szabel w osadzie można było policzyć na palcach jednej ręki. – Chyba se ją wezmę, wiecie?

– Głupi byś był robiąc inakszy! – odparł natychmiast Trzęsikęsek. – Mus ich obłupić do gołej skóry, boć to jeno kara sprawiedliwa, a nie rabunek. A na Placu Karczemnym żem patrzył na ceny broni i rzeknę ci, co takie szable to po kupę dudków chodzą razem z pochwą i pasem!

– Kupę?! – zdumiał się Pchełek. – Toć te dwie od tych tu, to dwie kupy będzie? Toć to siła dutków! Nigdy tam tyle naraz nie widział! – zaśmiał się młodzian.

– A ja owszem, i całkiem niedawno – wtrącił z dziwną nutką melancholii Maskacz, który chyba nie do końca złapał dowcip Pchełka. – Alem roztrwonil je na druhów ratowanie i przy nadziei jestem, że mi tego nikt nie zapomni. Wiążmy szybko tych psubratów, bo jeszcze gotowi się pozbierać na nogi.

Chwilę później dwaj bandyci leżeli na zapleczu sklepiku, bardzo już teraz zatłoczonym. Pchełek wziął sobie do serca uwagę Trzęsikęska, pozbawiając opryszków nie tylko broni, syngnetów, pasów i skórzanych kurtek, ale nawet obu par butów.

I to jakich butów! Nie żadnych tam wieśniaczych łapci, których złodziej zaczął się po pierwszym dniu pobytu w Ostrogarze szczerze wstydzić, tylko prawdziwych dzieł sztuki, z twardymi podeszwami, z wzmocnionymi noskami i sznurowadłami. Młodzian założył jedną parę na własne stopy ciskając starymi łapciami w wyzierającą spod baranich kozuchów gębę Kostropatego.

Zmieniwszy obuwie, Pchełek oplótł swe biodra szerokim skórzanym pasem z metalową klamrą, barwionym na smolistą czerń i przyozdobionym mosiężnymi guzami. Wsadzona w pochwę szabla dokończyła dzieła i prężąc dumnie pierś rybak spojrział pytającym wzrokiem na towarzyszy, lustrujących go w zamian dość sceptycznymi spojrzeniami.

– Istny zbój z ciebie – orzekł Gusłek. – A z gęby pomiarkować można, że i dość nierozgarnięty na dodatek. Ileś tam dutków im wyłuskał, co?

– Będzie z osiem srebrników – odparł Pchełek spoglądając na odłożone z boku pieniądze, powyciągane z kieszeni opryszków.

– I co tera dalej? – powtórzył, po raz kolejny, wcześniejsze pytanie Trzęsikęsek. – Tutaj dłużej chyba nie trza siedzieć, tylko patrzeć jak przylezie ten Odrzyskóra.

– A drugi raz Pan Uciech może już tak łaskawie na nas nie spojierać – skinął z niepokojem





głową nowicjusz. – Ja bym tam rzeknął, coby z nimi do przystani iść, na łódź wsadzić, na wodzie dobrze opytać.

– A jak ty ich tam chcesz zagonić, he? – zdziwił się szczerze czarownik. – Poprosisz, żeby sami poszli czy Gnatek ich poniesie na oczyskach tych wszystkich ludziów, co tu po ulicach łażą?

– Prawda – zasepił się Guslek. – Ale może byśmy mogli jakiś wózek znaleźć, taki dwukołowy, dużo ich po uliczkach jeździ...

Leżący dotąd bez ruchu Wrzód jęknął głucho, zamrugał oczami próbując widać odgadnąć, gdzie się znajduje i czemu w tak dziwnej pozycji, potem splunął cuchnącą flegmą na podłogę.

– Ki czort? – wymamrotał nieskładnie próbując obrócić głowę, by się rozejrzeć po ciasnym ciemnym pomieszczeniu. – Ki czort?

– Skoro się jegomościowi czucie wróciło, to do przesłuchu przystąpić mogę. Zager, tyś do tego najzdolniejszy. Bier się za psubrata. Abo nazad ducha trza go pozbawić, bo nam gotów wydrzeć się jak stara kapota, i na lby inszych bandziorów sprowadzić albo jeszcze się oswobodzić i sprawić, że miejscami się zamienim. A jak gadać z nim tera nie będziem, szmatę jaką w gębę wsadzić, coby pomocy wzywać nie mogli.

Maskacz kiwnął głową słysząc słowa Guslka, uklęknął obok wciąż oszołomionego Wrzoda. Pozostali rybacy cofnęli się nieco nie chcąc, by oprych ujrzał ich twarze, podnieśli wyżej kołnierze swych kapot.

Ostrogarski rzezimieszek wciągnął głęboko powietrze dostrzegając o cal od swego prawego oka zaostroszony czubek rybackiego ościenia.

– Będziem tera gadać – pouczył go Hogur. – Tyle, że bardzo obyczajnie i bardzo cicho, kumasz?

– Kostropaty, co ty? – wykrztusił Wrzód spoglądając na rzekomego handlarza pełnym niezrozumienia wzrokiem. – Całkiem ci odbiło? Przecie Odrzyskóra cię zabije jak się o tym dowie! Pasy z ciebie będzie dar!

Cichy wizg dobiegający spod sterty baranich kozuchów zwrócił uwagę więźnia na innego towarzysza niedoli, a oczy opryszka rozszerzyły się do granic możliwości na widok przerażonej twarzy ujrzanej pod okryciami.

– Kostropaty?! Jak... Jak to? Na Bella! Bogowie, pomiłujcie! Kurwi czarownik?!

Maskacz wymierzył Wrzodowi siarczysty policzek, zbyt słaby, by sprawił mu autentyczny ból, dość silny jednak, by łotrzyk natychmiast umilkł, mrugając tylko i łzawiąc.

– Rzekłem przecie, że ma być cicho – wyszczał chłodnym jak lód głosem Hogur. – Potrzebne mi są wieści, różne, ale wszystkie bez wyjątku prawdziwe. Jeśli pary z gęby nie puścisz, zdechniesz tu jak pies i w boleściach. Jeśli będziesz łąał, może cię z życiem puścimy, ale z obciętym jęzorem i wylupionymi ślepiami. Chcesz li zachować wszelkie członki a zdrowiem się cieszyć, gadaj szczerze, a żwawo, a nie zostaniesz ukrzywdzony.





Wrzód milczał przez krótką chwilę, toteż Zager przystawił mu szpic ościenia wprost do oka. Lotr targnął głową w tył, uderzył nią o twardą podłogę, stęknął głucho.

– Będę gadał... – odpowiedział niespokojnym głosem, ustawicznie wodząc wzrokiem od jednego Kostropatego do drugiego i z powrotem. – Będę gadał – powtórzył.

Słyszając deklarację więźnia Gusłek podszedł nieco bliżej, przykucnął obok Wrzoda w taki sposób, by ten nie widział jego twarzy. Maskacz zrozumiał od razu intencje towarzysza, bo kiedy opryszek spróbował przekreślić w bok głowę, omal nie nadział się okiem na ościęć i z miejsca zaprzestał dalszych prób podpatrywania oblicza nowego rozmówcy.

– Gadaj, psuabracie, gdzie i kiedy bitki tajemne się odbywają, a termin rychło nam tu objaw – syknął złowrogo nowicjusz, całkiem wprawnie naśladowując nie wieszczący nic dobrego ton Zagera.

– To wy za sprawą walk? – wykrztusił nieco nieskładnie Wrzód. – A my myśleli, że...

– Nie myśl! – zawarczał Maskacz. – Nie myśl, tylko gadaj!

– Jużci gadam, litości! – pisnął rzezimieszek zezując zabawnie w próbie spojrzenia na przystawiony do twarzy ościęć, tym razem dla odmiany wciśnięty w jedną z dziurek nosa ofiary. – W piwnicach magazynu szlachetnego pana Rumburaka, przy Jedwabnej, na granicy Placu Karczemnego i Chłopskiego Krocza! A następne to chyba za dwa dni, alem nie jest pewien!

– Jakim sposobem można się tamoj dostać, he? Mus jakim słowem tajemnym rzucić, a jeśli tak, to jakim? Abo może trza komu złotem w oczy zaświecić?

– Hej, jak o to idzie, to po co było tak od razu po łbie walić? – lotr spróbował się uśmiechnąć, nie do końca mu to jednak wyszło, bo Maskacz cały czas terroryzował mężczyznę lodowatym wzrokiem. – Jakbyście coś wcześniej rzekli, toby my się dogadali, jam do interesów zawsze skory. Za pięć złotych sam bym was tam mógł wprowadzić, znajomi Odrzyskóry wstęp mają po zaniżonej cenie.

– Nie trza było po szable sięgać, jakeśmy się grzecznie przedstawiali – zaśmiał się w pozbawiony wesołości sposób Trzęsikęsek. – Tera to każdy by tak gadał, cielebuniu ty jeden!

– Jaki los walczących czeka? – w głos Gusłka wkradła się ledwie zauważalna nutka desperacji, ale wciąż zalękniony o swe życie zbój chyba tego nie zauważył. – Bitny a zwycięski w zamknięciu na nową walkę oczekuje, czy może zaraz nożem po gardle dostaje? I jak z tymi, co są pobici? Zaliż to walka na śmierć i życie?

– Na śmierć i życie? – Wrzód chrząknął niepewnie, mitygując się nieco i tracąc sporo z fałszywie przyjaznego wyrazu twarzy. Rzezimieszek zastanawiał się teraz zapewne gorączkowo, kim byli tak naprawdę przesłuchujący go obcy, jakie kierowały nimi pobudki i czy więcej wspólnego mieli z miłośnikami krwawych sportów, ziomkami jakich zaginionych ofiar bandy Odrzyskóry czy może z tajną strażą grodzką, która ponoć wielce ostatnimi czasy zwiększyła swą aktywność. – Jużci, że tak. Majętni a szlachetnie urodzeni chcą płacić za widowisko, a nie jakieś tam popierduchy z matołami okładającymi się niemrawo po gębach. Im krew tętni w ży-





lach jak inna krew na posadzkę ścieka, zaprawdę powiadam wam. Na śmierć i życie... ale ja tam nie mam z tym nic wspólnego, to działka Odrzyskóry, on w konszachty z Rumburakiem wszedł, ja tylko prosty człek jestem, do roboty najęty.

– Ta, jeno do roboty najęty, kurwi synu! – syknął ponownie Trzęsikęsek, tym razem głosem głęboko przesiąkniętym goryczą i złością. – Oj, wsadzę ja ci żelazo w gardziel za te słowa, bandziorko niemyty! I niech mi Morglit to wybaczy, że mu takiego sługę wysyłam.

Wrzód pobladł lekko słysząc syknięcie Trzęsikęska, z miejsca wychwycił czającą się w nim złość i determinację skoro rozmówca tak srogie bóstwo przywołuje.

– Panie, pomilujcie, nie zarzynajcie poczciwego człeka jak jakiego wieprzka! Darujcie, a wszystko wyznam, klnę się na wszystkich bogów, jakich znam, powiadam wam!

– Nie bluźnij! – uciszył go natychmiast Guslek, spoglądając jednocześnie badawczo w stronę drzwi sklepu, stojący jednak przy rozbitym okienku Łamignat nie zdradzał żadnych oznak poruszenia, a to oznaczało, że podniesiony głos rzezimieszka nie zwrócił na zewnątrz niczyjej uwagi. – Nie bluźnij, bo cię Pan Uciech ciężko pokarze, zbrodzeniu! Któż to organizator... orginaliza... organizuje one walki? Kimże są ludzie, co tak chętnie one walki oglądają, hę?

– A bo mnie to wiadome? – potrząsnął niepewnie głową Wrzód. – Pewnikiem czcigodny pan Rumburak, to człek wielce obrotny a interesowny, na wszystkim dutki zbić potrafi. A przychodzi do niego wszelaka klientela, ale najwięcej to orków tam bywa, szlachetnie urodzonych, z gębów a przyodziewku musi oficeryjowie z katańskiego garnizonu. I jacyś kapłani ze świątyni Seta i kupce bogate, co to lubią zakłady robić. I kobit dużo, z wysokich rodów, te jeszcze bardziej za krwią żądne jak chłopy, mało od pisków nie pochrypną jak w klatce jeden drugiego zarzyna ku ich uciesze.

Głaskany po twarzy ościeniem łotr mówił dużo i mówił chętnie, czując widać, że zbyt skąpa konwersacja wpłynie drastycznie na stan jego zdrowia – skrzywiona w posępnym grymasie twarz fałszywego Kostropatego w zupełności mu do napędzenia pietra wystarczała, nie musiał wcale spozierać na pozostałych rozmówców.

– Kimże są ci, co straż onych walk pełnią, jaka jest ich siła i jak to się dzieje, że są one tak skryte a tajne, że szary człek sam pomiarkować ich istnienia nie zdoła? – wypytywał dalej Guslek, zwalczając w sobie dziką ochotę do nakładzenia oprychowi po mordzie, a potem naplucia mu w oczy. – Przecie kto widzieć gapiów a więźniów winien.

– Pacholki od Rumburaka to są, panie – odpowiedział śpiesznie Wrzód, z której to odpowiedzi można było wywnioskować, iż dalej nie wie z kim ma do czynienia. – Ze dwa tuziny, ale wielmożny pan trzykroć tyle skrzyknąć może wedle potrzeby, tak wielki ma w swej posesyi poczet zbrojnych. A jak gościów na walkach dużo, to Odrzyskóra pomaga, własnych ludzi użycza, tyłów magazynu pilnują a galadatorów, co w klatkach na zapleczu siedzą.

Leżący obok Żółtwiak stęknął głucho, splunął charkotliwie krwistą flegmą, zaczął macać wkłó jedną ręką. Nie odrywając wzroku od twarzy Wrzoda, Maskacz złapał drugiego rze-





zimieszka za włosy, trzasnął jego głową o podłogę. Stękanie natychmiast ustało, ruchy ręki również.

– Z sześć tuzinów zbrojnych, powiadasz? – powtórzył w zamyśleniu Hogur. – To dla nas nie kłopot, nie z takimi bywało drzewiej radę sobie dawać. A ilu was ma przy sobie Odrzyskóra, co? Takich zbójów jak ty, rakarzy polujących na słabszych od siebie.

– Dziesięciu i czterech, panie! – wyrzucił z siebie Wrzód, pozostający wyraźnie pod wrażeniem tego, w jaki sposób czarownik potraktował właśnie Żółwiaka. – Dziesięciu i czterech na każde zawołanie, ale nie wszyscy złe ludzie, oj, nie. Jam poczciwy i do gwałtu nieskory, dla przykładu, wielce mnie troskają niektóre rzeczy, co Odrzyskóra wyczynia, aleć mus milczeć, cóż innego zrobić można?

– Prawda to, cóż innego człek uczynić może jak jeno milczeć? – powiedział powoli Gusłek, a ton jego głosu sprawił, że Wrzód poczuł się bardzo, ale to bardzo niespokojny o swe życie. – A jakie to kopalnie, co do nich niezdatni do walk trafiają? Gdzież one, jakie dobro się w nich wydobywa? Jak i kiedy jeńce są tamoj wiedzione? Zbrojnych taki tabor ma wielu?

– A to za jeziorem, panie – wystękał rzezimieszek, coraz bardziej załębiony przebiegiem rozmowy. Stawiane mu pytania pozwalały wyciągnąć mrozący krew w żyłach wniosek, że tajemniczy prześladowcy mieli jakiś ogromny interes w poznaniu sekretów Odrzyskóry i Rumburaka, a to nie wieściło zbyt dobrze tym, którzy te sekrety zdradzali; nieważne, że pod przy-musem. – Do kamieniołomów ich wywożą na barkach, z piętnem imperialnych niewolników, a orkowe wojsko ich strzeże. Kto tam się dostanie, ten już przepadł z kretesem.

– Rumburak sprzedaje ludzi Katanowi? – zdumiał się Gusłek. – I Katan się na to zgadza?

Wrzód spojrział na nowicjusza szeroko otwartymi oczami, myśląc widać, że było ono jedynie żartem. Lecz czyste zadziwienie błyszczące w spojrzeniu Gusłka sprawiło, że rzezimieszek roześmiał się wbrew sobie samemu.

– Pytasz jak dziecię jakie, człowieku. Katan łaknie niewolników jak kania dżdzu. Jego urzędnikom furda, skąd ich biorą, byle byli.

Pchełek przepchnął się obok Gusłka, trącił rozciągniętego na podłodze Wrzoda łapciem. Kostropaty jęknął spod sterty baranich kozuchów, ale umilkł, kiedy Maskacz posłał mu ostrzegawcze spojrzenie.

– Dwóch wioskowych naszych w wasze łapy wpadło – warknął złodziej. – Gdzie one som?! Gadaj, łajzo, bo ci Łamignat na gębie usiądzie!

Wrzód pobladł jeszcze mocniej, teraz do końca rozumiejąc jak wielkie groziło mu niebezpieczeństwo. Ci ludzie nie byli zainteresowani robieniem interesów z Odrzyskórą, nie zamierzali też przemocą wdzierać się na miejscowy rynek handlu niewolnikami. Nimi powodowało zupełnie coś innego, co budziło głęboki lęk opryszka.

Kierowała nimi chęć zemsty i odwetu.

– To wyście... Wyrwichwast nas ostrzegł... ja tam nic nie wiem, naprawdę! – ostatnie słowa





Wrzoda przeszły w podniesiony wizg, bo Maskacz wbił mu głębiej w nozdrza szpic ościenia.

– Posłuchaj tera, co rzeknę, a bardzo uważnie – wysyczał czarownik. – Już wiesz, żem biegły w czarnoksięstwie, styknie na mą gębę spojrzeć, by pojąć, żem nie byle ciołek w tych arkanach. Pytamy cię tera po grzeczności, ale pomiarkuj, że możemy to zrobić całkiem inszy jak nam myśl przyjdzie, że łżesz. Mam ci ja sztuczkę przednią, co przemocą potrafi wyrwać myśli spod czaszki, ale czyni ona wielce przerażające zniszczenia w umyśle. Jak mnie do tego przymuszysz, a z tobą skończę, pozostaniesz żywym trupem, śliniącym się, robiącym w porty i nie mogącym samemu jeść a pić, ale wszystkiemu świadomym i czułym. Chcesz tego?

– Jam niczemu nie winny, to Odrzyskóra! – wrzasnął krańcowo przerażony Wrzód. – To ich wina, głupców, nie słuchali życzliwych rad! Po co się oglądali za dziewczką Odrzyskórą?! Sami sobie winni, ale to Odrzyskóra na nich łapy położył, mnie tam nawet nie było, jam wtedy po straganach łaził, haracze ściągał!

– Chcesz rzeknąć, że oni w opresję wpadli przez dziewczkę? – zapytał cicho Maskacz. – I jaki los ich spotkał?

– A jaki miał spotkać?! Z Odrzyskórą żartów nie ma. Pewnikiem chciał ich tylko obić, ale musieli się stawiać, to swój los przypieczętowali. Od Wyrwichwasta żem słyszał, że wywlekli ich z knajpy. Jednego Odrzyskóra własnymi rękami zadźgał, tego, którego jego dziewczkę macał, a drugiego sprali okrutnie, a potem sprzedali Rumburakowi, bo akuratnie potrzebni byli niewolni do walk na arenach.

Gusłek westchnął głęboko, to samo uczynił Pchełek. Młodzi rybacy poczuli ogromny wstrząs na wieść o tym, że jeden z ich zaginionych rodaków już nie żył. Mężczywór i starszyna Burat-aru podejrzewali, że Krzesimir i Sękacz ulegli zgubnym pokusom wielkiego miasta i zarzucili swą misję. Mieli rację jedynie po części, bo chociaż dwaj ziomkowie faktycznie wpadli w sidła ostrogarskiego grzechu, nie z własnej winy nie powrócili do wioski.

– Jak dawno temu to się stało? – wysyczał Maskacz. – Czy ten drugi jeszcze żyje?

– Trzy dni temu – odparł roztrzęsiony Wrzód. – Panie, pomilujcie, nie zabijajcie! Jam temu nieszczęściu naprawdę niewinny!

– Jeszcze żyje czy nie? – powtórzył drżącym z gniewu głosem Hogur.

– Skąd mnie to wiedzieć?! – wyrzucił z siebie bandzior. – Wczoraj w nocy były walki, pewnikiem trupy padły, alem tam nie był, to mnie nie wiadomo, co się z nim stało.

– Braty, czas na nas – powiedział stojący za plecami przesłuchujących Wrzoda kompanów Trzęsikęsek. – Złe to wieści, bardzo złe, ale tylko patrzeć jak Odrzyskóra tu wróci razem z tamtymi obwiesiami. Jak nas zaskoczą w środku, będzie rzeźnia aż do krwi. Co robimy?

– Leż i nawet nie dychaj – syknął Maskacz podnosząc się z klęczek. Przywoławszy towarzyszy ruchami rąk, czarownik zgromadził ich tuż za progiem sklepu, z dala od zaplecza, dostatecznie zaś blisko jednego z okienek, by mieć dobre pole widzenia na ulicę.

– Przygotujemy zasadzkę – oznajmił zdecydowanym tonem Hogur. – Pochwycimy tych





zbrodzeniów w środku, a jak wleżą, pozbawimy wszystkich świadomości i wyrzemy pomstę.

– Jak ty ich chcesz ogłuszyć wszystkich naraz, co? – zdenerwował się Gustek. – Przecie to nie ryby w saku, abo raczki. To są bandziory przedniej marki, mordercy.

– Mam plan – odparł spokojnie Zager. – I mam jeszcze nieco ziół, co mocno kopcą i takich, co sen przywołują. A jak do bitki przyjdzie, mamy przecie jeszcze czerwoną furę Męczywora. Czyście ją już pogubili?

Wszyscy rybacy sięgnęli mimowolnie do niewielkich kieszonek wszytych w wewnętrzną stronę ich kapot, gdzie tkwiły małe metalowe flakoniki z chlupoczącym cicho narkotycznym wywarem.

– Przyczaimy się na ulicy, drzwi zostawimy otwarte – ciągnął czarownik. – Jak tamci do środka wleżą, a wleżą na pewno, zawrzemy za nimi wejście, a potem przez okna zapalone zielsko ciśniemy, coby ich podduścić.







Rozdział XX

Nostropaty i Wrzód jęczeli boleściwie, kiedy rybacy obwiązywali im usta cuchnącymi wilgocią szmatami, ale żadnemu z Buratarczyków nawet brew nie drgnęła na ów dźwięk. Ci ludzie powiązani byli bliżej lub dalej z mordercą ich ziomka, więc i tak mieli szczęście, że dzięki stanowczej postawie Gusłka po przesłuchaniu nie podcięto im gardel.

Zakneblowani starannie więźniowie zostali odciągnięci w kąt zaplecza. W takie miejsce, skąd nie sposób ich było dojrzeć z głównej części sklepu, ale dla pewności Trzęsikęsek zagrzebał ich wszystkich pod baraniami kozuchami.

– I co teraz? – szepnęła podekscytowany myśliwy dołączając do zgromadzonych przy drzwiach sklepu towarzyszy. – Co robimy?

– Pułapkę – odparł Maskacz otwierając szeroko drzwi i wyglądając ostrożnie za próg. Jego badawczy wzrok natrafił na jakąś pulchną kobiecinę wiodącą za ręce dwójkę pacholeń, umorusanego jegomościa i kilku rozleniwionych skwarem staruszków rozprawiających o czymś z żywieniem na schodach jakiegoś sklepiku.

Nigdzie nie widać było Odrzyskóry ani jego kompanów.

– Pomiarkujcie se dobrze – oświadczył Zager. – Ruszacie zadki na moje słowo, nie wcześniej. Jak te psie syny wleżą do środka, łapiemy za drzwi i nie puszczamy, Łamingant się tukej najlepszy sprawdzi. Trzęsikęsek, pożycz krzesiwo, mojem stracił przy tej bitce, gdzieś w łepetynę oberwał. Jedno okienko już stłuczone, trza będzie, drugie się wywali. Ja ich zapalonym zieleń zarzucę, poddusimy ich w środku, a potem pogłuszemy jak ryby w podbieraku. A teraz chowajta się żwawo.

– Ech, tylko gdzie? – westchnął Pchełek tocząc wokół wzrokiem. Maskacz nie odpowiedział, pociągnął za rękaw Łamignata wlokąc go w stronę uchylonej bramy klatki schodowej po przeciwnej stronie ulicy. Nie zastanawiając się długo pozostali trzej rybacy poszli biegiem w ślady ziomków, wpadając w mrok bramy i płosząc kilka walczących o jakiś cuchnący odpadek kotów.

Przywierający płasko do muru Gusłek rozejrzał się uważnie wokół, ale nigdzie nie zauważył żadnych skulonych sylwetek oferujących proszki złudzeń. Poza pierzchającymi kotami w bramie nie było żywej duszy.

– Iście w czas – syknął nagle Maskacz przyciskając się do drzwi, by jak najmniej wystawać na zewnątrz. Spoglądający ponad jego ramieniem Trzęsikęsek poczuł lodowaty dreszcz na myśl o tym jak blisko rybacy rozminęli się z Odrzyskórą i jego obwiesiami.

Herszt szajki i jego trzej przybocznicy nadchodzili z głębi uliczki, stąpając jej środkiem z mi-





nami skutecznie zniechęcającymi przechodniów do krzyżowania z nimi kroków. Maskacz zmrużył oczy mając w końcu okazję przyjrzeć się uważniej niesławnemu Dartanowi. Odrzyskóra okazał się mężem słusznego wzrostu i postury, odzianym w skórzany kubrak nabijany mosiężnymi guzami i płytkami. W przeciwieństwie do swych kompanów nie nosił przy pasie nader powszechnej w Ostrogarze szabli, tylko długi prosty miecz o inkrustowanej srebrem rękojeści – bez wątplenia łup zdobyty niecznie na jakimś nieszczęśniku, który wpadł mu kiedyś w łapy. Przy drugim biodrze miał ciężki kordelas, a na dłoniach rękawice z czarnej skóry, również najeżone metalowymi guzami. Promienie słońca odbijały się od dwóch masywnych srebrnych bransolet zatrzaśniętych tuż powyżej rękawic i na złotym łańcuchu zwisającym z szyi czarnowłosego brodatego łotra.

Szacując Odrzyskórę wzrokiem Maskacz pojął w mig, że nie z byle pachołem ma do czynienia, jeno z nad wyraz niebezpiecznym i bez wątplenia bezwzględny człowiekiem – inaczej Dartan nigdy nie osiągnąłby statusu lokalnego watażki i przywódcy gangu handlarzy niewolników.

Pozostali mężczyźni, ludzie z zauważalną domieszką orkowej krwi, nosili podobne do herszta kaftany, aczkolwiek nieco bardziej znoszone i gdzieniegdzie łatanne, u boków zaś mieli zakrzywione szable wykute na orkową modłę, oręż równie w Ostrogarze powszedni jak piwo w tawernie.

– Tegie rębacze, cosik mi się widzi – mruknął niespokojnie Pchełek, ściskając zbielałymi palcami swój oścień.

– Tera już za późno na biadolenie – syknął Guslek. – Toć to morderca, ten ich herszt, trza mu karę wymierzyć.

– Nie rzegotać, jeno się gotować – wycedził przez zęby czarownik, oplatając palcami krzesiwo.

Odrzyskóra zmarszczył czoło nie dostrzegając nigdzie śladu Wrzoda i Żółwiaka, odwrócił głowę w bok, rzucił kilka ostrych słów w stronę jednego z kompanów. Ten kiwnął śpiesznie głowę, przeszedł z marszu w trucht, podbiegł do uchylonych drzwi sklepu Kostropatego, zajrzał podejrzliwie za próg.

– Oni wcale nie są głupi – wyszeptał Pchełek. – Nie złapia się w te wnyki.

– Cichaj – syknął ponownie Maskacz. – Abo tak abo nie, zara będzie wiadome.

Wysłany na przespīgi łotr wzruszył ramionami w stronę Odrzyskóry, pchnął drzwi sklepu na oścież, stanął w progu czekając na resztę kompanów. Kiedy ci do niego doszli, ustąpił miejsca Odrzyskórce, z zauważalną skwapliwością schodząc nachmurzonemu hersztowi z drogi.

Jeden po drugim mężczyźni zniknęli w sklepie, pokrzykując coś w poszukiwaniu właściciela.

– Tera! – wyrzucił z siebie Hogur otwierając na oścież bramę i wysadzając wielkim susem na brukowaną uliczkę.





Rybacy pokonali uliczkę w przeciagu kilku uderzeń serca, chyżo, a przy tym bardzo cicho, bo ich niewygodne i pozbawione twardych podeszw łapcie świetnie się nadawały do skrytego poruszania. Tupał jedynie Pchełek, który miał na sobie zzute z nóg Wrzoda buty, ale złodziej stawiał kroki na tyle ostrożnie, że nie narobił hałasu na tyle znaczącego, by Odrzyskóra czy jego kompani zwietrzyli czyhające w tyle niebezpieczeństwo.

– Tutaj! – z wnętrza sklepu dobiegł czyjś podniesiony głos. – Patrzajcie tylko!

Przyklekający pod rozbitym okienkiem czarownik pojął, że któryś z oprychów musiał odnaleźć związanych i ciśniętych w kął więźniów. W tej samej chwili Łamignat złapał za żelazną klamkę drzwi i zatrzasnął je błyskawicznie, wspomagany przez Trzęsikęska. Maskacz i Pchełek skrzęsali naprędcie ogień, podpalili pierwszy woreczek, wypchany po brzegi drobinami zmielonego dymnego ziela.

– Co to?! – ryknął ktoś wewnątrz sklepu. – Do drzwi!

Czarownik cisnął przez okno kopący coraz mocniej woreczek, posyłając go w okolice progu, rozwarł drugi ułatwiając walczącemu z krzesiwem Pchełkowi zadanie. Ze środka sklepu padły plugawe wyzwiska, potem ktoś zaczął szarpać za wewnętrzną klamkę drzwi.

Równie dobrze mógł próbować pociągnąć za ogon dorosłego bawoła. Łamignat nawet nie stęknął, naprężył tylko mocniej mięśnie utrzymując drzwi w miejscu. Wrzaski z przeciwnej strony przybrały na sile, kiedy do środka wpadł drugi dymiący niemilosierne woreczek.

Gusłek doskoczył do drugiego okienka, w tej samej chwili, kiedy jeden z łotrów wytlukł w nim szybkę chcąc zaczerpnąć świeżego powietrza. Smągła wąska twarz bandyty-skrzywiła się w grymasie zaskoczenia na widok obcego, ręka wystrzeliła w kierunku wiszącego przy pasie kordelasa.

Nowicjusz trzymał już za drewnianą miniaturkę amfory noszoną na rzemyku na szyi, splótł słowa zaklęcia lekko drżącym głosem, sięgnął do wnętrza jażni i serca wzmacniając czar litą mocą swej głębokiej wiary. Podnoszący nóż do pchnięcia rzezimieszek zawrzaskał krótko, boleśnie, upuścił broń łapiąc się jednocześnie za pulsujące żywym ogniem skronie, opadł na kolana jęcząc donośnie.

Maskacz posłał w okienko trzeci woreczek, wypełniony dla odmiany zmielonymi liśćmi sennego ziela. Zza parapetu sączyły się pierwsze strużki dymu, w nozdrza rybaków wdarł się zapach spalenizny.

Kilka męskich pięści tlukło z całych sił w drewno drzwi i szarpało za klamkę, ale Łamignat nie ustępował, chociaż na jego czole pojawiły się pierwsze krople potu. Zdeenerwowany do granic możliwości Trzęsikęsek rozejrzał się po ulicy szukając śladu patrolu miejskiej straży. Jego spojrzenie nie natrafiło na żadnych żołnierzy, ale spostrzegł natychmiast pojawiające się w oknach pobliskich domostw ludzkie twarze, wyzieraające na zewnątrz w poszukiwaniu źródła dziwnego hałasu.

– Uspokójdźcie się tam w środku! Jak nieco otrzeźwiejecie to was wypuścimy. Osobiście nie





lubię przebywać w jednym pomieszczeniu z pijanymi osiłkami...

Wykrzyczawszy swe pozorowane groźby, Maskacz rozejrział się uważnie w obie strony ulicy, żywiąc nadzieję, że jego doskonale słyszalne słowa uspokoją chociaż trochę zaniepokojonych mieszczan tkwiących w oknach na piętrach sąsiednich domów.

Ktoś zaczął pokrzykiwać gniewnie w stronę Hogura, ale z powodu hałasu powodowanego przez zamkniętych w sklepie zbójów czarownik nie rozumiał.

– Ty kurwi synu! – w rozbitym okienku pojawiła się wykrzywiona wściekłością twarz Odrzyskóry, ściskającego w rękę swój miecz. Mężczyzna przycisnął się do parapetu kaszląc okropnie i charcząc pod wpływem drażniącego śluzówki dymu. Maskacz odturlał się przez ramię widząc kątem oka błysk stali, toteż zadany nieporadnie cios mieczem nie zdołał go sięgnąć. – Wypuście nas... khe, khe... bo inaczej na sztuki będę rwał! Khe, khe...

– Matka, rzną się na prawdziwe ostrza! – wrzasnął jakiś wyglądający z pobliskiej bramy ulicznik. – I chyba sklep Kostropatego podpali!

– Na bogów! – Zza położonego piętro wyżej okna poniósł się kobiecy lament, wyrzeszczony bardzo płacziwym i bardzo przepitym głosem – Palj się! Na Asteriusza i wszystkich świętych, poginiemy nędznie!

Gdzieś nad Trzęsikuskiem otworzyło się z przeraźliwym zgrzytem futryny okno, zadzierając głowę w górę myśliwy ujrzał rozzłoszczone męskie oblicze i groźącą rybakom zaciśniętą pięść.

– Won stąd, psie syny! – ryknął mieszczanin. – Won, bo czym ciężkim rzucę! Ceculia, dawaj nocniki, a gibko! Do mnie z nimi, do mnie!

– Otwierać drzwi! – ryczał Odrzyskóra, dławiąc się coraz bardziej dymem i bezskutecznie próbując sięgnąć wystawionym przez okienko mieczem któregoś z napastników. Walenie w drzwi wyraźnie słabło, Pchełek pochwycił słuchem łoskot walącego się na podłogę ludzkiego ciała.

– E... chopy, yyyy, a co my... zrobimy... yyyyyhhh, jak już ich zlejemy? – spytał Pchełek, udzierając z wysiłkiem kawał rękawa aby obwiązać sobie nim twarz, bo dym coraz mocniej zaczął wydostawać się na zewnątrz.

– Chędożone mieszczuchy... Trza ratować sytuację... Mam nadzieję, że nie rozmawiali z Kostropatym zbyt często... – Wrzuciwszy cały zapas sennego ziela do środka Zager wstał i wyszedł na środek drogi przed sklepem pokazując wszystkim swoją (a w zasadzie nie swoją) twarz, po czym zaczął przemowę.

– Spokojnie, ludziska! Moja w tym głowa, żeby mi się interes nie sfajczył. Nic się specjalnego nie dzieje. Ot, goście nieco przesadzili chyba z napojami. Z tego wszystkiego się agresywni zrobili, to ze znajomkami dla bezpieczeństwa ich opuściliśmy, i trzymamy w środku. Nie ma powodów do obaw – ryknął na cały głos Maskacz, zdzierając z głowy kaptur i ukazując wychylonemu z okna mieszczaninowi swą twarz. – Zara będzie spokój, tylko porządek zrobimy z tymi obwiesiami! I ciszej mi tu, wystarczy że tamci hałas robią.





– Dobra, Kostropaty! Nic mnie do tego, co tam na dole wyprawiasz, ale jak ogień pod dom podłożysz, do straży pójde, nie popuszczę! – Mężczyzna pogroził pięścią. – A i pamiętaj, że tym razem posokę z bruku sam masz zmyć, nie tak jak ostatnio!

Zager uśmiechnął się szyderczo, ukontentowany bezmiernie ze swej maski na twarzy. Odrzyskóra wisiał na kratkach okienka przyciskając głowę do metalu i łapiąc powietrze niczym wyrzucona na brzeg ryba. Marszcząc nos i wstrzymując na chwilę dech czarownik doskoczył do herszta bandy, dzielił go w czoło końcem swego ościenia. Dartan zwał się gdzieś pod parapet.

Chwilę później z wnętrza zadymionego sklepu przestały dobiegać jakiegokolwiek odgłosy, ani tłuczenie pięściami w drzwi, ani charkotliwe kaszlenie. Przez obydwa rozbite okienka wydostawał się gryzący dym, od którego rybakom łzawiły oczy i od którego gryzło ich w gardłach.

– Chyba już mają dosyć – oznajmił niepewnie Pchełek, ściskający oburącz wyciągniętą z pochwy zdobyczną szablę i spozierając pytająco na czarownika. – Co tera? Maskacz, co tera? Tylko patrzeć jak się tu kto ważny napatoczy!

Na pobliskim skrzyżowaniu faktycznie pojawiło się kilka osób, głównie w ubogich mieszczkańskich strojach, ale na widok uzbrojonych ludzi stłoczonych przed frontonem dymiącego sklepu szybko czmychnęli zgodnie za róg budynku.

Ku narastającemu niepokojowi Gusłka w oknach okolicznych domostw pojawiała się coraz więcej gapiów, a co poniektórzy – nad wyraz odważni – wystawiali nosy z klatek schodowych kamienic.

– Ano to posłuchajta mnie: wlaźta do środka a porządek ze zbrodzeniami zróbta. A jak który ducha wyzionie, to prawicę mu odkrójta, coby wioskowej starszyźnie na znak pomsty pokazać. Ja tymczasem tu, na dworzu pozostanę, a jak kto się pytać będzie co to za dym, czy to aby nie pożoga jaka, to będę gadał, że do Kostropatego jakie brudasy przyszli i pchły a insze insekty przywlekli, no to wezwał nas coby przybytek odymić i zarazę wytepić. A jak kto wiary nie da, to cię Maskacz przywołam po Kostropatego imieniu. – Spokojnie i rzeczowo powiedział Gusłek.

– Powiadam wam żeśta odważne som chłopcy niespotykanie, bo ja to jak żem ostatnio gardło uratował szczęśliwie, to jakosik taki strachliwym się zrobił i jedyne co mi przychodzi do łepetyny to nogi za pas brać i gnać jak najdalej od tych miastowych kłopotów, ale ostaje z wami mimo żem w gacie o mało już nie narobił. – dopowiedział Trzęsikęsek.

– Kęsek, kaźden jeden z nas sra w nogawy, ale cośmy zaczęli mus nam skończyć. Jak tera nogi weźmiem za pas, to kupą ścigać nas będą. Pierwej Odrzyskóra i jego bandziory, a pewno swoim ziomkom na zamku się poskarżą to i zbrojne za nami ruszą. A do wioski bez ziarna wracać nam nie można a i wstyd, żeśmy zadania nie spełnili. – odpowiedział Gusłek.

Na znak dany przez Maskacza Łamignat otworzył szeroko drzwi, odskakując jednocześnie w tył przed wielką chmurą gryzącego dymu, od którego wszystkim zaczęły z miejsca ciec obficie łzy. Jakiś oparty o wejście rzezimieszek wyleciał bezwładnie za próg, na bruk, grzmot-





nał o kostki z brzękiem upuszczonej szabli. Gusłek zamierzył się w jego stronę laską tłukąc opryszka w potylicę, ale już po zadaniu ciosu nowicjusz uświadomił sobie, że nie było to wcale konieczne, bo oprych był nieprzytomny jeszcze przed upadkiem.

– Czekajta chwilę, niech wywietrzeje! – zawołał młody duchowny odwracając w bok głowę i również cofając się od wejścia.

– Te, Kostropaty, co będziesz z tym czlekiem robił?! – zawołała z wysokości drugiego piętra jakaś tęga kobiecina w kolorowej chuście na głowie. – Nie próbuj na widoku ubijać, dzieciśka mam w domu, jeszcze zoczą, a potem mi wyć po nocach będą ze snów niedobrych!

– Obejdzie się bez ubijania! – odkrzyknął Zager podnosząc w uspokajającym geście rękę. – Zara tu posprzątamy i spokój wróci!

– Kostropaty, a co ty z głosem masz, opoju jeden? Całkiem ci się zmienił, pewnikiem od tej ranhangarskiej gorzały, co ją po nocach śleptasz, co? – dopytywał się miotacz nocników, rozparty wygodnie na parapecie i spozierający w dół z wyraźnym zaciekawieniem. Rozglądający się na boki Trzęsikęsek pojął z dziwnym dreszczem, że niecodzienne wydarzenia przed frontonem sklepu przykuły powszechną ciekawość miejscowych, tłoczących się teraz w bezpiecznej odległości od rybaków i dyskutujących z ożywieniem to w oknach domów, to w ich bramach.

A myśliwy domyślił się już, że tego rodzaju zgromadzenia, w dodatku bardzo hałaśliwe, po prostu musiały zwrócić uwagę niepożądanych przechodniów: jeśli nawet nie straży miejskiej, to może jakich najemnych żołdaków albo innych donosicieli. Wizja szubienicznej pętli dodała rybakowi werwy, pchnęła w jego ciało chęć natychmiastowego działania.

– Nie dychać, jeno tłuc! – rzucił w stronę towarzyszy, po czym skoczył prosto w zadymiony otwór wejściowy sklepu, z drewnianą pałką zaciśniętą w prawicy. Zaraz za progiem natknął się na dwa wyciągnięte na podłodze ludzkie ciała, w których rozpoznał opryszków Odrzyskóry. Jeden z nich wcale się nie ruszał, uśpiony narkotycznym ziołem Maskacza, drugi jeszcze trochę stękał i charczał, ale pałka Trzęsikęska natychmiast wybiła mu z głowy wszelkie formy stawiania oporu.

Sam Odrzyskóra na poły siedział, na poły leżał pod rozbitym okienkiem, ze zwieszoną na piersi głową, oddychając ciężko, nierytmicznie.

– Pomóżcie mi z tym ziołem! – syknął Maskacz próbując zdeptać łapcami wciąż tłące się i dymiące niemiłosiernie woreczki. Łamignat doskoczył do czarownika z dziką ochotą, roześmiał się gromko zachwycony nową zabawą. Gusłek wskoczył na zaplecze, omiatając wzrokiem pojękujących zza knebli więźniów, którzy zdołali się jakoś wyczołgać spod sterty kożuchów, ale polegli w walce ze żrącym dymem i zwijali się teraz po podłodze z zalanymi łzami twarzami.

Chociaż stężenie dymu wyraźnie zmalało, opary wciąż dawały się ostro we znaki. Pchełek wsunął do pochwy szablę, przykucnął zniżając głowę do poziomu względnie mało zadymionej podłogi, rozejrzał się wokół. Bandyci wyglądali na spacyfikowanych.

Zadeptawszy ostatni woreczek, Łamignat wyказаł się zniecacka niebyswałym pokazem bly-





skotliwości i przez nikogo nieproszony złapał za nogi leżącego do połowy na ulicy opryska, wciągając go do środka sklepu. Prychający i łzawiący Gusłek wystawił głowę za futrynę, łapiąc spazmatycznie oddech.

Serce, dotąd walące mu w piersi niczym kowalski młot, teraz dosłownie stanęło w miejscu.

Uliczką nadchodziło śpiesznym krokiem kilku strażników miejskich, wpatrzonych w smużki dymu sączące się wciąż jeszcze zza okien i progu i wymieniając jakieś uwagi z wystającymi po bramach mieszczanami.

– Jak ma kto jeszcze jakie dutki, to lepiej niech je Maskaczowi da teraz. Bo jak one od Krostopatego łapówki nie wezmą to jak mawiał wujcio Mendek, zadyndamy jak jajca starego kozła... – wypowiedział się Pchelek, bo choć sytuacja zdawała się niewesoła, to złodziejasek nie tracił humoru w momentach, w których nie raz już się znalazł.







Rozdział XXI

Gzas dzielący rybaków od spotkania ze stróżami prawa należało liczyć w uderzeniach serca raczej niż w minutach.

Lamignat kolejny raz dowiedział, że opinia na temat jego krzepy nie od rzeczy była: dla uprzątnięcia wnętrza sklepu złapał za kaftany dwóch opryszków na raz, podniósł ich w górę równie łatwo co kocięta i wrzucił na zaplecze nie troszcząc się zbytnio o to, by wygodnie wylądowali na twardej kamiennej podłodze. W tym samym czasie Pchełek z Maskaczem wywlekli za kontuar trzeciego opryszka, tego porażonego kapłańskim zaklęciem nowicjusza, mającym nad wyraz wiele wspólnego ze spotęgowanym magią kacem. Guslek i Trzęsikęsek ujęli pośpiesznie pod ramiona Odrzyskóre, zaciągnęli go na zaplecze rzucając mijającemu ich Zagerowi zerwaną z pasa herszta sakiewkę.

Czarownik podrzucił pękaty mieszek w dłoń, z zadowoleniem przyjmując jego ciężar, z rozczarowaniem zaś świadomość, że zaraz będzie się tych pieniędzy musiał pozbyć.

Kiedy Hogur wyszedł za próg rzekomo swego sklepu, piątka strażników już dochodziła do drzwi, z rękami na palkach i podejrziwymi minami.

– Co tu wyprawiasz, Kostropaty? – sarknął jeden z nich, wąsaty człowiek o lekkiej łysinie, stojący na rozstawionych szeroko nogach i z założonymi za plecy rękami. – Chałupy chcesz podpalić, suczy synu?

– Gdzie tam podpalić, to tylko tak wygląda – machnął uspokajająco ręką Hogur, nie wiedząc, czy jako Kostropaty powinien strażnika znać, ale skoro tamten wymienił jego imię, Maskacz z dreszczem niepokoju uświadomił sobie, że sierżant musiał utrzymywać z handlarzem bliższe stosunki. – Szczury mi do sklepu lazły, tom poprosił o pomoc takich przyjezdnych szczurołapów, coby je wytępili, a mają ci oni zioła wszelakie do trucicia i z letka z nimi przesadzili... cosik przesadziście... a że i podpici przyleźli, to zaczęły się stawiać i mus ich było uspokoić...

– A co ty tak dziwnie gadasz, Kostropaty? – zmarszczył sierżant spoglądając na znajomą mu twarz tak jakby jej nigdy wcześniej nie widział. – Co ci się tak akcent zmienił? Masz coś z głosem czy jaki bies?

Dreszcz niepokoju uległ intensyfikacji, wszak zaklęcie Maski pozwalało perfekcyjnie skopiować czyjeś oblicze, ale niestety nie niosło za sobą zmiany głosu i ewidentnie Kostropatego znający sierżant z miejsca to zauważył, chociaż na razie widać było, że to dla niego raczej kuriozum niż dowód na to, że dzieje się coś złego.

– A bo ja wiem? Pewnikiem ten zasrany dym mi głos zmienił – szybko zełgał czarownik. Jakby podkreślając słowa Maskacza, jeden ze strażników zakaszlał chrapliwie, trąc jedno-



czeńie powieki. Pozostali cofnęli się o kilka kroków nie chcąc oddychać skażonym powietrzem, krzywili też nosy ze względu na ostry zapach, którym zdążyło przesiąknąć ubranie czarownika.

– Co to za paskudztwo? – prychnął sierżant. – Od czegoś takiego nie tylko szczury popadają, ale i łeb ci pęknie! Obrzydliwość!

– To ten wywar na gryzonie – odparł Zager udając jednocześnie, że kaszle, aby jeszcze bardziej zniekształcić barwę swego głosu. – Ale rychło wywietrzeje, przez okna i drzwi świeże powietrze dochodzi, a w środku nic się już nie pali.

– Paru ludzi gadało, że tu jakaś bitka była – wtrącił inny ze strażników, łypiąc na Hogura podejrziwym wzrokiem. – A ten, coś go za próg wciągnął, co to za jeden? Czemu płasko leżał? Nie kręć, że nie, bom na własne oczy widział!

– A to właśnie jeden z tych trucicieli szczurów. – Maskacz poczuł lodowate kleszcze łęku szarpiące mu wnętrzności. Gdyby którykolwiek ze stróżów prawa zdecydował się wejść do środka sklepu, czarownik nie zdołałby się wytłumaczyć z obecności siedmiu nieprzytomnych więźniów, niektórych powiązanych jak barany, niektórych krwawiących z zadanych im wcześniej ran.

Przed oczami myślącego gorączkowo Zagera pojawił się obraz oglądanej kilka godzin wcześniej egzekucji.

I wtedy zza progu wytoczył się kaszlący chrapliwie Trzęsikęsek, trący rozpaczliwie powieki.

– Gadałem przecie, nie okadzać wszystkich rogów na raz! – wycharczał podniesionym wzrokiem grożąc fałszywemu Kostropatemu pięścią. – To jest środek wielce mocarny, od tego nie tylko szczurze nogi można wyciągnąć! Jak mnie następnym razem nie usłuchniesz, innego se pomagiera do tych parchatych zwierzów odpędzania szukaj!

Sierżant spozierał chwilę w milczeniu na rybaka, potem wybuchnął zniecka śmiechem. Pozostali strażnicy również zaczęli chichotać, trącając się jednocześnie łokciami i chyba do końca tracąc ochotę na wejście do wciąż zadymionego wnętrza sklepu, skąd dobiegało ostrzegawcze i wcale nieudawane pokasywanie innych Buratarczyków.

– Szczęście twoje, Kostropaty, że się nikt znaczniejszy tu nie potruł, bo byś z kozy długo nie wylazł – orzekł sierżant, kiedy już przestał rechotać. – Aleś okolicznych nieźle wystraszył, bo nas tu prawie za rękawy przywlekli, że niby pożar.

– Bo głupki są! – wypalił z grymasem niezadowolenia Maskacz. – Ale czujność straży wielce się chwali i zdałoby się wynagrodzić fatywę, choćby jeno na gardeł piwem przepłukanie, bo od tego dymu pewnikiem w nich poszło.

Rzekłszy te słowa czarownik rozsznurował zabraną Odrzyskórze sakiewkę i wyluskał z niej wprawnie pięć złotych monet, ledwie pohamowując westchnienie żalu na myśl o tak łatwo utraconych pieniądzech. W oku sierżanta pojawił się natychmiast pożądliwy błysk, monety znikły w jego łapsku.

– Jak ty imperiałami płacisz, a nie srebrem, Kostropaty, to masz coś na sumieniu, oj masz –





powiedział cichym tonem sierżant. – Ale mnie to nie ciekawi, bo to pewnie jakaś Odrzyskóry sprawka. Wypijemy za twoje zdrowie, a temu psiemu synowi Dartanowi przekaż, że kapitan ciągle czeka na swoją działkę za zeszyły miesiąc, a on nie lubi czekać, bo mało jest cierpliwy. Jak Odrzyskórze przypadkiem w łeb strzeliło przestać się opłacać, to i protekcja się skończy, i to z wielkim hukiem. Dobrze mu przekaż, coś usłyszał.

Maskacz nic nie odrzekł, a kiedy strażnicy oddalili się na kilkanaście kroków, z ulgą wypuścił z płuc wstrzymywany oddech.

– Ileś mu dał tych dutek? – jęknął żałościwie Trzęsikęsek. – Złotem żeś płacił głąbie? – wypalił rozgniewany.

Kłótnia jednak szybko rozeszła się po kościach, bo obaj rybacy wiedzieli jak wiele jeszcze zadań przed nimi w dniu dzisiejszym znaleźć się może.







Rozdział XXII

Wytypowany do roli strażnika Łamignat wypiął dumnie pierś, a potem złapał za swoją pałę i czym prędzej wyszedł na zewnątrz sklepu, z miejsca płosząc gromadkę skradających się do wybitego okna dzieci. Kiedy maluchy rozpierzchły się z piskiem na widok obcego, osilek podumał chwilę nad dalszym działaniem, po czym zamknął starannie drzwi i usiadł na jedynym schodku krzyżując nogi. Po omszałym, zerodowanym wodą bruku krążyły pracowicie niewielkie czarne mrówki, które z miejsca przyciągnęły uwagę krzepkiego młodziana. Popatrując to w prawo, to w lewo dla pewności, że nikt nie podchodzi, Łamignat jął liczyć malutkie stworzonka pomagając sobie w tym wyzwaniu wysuniętym z ust językiem.

Wewnątrz sklepu Kostropatego trwała tymczasem ożywiona krzątanina. Podczas gdy Trzęsikęsek zasłaniał pieczołowicie okienka kawałami żeglarskich płóci, pozostali rybacy skwapliwie wiązali powracających powoli do świadomości rzezimieszków, wlekąc ich na opróżnione pośpiesznie z towaru zaplecze i ciskając niezbyt delikatnie na podłogę. Weiśnięty w sam kąt Kostropaty pojękiwał przez knebel z przerażoną miną, z miejsca rozpoznając gęby Odrzyskóry i jego kompanów.

Kiedy w ciasnym pokoiku wylądowało już na posadzce wszystkich siedmiu znajomków, czwórka rybaków przystąpiła do przesłuchania, podwijając sobie na oczach coraz bardziej przerażonych Kostropatego i Wrzoda rękawy. Palnięty kilka razy z płaskiej dłoni w policzki Odrzyskóra zamrugał oczami, wybudzony brutalnie ze śpiączki. Jego oczy momentalnie przybrały twardy bezwzględny wyraz, jakby wyrwany z uśpienia umysł herszta w ułamku chwili oszaczował położenie i przeszedł do pełnego działania.

– Tak dla rzeczy pewności, kurwi synu – powiedział do niego podrzucający oścień Maskacz. – Zanim przyjdzie tu jaka pomoc, by cię oswobodzić, pewnikiem będziesz już sztywny, więc na twoim miejscu nie pokładałbym zbyt wielkiej wiary w odsiecz druhów-zbrodzeniów. Rozumiesz?

Odrzyskóra nic wpierrw nie odrzekł, siłując się wpierrw z krepującymi ręce i nogi rzemieniami. Kiedy stwierdził, że im nie podoła, targnął gwałtownie głową posyłając w stronę Hogura plwocinę. Czarownik zręcznie uskoczył, zmarszczył czoło.

– Kuzyn Kostropatego czy nie, wypruję ci bebechy – wysyczał herszt, w ten brutalny sposób komentując szokującą dla innych maskę Zagera.

– Odrzyskóra, zakało rodzaju ludzkiego, znamy już wszystkie twoje zbrodnicze uczynki. Czas ci się przygotować na poniesienie zasłużonej kary, psi synu. Tera jeno od twej prawdo-





mówności zależec będzie, czy jeno sama kara wymierzona będzie, czy z lubością wydłużymy dla ciebie ową nie nazbyt przyjemną penitencję. Umiesz ty w spokoju ból znosić? A jedno rzeknąc ci muszę, zobowiązaliśmy się do odjęcia prawicy winowajcy i dostarczenia w dowód kary wymierzenia. A hazardować z jedną jeno łapą to już sztuka, więc może i po drugą też siekierkę wyciągnem.

– Krzesimir i Sękacz, dwa rybackie syny, znane ci są owe przydomki? Gadaj obwiesiu, bo żelaza czerwonego posmakujesz! – Gusłek próbował nadać brzmieniu swojego głosu maksymalnie twardy ton.

Dartan Odrzyskóra wyszczerzył zęby w nienawistnym grymasie, splunął ponownie, tym razem trafiając w prawego łapcia Maskacza. Kilku innych rzezimieszków ocknęło się w międzyczasie, ale leżeli w milczeniu spozierając na swego herszta i sprawdzając przy tym dyskretnie jak mocno zaciśnięte były ich więzy.

– Nie wiesz, z kimś zadarł, pchlarzu – wysyczał Odrzyskóra. – Rozwiąż mnie natychmiast, to łaskę okażę, nie ukaram na gardle, kto wie, może nawet wolno puszczyć. Ale jeśli dalej stawać będziecie, zaraz zwali się na was reszta mojej hanzy, a wtedy na miłosierdzie nie liczcie, bo nikomu nie zostanie okazane, a pierwej jeszcze penitencyi bardzo, ale to bardzo bolesnej doznacie.

Młodzieńcy poczuli lekki dreszcz niepokoju na widok tak hardej postawy i takiej morderczej zawziętości, ale nie dali tego po sobie poznać, z kamiennymi minami spoglądając w dół na swych więźniów.

– Krzesimir i Sękacz – powtórzył nieludzko wręcz spokojnym tonem Gusłek, chociaż w środku wszystko się w nim aż gotowało ze złości. – Dwa dni temu z okładem weszli z tobą w zatarg, którego ich życie kosztował. Czemuś na nich rękę podniósł, gnido?

– Czemu moją dziewczkę macali? – sarknął w odpowiedzi Odrzyskóra. – Nie lubię takich, co na moim łapy kładą, alem człek z natury dobry, tom ich ostrzegł raz a dobrze, ale nie usłuchnęli, stawiać się zaczęli hardo i po broń sięgać. Miałem dać się ubić jakim przybłędem parchatym? Jeden się na mnie rzucił i nieszczęście się zdarzyło, bo mi się z rozpędu nieostroźnie na klingę noża nadział, com się nią zasłaniał dla obrony a życia ratowania.

Nowicjusz Piana nie odrywał swego wzroku od czarnych oczu Odrzyskóry, mówiącego tonem nie dość, że beznamiętnym, to jeszcze z dziwną miną, która zdawała się zadawać kłam jego słowom.

– Tego drugiego zaś wyrzucili za drzwi karczmy, razem z trupem, by nam dalej zabawy nie psuli – ciągnął herszt. – Co się z nim potem wydarzyło, mnie nie wiadomo i wcalem tego nie jest ciekaw. I to tyle, co ci mogę rzeknąć o tych twoich wiejskich ziomkach, parchu. A teraz ty mnie posłuchaj a bardzo uważnie. Gardło stąd cało uniesiecie tylko wtenczas, jeśli migiem mnie i moich druhów oswobodzicie! Mam za sobą nie tylko resztę hanzy, ale i możnego protektora a strażników miejskich, co to tańczują jak im zagram. Nie byle ja szyp i wielce żeście zbłądowali





podnosząc na mnie łapska, alem gotów wam puścić to w zapomnienie.

– Tańczą jak zagrasz, powiadasz? A ja żem przed chwilą słyszał, jak to sierżant się odgrażał co będzie, kiedy przestaniesz mu płacić... I weź też pod uwagę inną rzecz: gdybyśmy ci wolno puścili, żadnej gwarancyi wolności nie mamy. A tak, leżysz tutaj, w naszej mocy. I gdyby ktoś się zaczął do nas dobijać, sam byś go prosił, żeby odszedł, bo zanim by się dobili, byś już nie żył. Więc nie odgrażaj się na zapas, tylko posłuchaj mojej oferty... – rzekł Zager. – Proponuję ci życie w zamian za jedną z dwóch rzeczy: albo za Krzesimira i Sękacza, albo za wydanie nam po 50 złotych sztuk za każdego, każdego z nich, którego nam nie wydasz – kontynuował Maskacz.

– Po pięćdziesiąt sztuk złota od każdego? – skrzywił się mocno Odrzyskóra, analizując w myślach ofertę czarownika. – Wielce sobie cenisz skórę tych ziomków, bardzo wielce. Za ubitego mogę wam kontrybucyję wypłacić, niech stracę, krew jego na moich rękach, ale nie pięćdziesiąt imperialów, bom na łepetynę nie upadł. Za takie dutki to ja se mogę w Ostrogarze dwie gładkie niewolnice kupić, niebrzydkie i pojętne w amorów arkanach. Dwadzieścia złotych mogę dać, ale tylko za trupa, pomnij me słowa, za drugiego nie odpowiadam, pewnikiem też już ubity, ale nie z mojej ręki.

– Tylko rębaczy Rumburaka? – zapytał wielce zdenerwowany targami Trzęsikęsek. – Coś go w ich łapska sprzedał, suczy chwoście?

Odrzyskóra zmrużył oczy w błyszczące wrogością szparki, obejrzał się niemo na Kostropatego, potem Wrzoda i nieprzytomnego wciąż Żółwiaka, a pod wpływem tego wzroku dwaj pierwsi z więźniów zdawali się zapadać w sobie z każdym kolejnym uderzeniem serca.

– Widzę, że ktoś wam nieprawdziwości napłótl a obelżywych potwarzów – odpowiedział po chwili. – Możnego Rumburaka znam, a owszem, z widzenia, parę razy u niego pomagierował, alem nikogo mu nie sprzedawał. Jak ten drugi wieśniak, cośmy go po gębie obili, w ręce łapaczy Rumburaka wpadł, to nie nasza w tym wina, trza patrzeć, gdzie się łązi i z kim gada. Dwadzieścia złotych za pierwszego, a wy w zamian uwolnicie nas grzecznie i oddacie dobytek, coście go porabowali, kradzieje plebejskie.

Leżący na podłodze sklepu, ciasno związany i postawiony w obliczu tortur, a i niemal pewnej śmierci, Dartan Odrzyskóra wciąż zachowywał się niebywale pysznie i wyniośle, albo mając całkowitą pewność, że wywinie się z opresji cało albo doskonale grając taką rolę. Patrzący na niego z odrazą Gusłek nie miał pojęcia, co o tym właściwie myśleć, bo w Burat-arze nigdy nie było zbrodniarza na miarę tego ostrogarskiego rzeźmieszka.

Gusłek pochylił się nad więźniem spoglądając mu wprost w oczy i wypowiadając słowa magii, ręka młodziutkiego nowicjusza mimowolnie zacisnęła się na drewnianej amforce. Odwzajemniający niemo owo spojrzenie herszt targnął się nagle gwałtownie, jął miotać w konwulsjach, po podbródki pociekła mu strużka krwi sączącej się z przegryzionej wargi.

– Aaargh! – wrzasnął Odrzyskóra tłukąc jednocześnie głową o kamienną posadzkę. – Przeostań! Aaa... ty czarowniku przekłety!





Gusłek cofnął się o krok, nie wypuszczając drewnianego amuletu z dłoni, kiwnął głową w stronę Pchełka, Maskacza i Trzęsikęska pozostawiając na straży zdjętych ponownie trwogą opryszków. Trzej rybacy przeszli pośpiesznie do sklepowego pomieszczenia, zbili się w kupę rozmawiając między sobą półgłosem i nasłuchując jednocześnie pojękiwań wracającego powoli do siebie Odrzyskóry.

– Wielce mnie mierzi ten psubrat – wyszczał Gusłek. – Tak wielce, że choć to niegodne, gotów żem go ubić, plugawego zbrodzenia. Albo jeszcze lepiej do kopalni gdzieś sprzedać, z obciętym jęzorem i piętmem niewolnika na czole.

– To co, zarżniemy ich tutaj jak wieprzki? – Zmarszczył czoło Pchełek, wyraźnie niepewny w obliczu ewentualnej rzezi łotrów. – To przecie... tak trochę niegodne.

– To mordercy i kradzieje – odpowiedział natychmiast Maskacz. – Jak ci ich żal, pomnij Krzesimira i Sękacza. Myślisz, że oni tak się żalili jak ty, jak ich katowali a dźgali? Nie chcesz ich ubijać, twoja sprawa, obetniemy im jeno prawice i Męczyworowi zawieźmy, coby starszyzna widziała, że pomsta dokonana.

– A nie lepszejszy to pomysł, coby Odrzyskorę do Burat-aru zabrać? – zapytał nagle Gusłek, myślący intensywnie i z gorączkowym błyskiem w oku. – Niechby się z nim starszyzna sama rozprawiła, choćby go i utopić mieli w jeziorze.

– Tak mi się właśnie pomyślało, że Odrzyskóra łągał jak cholera. Przecie to niemożliwe, żeby zagrabił łódź skoro nie wiedział co się z drugim właścicielem dzieje. – wtrącił nagle Trzęsikęsek.

– To żeś wymyślił... toż to jasne... – zadrwił Pchełek. – Sam na to jużem dawno wpadł.

Planom, przekomarzaniom i debatom zdawało się nie być końca. Jednak czas nieprzerwanie płynął i rybakom pozostawało coraz mniej dnia na podjęcie kolejnych kroków zbliżających ich do wrócenia do ich ukochanej wioski.

Dogadawszy między sobą szczegóły zuchwałego lecz w miarę spójnego planu i utrwaliwszy się nawzajem w przekonaniu, iż czynią słusznie, rybacy powrócili do stłoczonych na ciasnym zapleczu więźniów, pilnowanych przez dzierżącego w rękę pożyczony od Pchełka oścień Trzęsikęska. Oczy powiązanych ciasno rzezimieszków skierowały się natychmiast ku posępnym obliczom swych prześladowców, szukając w nich potwierdzenia dla swych najczarniejszych myśli.

– Powiadasz, że zapłacisz sześćdziesiąt złotych za obu ziomków? – Zapytał Odrzyskorę dla pewności Gusłek, kopiając herszta jednocześnie w goleń. Ów akt brutalności powinien był dobrodusznego nowicjusza w zasadzie zawstydić, ale ku swemu zaskoczeniu Gusłek poczuł na widok bolesnego grymasu Odrzyskóry jedynie ponurą satysfakcję. – Może się zatem dogadamy, kurwi synu i może ci nie odrzemy grzbietu ze skóry.

– Ale najsamprzód insza sprawa... – wtrącił Maskacz. Spojrzenia wszystkich drabów pobiegły natychmiast w jego stronę, a sam czarownik uśmiechnął się w duchu z satysfakcją dostrze-





gając błyszczący w oczach wielu więźniów lęk: głęboki i czysty strach przed mocami Hogura, uwidocznionymi tak wyraziście przez noszoną na jego twarzy żywą maskę. – Kostropaty, potrzebny nam dwukołowy wózek i to migiem. Gdzie coś takiego można dostać? Tylko nie mędrkuj za dużo, bo ci będę musiał łeb trochę przypalić. Chcesz się zmienić w ludzką rzepę albo kalarepę?

– Nie!!! – kwiknął Kostropaty, momentalnie zroszony zimnym potem. – Już myślę... u staro Wabimuchy, na końcu ulicy, tym dolnym końcu i zaraz za rogiem. Powiedzcie mu, że jam was przysłał i że mnie jaki wózek pilnie potrzebny, a potem się z nim porachuję.

– Dobrze myślisz, Kostropaty, bardzo dobrze... – pochwalił właściciela sklepu czarownik, cofając się do głównej izby i przywołując do siebie wciąż pilnującego drzwi Łamignata.







Rozdział XXIII

Niedy Łamignat i Pchełek opuścili sklep Kostropatego, Gusłek starannie zamknął za nimi drzwi, potem zaś zastawił co większymi meblami obydwą wybite okienka, by ciekawscy ulicznicy nie zaglądali do wnętrza pomieszczenia.

Dwaj rybacy podążyli czym prędzej w dół uliczki, odprowadzani badawczymi spojrzzeniami bliższych i dalszych sąsiadów Kostropatego, którzy pomimo odejścia strażników miejskich jakoś nie kwapili się do powrotu do domów, rozmawiając między sobą ściszonymi głosami i gapiąc się w mało przyjemny sposób na Łamignata i Pchełka. Zwłaszcza Pchełka, który dzięki swym nowym wysokim butom i opinającemu biodra pasowi z szablą u boku kojarzył się zapewne miejscowym ze zbirami Odrzyskóry. Płowowłosy złodziej świadomy był tych spojrzeń, ale udawał, że ich nie dostrzega, ufny w ochronę jaką zapewniał mu sam widok szerokich barów Łamignata.

Sklep Wabimucha okazał się łatwy do odnalezienia, przede wszystkim dzięki temu, że tuż obok wejścia stało kilka dwu- i cztero kołowych wózków, jeden zaś ku zachwytowi Łamignata okazał się zaprzężony w wyleńskiego i zwieszającego smętnie leb osiołka.

– Patrzaj, jaki on słodasny – wypalił osilek zмирząc się w stronę zwierzęcia, które na jego widok z miejsca straciło swą zwyczajową flegmę i strzelając na wszystkie strony oczami próbowało urwać się z dyszla.

– Pobaw się z nim, ale go nie zepsuj – machnął przyzwalająco ręką Pchełek, wspinając się na niewielkie schodki i pchając drewniane drzwi przybytku Wabimucha. Właściciel pucował właśnie mokrą szmatą jakiś metalowy przedmiot, którego przeznaczenia rybak za nic nie potrafił odgadnąć, ale na widok klienta uniósł znacząco brwi i odłożył brudny kawałek materiału na bok wycierając jednocześnie dłonie w równie ubrudzony fartuch.

– Czym mogę służyć? – zapytał spozierając jednocześnie podejrzliwie na szablę u boku Buratarczyka.

* * *

Ledwo Pchełek i Łamignat opuścili sklep, Gusłek zawrócił na zaplecze, skąd przy pomocy Trzęsikęska wywłócił za kark prężącego się gniewnie Odrzyskórę – gniewnie, ale nie wściekle, co znaczyło, że herszt bandy spuścił nieco z tonu i zaczął chyba przeczuwać, że jego sytuacja jest znacznie gorsza niż początkowo zakładał.

Przywołany ruchem ręki Maskacz wycofał się z progu zaplecza omiatając wpierw złowrogim spojrzeniem gapiących się na niego zbirów.

– Jeden głupi ruch i łby utracone – sarknął czarownik. – Jeden spróbuje drugiemu rzemień





rozsypywać, a ja to zobaczę, lby obu utracę. I nie szablą, bo to za lekkie by było, tylko czarem, na żywca wam łepetyny zgniją i z karków spadną. Chceta, żeby na którym pokazał?

Bandyci jak jeden mąż pokręcili przecząco głowami, a miny mieli na tyle przestraszone, że Hogur uznał swą groźbę za wystarczającą. Stał w pierwszym pomieszczeniu sklepu tak, by cały czas obserwować kątem oka więźniów, a jednocześnie nie stracić niczego z zabawy, którą było dla niego przesłuchanie Odrzyskóry.

Albowiem Zager, wychowanek starego Trzewiskręta i adept mrocznej bagiennej magii, czerpał niewysłowioną wręcz przyjemność ze swej dominującej pozycji w obecnej sytuacji. Stary mistrz, który tak niefortunnie wyzionął ducha po zażyciu pozornie bezpiecznej dawki halucynogennych grzybów, zawsze powtarzał swemu jednemu uczniowi, że właśnie magia stanowi najpotężniejszy oręż w ręku śmiertelnika, ponieważ to ona w połączeniu z zabobonnymi wierzeniami zwykłych ludzi oraz umiejętną grą na ich emocjach potrafiły zapewnić zdolnemu magowi władzę niemal absolutną, nawet jeśli sam adept jest tylko przeciętniakiem wśród czarowników.

Cisnięty na środek izby Odrzyskóra zaczął wodzić złym wzrokiem po spoglądających na niego z góry twarzach rybaków.

– To jak będzie? – zapytał. – Złoto za trupy i między nami zgoda?

– Może tak, a może nie... – odparł enigmatycznie Maskacz. – Skąd możemy wiedzieć, że nas nie wykiwasz, psi chwoście? Złoto ktoś inny przynieść będzie musiał, ciebie nie puścimy, nie ma bata.

– Tak nie da rady – pokręcił głową Dartan. – Jeno ja wiem, gdzie ono ukryte, nie myślicie chyba, że taki głupi, co by tym łapserdakom zdradzić, gdzie dutki chowam. Sam po nie muszę, żadnego z nich nie poślę, bo to psy pierwszej wody, uciekną ze złotem z Ostrogaru zamiast je tu przynieść.

– Masz ty nas za jakowyś ludziów na rozumie słabowitych, czy co? – Rozdrażniony Trzęsikęsek kopnął herszta w kolano, na tyle mocno, by więzień syknął głośno z bólu. – Nawet na postrońku bym z tobą nie wylazł, bo za nic ci nie zaufam. Już prędzej bym cię z nożem na gardle powłókł, ale twój niefart, że tu miastowe wszędzie wkłoło, tutaj nasze maniery nieobyczajne, z gołym ostrzem się tu nie chadza. Znaczy się, nikaj stędy nie wyleziesz, chyba że po moim trupie.

– A chętnie, chętnie... – uśmiechnął się hardo Odrzyskóra, ale uśmiech spelzł mu z twarzy, kiedy rozgniewany myśliwy nadepnął mu piętą na palce jednej z dłoni.

– Tyś Odrzyskóra strasznicie mocny w gębie – wysyczał Zager. – Ale co rzekniesz jak nam przejdzie ochota na słuchanie tych twoich sarkań i tak dla zabawy jęzor ci odetniemy? No co, stanął ci nagle kolkiem w gębie? Bo wierzaj mi, że całkiem do takiej zabawy skory, dawnom nikomu jęzora nie ucinał, prawie człek zapomniał jak to się robi.

Herszt nic nie odrzekł, a Hogur pewny był, że w jego oczach, gdzieś daleko na ich dnie, pojawił się jakiś dziwny błysk, jakby pierwsza słabiutka oznaka lęku.





– Jeśli szansa jest, że nasz ziomek wciąż żywy, uczynim wszystko, co by go ratować – oznajmił Gusłek. – Twoim złotem go wykupimy od Rumburaka, a ty nie dość, że się tak opłacisz, to jeszcze nam w tym pomożesz, rozumiesz? Tylko wtedy zdołasz unieść głowę na karku, inaczy czeka cię ta... jak to się zwało... vendemendetta... – nowicjusz postraszył bandytę groźnie brzmiącą nazwą, którą zasłyszał był kiedyś od przejezdnego kupca. – Krew za krew, bez zmiłowania.

– Tak – podchwycił natychmiast myśl Maskacz, uśmiechając się sadystycznie. – Vendemendetta, znaczy się po naszymu, że mędom ucina się vendy, znaczy się jaja. I co, Odrzyskóra, zostałbyś bez jęzora i jeszcze małego byś stracił na dodatek? Chciałbyś tak dalej żyć?

Herszt ponownie nic nie odrzekł, ale w jego oczach znów pojawił się ów dziwny błysk.

– Długo się coś zastanawiasz, parszywcu – westchnął teatralnie czarownik podchodząc do zrzuconej na pryzmę zdobycznej broni oprychów i wybierając ze sterty nóż o długim wąskim ostrzu. – Czas nieco ci jęzor rozwiązać. Samego ozora ci nie obetnę, bo jeszcze potrzebny, ale oczów masz dwa, a jedno przecie wystarczy, drugie bogowie na zapas stworzyli. Tylko się nie szarp, bo cię bardziej zabolii, a tak raz dwa wydlubię i po krzyku, najwyżej trochę bardziej do cyklopa będziesz podobny.

Tym razem Odrzyskóra zauważalnie pobałdł.

– Poślę kogoś po złoto – wyrzucił z siebie. – Jak chcecie załatwić sprawę z Rumburakiem? On nigdy nie zwraca towaru.

– Mnie to się widzi kozi cycu – rzekł Gusłek biorąc się pod boki i hardo patrząc w oczy herszta – żeś ty jeszcze nie pojął zasad gry, w którą tu gramy. No to posłuchaj, zasada najpierwsza: ziomek nasz bezpiecznie z nami wszystkimi do dom wróci. Tobie życie ostawimy, choć na nie nie zasługujesz. A tera zapisy dodatkowe: jeden choć włos z głowy jednego z naszych, w tem takóž naszymu uwięzionemu bratymcowi – jeden członek u ciebie mniej. Pierwej oka chyba, ale może najsampierw jajca, to zależy co nam fantazja podpowie. Objaśnienie, jeśliś jeszcze nie pojął: postaraj się, wyteż tę swą wredną lepetynę, radą taką nam służyć winieneś, co by jak najmniej członków postradać. Pogłówkuj kapkę, znasz ty lepiej imć Rumburaka, na pewno coś wykoncypujesz, co by i on był kontent, i my szczęśliwe, a i ty parę członków zachował. Jasno zem to wyłożył?

Gusłek wyczuwał, że pozornie wciąż pewny siebie i buńczuczny Odrzyskóra zaczynał niezauważalnie pękać, że pod powierzchnią bezwzględności rysowały się pierwsze szczeliny zwątpienia i strachu. Nowicjusz musiał przyznać, że Maskacz doskonale grał swą rolę brutalnego oprawcy, umiejętnie strasząc nie tylko pomniejszych rzezimieszków, ale i samego herszta... a przynajmniej taką miał Gusłek nadzieję, bo chwilami zaczynał już powątpiewać w kunszt aktorski Zagera i podejrzewał w zamian, iż bezlitosna poza Hogura była w rzeczywistości jego prawdziwą twarzą, dotąd umiejętnie skrywaną, a teraz coraz bardziej przerażającą.

Gusłek nic nie potrafił poradzić na to, że jego biegnące szaleńczym strumieniem myśli co





chwila powracały mimowolnie do śmierci starego Trzewiskręta i rzekomego w niej udziału Zagera. Potrząsając głową nowicjusz skoncentrował wzrok na wykrzywionej w nieprzyjemnym grymasie twarzy Odrzyskóry.

– I jak będzie, draniu? – syknął cierpkim tonem, żywiąc nadzieję, że wlał w swój głos przynajmniej połowę jadu skrzącego się w tonie Hogura.

– Sześćdziesiąt imperialów w zupełności wystarczy na wykup... o ile wasz ziomek jeszcze dycha – powiedział ostrożnie Odrzyskóra. – Rumburak wystawia więźniów do walk na śmierć i życie dwa razy w tygodniu albo cztery w miesiącu świątecznym, ale do tego jeszcze daleko. Jedna bitna noc już za nami, więc jeśli bogowie mu nie sprzyjali, mógł już trafić do portowego basenu.

– Módl się zatem, aby mu sprzyjali – warknął gniewnie Trzęsikęsek. – A zawczasu módl się też o ich łaskę dla siebie samego, bo krucho to na razie wygląda, wielce krucho.

– Jeśli jeszcze żyje, musicie o wykup zabiegać jeszcze dziś wieczór, potem będzie za późno – ciągnął dalej Odrzyskóra, pozornie nie zwracając na ostrzeżenie myśliwego uwagi. – Mus mi samemu z nim gadać, obcych do siebie nie dopuści, za próg wyrzuci albo co gorszego jeszcze uczyni... może kijami otłucze i do tego samego dołu na walki wrzuci.

– Wierzaj mi, że to nie jest wielce kłopot, aby ten Rumburak porozmawiał z czelkiem o twej twarzy – zaśmiał się bardzo nieprzyjemnie Zager, spoglądając na herszta ciemnymi oczami Kostropatego. – Ciekaw jestem w zamian tego, czy naprawdę masz złoto na wykup, chwoście.

– Sześćdziesiąt imperialów, jak rzekłem – przygryzł wargi Dartan. – Jeśli puścicie wolno Uszatego, przyniesie je w trymiga, ale muszę z nim wpieryw na osobności parę słów zamienić.

– Na osobności? – zaśmiał się chrapliwie czarownik. – Chyba ci się wszystko we łbie pomieszało? Za kogo ty mnie masz, za jakiego ówoka wiejskiego? Przy nas będziesz z nim gadał, a spróbuj jakie konszachty odprawiać, zaraz po łepetynie zbierzesz. Trzęsikęsek, dawaj tu tego Uszatego.

Chwilę potem przywleczony pod ramiona więzień o bandyckiej twarzy ozdobionej parą kikutów po obciętych dawno temu uszach został ciśnięty bez ceregieli pod odziane w łapcie nogi Maskacza. Opryszek wodził przez chwilę wzrokiem po obliczach swych prześladowców, potem zerknął szybko na Odrzyskórę.

– Pójdiesz do siedliska – powiedział herszt, świadom tego, że rybacy uważnie przysłuchują się każdemu wypowiedzianemu przez niego słowu. – W moim pokoju pod barłogiem jest metalowa skrzynka, zamykana na klucz. Klucz mam w lewym bucie...

Trzęsikęsek uklęknął przy nogach Odrzyskóry, Zager zaś przyłożył hersztowi szpic ościenia do gardła dając do zrozumienia, że najmniejsza próba kopnięcia myśliwego zakończy się w bardzo bolesny sposób. Wyciągnięty ze zzutego naprędcy buta klucz błysnął metalicznie w dłoni rybaka, równocześnie po pomieszczeniu rozszedł się niezbyt przyjemny zapach niechybnie dolatujący ze zdjętego obuwia.





– Otworzysz ją i wyciągniesz ze środka sześćdziesiąt imperialów – instruował dalej swego kompana herszt bandy. – Potem przyniesiesz je tutaj, a ja za te dutki wykupię dla was uwolnienie. Rozumiesz, co do ciebie gadałem?

– Sam mam iść? – W oczach Uszatego pojawił się natychmiast pełen nadziei błysk.

– Z osłem żeś się na łby zamienił? – warknął Odrzyskóra. – Pójdzie z tobą jeden z tych szacownych jegomościów... albo dwaj? – Bandyta przeniósł pytające spojrzenie na Zagera.

– To się jeszcze zobaczy – mruknął w odpowiedzi czarownik. – Ale możesz być pewien, łachmyto, że samego nigdzie cię nie puścimy.

Uszaty posmętniał nieco po gębie, ale pokiwał twierdząco głową, dając do zrozumienia, że pójdzie po pieniądze i przyniesie je do sklepu.







Rozdział XXIV

Wabimuch skrzywił się nieco słysząc objaśnienia Pchełka, potem zaś wypiął pierś i skrzyżował na niej wielkie ramiona.

– Igra ten Kostropaty z moją cierpliwością, zaprawdę powiadam ci, człeku – powiedział w końcu słusznych rozmiarów sprzedawca, spoglądający na Pchełkę z góry w sposób, który sprawiał, że złodziej szczerze żałował pozostawienia Łamignata na zewnątrz. – Już dwa razy mi nie zapłacił, kręci z należnością, zarzeka się, że za parę dni doniesie, a dutków ani widu ani słyhu. A teraz co? Przysyła jakiegoś obcego i chce, żebym mu znowu pożyczył wózek? Takiego!

I tu Wabimuch – Asteriusz jeden wie skąd jego rodzicom przyszło na myśl takie właśnie miano! – zademonstrował swemu klientowi zgięty prowokacyjnie łokieć, dający jawnie do zrozumienia, że gość nie ma co liczyć na wyrozumiałość naciągniętego tak niecznie sprzedawcy. Pchełek zmarszczył czoło zmieszany otrzymaną odpowiedzią, bo wiedział z drugiej strony jak ważne było dobre zgranie w czasie całego tego skomplikowanego planu, który ułożyli misternie jego przebiegli ziomkowie.

– Szanowany pan zechce może przemyśleć... – Gdyby Buratańczyk miał na głowie czapkę, pewnie by ją teraz zdjął z głowy miętosząc w dłoniach, bo harda postawa i groźna mina Wabimucha sprawiały, że Pchełek ponownie poczuł się malutkim człowieczkiem z zabitej dechami prowincji, zupełnie zapominając o zwyczajowej nonszalancji oraz noszonej przy pasie szabli. – Jakby się dało...

– Się nie da! – oznajmił gromko Wabimuch. – I niech Kostropaty na przyszłość sam przyłazi o wózek prosić, a nie jakich chłystków mi tu przysyła, co ledwie dwa słowa na pięć wyrzec umięją. I przekaz mu jeszcze, że jak nie zapłaci... na bogów, co to takiego?!

Dobiegające zza obciążonego rybią błoną okna bojaźliwe porykiwania osła przeszły nagle w dziki zew, który swym natężeniem podnosił włosy na głowach. Wabimuch wysadził kilkoma susami za próg kupieckiego przybytku, zapominając całkiem o swym gościu, depeczęjąc mu po piętach z wielce zatroskaną miną.

Porzucony wózek stał z boku, oparty dyszlem o bruk. Uśmiechnięty od ucha do ucha Łamignat zwrócił swą wielką okrągłą twarz ku oniemiałemu handlarzowi, niebawale ukontentowany ze swej najnowszej sztuczki. Przerażony bezgranicznie osioł spoczywał na jego grzbiecie i karku, przełożony przez głowę osiłka niczym jagnię niesione przez pasterza, trzymane w mocarnym chwycie za przednie i tylne nogi. Ryk zwierzęcia niósł się ciasną ulicą budząc zrozumiałe zainteresowanie przechodniów, spoglądających na wielkiego rybaka okrągłymi ze zdumienia oczami.





– Strachał się zdeczko, tom go sobie podniósł dla uspokojenia – oznajmił Łamignat. – Wielce to nie pomogło i jeszcze mi się zeszczął na kapotę, ale ja mam do bydłatków serce dobre i żem go se tak założył na kark, coby też świat z góry pooglądał, biedaczysko.

– Postaw go natychmiast na ziemi! – ryknął rozgniewany Wabimuch. – To mój osioł, łapska precz od niego!

Łamignat spojrzął pytająco na Pchełka, a handlarz natychmiast pojął tego spojrzenia znaczenie i odwrócił się w stronę złodzieja wspierając ręce na bokach.

– Twój to towarzysz? – huknął Wabimuch bardzo, ale to bardzo złym głosem. – Każ mu odłożyć na miejsce mojego osła, natychmiast!

– Gnatek, odłóż bydłatko! – polecił donośnym tonem Pchełek.

Osiołek posmutniał natychmiast, przybrał wyjątkowo nieszczęśliwą minę, usłuchał jednak rozkazu bez zbędnej dyskusji.

– Raczcie wybaczyć, panie – rzekł śpiesznie Pchełek. – Wielce to prostoduszny człek i miłość wielką do zwierzątków żywi, ale mus przy nim nie hukać, a obyczajnie się wystawiać, bo on wielce nie lubi jak kto na niego pokrzykuje, zara mu krew do łepetyny idzie a myśli mąci i chętnie wtedy po pałę sięga.

Wabimuch otworzył usta, ale nic nie odrzekł w pierwszej chwili, szacując Łamignata wzrokiem i coś tam rozważając w myślach, potem zaś spojrzął ponownie na Pchełka.

– Tamten wózek, ten mały, co się w nim jedno koło koślawi – wycedził przez zęby. – Dziś do wieczora ma być z powrotem, inaczej naliczę Kostropatemu dodatkową opłatę. A tego twojego miłośnego w zwierzakach przyjaciela wolałbym tu więcej nie oglądać, niech się trzyma z daleka od mojego osła, jasne?

Uradowany Pchełek kiwnął w odpowiedzi głową, wyszczerzył w uśmiechu zęby.

Kiedy wyraźnie zły, ale i żywiący zdrowy respekt wobec muskulatury Łamignata Wabimuch wycofał się przezornie do wnętrza sklepu, Pchełek przywołał osiołka do siebie i wskazał mu wymownym gestem dyszel dwukółówki otrzymanej od handlarza – a uczynił to gestem na tyle małopolskim, by Łamignat nie doszedł mozolnie do wniosku, że sadowiący się na kozle dwukółówki towarzysz niecznie go okpił i postanowił jeszcze wykorzystać.

– Choć Łamignatku, pojedziem po ziarno coby spokój był stom sprawom, a potem do Kostropatego pojedziem. Ja tu wsiądę do wózka, a ty ciągnij na Plac Karczemny! – radośnie zakomenderował lepski złodziejasek.

Rosły rybak złapał ochoczo za dyszek wózka, a potem pociągnął go do przodu tak chwacko, że Pchełek omal nie fiknął z kozła koziołka.

– Nie tak żwawo! – zakrzyknął płowowłosy Buratarczyk łapiąc jedną ręką za burtę pojazdu, drugą zaś podciągając portki. – Toć się zachowuj jak jaki wół stateczny, a nie dziki osioł! Inaczy jeszcześ gotów jakiego miastowego przejechać, a ja kontrybucyjów płacić nie mam zamiaru! I w niedobrą stronę jedziemy, zwracaj tamoj!





– Dobrze, dobrze! – odrzyknął Łamignat zdradzając niebывały entuzjazm i nic sobie nie robiąc z pełnych politowania spojrzeń przechodniów, zaśmiewających się do łez na widok truchtającego środkiem ulicy olbrzyma, kierowanego komendami rzucanymi przez rozpartego na koźle dwukołowki młodzieńca z prawicą spoczywającą dumnie na przypasanej do boku szabli i zadarłym hardo podbródkiem.

Aż do Placu Karczemnego podróż trwała bez kłopotów, a uśmiechnięty od ucha do ucha Pchełek spoglądał z góry na mijanych pieszych, ale u wylotu wiodącej ku portowi ulicy Łamignat utknął w znacznie gęściejszym tłumie wypełniającym tętniące życiem wąskie przejścia Placu. Pchełek wciąż puszył się na dwukołowce, lecz harda mina szybko mu spelzła z twarzy, kiedy kilku jadących konno najemnych rycerzy w płytowych zbrojach huknęło nań gromko sięgając też z miejsca po nahajki, ku ucieście okolicznej gawiedzi. Złodziej zeskoczył czym prędzej z koźla i pomógł Łamignatowi odciągnąć wózek pod ścianę jednego z domostw, czyniąc szlachetnie urodzonym i niewybrednym w doborze słów mężom przejście.

– A żeby wam trzewia poskręcało, łapserdaki – mruknął pod nosem, dostatecznie cicho, by żaden z rycerzy tego nie usłyszał. Od tego psującego humor spotkania dwaj rybacy pociągnęli wózek ramię w ramię, docierając do portowego spichlerza Michelona na piechotę, niezliczoną ilość razy potrąceni, przepędzani z drogi przez możniejszych od siebie i wyzywani od parchatych łajzów.

Wrota spichlerza były szeroko otwarte, toteż czując przyływ figlarnego nastroju Pchełek ponownie wskoczył na koźlą dwukołowki, a roześmiany Łamignat wjechał wprost do wielkiej budowli, ściągając na siebie z miejsca ciekawe spojrzenia dokerów i skrybów.

– Patrzajcie, patrzajcie! – Klasnął w dłonie jeden z magazynierów, niski człowieczek o mocno opalonej twarzy i ruchliwych oczach. – Cóż za wyborny środek lokomocji! Rzeknij dobry człowieku, czym karmisz swego przyjaciela, owsem czy koniczyną?

– Och, nic z tak prostackich a chłopskich wiktuałów – machnął teatralnie ręką siedzący na koźle Pchełek. – On zwykł się żywić samemu, surowymi wątrobami, co to je wyrывa tym, co się z niego naśmiewają.

Magazynier zaśmiał się z grzeczności, ale błysk w jego oczach zdradził Pchełkowi, że mężczyzna pojął ukrytą w słowach klienta groźbę. Obejrzawszy uważnie wręczony mu przez Buratarczyka kwit przywołał czym prędzej kilku dokerów, ci zaś nie tracąc czasu przynieśli siedem pełnych po brzegi worków pszenic, wrzucając je na wózek. Pchełek obszedł swój pojazd sięgając rękami do pierwszego z brzegu wora, rozwiązując sznurek i z lubością nurzając dłonie w ziarnie.

Za coś takiego starszyzna Burat-aru musiała swych wysłanników szczerze wynagrodzić, po prostu musiała! Pchełek rozmarzył się z rękami wciąż wsadzonymi w worek, oczami wyobraźni widząc szerokie łąny kołyszącej się lekko na wietrze pszenicy i siebie samego w pierwszym planie, w nowych skórzanych butach i z szabłą u boku, spoglądającego z dumną miną na nadchodzącą w rozsnurowanym wabiąco kaftaniku młynarczkę, która rzekła z figlarnym uśmiechem...





– ...zabieraj ten zadek, bo niczego więcej się nie doczekasz – zaśmiał się magazynier widząc cielece spojrzenie zastygłego w bezruchu klienta. – Towar wydany, kwit zarekwirowany, miłego dnia.

Pchełek zasznurował czym prędzej worek, potem zaś pomógł Łamignatowi obrócić wózek i wyciągnąć go ze spichlerza.

– Tyle worów, tyle worów! – powtarzał równie podekscytowany osiłek. – Jak myślisz, Pchełek, Męczywór będzie zadowolony? Prawda, że będzie zadowolony?

– Prawda – uśmiechnął się szeroko złodziej. – Będzie sikał z radości po nogach!

– Po moich?! – skrzywił się Łamignat. – Ja nie chcę. Ja bym chciał, coby mi pozwolił trzymać w domu jakie bydlatko albo pieska, najlepszy takiego samego jak ten, com go w lesie znalazł i przygarnął biedaczka.

Pchełek poczuł zimny dreszcz grozy na wspomnienie olbrzymiego basiora o czarnej sierści i kłach długości męskich palców, którego Łamignat przywłókł do wioski kilka tygodni wcześniej, obwiązawszy wpierym zwierzęciu pysk i budząc jego widokiem powszechną panikę. Ku niewysłowionemu smutkowi osiłka przerażona starszyzna poleciła zwierzę natychmiast ubić, co wywołało dalsze komplikacje, bo nie mogąc przyjąć tej decyzji do wiadomości olbrzym uciekł z wilkiem czym prędzej z powrotem do lasu, wypuszczając szarpiącego się wściekle i charczącego niczym piekielny demon drapieznika na wolność.

– Ty się lepiej trzymaj z daleka od piesków – burknął czym prędzej złodziej, ujmując mocniej drewniany dyszel i napinając mięśnie. – I od misów lepiej też. Jak zwierzaczka chcesz, to se fretkę złap, Trzęsikęsek ci pomoże.

Stękając i sapiąc dwaj rybacy rozpoczęli podróż powrotną ku dzielnicy, w której znajdował się sklep Kostropatego, ciągnąc ważący teraz całkiem sporo wózek z ogromną radością i nadzieją, że po powrocie do wioski spłyną na nich wszelakie łaski i błogosławieństwa starszyzny.

* * *

Zager pokiwał z zadowoleniem głową widząc mało entuzjastyczną, ale jakoś tam wyrażoną chęć Uszatego do współpracy, potem spojrzął pytająco na swych towarzyszy.

– Poczkajmy, aż Pchełek i Gnatek wrócą, wtenczas puści się tego łapserdaka po złoto, nie wcześniej – zaproponował myśliwy. – A teraz z powrotem do kantorka.

Kiedy Uszaty wylądował z łoskotem pomiędzy swoimi pomrukującymi coś przez kneble kompanami, Trzęsikęsek mrugnął porozumiewawczo w stronę towarzyszy, potem zaś złapał herszta za kołnierz kaftana i odwłókł go w bok, między jakieś regały zawalone dziwacznym złomem, poza zasięg wzroku innych więźniów.

– Czego, kurwi synu?! – Odrzyskóra targnął się wściekle nie mając pojęcia gdzie rybak go ciągnie i po co. Po prawdzie Maskacz i Guslek też tego nie wiedzieli, ale widok drewnianej palki, która pojawiła się z nienacka w ręce myśliwego powiedział im wszystko. – Czego chcesz...?

Palnięty w tył głowy Odrzyskóra sflaczał natychmiast, opadł bezwładnie na posadzkę. Trzęsi-





kęsek klęknął przy swej ofercie, sprawdził tętno, wyszczerzył w uśmiechu zęby.

– Dycha, suczy chwost – oznajmił. – Szybko, sebykajmy go!

– Po co? – zdziwił się niepomiernie Gusłek. – Na golasa chcesz go puścić czyś może ciekawski, jakiego wielkiego ma fajfusa?

– Nie myśl po próżnicy, bo cię łepetyna rozboli – odciął się Trzęsikęsek rozpinając kaftan herszta. – Maskacz, przeblekaj się za niego, podobnyś wzrostem a posturą do drania, odzienie będzie prawie pasowało. I gębę se wymień na tę jego, dasz chyba radę, co?

– Chcesz, cobym polazł z Uszatym po złoto? – zapytał czarownik, chociaż zdążył już pojąć, co też takiego umyślił sobie chytry Trzęsikęsek.

– Ta – kiwnął głową myśliwy. – I pomnij me słowa: tę jego skrzynię to masz do szcztętu opędzlować, a zresztą poczekamy na Pchelka i Gnatka, to razem pójdziemy, ty, ja i Uszaty, a jego dla pewności weźmie się na postronek. Nie mam ci ja zamiaru się z kurwim synem układać, będzie w skrzynce więcej imperialów, to się więcej weźmie i basta.







Rozdział XXV

Niedy zaprzężony w parę rybaków dwukołowy wózek zatrzymał się w końcu z turkotem obręczy na bruku przed sklepem, Maskacz i Gusłek zaprzestali dalszego ciągnięcia za ozory zgromadzonych w kantorku więźniów i pozostawiając ich pod opieką Trzęsikuska wyskoczyli na schodki przybytku Kostropatego.

Zziąjany, ale ogromnie zadowolony z siebie Pchełek stanął na baczność w sposób podpatrzony u żołnierzy z dworu elejata, prawicę złożywszy na szabli, lewą ręką wycierając zaś zupełnie nieregulaminowo mokry od potu nos.

– Zacny generale, setnik Pchełek i jego wierny giermek Łamignat meldują wykonanie rozkazu! Zboże zdobyte, Burat-ar ocalony, a żem człek honoru, furda mi ten złoty medal, dajcie mi lepiej w nagrodę obie dorodne córki kowala, bom tak waleczny w robieniu pałką, że mi jedna nie podola!

Czarownik i nowicjusz roześmiali się jednocześnie, co w przypadku Maskacza było autentyczną rzadkością i świadczyło dobitnie o tym, że do przesady umiarkowany w okazywaniu emocji Hogur odzyskał na widok zawartości wózka doskonały humor. Gusłek klepnął w ramię Łamignata, obszedł wózek, rozwiązał jeden z worków zanurzając w nim dłonie i pozwalając, aby ziarno płynęło mu złotymi strumieniami między palcami.

– Siedem worów – szepnęła rozmarzonym głosem, oczami wyobraźni widząc już kołyszące się na wietrze bezkresne łany dojrzałej pszenicy, siebie samego w odświętnym stroju kapłana Piana z dzbanem wybornego wina w rękach, wyciągniętym w stronę nadchodzącej z figlarną miną młynarzówny o rozsznurowanym kusząco kaftaniku, odsłaniającym większą część jej piersi. – Za siedem Mężczywórnas ozłoci, jakby go odważnie zapytać, może by i nową chałupę pozwolił postawić albo kawałek ziemi dla każdego wykroi z wioskowego areалу. Jak myślicie?

– Ta, a mnie na dworze elejata nowiuški żelazny sagan kupi, cobym mógł więcej lubczyku warzyć dla tych, co cichaczem do niego przyłażą, bo się aż palą, żeby się za tyłek młynarzówny zabrać – parsknął kpiąco Zager.

– Jakiej młynarzówny, tej cycatej? – Gusłek udał, że nie ma pojęcia, o czym czarownik gada, po czym zaraz zmienił temat. – Pchełek, Gnatek, świetnie żeście się sprawili, jak się ogolicie, dostaniecie ode mnie po całusie. Gnatek, zostań tutaj, pilnuj wózka, jeno grzecznie i obyczajnie, nikogo nie płosz ani nie próbuj się zaznajomować.

– I żadnych osłów nie tarmoś, perwersyjasie ty jeden – pogroził kompanowi palcem złodziej ocierając pot z czoła i wstępując na schodki. – Zara ci rzepy trochę przyniosę z mojej torby, to se podjesz i będzie ci miło.



Ostatnie słowa rybaka uświadomiły zniecka wszystkim, jak bardzo byli już głodni. Skromny poranny posiłek nawet po części nie zdołał zaspokoić ich głodu, spotęgowanego dodatkowo pełnymi wrażeń przeżyciami mijającego dnia. Pchełek nie mógł się oprzeć przekonaniu, że gdyby go teraz napadł niedoszły piesek Łamignata, nieszczęsny zwierzak zostałby pożarty do szczętu, razem ze swoim kudłatym ogonem i szpiczastymi uszami.

– Ale jestem głodny – westchnął Pchełek. – Co nam tam jeszcze w tych sakwach zostało?

– Zawilgły chleb, stwardniała rzepa i chyba trochę cebuli – skrzywił usta czarownik. – Ale mus nam paski jeszcze troszkę zacisnąć, bo czas ucieka. Potarmosiliśmy trochę tego Odrzyfiuta i złąkł się w końcu o swą skórę. Gotów nam czystym złotem zapłacić, i za Sękacza, i za Krzesimira. Gusłek umyślił sobie, że za te dutki jednego z niewoli wykupimy, a co nadto zostanie, dobrze wydamy, najsamprzód na jaką dobrą wieszakę.

– Toć to wyborna nowina! – Klasnął w dłonie złodziej. – I kiedy będzie płacił, kurwi syn?

– Choćby i zaraz – odparł Gusłek. – Trza po te dutki do jego chałupy iść, z jednym jego pałachem, a dobrze po drodze baczyć, coby nie próbował zwiać. Takeśmy sobie umyślili, coby Maskacz jego gębę przybrał, toby się nikt nie pomiarkował, że jaki obcy z tamtym oprychem przyląkł do barłoga, a nie sam Odrzyskóra.

– A to po temu żeś się tak elegancko oblekł, co? – cmoknął znacząco Pchełek spozierając na zbyt dużą skórzaną kurtkę, która zdawała się nieco wisieć na ramionach szczupłego czarownika. Zager nic nie odrzekł, poprawił tylko rękawy bawełnianej przesywanicy i podciągnął obciążony długim mieczem skórzany pas.

– I byśmy chcieli, cobyś razem z nimi poszedł, bo we dwóch łatwiej będzie i tego zbójca upilnować i złoto przynieść – odparł Gusłek. – A im szybciej pójdziet, tym lepiej, bo trza Sękacza czy Krzesimira jeszcze dziś z niewoli wykupić, inaczej go ten chędożony Rumburak na śmierć zamęczy. To jak będzie, pójdziesz?

Kiedy dyskutujący z cichym ożywieniem rybacy doszli już do zgodnych wniosków, Maskacz dopiął skórzany kaftan Odrzyskóry, dociągnął nieco luźny pas, przy którym wisiał zupełnie mu obcy i dziwnie ciężki miecz, potem zaś odwrócił się plecami do towarzyszy, pochylony nad nieprzytomnym hersztem bandy i mruczący pod nosem jakieś niezrozumiałe słowa wypowiedane w dawno już zapomnianej przez normalnych wieśniaków mowie bagiennych ludów.

Trzęsikęsek poczuł dziwny dreszcz na karku słysząc te dźwięki, cofnął się pośpiesznie o kilka kroków nie chcąc być świadkiem przerażającej przemiany, która się właśnie dokonywała na obliczu czarownika. Przemieszczane mocą zaklęcia, mięśnie jego twarzy zmieniały swe ułożenie i objętość, kości szczęki wydłużyły się nieco z wyraźnie słyszalnym trzaskiem dopasowując swe rozmiary do rysów samego Odrzyskóry. Myśliwy usłyszał zdławiony jęk Zagera, wzdrygnął się pojmując, że cały ów zabieg musiał przysparzać czarownikowi silnego bólu.

Leżący na deskach podłogi ostrogarski rzezimieszek stęknął glucho, otworzył zamroczone oczy i wytrzeszczył je na widok pochylonej nad sobą dziwacznej maski, która szybko prze-





mieniała się w jego lustrzane odbicie. Dartan Odrzyskóra był bezwzględny i zahartowany w ulicznych wojnach bandytą, ale żadne nożownicze rozprawy i skrytobójcze mordy nie przygotowały go na podobny widok. Ujrawszy nad sobą kończącego transformację Maskacza herszt stęknął raz jeszcze głucho, wyrzucił oczy i zemdlął niczym nowicjuszka Graama na widok przeciętego medycznym ostrzem wrzoda.

– Dobra, idziemy – mruknął Hogur odwracając się w stronę Pchełka i Gusłka. Stojący opodal Trzęsikęsek gwizdnął przeciągle z wrażenia, bo nowa maska Zagera była w jego oczach perfekcyjną kopią oblicza herszta i efektu tego nie psuły nawet mniej masywne rozmiary ciała czarownika, w miarę skutecznie maskowane jego nowym strojem.

– Och, jakiś ty z mordy bandycki, co za zbrodnicza gęba – wyraził szeptem swój szczery zachwyt myśliwy. – Nic dziwnego, że tamten znowu omdlał, od tera pewnością będzie w porty walił za każdym razem jak się w lustro obejrzy, bo pomyśli, że to ty!

– Pchełek, weź Uszatego na sznurek, tylko jako mało widocznie – zalecił Maskacz prostując się na próbę i marszcząc groźnie swą nową twarz. – Lepszy by było jakby nikt nie zoczył, że go przemocą wiemy, jeszcze gotowy kłopotów narobić.

Chwilę później wyznaczony na tragarza rzezimieszek stał już obok płowowłosego złodzieja, ze swą prawicą obwiązaną mocno krótkim rzemieniem przymocowanym z drugiej strony do metalowego zaczepu na pasie Pchełka. Nim bandyta został z powrotem przywleczonej do głównej izby sklepu, rybacy dokładnie przykryli brudnym materiałem nieruchome ciało Odrzyskóry.

– Pójdę z wami – oznajmił Maskacz, kiedy zbój wlepił swe szeroko otwarte oczy w doskonale znajomą twarz rozmówcy. – Zasuway przodem z tym oto zacnym człekiem, ja pójdę w tyle. Zmierzaj prosto do naszej kryjówki.

W oczach wciąż zaleknionego rzezimieszka pojawił się znienacka inny błysk, który zaraz znikł, ułamek sekundy wystarczył jednak czarownikowi w zupełności, by pojąć, że zaplanowany przez niego fortel nie miał szans na powodzenie. Uszaty widział obcego noszącego twarz Kostropatego, musiał się z miejsca zorientować, że to utalentowany w mimikrze adept magii. Stojąc przed obliczem herszta, który bez więzów polecił mu prowadzić innego obcego do kryjówki mimo swego towarzystwa, oprych pojął równie szybko, że nie prawdziwego Dartana ma przed sobą, tylko tego samego mimika, który chwilę wcześniej pozował na właściciela sklepu.

Uszaty nie dał tego rzecz jasna po sobie poznać nawet jednym piśnięciem, ale ów króciutki błysk w oczach więźnia Maskaczowi zupełnie wystarczył.

– Spróbuj wykręcić jaki głupi numer, a wypatroszę cię w locie zakłębim jak włochatą świnię – syknął do kikuta prawego ucha rzezimieszka chłodnym sadystycznym tonem. – Ten sznurek to tylko dla pewności, bo wierzą mi albo nie, wystarczy mi parę uderzeń serca, aby cię zabić i nawet nie będę musiał wyciągać miecza. Wierzysz mi?

Uszaty pokiwał żarliwie głową, a stojący obok Pchełek sam poczuł na dźwięk słów Zagera zimny dreszcz, zastanawiając się w duchu, czy czarownik aby na pewno żartował.





Pchnąwszy więźnia przed sobą Maskacz przepuścił też związanego z nim rzemieniem Pchełka, sam zaś jako ostatni przestąpił próg drzwi sklepu, posyłając na pożegnanie kiwnięcie głowy w stronę Trzęsikęska i Gusłka. Pilnujący załadowanego ziarnem wózka Łamignat ponownie zajmował się obserwacją życia miejskich mrówek i chociaż zerwał się na widok uzbrojonego w miecz Dartana na równe nogi z bruku, uspokojony szybkim pomrukiem Pchełka z zadowoleniem powrócił do swego zajęcia.

Wiedzeni przez Uszatego dwaj buratarscy rybacy ruszyli śpiesznym krokiem w stronę dzielnicy, którą Pchełek miał sposobność kilka godzin wcześniej odwiedzić i gdzie nawiązał wielce wyczerpującą znajomość z pełną werwy mieszczką. Dla mijanych mieszczan nie byli nikim więcej jak tylko trójką zabijaków, którym lepiej było nie wchodzić w drogę, toteż zwykli Ostrogarczycy nader skwapliwie im z tej drogi schodzili, jawnie dowodząc w opinii Maskacza faktu, że twarz Odrzyskóry nie była w tej okolicy obca.

Trzęsikęsek odczekał, aż Zager i Pchełek wyjdą razem z Uszatym, potem zaś przeniósł znaczące spojrzenie na więźniów leżących w kantorku, pomrukujących coś do siebie przez kneble i zmieniających ustawicznie ułożenie ciała, dla niepoznaki ku ulżeniu obolałym mięśniom, w opinii myśliwego zaś dla wypróbowania krepujących ich rzemiennych pęt.

– Zechcesz raz jeszcze pomyśleć nad moim sposobem, co by się tych psubratów raz, a dobrze pozbyć? – mruknął w stronę towarzysza Trzęsikęsek, macając jednocześnie wymownie wsadzonej za pas zdobyczny kordelas. – Wiem ci ja dobrze, że się przed tym wzdragasz i chwała ci za to, aleć to może być nasza jedyna nadzieja, co by ogona do wioski z miasta nie przywlec.

– Raz żem rzekł “nie” i jeśli będziesz kontent, raz jeszcze mogę to rzeknąć – odparł nie znoszącym sprzeciwu tonem nowicjusz. – Nie będziemy ich tu zarzynać jako dzikich świi w potrzasku, boć czyniąc tak równymi wobec nich się staniemy, zbrodzeniami w oczach Pana Uciech, którego gwałtu większego niżli zebranie po łbie czerepem nie zdzierzy. Prędzej mnie wpierv będziesz musiał uderzyć, by się za nich zabrać, bo po dobroci przyzwolenia ku temu nie dostaniesz.

– Już się tak nie pultaj – skrzywił twarz z dezaprobatą myśliwy. – Jam jest człek dobrego serca i dobrze też ci to wiadome, ale jak na te gęby spojieram, to mnie taka chęćka bierze, żeby któremu kosę sprzedać, że aż mnie trzęsie od środka. Nie zapominaj, że te kurwie syny nam ziomka zamordowały, a drugiego w niewolę sprzedały jak jakiego goblina albo inszego pogańskiego ogra.

– Pamiętam, a słowa nie cofnę – nastroszył się Gusłek, gotów do upadłego bronić swego kapłańskiego etosu, na przekór wszystkiemu i wszystkim.

– Przeciem rzekł, co byś się nie pultał – powtórzył Trzęsikęsek. – Skoro tak, mus nam inaczej sprawę załatwić, a wpierv się trochę z tymi suchymi synami rozprawić, bo cosik mi się widzi, że im chęćka na danie drapaków we łbach świta.

Dwaj rybacy weszli na zaplecze sklepu spojierając złowieszczą na spętanych ciasno rze-





zimieszków. Wszyscy więźniowie zeszywnieli na ich widok, przestali się podejrzenie wiercić i pomrukiwać przez kneble.

– I co się tak gapiacie, kanalie? – warknął niemiłym tonem Trzęsikęsek, znów macając mimowolnie rękojeść kordelasa. – Ech, dziabnąłbym was po kolei, pod zebro, byłby spokój z wami, ale mi ziomek nie pozwala, wielce pobożny człek.

Gusłek nic nie dodał, chociaż poczuł się dziwnie na widok przepelnionych głęboką wdzięcznością spojrzeń rzezimieszków.

– Ale skoro mi was ubić nie pozwala, inny mi pomysł na ciężkie was skaranie do głowy przyszedł... – Tym razem myśliwy zaczął się uśmiechać w bardzo, ale to bardzo złośliwy sposób. – Mus mi swojej złości upuścić, a jeśli bić was nie wolno, to inakszy sobie ulżę. Brachu, łapmy tego z brzegu – Trzęsikęsek wskazał palcem na wciąż nieprzytomnego Żółwiaka, leżącego z nosem w niewielkiej plamie krwi. – Odrzemy go z przyrodziewku do gołego, a potem go sobie wychędożę, chociaż to nie po bożemu. A jak werwy i wigoru styknie, wydupczymy po kolei wszystkich, z naszym Kostropatym włącznie.

Nowicjusz nic nie odrzekł biorąc się za ściąganie Żółwiakowi spodni, ale pomyślał w duchu, że do końca życia nie zapomni wytrzeszczonych oczu bandytów i ich panicznych wizgów dobiegających zza wciśniętych głęboko w gęby zwitków płótna.

Myśliwy widząc przerażone miny drabów poczuł szaloną chęć podkreślenia śrubki w kosmatym planie wieśniaków.

– Chyba tego łysawego weźniem brachu, ten co tak go wleciesz to padnięty całkiem i sapać nie będzie jak go swoją pałą zakłuję, a to ból ma przecie czuć w zadku straszliwy, od mojego kostura to nawet baby stare krzyczą, a co dopiero jakiś właściciel ciasnej dupy. Oj ukaram ja was, ukaram.

Wytknięty palcem przez Trzęsikęska oprych, łysawy drab o dziobatej gębie i dwudniowym zaroście, potrzebował krótkiej chwili, aby w pełni sobie uświadomić znaczenie usłyszanych właśnie słów.

Potem zaś uczynił coś, czego zbereżny żartowniś w życiu by nie przewidział – mianowicie przegryzł swój knebel!

Gnany dzikim przerażeniem i równie szaloną desperacją, jęczący upiornie bandyta pogryzł część wepchniętego mu w usta materiału, rozdarł go zębami, niektóre kawałki połknął, inne zaś wypluł, po czym zaczął wrzeszczeć tak przeraźliwie jakby już poczuł w swym zadku przyrodzenie perwersyjnego rybaka.

Wrzask ten nie trwał zbyt długo, bo Gusłek natychmiast ogłuszył więźnia ciosem drewnianej pałki, krzywiąc usta na dźwięk suchego trzasku, jaki wydał jego oręż w momencie zetknięcia z czaszką utalentowanego przeżuwalca knebli. Pozostali jeńcy podnieśli równie ożywioną wrzawę, jednakże nie zdołali pozbyć się wepchniętych w gęby zwitków cuchnącego starzyzną płótna.





– Mordy w kubel albo pałki pójda w ruch! – zaśmiał się rubasznie Trzęsikęsek. – Ta pała, co ją mój druh w łapie trzyma i ta, com ją w spodniach schował! Jeden głupi ruch a jedna krzywa mina i poczujecie się niczym dorodne panienki. A teraz leżeć i modlić się do każdego boga, co to go znacie, żeby nam jaki gorszy pomysł do łepetyny nie przyszedł.

Wciąż dusząc się ze śmiechu i marszcząc groźnie czoła, dwaj rybacy wycofali się za próg kantorka, na tyle blisko od więźniów, by móc ich ciągle obserwować, na tyle zaś daleko, aby żaden z nich nie usłyszał szeptu Buratańczyków.

– Bracie, widziałeś ichne miny? – Trzęsikęsek omal nie popłakał się ze śmiechu. – Już niektórzy po nogach zaczęli robić. Tera to oni bedom cicho siedzieć jako te myszy pod miotłą, wierzaj mi.





Rozdział XXVI

Chłopskie Krocze. Kryjówka Odrzyskóry.

Fadący szybkim krokiem mężczyźni dotarli bez większych kłopotów w poblizę siedziby bandy, mijając co jakiś czas kręcących się tu i ówdzie rozmaitych obwiesiów, przepędzając groźnymi minami uliczników i popatrując zaczepnie na wygrzewających się w ciepłych promieniach słońca staruszków, którzy wraz ze swymi psami i kotami wylegli na chodniki korzystając z okazji do drzemki.

Pchełek trzymał Uszatego krótko, w dosłownym tego słowa znaczeniu, albowiem ściągnął wiążący ich razem rzemień tak krótko, że więzień zdawał się maszerować przytulony do swego utajonego strażnika. Maskacz szedł po jego drugiej stronie, oddalony dwa kroki w bok, spoglądając uważnie to na Uszatego, to na ulicę przed i za sobą.

– Miłościwy panie – bąknął nagle rzezimieszek, spoglądając wprost na czarownika. – Podarujcie życiem, okażcie litość. Mus mi z wami do sklepu wracać? Przecie wy dwa krzepkie chłopy, sami se te złoto zatargacie, po co mnie z wami iść? I se głowy nie musicie zaprzętać, coby mnie pilnować. A ja nikomu nie wygadam, co się stało, dawnom chciał nogę dać spod Odrzyskóry, bom z natury prosty i dobrego serca człek.

– Tak – sarknął w odpowiedzi Hogur. – I tylko ze strachu przed tym suczym synem pewnieś się go tak trzymał jak smark maminej spódnicy, co?

– Juźci, że tak – pokiwał głową gorliwie więzień. – A przecie ja nawet waszej pańskiej gęby nie znam, bom jej nie uwidział, toć się nie musicie troskać, że was komu wydnam... – W tej samej chwili więzień pojął, że chociaż w przypadku czarownika ostatni argument ma jak najbardziej zasadność, to sprawa zupełnie inaczej wyglądała w stosunku do Pchełka. – A wy, panie od sznurka, toć wy za przeproszeniem gębę tak pospolitą macie, a się w łoczyska nie ciepiać, że was zaiste zapominam jeno od was wzrok oderwę. Na bogów, uwierzcie a pomiłujcie!

– Nie jęcz tak głośno, bo po gębie zbierzesz – syknął Hogur oglądając się na parę mijających mieszczan w ubogich strojach podrzędnych rzemieślników. – Jeszczem nie jest pewien co do twego losu, ale im bardziej będziesz...

– Odrzyskóra, stary draniu! – Zager zesztyniał słysząc nagły okrzyk dobiegający z wylotu sąsiedniej uliczki. Odwracając powoli głowę spojrział z wyższością na trójkę zmierzających ku niemu z uśmiechami na twarzach mężczyzn i poczuł lekki dreszcz rozpoznając natychmiast ich oblicza.

– Od rana za tobą łazimy, stary – oznajmił niski człowieczek o skołtunionych rudych włosach. – Bobek kazał ślać po wszystkich braci z band z Chłopskiego Krocza, gadać chce, bo źle się dzieje.





Maskacz uniósł wysoko brwi, nie jednak nie odrzekł poprzestając na pełnej wyniosłego zainteresowania minie. Przesuwając spojrzeniem po znajomych twarzach wiedział już, co zaraz usłyszy.

– Mścibor wszczyna zwady, nowa wojna o protekcje mu chyba we łbie. Nie dalej jak wczora nasłał na nas jakiegoś najemnego czarownika, kurwiego syna ponad wszelką miarę. W karczmie u Klucznika nas dorwał, jednego chłopaka tak mi popalił jakim ogniem piekielnym, że ciągle ledwie dycha, a Przeplawa struł jadem paskudnym, rzygał jak kot całą noc.

– Bobek prosi na naradę – dodał drugi ze znajomych Maskaczowi-obwiesiów. – Mus Mściborowi pióra przyciąć, zanim za bardzo w nie obrośnie. Wy wielki mir macie u innych braci, panie Odrzyskóra. Pójdziecie z nami do pana Bobka?

– Nie przeszkadzajta nam tera... – Z opresji postanowił wybawić kolegę Pchełek, bo gęba znana bandytom, więc i głos pewnie znany. – Mus nam do cyrulika. Mości Odrzyskór dostał jakiej sraki bagiennej. I tera nie dość że do wychodka ciągle latać musi, to i gadać nie może, bo zara mięśnie luźne się robią, a gacie pełne. A i wam oddalić się radzę, bo zaraźliwe to jak cholera i zara tu wszyscy posrani stać będą. Spytajcie go tylko co robić, ale tak żeby kiwnąć mógł głową tylko, ale lekko bo się znowu posra!

Słyszając ostrzeżenie Pchełka trzej mężczyźni spojrzeli na siebie szeroko otwartymi oczami, a potem jak jeden mąż cofnęli się o kilka kroków w tył.

– Juźci, Odrzyskóra, od razu żem pomiarkował, że coś chorowicie wyglądasz – powiedział rudy, przysłaniając dłonią usta jakby obawiał się, że powiew wiatru natychmiast zarazi go uciążliwą dolegliwością Dartana. – I schudłżeś mocno, kaftan na tobie wisi jak na jakim łachmaniarzu. Idźcie sobie bracia w swoją stronę, nic tu po nas. Jak wydobrzejesz, Odrzyskóra, pchnij posłańca do Bobka albo i sam przyjdź na rozmowy, bo sraczka czy insze choróbsko, sprawę Mścibora trza rychło załatwić. Ten kurwi syn nie będzie czekał, aż cię znachor wyleczy.

Rudowłosy uniósł rękę w geście pożegnania, po czym zawrócił w głąb uliczki, z której wychynał; dwaj towarzysze oddalili się z poważnymi minami w ślad za nim, jednakże zaledwie po kilkunastu krokach do uszu milczącego wciąż Maskacza dobiegł ich gremialny rechot. Czarownik zmarszczył czoło na dźwięk owego rozbawienia, przyjmując za pewnik, że z rzekomej biegunki Odrzyskóry ostrogarscy rzezimieszkowie będą się naśmiewali przez wiele kolejnych wieczorów.

– Ot i po kłopocie – powiedział do stojącego niczym słup Uszatego. – Prowadź dalej, a zwa-wo, niebawem zacznie ciemnieć, a o tym czasie mus nam już być w drodze do domu.

Chociaż maska noszona na twarzy Zagera nadal przypominała kamień, młody czarownik aż jęknął w duchu z ulgi. Nieoczekiwane spotkanie z trójką nie tak starych znajomych sprawiło, że opanowany na co dzień Hogur stracił na ułamek sekundy rezon, a to zdarzało mu się naprawdę rzadko. Idący po przeciwnej stronie Uszatego Pchełek zanosił się cały czas pod nosem śmiechem, niebawale ukontentowany swym błyskotliwym fortelem.





Pokonawszy kilkanaście coraz brudniejszych, coraz bardziej zaniedbanych i coraz mniej zatłoczonych uliczek rybacy dotarli w końcu do domostwa Odrzyskóry. Idący z zadartym wysoko nosem Maskacz odnotował z zainteresowaniem w pamięci, że mijani mieszkańcy reagowali na jego widok na dwa sposoby: albo szybko spuszczać wzrok i oddalając się gdzieś na kraniec chodnika albo się z szacunkiem kłaniając. Hogur nie wiedział za bardzo jak powinien być się w tej drugiej sytuacji zachować, toteż udawał na wszelki wypadek, że tych ukłonów nie raczył zauważyć.

– To tukej – przyznał Pchełek zerkając wpierw na straszący wybitymi szybami budynek, potem zaś przenosząc nieco zmieszane spojrzenie na wznoszącą się po drugiej stronie ulicy kamienicę. – Mus nam teraz drapko do środka wleźć, inaczy ktosik mnie tu zoczy i nie będzie wesoło... znaczy się, będzie bardzo wesoło.

– A to niby czemu? – zainteresował się czarownik, podążając mimowolnie wzrokiem za spojrzeniem złodzieja. – Kogo się strachasz, tego starucha na zydlu czy jego kota?

– Mocnyś w pysku, bo nie wiesz, o co idzie – parsnęła Pchełek, chowając się jednocześnie za wyprostowanego jak struna Uszatego. – Tam mieszka jedna taka baba, niebywale obrotna w tych sprawach... wiesz, co miarkuje? Jak nas zoczy, ściągaj z gęby tego Odrzyskóra i zakładaj moją paszczę, bo ja już jej dzisiaj rady nie dam, wszystkie soki ze mnie wyciągnęła.

Arianna musiała jednak czuwać nad płowowłosym amantem z konieczności, bo chociaż Pchełek strzelał oczami na wszystkie strony, nigdzie nie dostrzegł śladu nadobnej praczki.

– To tutaj – powtórzył po rybaku niepewnym głosem Uszaty pokazując palcem uchylone odrapane drzwi prowadzące do wnętrza obskurnego domostwa.

Maskacz poprawił luźno mu opinający biodra pas, sprawdził mało wprawnym ruchem, czy miecz wychodzi aby lekko z pochwy, a potem trącił Uszatego porozumiewawczo w ramię.

– Idziesz przodem, ale pomiarkuj sobie, żem o krok za twoim grzbietem – powiedział czarownik, dając jednocześnie znak Pchełkowi, by ten przeciął sznurek łączący więźnia z jego opiekunem. – Jeden głupi ruch a jedno słowo i wypatroszę cię w locie zakłęciami jak dziką świnię. Pojąłeś me słowa?

– Tak, panie – jęknął głucho, ale i bardzo cichutko Uszaty, bład po gębie jak świeżo bielona ściana i zauważalnie się trzęsący z przerażenia. – Nic głupiego abo patroszenie. Panie, ja chcę żyć, babę mam i dzieciaków cztery.

– Rób, co ci każe, a jak Arianna da, to dorobisz sobie następną czwórkę – sarknęła Zager. – Prowadź prosto do barłogu Odrzyskóry, do jego skrzyńki z dutkami.

Uszaty pierwszy przekroczył próg, Hogur i złodziej deptali mu jednak po piętach, zerkając czujnie w mijane ciemne pokoje zavalone jakimiś zdezelowanymi meblami, stertami szmat i śmieci, cuchnące odpadkami, moczem i skwaśniałym alkoholem. W drugim pokoju po lewej od wejścia spali na kocach dwaj mężczyźni o pijackich gębach, rozwaleni w mało estetyczny sposób i chrapiący tak donośnie, że mało się tynek z powały nie sywał w rytm tego dźwięku.





– Ilu twych druhów tu tera siedzi? – zapytał bardzo cicho czarownik, trącając Uszatego znacząco ręką.

– Chyba ino ci dwaj, panie – wybąkał rzezimieszek. – Reszta abo z Odrzyskórą poszła was szukać abo po mieście się rozlazła haracze ściągać. Dopiero z wieczora przyjdą z powrotem, z dutków się rozliczyć a na pijatykę.

– Gdzie ten jego barłóg? – zapytał niecierpliwie Pchelek, aż zacierając dłonie na myśl o skarbach miastowego herszta.

– Tam, na końcu... – Uszaty wskazał dłonią na wejście do pokoju położonego u szczytu mrocznego zatechłego korytarza, w przeciwieństwie do innych pomieszczeń zaopatrzone w solidne drewniane drzwi. Czarownik wyprzedził w drodze do nich Uszatego i Pchełka, oparł dłoń o klamkę, pchnął ją zdecydowanym ruchem.

Drzwi otworzyły się z jękiem zawiasów dając Maskaczowi sposobność do zlustrowania wzrokiem pokoju Dartana Odrzyskóry. Czarownik z trudem powstrzymał się od gwizdnięcia w duchu, bo siedziba ostrogarskiego bandziora urządzona była na sposób dla zwykłego Burtarczyka wręcz nieosiągalny: w pokoju stały szafy, stół i krzesła, łóżko miało nawet pościel, co prawda brudną, ale jednak, a na posadzce zalegały zdeptane dywany, zapewne zrabowane z jakiegoś portowego magazynu i nawet zapach był tu niezgorszy.

– Hej, Odrzyskóra! – Siedzący przy stoliku Wyrwichwast odłożył czym prędzej talię kartonowych papierków podobnych do tych, które rybacy mieli już wcześniej sposobność zobaczyć w rękach półorka Ayheera, chrząknął ostrzegawczo w stronę siedzącego po drugiej stronie stołu kompana w wytartym kaftanie o szaroburym kolorze i w czerwonej opasce na kudłatej głowie. – Pilnujemy tu, jakeś kazał, ale nikt się nie kręcił. Bury i Kichol zlegli na przodku, odsypiają nockę.

Pchelek znów pierwszy odzyskał rezon, przybierając marsową minę i opierając ręce na biodrach w pozie człowieka bardzo pewnego siebie.

– Szef zachorował, synku – powiedział szybko młodzian, próbując brzmieniem swego głosu zasiać w umysłach Wyrwichwasta i jego kompana coś na podobieństwo paniki. – Straszniście się struł, bo się trącał w porcie z jednym takim obwiesiem, co na bagienną sraczkę był chory. Nic tera nie rzeknie, bo mu jeszcze mięśnie popuszczą w zadku, a spróbujcie się jeno uśmiechnąć, to wam gnaty każe poprzetrzącać.

Wyrwichwast wytrzeszczył oczy, obejrzał się na Odrzyskórę, potem na swego równie zaskoczzonego kompana. Maskacz przekręcił wolno głowę, spozierając znacząco na stojącego tuż obok Uszatego. Chociaż przewodnik słowem się jeszcze nie odezwał, czarownik momentalnie wyczuł subtelną zmianę w jego nastroju, leciutko odmienną pozę. Zager chlubił się tym, że potrafił całkiem nieźle czytać z mowy ciała i teraz w jego głowie zapalił się natychmiast ostrzegawczy kaganek. Uszaty nie sprawiał już wrażenia człowieka przerażonego i poddanego bezwolnie biegowi wydarzeń: choć wciąż emanował aurą lęku wobec straszego czarownika,





traciła ona z każdym uderzeniem serca na intensywności. Maskacz doskonale rozumiał tego powody: para Buratarczyków znalazła się zniecka pośród pięciu rzezimieszków, więc w prostym umyśle Uszatego zapewne dojrzywał już plan jakiegoś drastycznego działania, najpewniej ucieczki pod osłoną zaskoczenia kompanów.

– Chory? – odpowiedział powoli oprych w czerwonej opasce na głowie. – Toć parę chwil temu żeś był zdrowy, Dartan. Co to za choróbko, co tak szybko łapie? Może ty nie podchodzisz za blisko, co?

– Dartan, a co to za jeden? – Wyrwichwast był zdecydowanie bardziej niebezpieczny od swego kompana, bo miał poświęcić całą swą uwagę słowom Pchełka i zawartej w nich groźbie, młody bandyta skoncentrował się od razu na osobie złodzieja, marszcząc czoło. – Przecie ja cię znam, bom cię już widział! Ty żeś przylazł do Kostropatego z tymi szelmami w rybackich portkach! Odrzyskóra, gdzieś go znalazł? Trza z nim uważać!

Ręka Wyrwichwasta zaczęła pełznąć wzdłuż boku mężczyzny ku wiszącemu przy pasie kordelasowi. Drab w czerwonej opasce nadal nie za bardzo rozumiał, co się wokół niego dzieje, ale Maskacz pojął, że bezcenny czas intruzów błyskawicznie się kończy, a wraz z nim znika coraz bardziej czynniki zaskoczenia.

Czarownik bardziej wyczuł niż zauważył, że Uszaty ponownie zmienił swą pozę, tym razem napinając mięśnie nóg i jakby przechylając się całym ciałem w kierunku szeroko otwartych drzwi wiodących na korytarz.

– Widziałeś mnie, boć to właśnie te obwiesie sraczkę przywiezły. Leżom teraz i dychajom ledwie chore niebożęta, a jam z nimi przylazł boć jeden to krewny mego pryncypała i stąd z nimi siem zabrał. Szukałem z nimi źródła zarazy i ty coś mi wyglądasz na bladego i nerwowego, a toć to pierwsze objawy owej sraczki. Dobrze ty się czujesz na pewno? Bo Kostropaty w wychodku już od godziny siedzi, z nim to właśnie mości Odrzyskór się spotkał i zara zarazę złapał! – Pchełek próbował ratować sytuację.

Maskacz wyprostował się jeszcze bardziej, położył dłoń na mieczu i spojrział na Wyrwichwastę wzrokiem mrozącym krew w żyłach.

– Trzymaj głębę na kłódkę, bo ci ją zaraz obję! – zawarczał groźnie, starając się naśladować głos prawdziwego Odrzyskóry na tyle dobrze, na ile tylko go zapamiętał. – Won za drzwi, ale już!

Wyrwichwast nie zareagował tak jakby Maskacz sobie tego życzył – miał posłusznie wyknąć się ze stulonymi uszami za drzwi, młodzieniec zaczął spoglądać na niego z rosnącą niewiary, dłoń kładąc wprost na kordelasie.

– Dartan, co ci się stało z głosem? – zapytał podejrzliwie, zerkając przy tym w stronę kompana w czerwonej opasce na głowie.

– Za drzwi! – powtórzył Maskacz wyciągając do połowy ostrze z pochwy. Dźwięk ten przeszył stalową nutą wszystkich obecnych w pokoju, przywołując w końcu buntowniczego chłopca





ka do porządku. Mruczając coś pod nosem Wyrwichwast obszedł Zagera i wyszedł z pokoju wraz ze swoim towarzyszem, cały czas zerkając spod łba na swego herszta.

– Ty nie! – Maskacz warknął na Uszatego, rzucającego w stronę kompanów rozpaczliwe spojrzenia i zdradzającego chęć do opuszczenia pokoju wraz z pozostałymi opryszkami. Kiedy Pchełek zamknął drzwi z wyrazem niewysłowionej ulgi na twarzy, Zager spojrział pytająco na Uszatego.

– Gdzie ta skrzynia? – zapytał przyciszonym głosem, zdając sobie sprawę z tego, że wyrzuceni za próg rzezimieszkowie mogą podsłuchiwać pod drzwiami. Uszaty pokazał drżącą ręką na jedną z szaf. Czarownik otworzył ją nie zwlekając, wyciągnął ze środka niewielką drewnianą skrzynkę, dźwignął jej wieko.

I westchnął mimowolnie.

W środku prócz wielu srebrnych i miedzianych pierścieni, naszyjników i bransolet lśniły też złote i srebrne monety, niektóre tak stare, że lata przechodzenia przez palce starły z nich wybite znaki, inne zaś pachnące jeszcze imperialną mennicą.

Pchełek wpatrywał się jak urzeczony w zawartość skrzynki Odrzyskóry, nie mogąc nasycić oczu widokiem kosztowności i monet złożonych w jej drewnianym wnętrzu. W Burat-arze jedynie Męczywór i Pasibrzuch nosili srebrne bransolety, w dodatku tak stare, że ich blask dawno już zmatowiał, a mimo to wszyscy postrzegali ich za ludzi niebywale majątnych. Ostrogarski opryszek pokroju Dartana mógł obu członków starszyny natychmiast zdegradować do roli wioskowych żebraków, takim mienił się bogaczem w oczach Pchełka.

– I tak to w skrzyni trzyma, w szafie? – zapytał z cierpkim niedowierzaniem Maskacz. – Nie stracha się, że mu który z was dutki doprowadzi, gdzie daleko z nimi zwieje?

Uszaty chrząknął zmieszany, pokręcił przecząco głową.

– To kasa całej szajki – powiedział. – Jak kto coś zwędzi, wszystkich będzie miał na karku, a paru takich już było. Żaden dalej nie uciekł jak do Srebrnej Przystani, bo Odrzyskóra szybki jest jak kogo trza odszukać, co mu dutki jest winien.

– I co z takim czynicie? – spytał czarownik wyciągając ze skrzynki złote monety, które natychmiast znikwały w kieszeniach jego odzienia. – Po gębie objacie i z powrotem do roboty gonicie?

Tym razem Uszaty pozwolił sobie na ironiczne parsknięcie.

– Toć wiecie, panie, jak Dartana wołają z drugiego miana – odpowiedział. – Zdawa wam się, że to od odzierania kotów z futerek?

– Ile tego będzie? – zapytał Pchełek trzymając na straży zarówno drzwi jak i Uszatego, ale wciąż zerkając hipnotycznie do skrzynki. – Ile tam mieli?

– Jakie sto sztuk złota – odparł naprędce Hogur. – I wiele wartego w kosztownościach. Spłaci nam kurwi syn z nawiązką krzywdę Krzesimira i Sękacza.

– Lepiej by było, coby was nie odszukał... – Uszaty umilkł zmrożony spojrzeniem czarowni-





ka, zbladł ponownie, spuścił nieco hardy wzrok po podłodze kładąc po sobie uszy. – Wybaczenie, miłościwy panie czarodzieju, nie chciałem was urazić nieopatrzonym słowem.

Zager nic nie odrzekł, ale Uszaty niezawodnie odczytał czającą się w jego wzroku groźbę, zimną niczym wraźnia w plecy stał, mroczną jak cuchnący urynek ślepy zaułek, z którego nie było ucieczki. Nie tracąc już czasu na zbędną paplaninę rybacy opróżnili do szczętu skrzynkę, upychając swe łupy po wszystkich kieszeniach, a co większe sztuki wsadzając w tobolek uczy-niony naprędce z kapoty Pchełka.

Poskrzypywanie desek na korytarzu sprawiło, że złodziej podskoczył w miejscu łapiąc za swoją dagę. Maskacz stęzał zauważalnie, położył palec na ustach dając Uszatemu do zrozumienia, że ten ma trzymać gębę na kłódkę.

Ktoś się kręcił za drzwiami pokoju Odrzyskóry i szósty zmysł podpowiadał Zagerowi, że po ich otwarciu natrafi na kilka wyjątkowo nieprzyjaznych bandyckich mord, które będą żądały pewnych wyjaśnień.

Objuczeni cennym łupem rybacy mieli przed sobą poważną przeszkodę. Czarownik powiódł wzrokiem po ścianach pokoju w złudnej nadziei na odnalezienie innej drogi ucieczki, ale szczerze się rozczarował – Dartan Odrzyskóra wybrał dla siebie pokój położony w samym środku domostwa, pozbawiony okien i oświetlony jedynie słonecznym światłem wpadającym do środka przez obciążone rybimi błonami otwory w poddaszu.

Maskacz rozejrzył się badawczo wokół siebie, desperacko poszukując w myślach wyjścia z matni. Czarownik zdawał sobie sprawę, że stając we dwóch naprzeciw pięciu zawodowych zbójców – wliczając w to również zalęknionego, ale tym bardziej nieprzewidywalnego Uszatego – obaj buratarscy podróżnicy nie mieli większych szans na wygraną. Pchełek radził sobie co prawda nad wyraz dobrze z dagą, a sam Hogur miał w amulecie trochę mocy, ale w ciasnej przestrzeni pokoju spotkanie twarzą w twarz z grupką brutalnych nożowników mogło się skończyć tylko w jeden sposób.

Nagły loskot walącej w drzwi pięści przerwał gorączkowe rozmyślenia czarownika.

– Dartan, co się dzieje? – z korytarza dobiegł czyjś zaspany, chrapliwy od przepicia głos. – Potrzebna ci pomoc? Mogem wleźć?

– Nie! – odrzyknął Zager starając się przybrać władczy ton głosu, od razu zdał sobie jednak sprawę, że chociaż twarz ofiary skopiował doskonale, nie mógł powiedzieć tego samego o jego sposobie wysławiania się. – Won!

– Dartan, tyś jest szef, ale coś nam się tukej nie widzi! – odrzyknął gniewnie posiadacz przepitego głosu. – Wyrwichwast rzeczce, żeś z jakim podejrzanym ciołkiem przylazi! Masz ty jakie kłopoty abo co?

Maskacz nic nie odrzekł, skoczył w zamian ku rozchelstanemu posłaniu herszta i uderzając szaleńczo wyciągniętym spod kapoty krzesiwem skrzesał zniemacka snop iskier.

– Na Bella, co ty czynisz? – wybelkotał zdezorientowany Uszaty cofając się o krok na wi-





dok pierwszych płomyków ognia, zaczynających łakomie trawić brudną pościel. – Chcesz nas spalić?

– Trzymaj gębę, bo po niej zbierzesz – warknął czarownik cofając się o krok i rzucając porozumiewawcze spojrzenie w stronę Pchelka. Złodziej obmacał swe kieszenie upewniając się, że powpychane wszędzie monety i kosztowności nie wypadną z kieszeni podczas sprintu po czym odpowiedział ostrożnym skinieniem. Odpychając więźnia pod jedną ze ścian Hogur doskoczył do drzwi, położył rękę na klamce czekając, aż ogień rozgorzeje z większą siłą.

Nie musiał długo czekać. Lekki materiał, z którego ktoś zrobił pościel zapalił się żywym ogniem, a płomienie natychmiast przeskoczyły na dostawioną do łóżka drewnianą szafę. Gromadzący się pod sufitem dym gęstniał z każdą sekundą, trzask ognia przybierał na sile. Czarownik zamrugał nerwowo, bo nie spodziewał się aż tak szybkiego rozprzestrzenienia się pożaru.

– Ej, co tam tak śmierzdi na palenisku?! – ryknął ktoś w korytarzu, po czym dzierzona w uścisku Maskacza klamka zaczęła drgać konwulsyjnie, naciskana ze sporą siłą przez kogoś po przeciwnej stronie. Przytrzymujący drzwi w miejscu Maskacz obejrzał się ponaglająco w stronę Pchelka, dopijającego właśnie zawartość niewielkiego flakonika wydobytego błyskawicznie zza pazuchy – Otwierajcie, a zara!

Czarownik obejrzał się w stronę Pchelka, ten pojął w mig znaczenie owego spojrzenia i wielkim skokiem dopadł drzwi ujmując klamkę w swym mocarnym uścisku, wzmocnionym siłą krążącego w żyłach wywaru, sapiąc przy tym zabawnie i przewracając zamglonymi oczami. Odwracając się w stronę spanikowanego Uszatego, Hogur pomyślał cierpko, że Męczywór w swej postępującej starszej demencji zapewne dosypał do dekoktu zbyt wiele sproszkowanych liści bladego skalniaka, przez co mięśnie młodzieńca zyskały wymiernie na krzepie, ale jego ogłupiony wywarem umysł uległ dla odmiany sporej dekoncentracji.

Płomienie ogarnęły szybko całe łóżko, ich głośny trzask mieszał się z łomotem w drzwi i krzykami zaniepokojonych świadem spaleniżny łotrzyków. Maskacz doskoczył do cofającego się przed nim panicznie Uszatego, przyparł rzezimieszka do ściany łapiąc palcami obu dłoni za jego skronie.

Ostrogarczyk nie miał pojęcia, co ów gest mógł oznaczać i jakie żywił wobec niego zamiary ten przerażający czarownik noszący na twarzy gębę Odrzyskóry, toteż czując na skórze dotyk obcego wrzasnął wniebogłosy, iście niczym człek, który poczuł na swym gardle wijące się ciało jadowitego węża.

Krzyk ten, zdławiony lodowatym spojrzeniem Zagera, dodał widać wigoru ludziom słuchanym w korytarzu, bo drzwi zaczęły dygotać pod wpływem uderzających w nie barkami mężczyzn.

– Dartan, trzymaj się! Idziemy z pomocą!

– Puszczaj drzwi, kurwi synu!

– Zamilez – syknął jadowicie czarownik, tym mocniej kojarząc się struchlałemu opryszkowi





z wężem. Uszaty przywarł plecami do ściany, nie potrafiąc wykrztusić ani słowa i mocząc się w zamian w spodnie.

– Jeśli chcesz jeszcze zobaczyć babę a bachory, posłuchaj mnie dobrze – Maskacz mówił cicho, ale bardzo szybko, czując za plecami gorąco pożaru. – Zostawię ci w głowie magiczne wnyki, taką pułapkę na wypadek, gdybyś jednak okazał się głupszy niż na to wyglądasz. Będziesz trzymał głębę na kłódkę i nikomu nie rzekniesz, co cię dzisiaj spotkało, będziesz zdrow i żywy. Jeśli jednak coś komuś wyjawisz, choćby tylko tycią troszkę, te czarnoksiężskie wnyki zatrzasną ci się we łbie i staniesz się obślinioną ludzką rzepą, walącą w gacie i nie pamiętającą nawet jak się wcześniej zwała. Chciałbyś tak skończyć?

Uszaty nic nie zdołał wykrztusić, potrząsnął jedynie panicznie głową, wciąż ścisną kurczowo palcami Hogura. Zager zaczął mamrotać inkantację w archaicznym języku, zapomnianym już niemal przez wszystkich, przekazywanym z pokolenia na pokolenie nielicznym potomkom starożytnego ludu zamieszkującego siedemset lat wcześniej bagna północnego wybrzeża Wielkiego Jeziora. Skóra Uszatego w miejscach dotykanych przez palce Maskacza zaczęła cicho skwierczeć, a sam rzezimieszek przewrócił bezrozumnie oczami i runął z nóg bez przytomności, porażony nie tyle mocą zaklęcia, co najzwyczajszym w świecie strachem.

Drzwi ustąpiły w końcu pod naporem zdesperowanych ludzi, zawiasy trzasnęły z hukiem, popękane drewno grzmotnęło o podłogę, a nagły podmuch powietrza podsycił ogień tak mocno, że płomienie strzeliły pod sam sufit. Maskacz podniósł rękę, osłaniając twarz przed bijącym zewsząd żarem, cofając się z desperacją ku wyjściu.

Zatarasowanemu przez czwórkę przerażonych, ściskających obnażoną stal, ale i wrzeszczących coś przeraźliwie zbójów, którzy sami odwracali twarze od płonących jak żagwie elementów pokoju.

Pchełek czuł żar bijący w plecy i kark, przedzierający się falami przez cienkie odzienie, piekący żywym ogniem w pośladki. Nie czekając ani chwili dłużej krzepki młodzian skoczył z pochyłą do przodu głową w otwór drzwi, przesłaniając pięściami twarz i szarżując wprost na pierwszego z zalęknionych widokiem pożaru rzezimieszków. Zdzielony łokciami opryszek w czerwonej opasce na głowie stęknął głucho i odleciał w tył wprost na Wyrwichwasta, zbijając swego kompana z nóg impetem tego zderzenia.

Zaprawieni w ulicznych bitkach bandyci od razu rozpoznali obłędny wyraz twarzy Buratarczyka i dziwny blask jego oczu. Podarowany członkom ekspedycji wywar musiał autentycznie zbyt długo fermentować zyskując tym samym na mocy, bo uderzył Pchełkowi do głowy z niezwykłymi wręcz rezultatami. Płowłosy złodziej zwałił w jednej chwili z nóg obu opryszków, przeistaczając ich w pojękujące donośnie kłębowisko rąk i nóg rozciągnięte bezwładnie na podłodze korytarza i przebijające niemrawo kończynami. Dwaj pozostali członkowie bandy wytrzeszczyli swe przepite oczy unosząc w obronnym geście ścisnane kurczowo noże, nie mogąc się widać zdecydować, czy powinni krzepkiego intruza atakować czy też lepiej okazać





przezorność i wycofać się czym prędzej w jakieś bezpieczne miejsce.

– Begle megle... – wymamrotał Pchełek wywijając jednocześnie swą zdobyczną szablą tak szaleńczo, że jej czubek wrył w przeciwnych ścianach kilka głębokich bruzd, przecinając niejako przypadkiem również stojącą w kącie miotłę. – Blurp...

– Naćpany po uszy albo go demon opętał! – wrzasnął jeden z przestraszonych rzeźmieszaków, natychmiast cofając się jeszcze o krok, co wywołało naturalnie paniczną reakcję jego towarzysza.

– Nie zostawiaj mnie samego! – ryknął drugi łotrzyk, kreśląc w powietrzu dzikie ósemki ostrzem swego kordelasa w złudnej nadziei na powstrzymanie zaślinionego, mamroczącego coś niezrozumiale i przewracającego bezrozumnie oczami demona w ludzkiej skórze. – Pomóż mi!

W palącym się pokoju rosła temperatura, budząc coraz większy dyskomfort Zagera. Czarownik poderwał wzrok ku powale sypialni Odrzyskóry, dostrzegając pierwsze płomyki liżące zachłannie drewniane belki stropowe. Pożar miał lada chwila przeskoczyć na dach domostwa, toteż połączony z narastającym żarem zdrowy rozsądek podpowiadał Maskaczowi, że czas najwyższy wynosić się z tak gorącego miejsca.

– Pchełek! – krzyknął Hogur zmierzając wielkim susem w kierunku progu sypialni. – Mus nam stąd wiać, a żwawo! Inakшы jeno skwarki się ostaną!

Rybak wybelkotał coś w odpowiedzi, a potem rozplątał ostrzem szabli niewielką pustą beczulkę po piwie, rozrąbując żelazną obręcz z taką siłą, że spory fragment klingi wyszczerbił się z donośnym brzdękiem.

Maskacz jeszcze raz upewnił się, że upchnięte w zakamarkach ubrania złoto jest bezpieczne, a potem wyciągnął z pochwy miecz Odrzyskóry i wyskoczył na korytarz tuż za Pchełkiem, walcząc płasko klingą próbującego się nieporadnie podnieść z podłogi Wyrwichwasta. Metal ostrza huknął o czaszkę młodzieńca, posyłając go z powrotem w objęcia zamroczonego hultaja w czerwonej opasce na głowie.

Dwaj pozostali bandyci całkiem stracili ochotę do konfrontacji, widok herszta z obnażoną stałą w dłoni, w dodatku wykazującego ewidentnie złe zamiary w stosunku do swoich dotychczasowych towarzyszy złamał doszczętnie ich morale. Obaj cisnęli noże i pierzchnęli w przeciwną stronę korytarza tak szybko jak tylko pozwalały im na to nogi, potykając się po drodze i potracając wzajemnie.

– Pchełek, za mną! – krzyknął ponad trzaskiem płomieni czarownik, przeskakując obok złodzieja i dokładając ogromnych starań, by tnąc wciąż powietrze szablą przypadkiem go nie trafiła. – Skaranie z tobą, ćpaczu jeden! Po coś cały wywar pił, i bez niego byśmy se dali radę!

Pchełek zarechotał głośno, a potem popędził w ślad za Hogurem. Obaj mężczyźni wypadli na ulicę budząc popłoch wśród wybiegających z okolicznych domów mieszkańców, dźwigających wiadra z brudną wodą, jakieś kije i bosaki, przerażonych nie na żarty perspektywą pożaru w swym sąsiedztwie.





– Odrzyskóra, ty kurwi synu! – zawył ktoś z głębi tłumu. – Teraś miarkę przebrał, syczy chwoście! Za coś takiego mistrz małodobry będzie cię końmi włóczył!

Maskacz uniósł wysoko ostrze miecza, odstrasząc ewentualnych chętnych do pojmania podpalacza, rozejrzął się szybko wkoło. Część dachu domostwa Odrzyskóry stała już w płomieniach, w powietrze walił gęsty dym i sypały się iskry.

– Straż! Wezwijta straż, niech go łapią!

– Wody, więcej wody, ludziska!

Nie czekając ani chwili dłużej, Hogur złapał za rękaw Pchełka i pociągnął go w jedną z bocznych uliczek, śmigając pomiędzy rozstępującymi się śpiesznie mieszczanami tak szybko, że aż mu płaszcz furkotał za plecami.

Trzask płomieni i krzyki mieszczan cichły za plecami dwóch uciekających na złamanie karku rybaków, tłumione kamiennymi bryłami mijanych kolejno domostw. Pewien tego, że żaden pościg nie puścił się ich śladem, Maskacz osadził Pchełka w miejscu targnięciem za rękaw tak silnym, że złodziejowi aż trzasnęły szwy pod pachą. Kilku przechodniów obejrzało się podejrzliwie w stronę obcych, jeden z nich – gnom w okrągłej czapce z pomponem i śmiesznych portkach – splunął na ziejący dziurami bruk dając wyraz dezaprobaty dla dziwaczego zachowania Pchełka, po czym odszedł śpiesznie w przeciwną stronę.

– Szego... szego se chapi? – burknął Buratarczyk opierając się na swej wsadzonej klingą między kostki granitu szabli i omał nie łamiąc w ten sposób uszkodzonego ostrza.

– Cichaj, bo po gębie zbierzesz – warknął Zager, wciąż wielce niezadowolony ze stanu swego towarzysza. – Właż w ten zaułek, a żwawo, bo się wszyscy na nas gapią!

Niepokój czarownika był uzasadniony: zarówno trzymająca za rączki parę dzieci kobieta w stroju mieszczki jak i dwójka młodziutkich pachółków niosących jakieś wiadra sprawiała wrażenie ludzi, którzy w razie wymyślanego zagrożenia nie zawahają się wrzasnąć „Straż”, a tego Hogur wolałby sobie oszczędzić. Co gorsza, Maskacz już zdążył pojąć, że twarz Dartana Odrzyskóry była w tej okolicy dość dobrze znana i to bynajmniej nie z powodu szlachetności charakteru.

Pchając Pchełka obiema rękami, czarownik dosłownie wcisnął go za jakiś zżarty przez korniki dwukołowy wózek, porzucony dawno temu przez właściciela z powodu pękniętej osi i próchniejący wolno na deszczu. Starając się nie wdepnąć w cuchnące okropnie szczątki zdechłego kota Maskacz naciągnął na głowę płaszcz Odrzyskóry, a potem wymruczał pod nosem kilka słów uwalniających formułę zmiennokształtności. Umysł Hogura przeszyły silne spazmy bólu, które ustąpiły po kilku uderzeniach serca, a kiedy młodzieniec ściągnął kaptur, na światło dzienne wyjrzała jego własna twarz, o ostrych patrycjuszowskich rysach i beznamiętnych czarnych oczach.

– Złoto masz, hultaju? – syknął Maskacz, obmacując jednocześnie własne kieszenie. – Niczegoś w drodze nie pogubił?





– Ne... – odpowiedział Pchełek próbując odzyskać panowanie na opornym językiem i potrząsając jednocześnie głową. Narkotyczny wywar Męczywora miał bardzo krótkotrwałe działanie, a kiedy już przestawał mieszać w głowie, zażywającego go nieszczęśnika dopadały uciążliwe dolegliwości w postaci drgawek, uczucia suchości w gardle i klującego bólu w skroniach. – Ne wem... ale mi sie chce pić!

– Nie mam nic do picia – odparł oschle czarownik, przeciągając rękami po ubraniu towarzysza w poszukiwaniu zbyt luźno schowanych przedmiotów. – Trza ci będzie zaczekać, aż do Kostropatego wrócimy, tam była woda w bukłakach. Dawaj te bransolety, aż dziw, że ci jeszcze z kabzy nie wyleciały! Jakbyś się tak nie zaprawił, tobym ci cały łup dał do niesienia, boś zwykle w nogach ode mnie żwawszy, ale teraz nic z tego, nicponiu. Jeno patrzeć jak gdzie prosto w ścianę wleziesz. Schowaj tę szablę albo ją wywal, ale nie paraduj z odkrytym ostrzem jak jaki rębajło, bo za bardzo uwagę na się ściągasz...

Maskacz urwał na chwilę, bo uliczką na wysokości zaułka przeszło kilku mieszczan, nikt jednak nie poczuł się na tyle zainteresowany rozwalonym wózkiem i stojącymi za nim mężczyznami, by skrócić w ich stronę.

– Och kurwości, ależ mnie we łbie łupie – jęknął Pchełek łapiąc się palcami za skronie. – Chyba nie strzymam!

– To walnij czołem parę razy w ścianę, może ci przejdzie – poradził bez cienia życzliwości Maskacz. – Chodź, pora na nas, mus nam do sklepu wracać, bo nas jeszcze jaki Wyrwichwast wyprzedzi i na resztę ziomeków kłopoty ściągnie. Szablę schowaj, rzekłem.

Pchełek pojękiwał pod nosem przez całą drogę do sklepu Kostropatego, zdołał jednak dotrzymać Hogurowi kroku, a że starał się nie zwracać na siebie uwagi przechodniów, para rybaków dotarła do celu ledwie trzy kwadransy później, ocierając pot z twarzy i oglądając się pozornie obojętnie za siebie.

Siedzący na koźle dwukołówki Łamignat potrząsał w powietrzu przywiązany do dyszla lejcami, cmokając ucieszenie i wydając parze wyimaginowanych osłów rozmaite polecenia. Na widok nadchodzących śpiesznie ziomeków olbrzym zaprzestał swej zabawy i zeskoczył z wózka uśmiechając się szeroko.

– Pilnuj dalej worków – polecił mu Maskacz waląc jednocześnie pięścią w zamknięte drzwi sklepu. Rygle zgrzytnęły natychmiast, zapiszczały zawiasy.

– Długo wam zeszło – stwierdził Trzęsikęsek cofając się od progu i wpuszczając obu rybaków do środka. – Jużemy się poczynali lękać, że was co złego po drodze spotkało.

– Łatwo nie było – wzruszył ramionami Zager. – A w jednej chwili aż się zrobiło ciepło, ale widać, że wam się w tym czasie wcale nie nudziło, co? Na figle wam ochota naszła, perwersasy?

Pytający wzrok czarownika padł na rozebranych do naga łotrzyków, leżących pokotem na podłodze kantorka. Opryszkowie odpowiedzieli mu niemymi spojrzeniami, wszyscy z wyjątkiem Odrzyskóry, który wciąż leżał bez przytomności, za to z coraz większym guzem na skroni.





– Pultał się krzynkę, to dostał w łeb skrzynką – wyjaśnił Trzęsikęsek wskazując dłonią na szczątki rozwalonego drewnianego pudła. – Gadaj ty, lepiej, brachu jak wam na rabunku poszło?!

Nic nie odpowiedziawszy czarownik zaczął opróżniać swe kieszenie wykładając na kontuar ich zawartość. Pchełek poszedł w ślady Hogura, toteż piramidka złotych i srebrnych monet oraz kosztowności odebrała Trzęsikęskowi i Gusłkowi mowę.

– Będzie tego ze sto katanów, i w złocie i w srebrze, dwa łańcuszki, dziewięć pierścieni, cztery bransolety... o, ta broszka musi być wiele warta, ale kamyka nie znam – przyznał Pchełek szacując naprędce wartość łupów. – To jest taka kupa dutków, że by my za nie mogli sobie wszystko kupić! Nawet konia! Albo kilka owiec, żeby z hodowlą zacząć, ser a wełnę robić. No, rzeknijcie, co byście se kupili?

Dziecięca wręcz ekscytacja złodzieja udzieliła się wszystkim bez mała, bo też Burat-ar ziała nędzą na każdym kroku, a jedyny znany dotąd młodzieńcom kawałek złota stanowiła stara moneta noszona przez Męczywora na rzemyku pod obwisłym podbródkiem. Sterta pieniędzy i biżuterii na kontuarze była dla nich niewyobrażalnym bogactwem, pozwalającym sięgnąć po rzeczy do tej pory niemożliwe – kupić własnego osła, nowe sieci rybackie i ościenie, wydzierżawić od starszyny spory kawał ziemi pod zasiew, obłaskawić rodziców wybranki serca, a ją samą rzucić na kolana.

– Ech, jakbym takie bransolety Wyżełce podarował, toby się za żadnym inszym już nigdy nie obejrzała – westchnął urzeczony Trzęsikęsek.







Rozdział XXVII

Maskacz pierwszy ochłonął z wrażenia, jakie wywoływała pryzma błyszczących kosztowności. Czarownik klasnął w ręce zwracając na siebie uwagę ziomków.

– Wszystkie łupy już na wozie? – syknął pytającym tonem, oglądając się ponad ramieniem na leżących w kantorku rzezimieszków. – Gotowicie do drogi?

– Pewnie – kiwnął głową Trzęsikęsek. – Czasu żeśmy nie marnowali, wszystko ładnie popakowane pod workami. Gnatek jeno czeka, coby mu chomąto na łeb założyć i wio.

– To i dobrze, bo czas się stąd zabierać – rozstrzygnął Hogur. – Wielce my los kusimy siedząc tutaj tak długo, jeno patrzeć jak się znowu jakie strażniki miejskie zjawią abo ziom Odrzy-skóry. My zresztą z Pchelkiem też wcale nie po cichu z jego nory czmychli i tak sobie dumam, że niejeden teraz tego drania szuka.

– To tera Rumburak? – zapytał Trzęsikęsek poprawiając wsadzony za pas bandycki nóż o drewnianym trzonku i zębątem ostrzu. – Idziem po druha jak dutki już nasze?

– Idziem, idziem – mruknął czarownik, chociaż w jego głosie nie dało się wyczuć zbyt dużego entuzjazmu. – Do końca żywotu będzie mi musiał portki prać za ratunek.

Maskacz przeszedł szybkim krokiem do kantorka na zapleczu, budząc swym wyglądem ciche pojękiwania więźniów. Wszyscy rozpoznali z miejsca strój swojego herszta, nie spodobała im się również zacięta w ponurym grymasie gęba Zagera. Czarownik złapał bezceremonialnie za ramię golusieńkiego Wrzoda, nie zważając na jego płynące spod knebla protesty powlókł opryszka do przedniej części sklepu.

– Słuchaj uważnie, psi synu – powiedział Buratarczyk, kiedy nagi bandzior wylądował pod nogami zde gustowanego Gusłka. – Skoroś tak nalegał, że nam pomocnym będziesz i z Rumburakiem żeś za pan brat, to czas się teraz wykazać. Pójdziesz z nami do tego chędożonego Rumburaka, coby nam pomóc druha wykupić, coście go jemu sprzedali. Rozumiesz, co do ciebie gadam?

Wrzód pokiwał gorliwie głową i coś tam mruknął pod kneblem, nie odrywając spojrzenia od chłodnych, czarnych oczu Hogura.

– Przetnę ci tera więzy i dam chwilę, cobyś się mógł znowu przyoblec, na golca z nami łązić nie będziesz. Znow ktoś pomyśleć gotów, że my wielkomiejskie perwersasy są. – Maskacz schylił się nad więźniem i przeciągnął nożem po ciasno ściągniętym sznurku na jego nadgarstkach i kostkach. Mamrocząc słowa podziękowań opryszek złapał czym prędzej jakieś leżące opodal portki, wciągnął je na siebie macając jednocześnie wokół w poszukiwaniu koszuli.

– Co robimy z resztą? – spytał czarownik. – Po gardłach ich?





Wrzód zeszytniał na moment i wydał z siebie ciche sapnięcie, ale napotkawszy wzrok Zagera czym prędzej wrócił do zakładania koszuli, ze zdenerwowania myląc rękawy i wciągając sobie odzienie tyłem na przód.

– Nie – odparł zdecydowanie Guslek. – Nie będziemy ich zabijać. Jakimi szmatami śmierdzącymi się ich zarzuci, a drzwi od sklepu zaprze. Nim ich kto znajdzie, my dawno już precz będziemy.

Czarownik miał wobec losu więźniów całkiem inne plany, nie chciał się jednak z ziomkiem kłócić, więc jedynie kiwnął z niezadowoleniem głową i napluł na plecy leżącego nieprzytomnie Odrzyskóry. Pchełek zgarnął w tym samym czasie wszystkie monety i kosztowności do niewielkiego worka, zawiązał go starannie, spojrział pytająco na czarownika i nowicjusza Piana.

– Gotowi do drogi? – spytał kładąc dłoń na rękojeści poszczerbionej szabli.

– Jedno jeszcze – odparł Hogur pochylając się nad wciąż siedzącym na podłodze Wrzodem. Rzezimieszek wygiął się w tył czując dotyk palców czarownika na swych skroniach, Maskacz przycisnął go jednak do desek, unieruchomił w miejscu. – Jak się nie będziesz szarpał, nie za boli. Gdyby cię kto kiedy o nas pytał, o wszystko, cośmy tu učinili, masz gadać, żeś nigdy nas nie widział. Rzucę na cię czar potężny, którego strzegł tego będzie. Jeśli spróbujesz co wyjawić, łeb ci za karę wypali ze szczętem.

Maskacz umilkł na chwilę, przymknął oczy, wyszeptał pod nosem kilka słów starożytnej formuły. Skóra na skroniach rzezimieszka zaskwierczała cichutko, a on sam zaczął jęczeć bezrozumnie, ale w przeciwieństwie do Uszatego nie zemdlął ze strachu. Kiedy Zager cofnął dłonie, tylko malutkie okrągłe ślady oparzeń świadczyły o przeprowadzonym właśnie rytuale.

Nie tracąc więcej czasu, buratarscy rybacy opuścili sklep Kostropatego, zostawiając w środku niedowierzających swemu szczęściu opryszków i odjeżdżając z turkotem metalowych obręczy wózka gdzieś w głąb Ostrogaru.

Kiedy ciągnięty z zapalem wózek skręcił w mniej uczęszczaną boczną uliczkę gdzieś na obrzeżach Placu Karczennego, Maskacz wstrzymał spoconego Łamignata i przywołał do siebie resztę towarzyszy, pilnujących czujnie strzelającego oczami na boki Wrzoda. Czarownik odczekał, aż obok dwukołówki przejdzie jakiś starszy wiekiem mieszczanin o rysach mieszańca, pogryzający jabłko i spozierający bez większego zainteresowania na grupkę kiepsko odzianych rybaków otaczających jakiegoś ciemnookiego młodzieńca w kaftanie i z mieczem przy pasie.

– Słuchaj teraz dobrze, parchu – powiedział do więźnia Hogur, kiedy Ostrogarczyk z jabłkiem odszedł na kilkanaście kroków. – Mówiłeś, że wiesz, gdzie mieszka ten cały Rumburak, tak?

– Tak – wyrzucił z siebie rzezimieszek, nie odrywając ani na chwilę swego spojrzenia od smolistych oczu Zagera. – Wiem, panie.

– To się wyśmienicie składa. – Czarownikowi nawet brew nie drgnęła na dźwięk słów opryszka, ale w jego sercu rozlała się fala ciepła na samo wspomnienie zwrotu, jakiego użył wo-





bec niego Wrzód. Więzien był pierwszym człowiekiem w życiu Maskacza, który nazwał go panem i już ten fakt sprawiał, że niezbyt litościwy czarownik gotów był darować brańcowi życie.

– Pójdiesz zatem do onego Rumburaka, jeno się nie wyzdradz, kto cię posłał. Powiesz mu, żeś od Odrzyskóry i że wielce pilnie potrzebujesz onego więźnia rybaka odkupić, coście go na walki sprzedali. – Maskacz mówił przyciszonym głosem, ustawicznie rozglądając się przy tym na boki, niby od niechcenia, ale bardzo czujnie. By cała grupka nie rzucała się w oczy, Pchełek z Trzęsikęskiem jęli przesuwac na wózku niektóre worki, co to się niby przypadkiem źle ułożyły wymuszając nieoczekiwany postój w tym akurat miejscu.

– Ile tu się daje za zdrowego niewolnego? – spytał Hogur marszcząc czoło. – Za chłopca.

– Jak zdrowy i krzepki, to i ze sto katanów, miłościwy panie. – Wrzód wzruszył ramionami, a potem skulił się na widok gniewnego grymasu Zagera.

– Sto katanów? – Czarownik aż zgrzytnął zębami. – To nas chwacko chciał ten kurwi syn Odrzyskóra wyruchać! Po pięćdziesiąt złotych obiecywał za jednego brańca, a sam pewnie dwa razy tyle od głowy od Rumburaka dostał! Ech, że też mu po gębie przed wyjściem nie nakładłem...

– Za takiego do walki to mniej żądają, panie – wybałał nieśmiało Wrzód, z wszelkich sił starając się być pożytecznym. – Sto katanów to za niewolnika, co przez resztę życia za służbitę robił będzie, chociaż są też dużo drożsi. Ci, co na arenę iść mają, a na jedną albo dwie walki i do piachu, to pewnikiem za pół setki się dostanie, bo to zwykle łachmyty, co ani bronią robić nie umią, w sam raz do bitki z goblinem albo w dziesięciu na ogra. Oni to jeno gawiedź mają rozochocić, zanim mocni woje na piasek wyjdą.

– Lepiej, żebyś miał rację – burknął wciąż poirytowany czarownik. – Zatem pójdiesz do tego Rumburaka i powiesz mu, że pan Odrzyskóra zdanie zmienił i chce swój towar z powrotem. I żadnych więcej gadek, co i jak. Zmienił zdanie i basta! Powiesz mu, że za fatygę szef chętnie da osiemdziesiąt katanów...

Hogur urwał na moment, bo Trzęsikęsek jęknął żałościwie słysząc wymienioną przez Zagera kwotę i złapał się mimowolnie za skronie.

– Cichaj, Kęsek, bo mi jeszcze parch instrukcyj nie zapamięta – skarcił myśliwego Maskacz. – Osiemdziesiąt złotych, rzekłem. Niech wyśle kogoś dziś z wieczora na Plac Karczemny, będziemy czekali z dutkami pod domem naprzeciwko faktorii Michelona. Wiesz, gdzie jest faktoria Michelona?

– Nie, panie, tutaj tyle rozmaitych kupców...

– Miastowy, a wieśniak pełną gębą – zachnął się Maskacz. – Żyjesz tu bogowie wiedzą jak długo, a nawet nie wiesz, gdzie Michelon kupczy. Lepiej zatem dla ciebie, żebyś o to dobrze umiał wpytać, bo jak już się z tym Rumburakiem rozmówisz, to też tam będziesz musiał wrócić, coby relację zdać ze spotkania. I niech ci nawet myśl o daniu nogi po łbie nie chodzi, bo masz tam w tej łepetynie czar, co cały czas działa i wysmaży ci dynię od środka, jak jeno





zacziesz coś kombinować.

Wrzód zbladł przybierając kolor świeżego śniegu, nogi ugięły się pod nim zauważalnie.

– Nie łam się, patalachu. – Maskacz spróbował przybrać nieco bardziej przyjacielski ton głosu, niezbyt mu to jednak wyszło. – Jak wszystko dobrze pozałatwiasz, nie tylko łepetynę na karku wyniesiesz, ale może i co na boku przyrobisz. Odrzyskóra jest skończony w tej okolicy, bardzo wielu miejscowych pewnie go tera zacznie szukać, to i u jego boku nie za bezpiecznie. Kto wie, może przyda mi się ktoś łebski w tym mieście, na kogo się będzie można kiedyś zdać w potrzebie...

Rzezimieszek westchnął z nieskrywaną ulgą, poweselał nieco po gębie.

– Panie, niech cię bogowie w opiece zachowają! – Maskacz odniósł wrażenie, że Wrzód szykuje się do tego, by mu paść do stóp, więc przezornie osadził opryszka w miejscu stanowczym ruchem ręki.

– Będę czekał obok faktorii Michelona, aż wrócisz z wieściami – dokończył wydawanie instrukcji czarownik. – Rumburak ma tam posłać kogoś z brańcem tuż przed zmrokiem. Odda człowieka, dostanie osiemdziesiąt katanów, wszyscy będą zadowoleni. Rozumiesz? Tak? To już cię tu nie ma!

Gnąc się w ukłonach Wrzód wysadził wielkim susem spośród gromadki rybaków i nie szczędząc sił w nogach popędził na złamanie karku w stronę najbliższego skrzyżowania ulic.

Maskacz odprowadził Wrzoda wzrokiem, a potem spojrzął ponownie na swych towarzyszy. Czarownik podrapał się po nosie, splunął pod nogi, trafiając dokładnie w szczelinę pomiędzy brukowymi kostkami.

– Trza nam się przebrać w inne łaszki, a żwawo – orzekł po chwili namysłu. Gustek i Trzęsikęsek nie zaoponowali, jedynie Pchełek powiódł z niejakim zalem wzrokiem po swoim miastowym kaftanie.

– Przecie go nie musisz precz wyrzucać – dodał cierpkim tonem Hogur. – Nowe szmatki na się wdziejiesz, a te na wóz się schowa, pod wory. Jak nas strażnicy przetrzepią, zajedno będzie, czy tam jeno kupę oręża znajdą czy kaftan jakiego zbója na dodatek. Tera jeno nam krawca jakiego trza odnaleźć, co by dutków nie darł zanadto... Hej, dobra kobieto, pozwól no tutaj!

Rzeczona „dobra kobieto” – otyła niewiasta o ludzkich rysach twarzy, odziana w opinającą ją ciasno suknię i dźwigająca w ręce jakieś zwinięte w rulony papiery – przystanąła na dźwięk słów obcego, obrzuciła go od stóp po głowę mało przyjaznym spojrzeniem. Trafił swój na swe go, pomyślał natychmiast Trzęsikęsek.

– Czego... dobry człowieku? – Białogłowa zaakcentowała dwa ostatnie słowa w sposób jawnie dający do zrozumienia, że wcale Hogura za takowego nie ma. – Datków nie dają, w służbę nie przyjmują.

– Ani nam jałmużna potrzebna, ani praca. – Czarownik wyprostował się instynktownie, spoglądając na mieszczkę z góry, iście niczym jaki rodzony Ostrogarczyk. – Mus nam za to wywie-





dzieć się, gdzie tu jaki krawiec urzęduje abo inszy człek, co strojami kupczy. Jaśnie pani wielce miastowo odziana, zrazu widać, że się obleka u jakiego znacznego w fachu krawca.

Przemowa Zagera odniosła zamierzony skutek – mieszcza pokraśniała nagle po obliczu, uśmiechnęła się, po czym podeszła bliżej, wyraźnie ukontentowana taką pochwałą.

– Od razu tak trzeba było, mój drogi – oznajmiła znacznie miłszym niż dotąd tonem. – Jak wam dobry krawiec potrzebny, idźcie tą ulicą do końca, w prawo skróćcie, a potem kole starego browaru w bramę wleźcie. Tam ci urzęduje w suterenie pan Kopytko, wielce w igłą obracaniu wprawny.

Czarownik skłonił się w odpowiedzi w gracki sposób, który podejrzwał w ciągu dnia u kilku mijanych ulicą Ostrogarczyków.

– Dziękuję szanownej pani i zdrowia życzę – powiedział, po czym machnął władczo ręką dając do zrozumienia swej kompanii, że mają podążać w ślad za nim.







Rozdział XXVIII

Trzęsikęsek wypiął dumnie pierś, kolejny raz z rzędu wygładzając rękawy swej lnianej koszuli i poprawiając opinający biodra pas obciążony zabraną jednemu z łotrów Odrzyskóry szablą. Buratarski myśliwy przechylił się nad krawędzią pomostu próbując dojrzeć w mętnej wodzie swe odbicie, mierzony ironicznymi spojrzzeniami ziomków.

– Najpiękniejszy żeś teraz z całej wsi – parsknął Pchełek przyciągając bliżej przywiązaną do pomostu sznurem łódkę. – Gnatek, przestań się tak gapić na naszego szykownego eleganta – jasa i pomóż mi z tymi workami.

Myśliwy skomentował cierpką uwagę Pchełka wzruszeniem ramion, rozejrzał się po okolicy pomostu. Portowa dzielnica mimo późnego popołudnia wciąż tętniła życiem, do akwenu wchodził holowany przez dwie wiosłowe łodzie statek kupiecki, wszędzie wokół kręcili się miejscowi rybacy, na kamiennym nabrzeżu rozładowywano jakieś skrzynie i beczki, ktoś tam na kogoś wrzeszczał i kłął, ktoś inny rechotał na cały głos.

– Gdzie ten Maskacz i Gusłek? – zastanowił się na głos Trzęsikęsek, nie dostrzegając wśród mrowia pomostów śladu nadpływającej łodzi Krzesimira i Sękacza. Buratarscy rybacy rozdzielili się krótko po dotarciu na Plac Karczemny: Łamignat wspierany oszczędnie przez Trzęsikęska i Pchełka pociągnął do portu załadowany wszelakimi dobrami wóz, Gusłek i Maskacz udali się natomiast co sił w nogach do sąsiedniego basenu portowego, gdzie podług kwitu wystawionego przez kupca Tariha czekała na odbiór łódź Krzesimira i Sękacza.

– Po dwa worki na nasze łódki i trzy na trzecią, co, Kęsek? – zapytał Pchełek spoglądając krytycznym wzrokiem na drewnianą łupinę, którą przybył do Ostrogaru. – Lepiej za dużo na raz nie pchać, bo jak się na jeziorze fala zrobi, jeszcze gotowa nas zatopić.

– Może być – kiwnął od niechcienia głową myśliwy, wciąż bardziej pochłonięty wypatrywaniem spóźniających się towarzyszy niż logistycznym dylematem złodzieja. – Łamignat, do każdej łódki jeden i jeden worek, kapujesz?

– Pewnie, że tak – rozpromienił się zachwycony bystrością swego umysłu osiłek, ściągając bez większego wysiłku pierwszy worek ziarna i opuszczając go ostrożnie w ręce stojącego pośrodku łódki Pchełka.

Maskacz i Gusłek pojawili się, zanim załadunek czółen dobiegł końca, doprowadzając wielką łódź za pomocą wiosel. Flagowa jednostka buratarskiej flotyli miała co prawda żagiel, ale w ogrodzonym wysokimi murami portowym basenie podnoszenie go nie miało najmniejszego sensu, toteż obaj rybacy wprawnie obracali piórami wiosel, chlapiąc wodą i omijając krążące



po całym porcie łódki rybackie.

– Gdzieście się tak długo szwendali, co? – ofuknął ich Trzęsikęsek, kiedy łódź zatrzymała się tuż przy pomoście. – Jużem się troskać poczynął, że was co złego spotkało.

– Złego licha nie bierze – roześmiał się chłodno Zager, opatulony szczelnie swym nowiutkim czarnym płaszczem, który jeszcze pogłębiał złowieszczą aurę zdającą się otaczać postać czarownika. – Jak wam idzie?

– Jedna łódka załadowana – zameldował Pchełek ocierając pot z czoła. – Szłoby szybciej, jakby ten leśny elegantyjas nam trochę pomógł, ale woli się mizdrzyć tam na górze jak jaki zielony strach na wróble.

– Klepiesz dziobem, bo ci żal, zem się tak piękniście oblekł, a ty pod tym płaszczem dalej chłopskie portki nosisz – przyciął towarzyszowi Trzęsikęsek. – Ja tu na warcie stoję a kłopotów wypatruję, ot co!

– To wypatruj dalej, elegantyjasie – zaśmiał się ponownie Hogur, zwinnie wspinając się na pomost i przywiązując do niego sznurkiem odzyskaną od Tarriha łódź. – A tera czas nam się uwijać z resztą, inakszy zara przylezie tu jaki następny inkasent, co by dutki za postojowe brać.

Czwórka mężczyzn mogła zdziałać dużo więcej niż dwójka, toteż ledwie chwilę potem reszta worków z ziarnem oraz zdobytecznego oręża znalazła się na pokładach łodzi.

– To co tera robimy? – zapytał z pełnymi ustami Pchełek, siedzący na krawędzi pomostu z opuszczonymi ponad wodę nogami i żujący wielki kawał chleba, który kupili gdzieś po drodze do portu Maskacz i Gusłek. Pozostali rybacy rozsiedli się tuż obok, dosłownie pożerając chleb i dodając mu smaku kilkoma znalezionymi jeszcze w łódkach cebulami. – Kto pójdzie tera tego Wrzoda na dupie szukać?

* * *

Maskacz i Gusłek dumali dłuższą chwilę nad propozycją Trzęsikęska, który to zdecydował się ruszyć na spotkanie w sprawie kompana z wioski. Czyniąc mądre miny i przygryzając w uczony sposób usta rozważali ją chwilę między sobą. Łamignat skończył żuć cebulę, beknął donośnie, napluł do brudnej wody. Z pokładu zacumowanego opodal barkasu spadła jedna z rozładowywanych mozolnie beczek, jej obręczę pękły, na kamienną nawierzchnię nabrzeża spadł deszcz solonych ryb.

– Patrzajcie, żarcie leci z nieba! – ożywił się natychmiast osiłek. – Bydziem zbierać?

– Lepiej tam ani nie podłaż – odpowiedział tonem przestrogi Gusłek. – Widzisz tego w czerwonej mycce, co tam się tak wydziera? Ten by ci pewnikiem od razu bykowcem wkroił jakbyś jeno łapsko na czymś położył!

– Niechby spróbował wkroić! – nastroszył się Łamignat, który wciąż odczuwał spory głód i w związku z tym cierpiał na chwilowy spadek przyjaznego nastawienia do obcych. – Żaden miastowy mnie lać nie byndzie! Już ja bym mu michę sklepał!

– Cichaj ty, Gnatek, bo jeszcze nam jakie opresyje na łeb ściągniesz – syknął Hogur. – Temu





w mycce zad może zloisz, ale co jak zaraz kupa strażników miejskich się zleci, hę? Naści mojej cebuli, jeszcze nie do końca zżarta, długo żuj, a mniejszymi kawałkami łykaj, to ci na dłużej styknie.

Nachmurzony osiłek złapał zwinnie rzuconą mu obgryzioną cebulę, wsadził ją całą do gęby niepomny sarkastycznej rady czarownika.

– Jenó daj pozór na siebie, bo jak cię jakie orki drapną, to ci nie pomożemy – ostrzegł Trzęsikęska Maskacz. – My tu w łodziach zostaniemy, bo one teraz kupę dutków warte, jeśli co złego się zacznie dziać, mus nam odpływać. Jakby co źle poszło, zaczekamy jeszcze do północks na jeziorze za portem.

– Oby cię Pian miał w opiece. – Gusłek nakreślił palcami znak błogosławieństwa, za który myśliwy podziękował skinięciem głowy.

– Myślę, że się wnet obaczmy – odrzekł Trzęsikęsek odwracając się w miejscu i odchodząc pomostem w stronę nabrzeża. Chociaż mężczyzna nie obejrzał się już ni razu za siebie, odprowadzający go wzrokiem rybacy wyczuwali napięcie i zdenerwowanie myśliwego.







Rozdział XXIX

Trzęsikęsek rzeczywiście był zdenerwowany, chociaż nadrabiał to dzielną miną, krocząc gwarnymi uliczkami z uniesioną głową i rozglądając się wokół z obliczem ostrogarskiego bywalca. Miasto wciąż go onieśmiewało, choć za nic nie przyznałby się do tego przed kompanami, bezmiar budynków i mrowie mieszkańców tworzyło w oczach prostego myśliwego z prowincji fascynujący tygiel widoków, dźwięków i zapachów, które ustawicznie atakowały zmysły Buratarczyka nie dając jego pełnemu zadziwienia umysłowi wytchnienia.

Pora to była dalece poobiednia i coraz więcej rzemieślniczych zakładów zamykało swe podwoje, coraz liczniej w zamian rozwierały swe wejścia karczmy, oberże i tawerny. Na ulicach ubywało ludzi pracy, pojawiali się na nich włóczędzy, miłośnicy wszelakich rozrywek, znudzeni spokojem miejskiego życia najemni żołdacy i opryszkowie wszelakiej maści, dla których dzień dopiero się zaczynał. Trzęsikęsek wodził wokół siebie wzrokiem, nie chcąc z zaskoczenia nadzieć się na kogoś z bandy Odrzyskóry, bo spotkanie takie mogło się dla niego kiepsko zakończyć pomimo wprowadzającego w błąd i wielce światowego ubioru myśliwego.

Buratarczyk z trudem oderwał wzrok od pary kroczących dostojnie krasnoludów, odzianych w doskonale dopasowane koleczugi i pyszniących się długimi, zaplecionymi w warkoczyki brodami o śnieżnobiałej barwie, ominął w ostatniej chwili idącego w przeciwną stronę handlarza wiklinowymi koszami, wyszedł na Plac Karczenny opodal faktorii Michelona. Chociaż na swój nowy strój wydał prawdziwą fortunę i ciągle obawiał się gniewu nie tylko towarzyszy ale i starszyzny wioski, to jednak z każdym krokiem utrwał się w przekonaniu, iż był to słuszny zakup. W przeciwieństwie do wcześniejszych spacerów po mieście tym razem nikt go nie popychał, nie wyzywał i nie okazywał pogardliwego zachowania, wręcz przeciwnie, ubożsi z odzienia mieszczanie ustępowali mu z drogi.

W faktorii Michelona wciąż pracowano, przez drzwi ciągle ktoś wchodził i wychodził. Myśliwy przystanął opodal wejścia do kantoru, naciągnął kapelusz tak, by ten przysłaniał mu nieco czoło, bo w pobliżu znajdowała się karczma, w której Pchełek puścił z dymem portki orkowego katanity i Trzęsikęsek bardzo chciał uniknąć przypadkowego rozpoznania ze strony jakiegoś pamiętającego owo wstrząsające widowisko gościa lub pacholka.

Jego bystry wzrok szybko wyłapał wśród przechodniów postać nadchodzącego główną ulicą Wrzoda. Opryszek sunął bokiem, pod ścianami kamienic, oglądając się ustawicznie za siebie, przez co omal nie zderzył się z czyhającym na niego przy jednym z rogów domów Trzęsikęskiem.



– Hu hu! – wyrzucił z siebie myśliwy łapiąc Wrzoda z zaskoczenia za ramię. Ostrogarczyk sapnął przerażony i podskoczył w miejscu, gapiąc się szeroko otwartymi oczami na nieoczekiwanego intruza. Dobrą chwilę trwało, zanim jego rozkojarzony umysł rozpoznał tożsamość dobrze ubranego napastnika, prawie niczym nie przypominającego ubogiego chłopca z prowincji.

Z wyjątkiem manier być może...

Chwila ta pozwoliła Trzęsikęskowi kontemplować pełnym podziwu wzrokiem wielką plamę rozlewającą się pod prawym okiem Wrzoda oraz po rozbitych ustach, dając jednoznacznie do zrozumienia, że ktoś dołożył sporych starań, by naprawdę porządnie obić rzezimieszkowi głowę.

– Niebezpieczna rzecz przebywać w tym mieście – powiedział z przekąsem Trzęsikęsek. – Miałeś dla nas sprawę załatwić, a w bójki się wdajesz kreaturo ty jedna?

Myśliwy doskonale zdawał sobie sprawę z okoliczności, w których Wrzód najprawdopodobniej zdobył ów zmieniające się w tęczę, opuchnięte limo.

„Pewnie go na przesłuchy wzięli, a ten wszystko z nadgorliwością wyśpiewał, dziad jeden.”

– Ta właśnie myśl nie dawała mu spokoju od momentu gdy zobaczył obitą mordę draba.

– Gadaj czegoś się dowiedział, a prędko. – Myśliwy ścisnął mocniej pod łokciem Wrzoda. – Nie zapominaj, że nasz wspólny kolega i mnie i tobie zostawił pułapkę w pacynie, ty masz mówić prawdę nam, a podłóg nas kłamać, a ja mam się z pełną odpowiedzialnością stawić, bo mi inaczej też mózg wypali jakby się ktoś chciał do niego przesłuchiwaniami dobierać.

Po chwili ciszy myśliwy dodał.

– Pomożemy sobie zatem jeden drugiemu i wyjdziemy z tego cało. Gadaj zatem szybko a zwięźle. – Powiedziawszy to Trzęsikęsek rozejrzał się po otoczeniu szukając śledzących Wrzoda zbirów Rumburaka. – Nie śledził cię ktosik przypadkiem? Cożeś taki posrany jakiś?

– Nikt za mną nie lezie, klęę się na wszystkich bogów! – wyrzucił z siebie zmaltretowany rzezimieszek, wbrew swym zapewnieniom od razu tocząc wokół przejętym wzrokiem. – Sprali mnie i precz przepędzili, to wszystko!

Nieufny Trzęsikęsek wciąż lustrował spojrzeniem pobliskie uliczki, nigdzie nie dostrzegając jednak nikogo, kto chociażby po części przypominałby mu łotra spod znaku Odrzyskóry albo jakiego najemnego zbira ze świty Rumburaka. Owszem, tu i ówdzie kręcili się ludzie – i nie tylko ludzie – pod bronią i z obliczami zdradzającymi żołdacką profesję, nikt jednak nie zdradzał nadmiernego zainteresowania ani myśliwym, ani sprawiającym oplakane wrażenie łotrzykiem.

– Kto cię sprął? Rumburak? – zapytał w końcu Buratarczyk.

– On nie, on ręców sobie nie brudzi. Jego pacholki mi skórę zlali – pożalił się Wrzód. – Och, wielce ja zdrowiem przyplacę tę całą hecę, oj wielce!

– Nie becz jako ta koza, jeno gadaj, za coś tak oberwał? Rumburak więźnia odsprzeda? Co ci rzekł, na Asteriusza, gadaj, a żwawo!

– Szanowny pan Rumburak kazał przekazać psu bratowi Odrzyskórze... tako rzekł, co do sło-





wa... psubratowi Odrzyskórze, że nie pan do psa przychodzi, jeno pies do pana i jak Odrzyskóra chce z nim interesy robić, to się ma stawić grzecznie a pokornie dziś wieczorem w jego lokalu i wtedy o interesach pogadają – zreferował pełnym boleści tonem Wrzód. – A żeby psubrat Odrzyskóra wiedział, że pan Rumburak nie lubi jak ktoś z nim pogrywa, to kazał jego szczeniakowi nakłaść po gębie, tak na pokaz... szczeniakowi, znaczy się mnie! Dwa zęby mi wybili, skurwysyny, dwa zęby!

Trzęsikęsek analizował gorączkowo słowa Wrzoda, ustawicznie skacząc wzrokiem od bladej twarzy rzezimieszka do ścian pobliskich kamienic i z powrotem. Nagłe wieści psuły dokumentnie pozornie świetny plan, z którego buratarski myśliwy był chwilę wcześniej jeszcze tak bardzo dumny.

– I niczego im nie wypaplałeś? – zapytał młodzieniec przygryzając ze złością usta.

– No przecie, że nie... – wybąkał Wrzód. – Przecie wasz czarownik rzekł... co jak ozorem chlapnę...

– I dobrze ci rzekł – rzucił gniewnie Trzęsikęsek, pojmując od razu, że swym pytaniem nieopatrznie mógł zburzyć bezgraniczne dotąd przerażenie opryszka przed mocą złowrogiego Hogura. Sam myśliwy nie wątpił w magiczne umiejętności Maskacza i wiedział też, że Zager bez cienia skrupułów wsadziłby mordercze zaklęcie w głowę każdego, jeśli tylko miałyby to przynieść mu jakieś korzyści. – Czasami powiesz coś, co żeś miał w sekrecie zachować, a następnego dnia cię w posłaniu znajdują, z całą krwią przez uszy wycieczoną.

– Nic a nic nie rzekłem, nie! – Wrzód pobladł znowu jak ściana. – Po prawdzie, to pan Rumburak ani za bardzo nie pytał, jeno ręką machnął, a wtedy te jego kurwie syny pachowały łać mnie zaczęły, a siły nie marnowali, tyle rzeknę. A jak skończyli, to kazał się wynosić do Odrzyskóry i mu przekazać wszystko to, com już przed chwilą powiedział.

Myśliwy miał ochotę wrzasnąć ze złości na cały głos, powstrzymywał się przed tym jednak świadom obecności innych przechodniów. Jego lewa dłoń oplatała ciasno rękojeść szabli, prawa zaś tarmosiła pas spodni uwidaczniając frustrację młodego Buratarczyka.

– I żebyś was tu więcej nie widział! – huknął jakiś ochryply męski głos, dobiegający zza pleców myśliwego. Trzęsikęsek obejrzał się przezornie przez ramię i zeszywniał nieznacznie.

– Idź się chędożyć, psi chwoście! – zaśmiał się głośno Ayheer dopinając kurtkę. – A ta twoja zupa nic warta nie była, u mojego wuja taką psy karmią!

Wurzzt nic nie powiedział, w zamian pokazał rozżłoszczonemu karczmarzowi zgiętą w łokciu rękę, co w opinii Trzęsikęska musiało oznaczać jakiś znany miejscowym, a wielce obraźliwy gest.

– Jak was tu jeszcze raz obaczę, psami będę szczuł albo jakiego półolbrzyma najmę, coby wam gęby przefasonował! – ryknął raz jeszcze właściciel karczmy, po czym wszedł do środka swego przybytku zatraskując drzwi tak mocno, że zmierzający środkiem ulicy przechodzień odskoczył w bok niczym oparzony na dźwięk owego huknięcia.





Myśliwy obserwował obu mieszańców ponad ramieniem, spod nasuniętego na czoło kapelusza, świadom tego, że ani Ayheer ani Wurzzt nie zwrócili na niego uwagi. Mężczyźni rozmawiali między sobą porządkując jednocześnie pomięte odzienie, świadczące o pośpiechu, z jakim opuszczali niegościnną karczmę.

Trzęsikęsek stoczył najcięższy bój swego życia walcząc z przeciwstawnymi myślami, szybko jednak podjął decyzję. Łapiąc Wrzoda za kurtę przyciągnął rzezimieszka do siebie i niemal przystawiwszy Ostrogarczykowi nos do nosa zaczął do niego szeptać konspiracyjnym tonem.

– Nadstaw tera dobrze uszyków, parchu. – Myśliwy z lubością zaakcentował epitet, czując dreszcz ekscytacji na myśl o tym jak ledwie dwa dni w stolicy świata podźwignęły go z otchłani ubóstwa i zacofania, czyniąc z wieśniaka dzięki kosztownemu odzieniu wielkowiejskiego bywalca. – Za bardzo się tu i ówdzie w oczy cisnął, niektórym na pamięć żeś zapadł, więc lepszy dla ciebie będzie jak się na parę dni gdzie zaszyjesz w jakiej norze. Zjaw się za trzy dni o świcie przy faktorii Michelona. Jak cię trzeba będzie, jeden z nas tam zaczeka, coby ci wieść przekazać. Z nikim nie gadaj, nigdzie się nie włócz, bo ci to wydatnie nie na zdrowie może wyjść. Pojmujesz, com ci rzekł?

– Pewnie, że pojmuje – burknął Wrzód wyzwalając się z uścisku prześladowcy i robiąc krok w tył. – Przecie żaden ze mnie ciołek, tylko rozumny człek... i nic mnie tak nie ucieszy jak okażja, żeby się z ulicy stracić na jakiś czas.

Myśliwy machnął ostrzegawczo ręką dając opryszkowi do zrozumienia, by ten już sobie poszedł, odprowadził go wzrokiem aż do sąsiedniego skrzyżowania, potem zaś odwrócił się w miejscu i ruszył ostrożnym krokiem w kierunku mieszańców. Nie miał pojęcia jak Ayheer i Wurzzt zachowują się na jego widok, a świadom był faktu, że ich rozstanie nie należało do specjalnie miłych.

Ayheer pierwszy wyczuł, że ktoś zmierza w jego stronę, bo przestał się macać po kieszeniach i spojrzął z pozornie rozluźnioną miną przez ramię. Na widok odzianego po mieszczańsku Trzęsikęska otworzył na chwilkę szerzej oczy, zaraz jednak przyjął na twarz kamienną minę.

– Patrzaj, Wurzzt, kogo nam wiaterek tutaj przywiał – cmoknął znacząco półork. – Jakbym wiedział, że to być nie może, to bym pomyślał, że kto oblekł w szykowne odzienie takiego jednego wyszczekanego kmiota z za jeziora.

– Bardzo ucieszny, przyjacielu – sarknął w odpowiedzi myśliwy, podnosząc ręką rondo kapelusza i opierając dłoń zdecydowanym ruchem na szabli. – A jakeś do tego gotów cosik sobie przyrobić, to może jeszcze ukręcimy wspólny interes w tym mieście.

– Na Bella, Wurzzt, ty to słyszysz? – Ayheer pokręcił głową w udawanej wesołości, zbliżając się na kilka kroków do Trzęsikęska. – Nie dość, że dalej wyszczekany, to jeszcze po pańsku odziany i gotów nam nędznym pchlarzom dać zarobić. Toż to przecie warto tego, co by na tacę kapłanom srebrnika rzucić w podzięce.

– Żeby jeno jednego – odpowiedział sarkastycznym głosem drugi półork. – A gdzie się po-





dziali twoi kompani, kmiotku? Katanici ich wytropili, skórę złoili albo i co gorszego? Cały dzień was wczora szukali, po Placu wypytywali, czy was aby kto nie widział. Ten rzezacz, coście mu gacie w karczmie zjarali wielce na was kurwił, dawnom tak pięknego i rasowego a długiego kurwienia nie słyszał.

– Dajże na razie pokój gaciom i kurwieniu, brachu – wtrącił pojednawczo Ayheer. – Wielce szanowny pan ze wsi dechami zabitej chce nam interesa nakreć, toć się w słuch zmieniamy.

Trzęsikęsek milczał przez chwilę, nie chcąc od razu wyjawić mieszkańcom sedna sprawy i zamierzając zagrać przed nimi człeka oburzonego arogancką pozą półorków.

– Jeśli nie macie szczerogo interesu w tej sprawie, lepiej dajcie sobie spokój – zaryzykował mały blef, unosząc pojednawczo ręce i cofając się o kilka kroków. – Mnie niepotrzebne kamraty, co całki czas bruździć będą abo marudować.

– Interes mam i to szczerozłoty, w każdej sprawie – Ayheer poklepał się po kroczu i zaśmiał donośnie. – Toć nie pierzchaj jak ta mysza, my nie są obraźliwi, niesnaski łącno w niepamięć puszczamy. Skoro chcesz pogadać, gadaj zamiast się krygować jak jaka kokietka przed chędożeniem.

Myśliwy zatrzymał się, poprawił kapelusz i wygładził rękawy płaszcza, pozwalając, by cisha przerwanej rozmowy wręcz tężała w powietrzu. Obok trójki mężczyzn przebiegło kilku chłystków targających drewniane skrzynki z liśćmi sałaty, zarabiając widać na kilka srebrników dorywczą pracą przy sprzątaniu pobliskiego targowiska.

– Nie kpjcie ze mnie, bo nie wiecie, z kim macie do czynienia – powiedział w końcu Trzęsikęsek, tym razem podnosząc dumnie głowę i demonstrując mieszkańcom swój zadarty podbródek. – Wielce jest nierozsądnym a głupim lekce se ważyć każdego napotkanego, nawet zwykłego wieśniaka.

Tym razem to Wurzzt wyciągnął przed siebie pojednawczo ręce, mrugając przy tym jednym okiem w stronę Ayheera.

– No, co ty, człeku złoty? – powiedział przemiłym tonem półork. – Toć my was przecie ani razu lekce nie potraktowali, bo niby kiedy? Jak już na kogoś tu złe słowo rzec trzeba, to lepiej w lusterko spojrzysz, boście nas wielce nieobyczajnie potraktowali tą odprawą, jak jakich włóczęgów, a kto wie, czy my wam wtedy aby życia nie zratowali ucieczką z tej karczmy, hę?

– To nie jest dobre miejsce na takie rozmowy – buratarski myśliwy uciął słowa Wurzzta jednym ruchem ręki. – Za pięć... za sześć pacierzy asteriuszowskich spotkajmy się tam, gdzieśmy się wcześniej pożegnali, przy tym rozsypanym murku pod wieżą. Tylko jedno wam rzeknę, cobyście od razu wiedzieli. Na zapłacie za pomoc was nie ukrzywdzimy, ale targów żadnych o zapłatę nie będzie. Głupi my nie są i ograbić się nie damy.

Ayheer parsknął słysząc ostatnie słowa Trzęsikęska, wsparł ręce na biodrach robiąc zboląłą minę niesłusznie oczernionego poczciwca.

– Bogowie mi świadkiem, żeśmy uczciwi i prawi, przyjacielu – powiedział mieszaniec, tym





razem znacznie ostrzejszym tonem. – Nie lubimy jak nam kto co inne wciska i gdyby to był ktoś inny niż ty, pewnikiem zebrałby za to po gębie. Ale za to, żeście nas wczoraj piwem ugościli jak bratów, to nie będziemy się obrażali i przyjdziemy wam z pomocą. Za sześć pacierzy pod starą wieżą za Czerwonym Rzemykiem.

Myśliwy kiwnął w odpowiedzi głową, podniósł dłoń do ronda kapelusza w geście pożegnania, który podpatrzył wcześniej u kilku przechodniów, po czym odwrócił się i odszedł w stronę portu, upewniając się kilkakrotnie, że mieszkańcy nie próbują go przypadkiem śledzić.





Rozdział XXX



łonce pęzło ku migotliwej tafli Wielkiego Jeziora, opadając coraz szybciej ku linii widnokregu. Jego promienie kładły się czerwoną poświatą na kolorowych dachówkach ostrogarskich domów, odbijały się w lśniących kopolach pałacu katana. W wąskich bocznych uliczkach miasta zaczynały się pojawiać pierwsze cienie, ale na ulicach robiło się coraz gwarniej miast cichnąć: Ostrogar szykował się do nocnych hulank i swawoli, gwałtów, napadów i szaleńczych pijatyk, czyli wszystkiego tego, z czego to miasto słynęło.

Grupka rybaków minęła róg kamienicy, przekręcając jak jeden mąż głowy w stronę bocznej uliczki. Ayheer i Wurzt już na nich czekali, oparci plecami o rozsypujący się murek przy starej wieży, rozmawiając między sobą ściszonymi głosami. Na widok Buratarczyków umilkli, lustrując w zamian wzrokiem nowe odzienie podchodzących do nich Trzęsikęska, Pchełka i Zagera.

– Patrzajcie, patrzajcie – cmoknął znacząco ustami Ayheer. – Toć to istne zamożne chłopy, nasi drodzy przyjaciele. Wczora jeszcze skromne kmiotki z prowincji, a dzisiaj mieszczuchy jak malowane.

– Jeszcem gotów pomyśleć, żeście przez noc gdzie na rozbój chadzali, mili moi – powiedział Wurzt mruczając oczy i taksując badawczym wzrokiem myśliwego. – Aleś se ładniutki buty kupił, ciekawym jeno, za co? Sprzedaliście może w niewolę tego waszego grubasa, bo z wami go nie ma?

– Nie ma, bo dobytku pilnuje, ale spokojnie, jeśli będzie trzeba szybko do nas przyleci... – odparł prędko Trzęsikęsek.

* * *

Wielki Łamignat z uśmiechem na szerokich ustach kąsał właśnie następną, wyszukaną w barłogu łodzi rzepe.

Gdzieś w dali, ledwo słyszalnie trzeszczały w dulkach wiosła, gdy ich pióra miękko wślizgiwały się w spokojne lustro wody. Na rufie siedziała trójka rozbawionych dzieci. Po jeziorze niosły się ich jasne głosy. W głosie rozjuszonej dziewczynki dźwięczała pewność siebie i upór, w głosie młodzika spokój i odrobina chłodu. Trzeci dzieciak, na oko o połowę młodszy od pozostałej dwójki, szczebiotał fantazjując, nieustannie uciszany przez dwójkę starszego rodzeństwa. To także była dziewczynka.

Patrząc na chłopca, Łamignat zdał sobie sprawę, że ma on takie same brązowe, kręcone włosy, może nieco bardziej miedziane niż jego, takie samo nieśmiałe spojrzenie i szeroki, trochę głupkowaty uśmiech.





„I fantazję ma też pewnikiem taką samą jak ja”.- pomyślał Gnaś miażdżąc potężnym ścisłym następnym kawałek rzepy. – „I wszędzie pewno widzi trolle, i rzeczątka żyjące własnym życiem, i cienie, i drzewka, i zwierzątka z którymi można rozmawiać...”

Silacz, zafrasowany do cna widokiem dzieci spojrział teraz uważnie na swoje niedawno zmienione ubrania i ze smutkiem powędrował ponownie wzrokiem w stronę młodzików.

Wyglądały tak nędznie, że ich widok sprawiał jego wielkiemu sercu ból.

Sukienka starszej dziewczuszki była za mała. Chłopiec tak podobny do dziecięcego wspomnienia Gnasia, miał na sobie spodnie i kurtkę przerobione ze starej sukni matki. Obie części odzienia zdradzały, że kiepska była z niej krawcowa. Zgrzebna sukienka najmłodszej z rodzeństwa, uszyta chyba była z kawałka starej juty, to było nieforemne okrycie, z którego prawdopodobnie wyśmiewali się rówieśnicy... Olbrzym myśląc o tym skulił się na łodzi, a z jego dużych okrągłych oczu pociekły łzy.

* * *

– Czekaj, patrzaj tam! – syknął nagle głośno Ayheer, odrywając wzrok od stojącego z wypiętą piersią Trzęsikęska i spozierając gdzieś w głąb uliczki. Rybacy obejrzeni się w tamtą stronę z ogromną podejrzliwością, w duszy lękając się jakiejś prowokacji ze strony mieszańców, lecz nieufność ta z miejsca wyparowała im z głowy na widok cudaczego widoku za plecami.

Z pobliskiego domu wyszła bowiem hoża dziewczoja o długich włosach i szpiczastych uszach zdradzających domieszkę elfiej krwi. Miała na sobie jedynie spodnie i cienką bluzkę rozpiętą tak, że niemal całkiem odsłaniała jej kształtne piersi, ale oszołomiony wzrok mężczyzn nie spoczął bynajmniej na walorach jej urodziwego ciała. Wszyscy wpatrywali się zgodnie w niezwykle stworzenie kręcące się u jej stóp, przypominające rozmiarami przerośniętego psa, ale znacznie szczuplejsze, o ewidentnie gadzim wyglądzie.

– Co to takiego, na Piana? – sapnął Gusłek cofając się o krok. Jakby słysząc jego słowa, stwór zwrócił w stronę grupki mężczyzn swój smokowaty łeb i zasyczał przeciągle, składając i rozkładając skórzaste skrzydła. Dziewczyna podążyła spojrzeniem za wzrokiem swego pupila, położyła dłoń pewnym siebie gestem na rękojęści noszonego na biodrze noża, wytrzymała bez trudu zuchwały wzrok Ayheera.

– Dobra, nie gapcie się tak na te jej cycki, bo jeszcze gotowa żarłoka na nas napuścić – syknął Wurzzt. Idąc za jego głosem reszta grupy przemieściła się kilkanaście metrów w głąb ulicy, mimo ostrzeżenia mieszańca wciąż rzucając pełne fascynacji spojrzenia w kierunku stwora i jego opiekunki.

– To chyba drakodil albo jakieś inne tałatajstwo, bo chyba nie smok bagienny... jakiś taki chyba za mały na smoka. – rozmyślał głośno Ayheer, kiedy wszyscy zbili się w ciasną grupę w miejscu, gdzie uliczka oferowała piękną panoramę ponad dachami portowej dzielnicy, wprost na jezioro. – Taki mały smok, chociaż nie do końca wiadomo, czy to prawdziwy smok, czy jeno taki podobny. Ale słyszałem, że gryźć potrafi jak szalony i lepiej z nim nie zadzierać. Są





w mieście tacy, co to je łapią w puszczy a u siebie chowają po wykluciu z jaja, jak pewnie tamta dziewczeczka.

– Mały smok? – powtórzył zadziwiony ponad wszelką miarę Pchełek. – Toć to nieszczęście wielkie, że Łamignata z nami nie ma! On by tego tam smoka od razu pewnikiem wyściskał, taki przecie do zwierzątków garnący się jest!

– A właśnie – uśmiechnął się kącikami ust Ayheer, odrywając w końcu wzrok od piersi i płańskiego brzucha dziewczyny. – Gdzie to wspominałeś bywa wasz wielki, a nieco nierozgarnięty przyjaciel?

Buratarczycy nic nie odrzekli w pierwszej chwili, bądź to pozostając wciąż jeszcze pod wrażeniem smokowatego gada łąsającego się do nóg półelfki na podobieństwo wsiowego burka, bądź zapomniawszy na widok mieszaińców ozora w gębie. Ayheer i Wurzzt wymienili między sobą kpiarskie uśmieszki, wyczuwając z miejsca wahanie swych niedawno poznanych znajomych i z chęcią przejmując inicjatywę w konwersacji.

– Odzienie same w sobie z kmiotka miastowego nie uczyni – parsknął złośliwie Wurzzt. – A jużem gotów był pomyśleć, żeście iście transformutację przeszli, Katan mi ku temu świadkiem. Ale nie pora na docinki, prawda? Wszak prosiliście o spotkanie, a myśmy waszym prośbom przychylni, bośmy was od pierwszego spojrzenia polubili. Skorośmy już wszyscy tutaj, powiadajcie, jak możemy wam pomóc?

– I jak gotowicie swą słuszną wdzięczność wyrazić? – nie omieszkał dodać drugi półork, wsadziwszy ręce za pas i szczerząc zęby w pobłażliwym uśmieszku. – Widać, żeście na majątności od ostatniego razu sporo przybrali, takich szykownych butów sam żem nigdy nie nosił, dla mnie szaraczka zbyt drogi taki zbytek.

Znaczące spojrzenie mieszaińca spoczęło na pachnących nowością podróżnych butach Trzęsikęska. Słowa Wurzzta wyrwały myśliwego z konwersacyjnego letargu, przywróciły nieco rezonu.

– Mamy tu małą sprawę do załatwienia i potrzebni nam jacy krzepcy, a przy tym bystrawi pomocnicy – oznajmił Trzęsikęsek, ponownie zadzierając nosa i popukując palcami w pochwę przytroczonej do pasa szabli. Widząc jego pozę Pchełek przybrał z miejsca taką samą, modląc się w duchu o to, by zrządzenie losu nie zmusiło go do wyciągnięcia na światło dzienne uszczerbionego ostrza.

– Bardziej krzepcy czy bardziej bystrawi? – uniósł znacząco brwi Ayheer. – Rozumiecie, my w obu kwestyjach żeśmy są wybitnie uzdolnieni, ale jeśli wam bardziej o krępkich idzie, to pewnikiem trza będzie komuś mordę obić, a jak bardziej o bystrawych, to pewnie jakowyś towar będzie musiał zmienić właściciela. Dobrze żem to sobie wykoncypował?

Gusłek westchnął ciężko, podrapał się z grymasem rezygnacji po głowie.

– Że oni bystrawi, to mało powiedziane – oznajmił kapłan wzruszając ramionami. – Iście wszystkie rozумы pozjadali, ci miastowi. Rzeknij jeno jedno słowo, a oni ci zaraz z gęby resztę





wyciągną, sami odgadną.

– Przyjacielu, od razu widać, żeś i ty całkiem bystry, skoroś się na nas tak niezawodnie poznał – roześmiał się Wurzzt. – A przy tym wyglądasz mi na czelaka cnotliwego i skromnego, a ja takich bardzo lubię. Patrzaj na swych druhów: jeden w butach jak sen złoty, drugi w szykownym kaftaniku, trzeci płaszcz ma nowiuški, jak spod igły. A tyś jeden jedyny dalej w tej nędznej kapocie i dziurawych portkach, znaczy się, że ci duchowa materyja bliższa niżli dutki. A jak ci dutki zbędne, to pewnie chętnie się nimi podzielisz z potrzebującym, prawda?

Gusłek rozszerzył lekko oczy słysząc ostatnie słowa mieszańca, a kiedy ich znaczenie dotarło w końcu do nieco zaleknionego i wciąż czującego się nieswojo w wielkim mieście młodzieńca, nowicjusza parsknął szczerym śmiechem.

Pozostali trzej rybacy dołączyli natychmiast do kapłana, czując jak nieco sztywna atmosfera zaczyna znikać zastępowana nikłą nicią porozumienia.

– Bacz, byś się srodze nie omylił – powiedział Trzęsikęsek. – On nigdy nikomu ani złamanego miedziaka nie odstąpił, bo to czelak niemożliwie skąpy, chciwy a przepadzity. Jak miarkujesz, czemu on cały czas w tej kapocie łązi? Żał mu dutków na nowe odzienie, woli wszystko na starość kisić.

– Kisznie kiszniem, a robota robotą – odrzekł Ayheer, kiedy ucichły już śmiechy rozmówców. – Czego to wam trzeba, dobrzy ludkowie, gadajcie. Mniemam jedno, że nie będziemy musieli łać po gębach tych orków katanitów, coście ich w karczmie próbowali upiec, co?

Rozluźniony i uśmiechnięty Trzęsikęsek z miejsca stracił dobry humor, zgarbił się nieco zerkając dla pewności przez ramię za plecy. Gusłek i Pchełek uczynili to samo, jedynie Maskacz pozostał w miejscu niczym kamienny posąg, wpatrując się błyszczącymi w cieniu kaptura oczami w twarze Ayheera i Wurzzta.

– Nie, nie – zapewnił natychmiast myśliwy. – Z tymi to my więcej znajomości mieć nie chcemy, o coś zupełnie innego tu idzie. Ale nie stójmy jak jako te strachy na wróble między kukurydzą, toż już pora wyśmienita, by trochę grosiwa przetracić a głowy mocnym trunkiem rozochocić. Gdzie tu jaka karczma dobra, co piwo dobrze warzone podają?

Mieszańcy uśmiechnęli się jeszcze szerzej, Wurzzt klasnął uradowany w ręce.

– Znamy jedną całkiem miłą, niedaleko za rogiem – oznajmił Ayheer. – I piwo niczego sobie i do napitków dobre jadło podają, a dziewczki służebne nie dość, że urodne, to jeszcze do chędożenia nader ochotne, wystarczy im dobrą monetką w oczęta zaświecić, a tak ci zatańczą jak jeno sobie zażyczysz.





Rozdział XXXI

Ostrogar. Karczma Srocza Łapka.

Pchełek zamrugał niepewnie, czując błogie rozleniwienie rozlewającą się po całym ciele i niemoc członków. Wszędzie wokół siebie słyszał gwar ludzkich rozmów, śmiechów, pijackich przyśpiewek i kłótni. Oświetlone świecami i pochodniami wnętrze karczmy tętniło życiem, mrowie klientów rozmaitej maści przewijało się w przestrzeni pomiędzy kontuarem i solidnymi dębowymi stołami. Siedzący tuż obok złodzieja Wurzzt dopił do końca zawartość glinianego kufła i spróbował podnieść rękę, by przywołać do siebie jednego z krążących w pobliżu pacholków, ale już nie podołał temu wyzwaniu, uległ podstępnej mocy spożytego ponad wszelką miarę trunku. Osunąwszy się na blat stołu, półork ułożył głowę w zgięciu swego ramienia i niemal natychmiast zasnął, przez chwilę męczony jeszcze pijacką czkawką.

Mocno podpity Pchełek zaśmiał się krótko na ów widok, potrząsnął kompana za ramię. Wurzzt nawet nie drgnął, leżąc na stole niczym kloc drewna. Siedzący po przeciwnej stronie Ayheer zaśmiewał się do łez z historyjki opowiedzianej przed chwilą przez Trzęsikęska, potrząsając jednocześnie swoim kuflem.

– Dawnom... dawnom się tak nie urechotał, brachu – oznajmił mieszaniec wymierzając myśliwemu przyjacielskiego kuksańca. – I co on z tym wilczurem zrobił, co?

– Do lasa zawlókł z powrotem, łapserdak – odpowiedział lekko nieskładnie Trzęsikęsek. – I tam go wypuścił, a basior tak spieprzał, że pewnie zatrzymał się dopiero gdzieś na północnym wybrzeżu!

Ayheer roześmiał się znowu, dzielił kułakiem siedzącego po drugiej stronie Maskacza, który cały wieczór ledwie zwilżał usta piwną pianą, starannie unikając bliższego kontaktu z trunkiem.

– A ty coś taki sztywny jak nieboszczyk, co? – zagadnął mieszaniec przechylając kpiarsko głowę. – Twoje znajomki leją w gardło jak nie przymierzając półolbrzymy, a ty jak baba pijesz? Choryś czy co?

Hogur przekreślił powoli głowę, spojrział w oczy Ayheera bez słowa, wzrokiem dziwnym i budzącym ciarki nie tylko w półorku, ale i siedzącym obok Wurzzta Gusłku. Ayheer mimo swego rubasznego humoru chyba pomiarkował, że lepiej mu będzie pozostawić milkliwego kompana w spokoju, toteż bez dalszej zwłoki odwrócił się z powrotem w stronę Trzęsikęska.

– Ech, brachu, Wurzzt psi syn już poległ, a ten Pehlarz czy jak go tam zwą też pewnikiem zaraz pod stół wleci – powiedział mieszaniec walcząc z napadem pijackiej czkawki. – Srebra żeśmy tu przepili od groma i wielcem żem wdzięczny za wasze hojne zaproszenie, ale zdało by się wreszcie pogadać o tej robocie, co to do niej pomocników potrzebujecie.

Myśliwy beknął w odpowiedzi tak donośnie, że ściągnął na siebie spojrzenia sąsiednich





klientów, skorych do drwin i złośliwości, ale też pełnego uznania kiwania głowami.

– Jutro... jutro pogadamy, brachu – odpowiedział bełkotliwie czując lekkie zawroty w głowie. Nie chcąc wzbudzać podejrzeń mieszaińców Trzęsikęsek i Pchełek pili cały wieczór na umór, dzielnie dorównując półorkom kroku i mając tym samym niezłe w czubie. Maskacz i Gusłek oszczędzali się bardziej, chociaż młody nowicjusz wychylił znacznie więcej pienistego trunku od wstrzemięźliwego w tym względzie czarownika. Widząc znaczące spojrzenie Hogura, Gusłek pojął, że przyszedł chyba czas na przystąpienie do realizacji podstępного planu: jeszcze kilka kolejek dla uczczenia buratarskich rybaków i ich ostrogarskich przyjaciół mogło się skończyć całkowitym upojeniem Trzęsikęska i Pchelka.

– Muszę się odlać, bo mi zaraz pęcherz rozerwie – jęknął całkiem wiarygodnie młody kapłan, podnosząc się chwiejnie z ławy i omal nie padając na śpiącego obok Wurzzta. – Hej, hej, brachu, wstawaj! Idziesz się wysikać?

Ayheer zaśmiał się widząc próby obudzenia Wurzzta, machnął ręką dając Gusłkowi do zrozumienia, że jego kompan jest pijany w sztok.

– Jak on tyle wypił, co ja, to nam się tu zaraz w gacie zeszczu – oznajmił Gusłek nie ustając w potrząsaniu Wurzzta za ramiona. – A jak się zeszczu na podłogę, to nas gospodarz wywalić na zbite pyski gotów, a jam jeszcze z piciem nie skończył. Maskacz, pomóż mi z tym opojem, wysikamy się i przyjdziemy z powrotem.

Zager westchnął ciężko, podniósł się z ławy z udawanym niezadowolaniem, po czym okrążył stół ujmując Wurzzta pod pachę. Półork pojął w końcu, że ktoś przerywa mu przyjemny letarg, bo podniósł głowę i zaczął toczyć wokół nieprzytomnym wzrokiem.

– Czego... czego, kurwa? – wybełkotał. – Do dom trza?

– Nie do domu, tylko się odlać – burknął Maskacz ujmując mieszańca pod ramię i do spółki z Gusłkiem pomagając mu dotrzeć do drzwi karczmy. Trzęsikęsek odprowadził ich lekko błędnym wzrokiem, po czym odwrócił się w miejscu, by podjąć konwersację z Ayheerem.

I poczuł leciutki dreszcz niepokoju dostrzegając spojrzenie mieszańca podążające w ślad za trójką uczestników libacji. Półork był już bardzo podпиты, ale myśliwy mógłby przysiąc, że w jego kpiarskich dotąd oczach pojawiła się nagle nutka podejrzliwości.

* * *

Maskacz zacisnął palce na kurtce Wurzzta pomagając ustać mieszańcowi na nogach i dławiąc w sobie chęć pchnięcia Ostrogarczyka twarzą na murowaną ścianę karczmy. Wodząc wokół czujnym wzrokiem czarownik z miejsca pojął, że sama uliczka była zbyt zatłoczona mimo późnej pory nocy, przez co nadawała się na dyskretne czarowanie równie dobrze jak na połączone z chędożeniem schadzkę.

– Nie będziemy chyba lać po butach inszych, co? – burknął w stronę gmerającego przy pasku spodni półorka. – Tamoj widać jaki róg, za rogiem nikt nam na fajfusy patrzył nie będzie.

– A niech patrzają! – zarechotał Wurzzt wciąż walcząc z niepokornym paskiem. – Niejeden





by takiego chciał mieć, ha! Niech patrzą, a się z zazdrości skrucą, łachmyty! No, sam obacz, zara wyciągnę, masz ty aby takiego wielgachnego?

– Cichaj, bo po gębie zbierzemy – stojąc w ciemnej uliczce pełnej ożywionych przechodniów, z których niemal każdy pobrzękiwał bronią, zaalarmowany obcym otoczeniem Guslek poczuł jak w jego głowie wietrzeją po części alkoholowe opary. – Idźmy jako Zager rzecz, bo jeszcze ci jaki zazdrośnicki patrzacz tego sisiora urźnie albo jaki perwersas cię za niego zacznie tarmosić, a my z uczuciami nie zamierzamy walczyć!

Pomrukując coś gniewnie i bełkotliwie Wurzzt dał się odprowadzić Buratarczykom za róg karczmy, wprost w zięjący czernią, odorem moczu i gnijących odpadków zaułek. Maskacz zmarszczył nos czując ów fetor, parsknął z irytacją. Chociaż Ostrogar wciąż jawił mu się zapierającą dech w piersiach metropolią z nieskończoną ilością okazji do nabicia sakiewki, czasami czarownik odnosił wrażenie, że stolica Imperium bywała znacznie brudniejsza i bardziej odstręczająca od ojczystej wioski.

– Tu lej, na mur – doradził trzymanemu przez Gusłka Wurzztowi, wskazując mu palcem ścianę karczmy. – I patrzaj, gdzie szczasz, bo se buty całkiem zalejesz... czekaj, pomogę ci.

Ujmując mieszańca lewą ręką za podbródek, Hogur sięgnął umysłem do wiszącego na nagiej skórze pod ubraniem amuletu, pobierając z wisiora niewielką cząstkę magicznej energii niezbędnej do rzucenia zaklęcia. Szeptane bezgłośnie słowa inkantacji spłotyły w eterze niewidzialną nić mocy, która zawisła wokół głowy nieświadomego niczego mieszańca. Lecz utrwalenie zaklęcia wymagało jednego warunku, który nie został jeszcze spełniony, a bez którego czar stawał się całkowicie bezużyteczny.

– Wurzzt, słuchaj no – powiedział do ucha półorka Maskacz. – Słuchaj a uważnie.

– Ta? – odparł na odczepnego mieszaniec, głosem sugerującym, że konwersacja z Hogurem była rzeczą w najmniejszym akuracie stopniu budzącą jego zainteresowanie. – Czego?

– Jak was o nas wypytywać będą jakie orkowe czorty od Katana Jedynego albo insze, będziecie gęby na kłódkę trzymać? Wielce by my byli niezadowoleni, jakbyście na boki paplali wszystkim, cośmy za jedni i co tu robimy, kumasz?

– Pewnie, że kumam, bracie złoty. – Wurzzt był pijany tak bardzo, że obiecałby w tej chwili swemu towarzyszowi wszystko, byle tylko móc się w spokoju wysikać. – Nikomu ani słowa, ani nawet słoweczka.

– Ale tak szczerze, Wurzzt, po miłej znajomości – powtórzył Maskacz cofając jednocześnie lekko w tył stopy, by mieszaniec nie obsikał mu butów. – Na pewno zachowacie w tajemnicy nasze miana i nasze osoby, jakby was kto wypytywał?

– Nikomu nie pisnę ani słowa – obiecał solennie Wurzzt, stękając jednocześnie z zadowoleniem w miarę opróżniania pęcherza. Zager uśmiechnął się w paskudny sposób słysząc te słowa, dodał bezgłośnie dwa słowa zaklęcia i pokiwał z zadowoleniem głową. Półork nie bronił się przed nim, nawet niczego nie podejrzewał, toteż tym razem obyło się bez przyciskania palców





do skroni i brutalnego łamania psychicznego oporu ofiary. Mieszaniec nawet się nie zorientował, że ktoś zastawił właśnie w jego umyśle myśliwski zatrask, gotów zacisnąć się z potwornym rezultatem na bezbronnej jaźni Wurzzta w razie złamanego przyrzeczenia.

Widząc znaczący ruch głowy czarownika Gusłek westchnął cicho, po czym sam się wysikał na mokrą ścianę karczmy, z dziką i niewysłowioną ulgą.

* * *

Trzęsikęsek spostrzegł zaniepokojenie swego rozmówcy, więc pochylił się w jego stronę, kopiąc jednocześnie w kostkę nieco rozkojarzonego Pchełka.

– Pewnikiem zaraz przyjdą, nie to przecie dziwnego, że ich przycisło, tyle piwska wychlali – mruknął uspokajającym tonem myśliwy. – Ty mi lepiej rzeknij, Ayheer, od jak wy dawna tutaj mieszkacie, co? Toć żeś jakiś czas temu gadał, że jakby nam przyszło handel futerkami zrobić, to byś się na pośrednika nadał, za nas byś w mieście kupczył. Prawda to czyż jeno żartował?

Przynęta chwyciła natychmiast, Trzęsikęsek pojął to, zanim jeszcze dokończył ostatnie słowa. Ayheer oderwał wzrok od drzwi, za którymi zniknęli pozostali uczestnicy libacji, przeniósł spojrzenie na Buratarczyka.

– A to o to wam idzie? – uniósł znacząco brwi i czknął donośnie. – Posmakowaliście pieniądza i chcecie teraz na futrach zarabiać? A jam już pewien był, że chcecie kogo obić albo okraść, takeście podchody robili, a miny dziwaczne. A jakie skórki i ile by tego było?

Trzęsikęsek aż westchnął ukontentowany faktem, że tak gracko odwrócił uwagę mieszańca od Wurzzta i jego opiekunów.

– Nie jeno o to rzecz idzie, ale futerka też sprawa ważna – przyznał myśliwy, mrugając jednocześnie dyskretnie w stronę Pchełka. – Skórki z małych zwierzaków, kun i łasic, ale dobrze wyprawione, znam się na tym.

– Kuny i łasice to ty se możesz... – skrzywił się Ayheer. – Na tym dobrego interesu nie zrobisz, bo to jeno dla pospólstwa dobre, nie dla tych, co sakiewki nabite mają. Lisy, sobole, szynszyle... to są futerka warte dutków, to nam tutaj potrzebne. Albo i co większego, skóry z niedźwiedzi albo oposów, a jakby trza było to i z jakiegoś bagiennego smoka też bym sprzedał.

– Z niedźwiedzi? – powtórzył bełkotliwie Pchełek. – O, niedźwiedzi to my mamy w puszczy dużo! Trzęsikęsek mistrz jest w ich łapaniu, on to by niedźwiedzia w biegu wychędożył, a ten by go nie capnął! A ile tu płacą za skórę takiego bydlaka?

– Pokaż mi futro, to ci powiem – uśmiechnął się chytrze Ayheer, po czym przekreślił głowę dostrzegając otwierające się ponownie drzwi karczmy. Odprowadzony pod ramiona przez Maskacza i Gusłka Wurzzt klapnął twardo na ławę, po czym nie zaszczyciwszy nikogo podziękowaniami ponownie złożył głowę na dębowym blacie i zasnął głęboko.

– Ech, co za słaba lepetyna – potrząsnął głową Gusłek. – Sromota!

Drugi półork zaśmiał się w odpowiedzi, po czym trącił swym kuflem naczynie kapłana.

– Na chwałę Pana Uciech!





Rozdział XXXII

Trzęsikęsek podniósł chwiejnie głowę, potoczył wokół zamglonym wzrokiem. Spożyte w ogromnej ilości piwo i chyba nie tylko, sprawiało, że powieki ciążyły mężczyźnie coraz bardziej, a gwar toczonych wokół rozmów i dźwięki wygrywanych na flecie melodyjek wpędzały go w coraz głębszą senność. Przechodzący obok pacholek zgarnął z blatu stołu puste dzbanki, dołożył dwa nowe, spoglądając na myśliwego znacząco. Nieporadnie gmerając palcami w sakiewce Buratarczyk wyciągnął z niej złotego kątana, po czym w geście pijackiej hojności rzucił lśniący pieniążek w stronę młodzieńca. Pacholek wyszczerzył w uśmiechu zęby, schował monetę czym prędzej za pazuchę, odszedł w głąb karczmy oglądając się szybko ponad ramieniem.

Sadowiący się wygodniej na ławie Trzęsikęsek nie zauważył wcale, że wzrok Ostrogarczyka spoczywał na jego przytroczonym do pasa mieczku.

Wurzzt chrapał w najlepsze z głową ułożoną na ramionach, Gusłek oparty o niego w braterski sposób bełkotliwie rozprawiał o czymś z równie pijanym rzemieślnikiem, który dosiadł się do rybaków zaintrygowany ich śpiewnym prowincjonalnym akcentem. Ayheerowi głowa kiwała się coraz bardziej, ale mieszaniec jeszcze się nie poddawał, pociągając co chwila łyka piwa prosto ze ściskanego oburącz dzbanka.

Pchełek siedział z rozanieloną miną na skraju ławy, trzymając na kolanach umalowaną dziewczynę w skąpym odzieniu ladacznicy, wprawnie wodzącą paznokciami po widniejącej pod rozchełstaną koszulą skórze Buratarczyka. Upojony mocnym zapachem pachnidła Pchełek wtulał swą twarz w głęboki dekolt towarzyszki, ale na tym kończyła się jego inwencja w kwestii amorów, bo idący do głowy alkohol skutecznie utrudniał koordynację błądzących po pośladkach dziewczyny dłoni.

– A Maskacz gdzie? – wybełkotał cicho Trzęsikęsek, spostrzegając znienacka puste miejsce Zagera. – A gdzie ten polazł?

* * *

Podróż ciemnymi ulicami miasta sprawiła, że nerwy Hogura wystawione zostały na ciężką próbę. Chociaż słońce już zaszło i stołeczne zaułki objęła we władanie nocna ciemność, wszędzie wciąż kręciło się mnóstwo przechodniów, przeważnie podpitych, hałaśliwych i dźwięczących ostrą stałą, która w każdej chwili mogła być wyciągnięta i użyta przeciwko komuś dostatecznie nieostrożnemu, by takiego przechodnia zdenerwować. Świadom rozlicznych zagrożeń czyhających o tej porze na ludzi swego pokroju, czarownik sunął skrajem ulic, dosłownie przyciskając się do ścian kamienic, ustępując przezornie miejsca bandom przeklinających i chichoczących szaleńczo awanturników.





Ostrogar sprawiał zupełnie inne wrażenie w ciemnościach nocy, oświetlony bładą poświata księżycza i tysiącami łuczycywkami zatkniętych w żelazne obejmy na murowanych ścianach niektórych budynków. Tu i ówdzie wzrok Maskacza napotykał wielkie metalowe kosze wypełnione żarzącymi się węgielkami, wystawione przed drzwiami większych karczm i przyciągające swym blaskiem spragnionych rozrywki klientów. Czarownik obawiał się przez chwilę, że pogubi drogę w tym niezwykłym labiryncie ciemnych ulic, cieni i plam światła, ale jego obawy okazały się zbyteczne, bo dzięki swej dobrej pamięci zdołał odnaleźć drogę do sklepu, w którym kilka godzin wcześniej grupa Buratarczyków pozostawiła powiązanych jak prosiaki łotrów Odrzyskóry.

W tej części dzielnicy panował niepokojący bezruch, jedynie w kilku oknach Zager dostrzegł migotliwy blask kaganków. Przeszedł szybkim krokiem na przeciwną stronę ulicy, przystanął na chwilę w cieniu rzucanym przez jeden z domów zaciskając palce na rękojeści schowanego pod płaszczem noża. Brak ruchu zdradzał mu, że skąpiana w półmroku ulicą nie należała do zbyt uczęszczanych po zmroku, a to musiało się w jakiś sposób wiązać z sąsiedztwem kwartałów biedoty, gdzie zwykły się gnieździć kanale wszelkiego rodzaju, wypełzające na łowy zazwyczaj po zapadnięciu ciemności.

Po dłuższej chwili trwania w bezruchu, czarownik zdecydował podejść do drzwi ciemnego sklepu. Jego nieco zaskoczony wzrok spoczął na wielkiej metalowej kłódce spinającej łańcuch broniący dostępu do drzwi. Czarownik zajrzał ostrożnie do środka przez wybite okna, nie dostrzegł jednak w smolistej ciemności niczego podejrzanego. W sklepie panowała nieprzenikniona cisza i Maskacz uświadomił sobie jedno: Dartana Odrzyskóry i jego zbirów już tam nie było.

Młodzieniec wycofał się szybko na przeciwną stronę ulicy, z powrotem w plamę cienia rzucanego przez starą kamienicę, rozważając w myślach zaistniałe komplikacje. Nie miał co prawda pojęcia, kto uwolnił herszta bandy i jego pomagierów, ale mógł to być chociażby skruszony Wrzód, który po przepędzeniu przez Trzęsikęsa postanowił wkraść się z powrotem w łaski Dartana... albo któryś z opryszków pobitych w domostwie Odrzyskóry, ocalały z pożaru i dość bystry, by w poszukiwaniu przywódcy bandy odwiedzić miejsca, w których ten zwykły bywał – w tym również sklep Kostropatego.

Tożsamość osoby, która Dartana uwolniła, była dla Hogura bardzo istotna: jeśli wybawcą okazał się Wyrwichwast, Dartan wiedziałby tylko, że nieznanemu mu bliżej intruzi z prowincji złupili skarbczyk bandy i uciekli gdzieś daleko, lecz w przypadku Wrzoda sprawy miały się zupełnie inaczej, Wrzód bowiem znał doskonale następny obiekt zainteresowania rybaków: więźnia sprzedanego Rumburakowi. Wiedząc o tym herszt miał spore szanse, by złapać ciepły jeszcze trop swych prześladowców.

Tak, sytuacja nagle bardzo się skomplikowała i pogrążony w posępnych myślach czarownik nie potrafił się wyzbyć złych przeczuć. Wprawdzie przez myśl przebiegły mu wszystkie snute tego dnia plany: od zuchwałego porwania Rumburaka, z którym to częściowo powiązane było skłonienie półorków do współpracy, po branie jak najszybsze nóg za pas i wyniesienia stąd kar-





ków całych choćby nawet w tej chwili. W tym właśnie momencie ta ostatnia myśl zdawała mu się najlepsza, bo choć czarownik nie wątpił we własne siły, ani w dziarskość swoich kamratów, to jednak wizja swojej głowy połączonej z tułowiem wydawała mu się najprzyjemniejsza. Rybacy mogli mieć fantazję w działaniu zespołowym, ale sam Maskacz pozostawał solistą i to on bardzo często dźwigał piętno podejmowanych decyzji.

* * *

Kiedy Zager powrócił do karczmy, jedynie Trzęsikęsek i Gusłek trzymali się jeszcze jako tako na nogach, chociaż głowy ciążyły im okropnie ku podłodze. Lecz opary przynoszącego mętne szczęście alkoholu zaczęły im parować z czupryn, gdy tylko zasłyszeli przyniesione przez Hogura wieści.

Dartan Odrzyskóra i jego zbiry zniknęli bez śladu, a złe przeczucia pozwalały Buratarczykowi sądzić, że miejska banda bynajmniej nie odpoczywała po pełnym wrażeń dniu. Bandyci przetrząsali już zapewne karczmy Ostrogaru, szukając jakiegokolwiek śladu zuchwałych obcych, którzy tak sromotnie ich pobili i do cna obrabowali.

– I co nam teraz przyjdzie uczynić? – zapytał cicho Gusłek oglądając się jednocześnie na drzemiących z rozanielonymi minami Wurzzta i Ayheera. – Jak te dranie nas w łapska dorwią, z życiem z tego nie wyjdziemy, nawet Pian nas nie wybawi z takiej opresyi.

– Cóż nam pozostało do wyboru? – sarknęła nieco głośniejsz Trzęsikęsek, przygryzając nerwowo wargi. – Abo się zara zbieramy i w te pędy do wioski wracamy, najlepi po ćmicy, abo do jutra jakoś przetrzymać tu musimy, a skoro świt bierzemy się za ratowanie Krzesimira abo Sękacza, któren tam jeszcze żyw i dycha.

– Juźci z tymi trzema o świcie zaczniesz – mruknął złośliwie Maskacz. – Jeno na nich popatrz, toć oni ledwie się koło południa z wyrek zwleką, jeśli będą w stanie.

Myśliwy podążył wzrokiem za oczami Zagera i zmełł w ustach przekleństwo widząc obu mieszańców i Pchełka, rozwalonych na ławach i chrapiących w najlepsze.

– Jedno wam teraz rzeknę, ale to pilne wielce – przerwał milczenie Gusłek, od dłuższej chwili wbijający spojrzenie w wejście karczmy i ustawicznie pokonujących próg gości. – Trza nam czym prędzej z widoku zniknąć, bo jeszcze nas tu który ze zbójów Odrzyskóry zoczy i będzie po nas. Mus nam jaki pokój wynająć, chociaż to pewnie tyle kosztować będzie, że aż głowa od myślenia boli... ale inszy nie da rady.

– Słusznie prawi – kiwnął z aprobatą Maskacz, choć wcale nie tego pragnął najbardziej. – A jutro co uczynimy?

– Oporządzymy jako tako tych łapserdaków i wyślemy ich do Rumburaka – zdecydował Trzęsikęsek. – Niechaj się przedstawia jako pośredniki możnego łapca niewolników i że niby odkupienia więźnia jakiego chcą, a najlepiej jakiego rybaka, bo on im potrzebny...

– A do czego im rybak potrzebny? – wtrącił podchwytliwym tonem czarownik, mrużąc sarkastycznie oczy. – Jakby ich Rumburak spytał, przecie muszą coś odrzec, nie?

– Jak to po co? – zdumiał się Trzęsikęsek. – Toć do ryb łowienia, a na co inszego się rybak zda





jak nie do ryb łapania? A co to, możni w tym mieście ryb nie jadają?

– Może jadają, a może nie – pokręcił z powątpiewaniem głową Hogur. – Troszkę mi to śmierdzi, ale niechaj będzie... jeno co innego mi do głowy teraz przyszło! A wiesz ty, gdzie ten Rumburak siedzi?

Myśliwy milczał przez dłuższą chwilę, całkowicie zбитy tym pytaniem z tropu i rozdziawiający szeroko gębę. Gusłek chrząknął z niedowierzaniem, po czym trącił towarzysza łokciem z rosnącym grymasem desperacji na swym obliczu.

– Kęsek, no nie patrzaj tak, jeno odrzeknij! Wiesz ty, gdzie znajdziemy Rumburaka? Zdradził ci to ów Wrzód od Odrzyskóry? Przecie żeś z nim łąził, nie pytałeś?

Trzęsikęsek przeknął niepewnie ślinę, omal się przy tym nie krztusząc, potem wbił zdeorientowane spojrzenie w nowicjusza Piana.

– Jam... jam... nie miał go czasu wypytać – przyznał urywanym głosem. – Przecie on miał nas tam zaprowadzić, to com się miał zawczasu wypytywać?

– Ta, pewnie – wycedził przez zaciśnięte zęby Maskacz. – A gdzie masz tera tego swojego Wrzoda? Wcześniej żeś go na postronku prowadzał, a tera co? Przywiązał żeś go gdzie do palika, coby spokojnie trawę żarł i czekał, hę?

– Pogonił żem go precz jak te dwa mieszańce się pokazały – odparł pełnym winy tonem myśliwy. – Ani żem czasu nie miał, coby pomyśleć jak to dalej będzie, bom się bał, że mnie jakim słowem nieopaczny wyzdradzi w rozmowie z tamtymi!

– Toś nas tera pięknieście urządził, ty ciołku leśny – zdenerwował się nie na żarty Zager, ale wbrew pozorom, czarownik wyczuł tutaj swoją szansę na realizację planu wyniesienia stąd tyłków w całości, a przy okazji oczyszczenia sumienia z winy, że rodaka do końca nie szukał.

– Wiesz ty, ilu tu kupców się urządziło a mieszka, a żyje? Jak ty tera tego Rumburaka chcesz odnaleźć? Będziemy po ulicach łązić a miastowych zaczepiać, za rękawy ich tarmosić, coby nam zechcieli rzeknąć, czy aby który Rumburaka nie zna, co niewolników łapie i się im na arenie zarzynać każe ku uciesze gawiedzi? Przecie on jakiś nieglupi ludź musi być, szybko się skapuje, że ktoś o niego pyta. Oj, Kęsek, Kęsek, nic jeno grzbiet ci złać wierzbową witką.

Myśliwy zmełł w ustach kolejne przekleństwo, ale nie podjął konwersacji, świadom słuszności wzburzenia Zagera. Gusłek jęknął cicho uświadamiając sobie nagle komplikacje biegu wydarzeń: oto zniecka rybacy stanęli przed koniecznością odszukania w wielotysięcznym mieście człowieka, który być może wcale nie chciał być w łatwy sposób odnaleziony, a przy tym zachować głowy na karku w obliczu przeciwników, którzy zapewne szukali dla odmiany Buratarczyków.

– Toż to niemożliwie niemożliwe jest, druhowie moi – potrząsnął głową zrozpaczony na wskroś nowicjusz. – Maskacz wiele racji ma w swych słowach. Jak nam niewiadome, gdzie Rumburak mieszka, a wypytywać o niego poczniemy, łatwiej nam będzie w potrzask wleźć, bo przecie wie już ten niewolników łapieć, że ktoś człeka z naszej wioski szuka, choćby i Odrzyskóra to miał być, pewnikiem już tamten coś podejrzewa.





Rozdział XXXIII

Wzruszony widokiem swych dawno temu zaginionych kompanów Łamignat wciąż jeszcze ocierał rękawem kolejne, tej doby, łzy płynące po jego twarzy, śmiejąc się radośnie i becząc zarazem niczym sprane skórzanym paskiem pacholę.

– A jam już dumał, co wy nigdy nie wrócić! – Kłasnął w dłonie, kiedy stękający z wysiłku Trzęsikęsek i Gusłek złożyli w łodzi Krzesimira pogrążonego w bezgranicznym pijackim upojeniu Pchełka. Płowowłosy złodziej burknął coś niezrozumiale pod nosem, a potem zwinął się w kłębek pod burtą łodzi, ukołysany lekkimi falami do przerwanego brutalnie snu.

– Odwiązujemy liny – syknął przyczajony na pomoście Maskacz, prawie niewidoczny w swym czarnym płaszczu i kapturze pośród ciemności nocy. Ostrogarski port wydawał się pozostawać w głębokim uśpieniu, tylko gdzieniegdzie rozlegały się dźwięki rozmów prowadzonych przez pilnujących statków marynarzy, którym odmówiono zejścia na brzeg, grających na pokładach kog w kości lub popijających mocniejsze trunki. Odgłosy zabawy dobiegały w przeważającej mierze od strony uliczek wiodących na Plac Karczemny, gdzie nocne życie towarzyskie kwitło pośród śpiewów, krzyków i głośniego śmiechu wplatającego się w dźwięki rozmaitych muzycznych instrumentów.

Płynące na pokładach niektórych statków olejne lampki rozpraszały ciemność w znikomym stopniu, ale Zager niezbyt się tym przejął, bo jego wzrok już się przesuwiał po znacznie lepiej oświetlonych okolicach wodnej bramy, szeroko otwartej pomimo tak późnej pory. Krążący leniwie wysoko w górze strażnicy rozmawiali między sobą, co chwila wybuchając śmiechem lub rzucając ordynarnymi przekleństwami.

Maskacz zeskoczył zwinnie na dno łodzi, przywiązując naprędce do rufy liny pozwalające holować w tyle dwa czółna, którymi buratarscy rybacy przybyli do Ostrogaru. Usadzony przy jednym z wiosel Łamignat zatarł z radości dłonie, popatrując ukontentowanym wzrokiem na łapiących za swoje wiosła towarzyszy. Jedyne chrapiący cicho Pchełek zupełnie był nieświadomy rozgrywających się ponad jego kędzierzawą głową wydarzeń, tonąc w otchłani rozkosznych snów zsyłanych mu właśnie przez Pana Uciech.

Wiosłując cicho, młodzieńcy wyprowadzili swą łódź na tor wodny prowadzący ku najbliższej bramie, oświetlonej zawieszonymi wysoko w górze pochodniami. Starali się ze wszystkich sił zachować ciszę, zanurzając pióra w wodzie z niebywałą ostrożnością i wprawnie omijając stojące im na przeszkodzie inne jednostki.

I byli już w połowie bramy, pomiędzy jej kamiennymi ścianami, o które pluskała rytmicznie





woda, kiedy ktoś na górze, na jednym z pomostów strażniczych, spostrzegł poruszenie pośrodku kanału i okrzyknął buratarską łódź gromkim głosem.

– Ej, wy tam, człeki! – huknął z wysokości pomostu chrapliwy męski głos. – Coście za jedni i gdzie się wybieracie?!

Maskacz zadarł głowę w górę dostrzegając trzech przechylonych przez poręcz ponad bramą orków w lekkich zbrojach i z łuczycami w rękach, spozierających w dół spoza krawędzi pomostu.

– Opuszczamy miasto. Takimi się chyba nie interesujecie, nie? Ciekawsi są ci, co przyplwają...

Maskacz dał ukradkiem znak kompanom wskazując na cenne worki. – Ziarno do domu wieziem.

– A skąd ci wiedzieć, kpie niemyty, co nas interesuje?! – odkrzyknął chrapliwie jeden z orków, niemal do połowy przechylając się przez drewnianą poręcz. – A może nam bliżsi ci, co po ciemku wypływają niż za dnia? Pewnikiem wielu z nich ma sporo za uszami!

– To takich łapcie za owe uszyska, a za nie wieszajcie! – zawołał Maskacz stając od wiosła i zadzierając w górę głowę. – My prości są rybacy i mus nam już teraz na jezioro płynąć, a chciałoby się jeszcze trochę pospać. Pułapki na raki musimy wyrzucić i przynętę na piskatory wymienić, to jak reszta rybaków o świcie wypłynie, my już będziemy pół łodzi mieć pełne.

– Daj spokój, Bhigos, niech płyną w diabły – machnął ręką inny ork, najwyraźniej nie podzielający nawet po części zainteresowania swego towarzysza. – Przecie nie będziemy na dół leźć, coby ich sprawdzać.

– Wasze szczęście, psubraty, że skrybowie z kapitanatu żadnego zbrodzenia usilnie nie szukają, tak się wam upiekło – zdecydował w końcu Bhigos. – Wynoście się stąd, a żwawo, bo jeszcze zdanie zmienię.

Dokończywszy wypowiedź, strażnik splunął siarczyście w dół, ale nie trafił i plwocina wpadła bezgłośnie do brudnej portowej wody. Uśmiechający się pod nosem Zager usiadł z powrotem przy wiosle i pchana silnymi pociągnięciami męskich ramion łódź szybko wydostała się poza kamienne ściany kanału.

Poruszający się rytmicznie młodzieńcy nie ustawali w swych wysiłkach, napierając na wiosła z dziką chęcią jak najszybszego oddalenia się od pełnej cudów i dziwów, ale też groźnych niebezpieczeństw stolicy Imperium. Migoczące w górze gwiazdy wiodły ich niezawodnie ku północy, ku schowanemu za widnokrzem i w mroku nocy wybrzeżu, na którym przycupnęła okolona prastarą puszcza nędzna osada Burat-aru. Zatrzymali się tylko raz na krótką chwilę, by podnieść na największej łodzi żagiel, bo przychylny im wiatr zaczął przybierać na sile przynosząc ze sobą obietnicę szybkiego powrotu do domu.

Młodzieńcy nie zdołali odnaleźć Krzesimira i Sękacza, nie zdołali ich ocalić od straszego losu, ale wszyscy pocieszali się myślą, że uratowali w zamian wioskę i resztę swej społeczności.





Wieźli na pokładach łodzi zapasy ziarna wystarczające w zupełności na nowy zasiew, odzyskali pozornie straconą knarę Krzesimira i Sękacza, a nadto weszli w posiadanie skarbów, o których nigdy wcześniej się im nie śniło: pełnej sakwy złota, wytwornych miastowych ubiorów, lekkich pancerzy zdartych z drabów Odrzyskóry oraz broni, w tym szabel i mieczy uchodzących w ubogim Burat-arze za marzenie wojowników.

Płynęli na północ wciąż próbując otrząsnąć się z rozlicznych wrażeń i ciesząc się w duchu na powitanie ziomek, wypatrujących ich tęsknie od poprzedniego dnia.

Podróż powrotna okazała się dla rybaków miłym zaskoczeniem, ponieważ silny wiatr od południa wypełniał ustawicznie żagiel knary i pomimo ciężaru ciągniętych na holu czółen wielka łódź sunęła po tafli wody niczym elficka strzała.

Kiedy oczy wieśniaków dostrzegały już rysujące się na tle puszczy kształty niskich nędznych chat swej wioski, w ich sercach poczęła narastać duma pomieszana z radością. Siedzący przy bocznym sterze Maskacz spoglądał z kamienną miną na mijane rybackie czółna Buratarczyków, którzy zaskoczeni przez przybyszów w trakcie wyciągania sieci wrzeszczeli dziko i wymachiwali rękami w geście powitania. Siedzący na dziobie Pchełek odwzajemniał te pozdrowienia uniesioną wysoko ręką, wyprostowany jak struna i z całych sił nie dający po sobie poznać, że wciąż pęka mu głowa. Wychylony przez burtę Trzęsikęsek nie ustępował towarzyszowi w dumnym puszeniu się przed oszołomionymi ziomekami, odziany w kupione za zawrotną kwotę miejskie ubranie, z naciągniętym na czoło kapeluszem i dłonią opartą na przypasanej do boku szabli.

Bawiące się na plaży dzieci szybko narobiły we wsi rwetesu, donośnym krzykiem oznajmiając przybycie tęsknie wyczekiwanych podróżników. Nim Pchełek z Gusłkiem opuścili żagiel i knara zaszorowała dnem po piasku, w płytkiej wodzie i na plaży tłoczyli się już gromadnie wszyscy obecni w osadzie Buratarczycy, starzy i młodzi, mężczyźni, kobiety i dzieci oraz stado ujadających psów. Piątka mężów należących do starszyny, z Męczyworem na czele, stała dostojnie pośród tego rozgardiaszu, pozornie nieporuszona, niemniej jednak Maskacz wyczuwał bijącą od nich aurę nieopisaną radości, oszołomienia i niewysłowionej ulgi.

Młodzieńcy wyskoczyli przez burty knary w spienioną wodę, złapali za liny ciągnąc łódź pospołu z uczynnymi ziomekami w górę plaży. Kiedy knara znalazła się w bezpiecznym miejscu, a przywiązane do niej czółna zawleczono powyżej linii przyboju, poklepywani przez wszystkich po plecach i obcałowywani młodzieńcy stanęli w końcu przed obliczami starszyny.

Wszyscy ucichli jednocześnie, przeganiając kilka rozwydrzonych psiaków i uspokajając rozwrzeszczaną dzieciarnię. Wsparty na sękatym kiju Męczywór przebiegł wzrokiem po tkwiącej na piasku knarze, potem zaś spojrzął na swych wysłanników.

– Wielceśmy radzi, że wróciliście bez szwanku, synkowie, a przy tym tak dostatnio odziani – powiedział z emfazą starzec, unosząc lewą rękę i kładąc ją na ramieniu stojącego najbliżej Pchełka. – I wielka to radość, że i łódź Krzesimira do nas wróciła. Azaliż macie i ziarno na za-





siew, bom ztroskany o to, skoro Krzesimira i Sękacza z wami nie widać? Macie ziarno?

Trzęsikęsek rozpromienił się szeroko, po czym szturchnął Łamignata porozumiewawczo w bok. Uprzedzony wcześniej osiłek doskoczył do burty knary i przechyliwszy się ponad nią sięgnął w dół rękami, z głuchym stęknięciem podnosząc jeden z worków. Na widok ów wszyscy zaczęli pokrzykiwać niczym szaleni i klaskać w ręce, a po niejednej twarzy popłynęły szczere łzy radości.

Nawet Męczywór uległ na chwilę powszechnej euforii i złapawszy zaskoczonego Pchełka za kurtkę przyciągnął młodzieńca do siebie całując go w policzki i ściskając wylewnie, przy okazji zaś drapiąc delikatną skórę wioskowego amanta swą szorstką szczecina.

– Bogom niech będą dzięki, synkowie! – zakrzyknął Pleciuch, jeden z członków starszyny i drugi po Męczyworze władny w Burat-arze. – I chwała wam za to, coście uczynili. Nie pomrzemy z głodu, nie pomrzemy!

– Lecz co z Krzesimirem i Sękaczem? – zapytał Męczywór ucinając ponownie okrzyki radości. – Łódź odnaleziona, lecz co z braćmi naszymi? W mieście ich ostawiliście... czyście przywieźli odcięte dłonie?

– Krzesimira i Sękacza już nie spotkamy na tym Świecie. Jeden zabity w bójce, a drugiego w niewolę wzięli i sprzedali na arenę, pewno też już go nie ma wśród nas. Łódź znaleźliśmy i odkupiliśmy, wywiedzielim się losów naszych nieszczęśników i nawet próbowali my temu żyjącemu pomóc, ale mus nam było uciekać z miasta. Podczas naszych poszukiwań, zaleźliśmy za skórę okrutnikom wielkim co ludzi ze skóry żywcem odzierają. No i uciekliśmy. Worki mamy, łódkę mamy, ale Krzesimira i Sękacza już nie – wyjaśnił Pchełek, chcący jak najszybciej znaleźć się we własnej chacie i odespać potężnego kaca.

Tragiczne wieści z miejsca zepsuły doskonale humory wieśniaków, bo Krzesimir i Sękacz należeli do grona osób powszechnie lubianych, a przy tym uchodzili za zaufanych pomocników buratarskiej rady.

– Przepadli z kretesem, powiadacie... – zasępił się Męczywór. – Wielce to złe nowiny, synkowie, ale tym bardziej bogom trza dziękować, żeście sami głowy na karkach unieśli i do nas zdrowi wrócili.

– Oto dowód jest niezbity, że czcigodny Męczywór słusznie nas przed wielkimi miastami przestrzega a do pozostania na ojcowiznie namawia – dodał Pleciuch. – Gdzie nam prostym ludkom do wielkich miastów, gdzie jeden człek drugiemu wilkiem abo nawet wargiem krwiozerczym?

– Ale mają też bydłatka – oznajmił wciąż uśmiechnięty Łamignat, wynosząc na suchą część plaży pierwszy worek ziarna. – Wielce ucieszne, a takie kochanieńkie, że aż hej! Jednogom nawet oblał, coby się krzynkę zabawić, ale mnie Pchełek zabawy odmówił, bo czasu ku temu nie było.

Męczywór pokiwał głową z pobłażaniem. Słyszac słowa osiłka, rozchmurzył się nieco.





– Pianowi niech chwała będzie, żeście przed tymi miastowymi okrutnikami uszli a żwawo wrócili. Wszystkie pięć worków żeście kupili albo mniej?

– Siedem, Męczyworze. – Maskacz uklonił się głowie Burat-aru z doskonale udawanym, chociaż do szczeru fałszywym szacunkiem. – Pięć i jeszcze dwa na zapas jakby co złego się stało, ptaństwo naszkodziło albo myszy.

– Siedem worków?! – Męczywór aż się złapał za głowę słysząc Hogura, spojrział z niedowierzaniem na knarę. – Caluśkie siedem?

– Caluśkie – przytaknął Pchełek pusząc się z dumy i szczerząc jednocześnie zęby w stronę kilku patrzących w niego jak w obrazek dziewcząt. – Calusieńkie. A co my krwi a potu przelać musieli, coby je zdobyć!

Męczywór klasnął w dłonie ukontentowany jak nigdy dotąd, klepnął Pleciucha w ramię dając wyraz swej wielkiej radości.

– Tak szczęśliwego dnia dawnom nie przeżył, synkowie. Wielceście dobrze się sprawili i zaśleżyliście się ogromniastie naszej osadzie, przeto rzeknijcie jak wasi ziomkowie mogą wam za to dzieło odpłacić?

– Szlachetny Męczyworze, mus rzec jeno jeszcze słowo jedno. Coby wina Krzesimira i Sę-kacza oczyszczona ze zarzutów wszelakich została. Niewinne chłopcy były, pewno by ze ziarnem, jako obiecali wrócili, jeno w łapska paskudników wpadli i życia swe z kretešem postradali. Musim im pochówek jakowyś wyprawić, choćby jeno ich stare kapoty pochować nam przyszło. I ku ich pamięci zachowaniu ucztę wielgachną wyprawić nam trza, coby Piana nie obrazić. – Gusłek postanowił wyjaśnić sprawę do końca, a przy okazji może kilku nowych gorliwych wyznawców pozyskać.

– Niewinni to oni tak sobie byli. Za dziewczką jedną się pono uganiali, i kogoś mocno tym wkurzyli – Zagar też postanowił wcisnąć swoje trzy srebrniki.







Epilog

Burat-ar, dwa tygodnie później...

Drzywiezione z Ostrogaru ziarno zostało wysiane z wielkim pietyzmem i starannością, a liczba wystawionych na pola strachów na wróble budziła słuszny podziw. Ujęci szczerze poświęceniem i odwagą swych ziomek, członkowie starszyny przez wiele dni dawali im odczuć swą wdzięczność i zadowolenie.

Zager zwany Maskaczem otrzymał zgodę Męczywora na wprowadzenie się do zabitej szczerlnie deskami chatki swego nauczyciela, tragicznie zmarłego Trzewiskręta. Młody Hogur ochoczo skorzystał z tego przywileju, przekopując mroczną budowlę od podłogi po stryszek, wyrzucając z niej sterty dziwacznych śmieci i porządkując gromadzone całymi latami graty pryncypała, do których za jego życia Maskacz nie miał przystępu. Wkrótce później zaczęto go widywać z opasłymi księgami o startych doszczętnie okładkach w rękach, przesiadującego w progu swego ciemnego domku i czytającego coś ze skupieniem skutecznie odstręczającym ciekawych źródła tego niezdrowego zainteresowania wiedzą kmiotków.

Trzęsikęsek i Pchelek wspólnymi siłami zabrali się za polowania w puszczy, obierając sobie za cel zwłaszcza występujące w okolicy futerkowe zwierzątka i skrupulatnie gromadząc ich wyprawione skórki. Ponieważ zapas futerek rósł sukcesywnie, a żaden z młodzianów nie wykazywał chęci do udania się na dwór elejata z zamiarem ich sprzedania, dziwne zachowanie myśliwych zwróciło w końcu uwagę Męczywora i Pasibrzucha. Wezwani przed oblicze starszyny młodzieńcy żywo zaprzeczyli, jakoby szykowali potajemnie coś niezwykłego, zarzekali się jedynie, iż czekają cierpliwie, aż na dworze podskoczą aby nieco oferowane za futerka ceny.

Łamignat powrócił do pracy w obejściu swego ojca, z dziecięcym zapałem rąbiąc drewno, dojąc owce i wyrzucając nawóz z kurnika. Jego akuratnie wyprawa do wielkiego miasta zmieniła w najmniejszym stopniu, chociaż lubował się w opowiadaniu wieczorami przy kubeczku bimbru jak to siłował się na ręce z wielgachnym świńskim ryjem, którego tak się od tego siłowania zagrzał, że mu się portki żywym ogniem zajęły.

A w drugim tygodniu miesiąca kepon-ranu Gusłek dostąpił wielkiego zaszczytu, będąc wyświęconym przez starego Żłopa na drugiego w wiosce kapłana Piana. Starszyna wyprawiła z tej okazji trzydniową biesiadę, zapraszając na nią nie tylko wszystkich dwustu mieszkańców rybackiej osady, ale i naczelników kilku sąsiednich społeczności, a także samego elejata Mrukka. Gruboskórny i wielce pogardliwy dla ludzi dostojnik rzecz jasna z zaproszenia nie skorzystał, ale zadziwił Męczywora przysyłając w zamian jednego ze swoich urzędników, skrybę podatkowego Ghulasha, ten zaś przywiózł w podarku dla nowowyświęconego kapłana





piękny srebrny kielich, który stał się od tej pory ozdobą woskowego relikwiarza. Wielka feta stała się okazją do powtórnego opowiedzenia historii wyprawy do Ostrogaru, przy czym po każdym jej powtórzeniu bohaterskie czyny piątki śmiałków przybierały jeszcze bardziej na heroizmie, a zastępy pokonanych stołecznych łotrów urosły do co najmniej setki, jeśli nie więcej.

Życie w wiosce zaczęło biec na powrót zwykłym, znojnym, pracowitym rytmem, lecz pewne uszy nie puściły w niepamięć opowieści, którą zasłyszały podczas świątecznych nocnych pijatyk...



Koniec.





*Gdy decyzją starszyny
grupka młodych wieśniaków wyrusza do Ostrogaru,
największej metropolii Imperium Katanów
na Orkusie Wielkim, żaden z nich
nawet w części nie podejrzewa,
jak rozliczne napotka tam cuda i dziwy.
Prości i nie znający reguł cywilizowanego świata,
młodzi śmiałkowie staną twarzą w twarz
z wieloma niebezpieczeństwami,
a jeśli im ulegną, sprowadzą na swoją wioskę
nieuniknioną zgubę...*

